
P. HULKA-LASKOWSK
mój
żyrardów

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

MÓJ ŻYRARDÓW

Z DZIEJÓW POLSKIEGO MIASTA
I
Z ŻYCIA PISARZA

WARSZAWA 1934

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO

Okładkę projektował Levitt-Him

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa

ROBOTNIKOM ŻYRARDOWSKIM
TOWARZYSZOM WALK I PORAŻEK
Z WYRAZEM NIEZŁOMNEJ WIARY
W OSTATECZNE ZWYCIĘSTWO.

Siedziałem na szarej podłodze, blisko drzwi i płakałem. Drzwi były uchylone, na progu stała matka i pocieszała mnie, że zaraz wróci. W ręku trzymałem skórkę chleba i przez łzy patrzyłem na drzwi, które się nieubłaganie zamknęły za matką. Nieraz zadaję sobie pytanie, czy to jest naprawdę moje pierwsze wspomnienie i pierwszy przebłysk świadomości, czy też widziałem takie dziecko płaczące za oddalającą się matką i ten widok przywłaszczyłem sobie. Rozstrzygnąć tego pytania nie potrafię, ale gdy myślę o początkach życia, zawsze widzę siebie na podłodze u drzwi uchylonych i odczuwam gorzką krzywdę dziecka, które zostawiają same, nie wiedzieć dlaczego.

W którym domu to było, nie wiem. Drzwi za matką zamknęły się na długo i dla mojej świadomości. Drugie wspomnienie jest daleko jaśniejsze i trwalsze. Wiem już, że mieszkaliśmy wtedy „u Sobańskich“, w oficynie, której okno wychodziło na podwórze. Razu pewnego było wszędzie dziwnie cicho, ludzie szeptali sobie coś do ucha i zamykali drzwi na klucz. Siedziałem u okna i usiłowałem zobaczyć co się dzieje za wysokim parkanem, zamykającym widok na drogę wiodącą „do kolei“. Na tej drodze zabłysły w słońcu ostrza lanc kozackich i rozległ się śpiew, jakiego nigdy przedtem nie słyszałem. Poraz pierwszy w życiu widziałem wielkie mnóstwo kolorowych ludzi na koniach i przestraszyłem się. Kozacy przepłynęli przez moją dziecięcą wyobraźnię razem ze swoim dzikim śpiewem.

Powiało strachem. Kostek i Polek, synowie „pana gospodarza“, mówili o kozakach rzeczy okropne. Że na te wysokie „piki“, co się świeciły w słońcu, nadziewają dzieci i podnoszą je do góry. Skąd wiedzą? Tatuś mówił. Kwestja była rozstrzygnięta i straszna.

Gdy w niedzielę rano chadzałem z ojcem po wodę do pompy „koło krzyża“, zawsze ostrożnie rozglądałem się, czy niema w pobliżu kozaków z pikami. Kozaków nie było, ale był pan Studziński. Ulica jarzyła się młodemi kasztanami, które miały stać się okrasą alei Dittrichowskiej, dzisiejszej alei Piłsudskiego. Lubiłem kręcić się dokoła tych kasztanów, trzymając się ręką cienkiego pnia. Biegałem od kasztana do kasztana i u każdego pokręciłem się trochę. Tego właśnie nie znosił pan Studziński. Groził mi rzemiennym pasem i krzyczał, że nie wolno „obruchiwać“ drzewek, bo mnie poda do kantoru. Słowo kantor było straszne. Tam wołali ludzi w sprawach, od których się w domu płakało. Tam dawali „fajerant“, czyli wydalali z fabryki, tam odmawiali rzeczy, które były koniecznie potrzebne, tam wypłacali pieniądze na pogrzeb umarłych. Zląkłem się, że mnie pan Studziński może podać do tego strasznego kantoru, ale pamięć miałem wtedy cudownie krótką, i jak tylko znalazłem się na ulicy, zaraz biegłem do kasztanków, żeby się dokoła nich pokręcić. Pan Studziński skarżył na mnie ojcu, wymyślał i groził mi rzemieniem. Znikł mi z oczu razem z kasztankami. Przepadli gdzieś Kostek i Polek, synowie pana gospodarza.

Mieszkaliśmy znowu gdzieindziej i to już na dobre. Było to „u Zyserów“. Izdebka jak zawsze dotąd, miała jedno okienko, ale wychodziło ono na strzechę wę-

dzarni pana Zysera. Za wędzarnią stała wysoka drewutnia z gankiem, a w drewutni wszyscy lokatorzy mieli króliki, szare z długiemi uszami, albo bielutkie z czerwonemi oczami. Podwórko było niewielkie i z lewej strony zamykał je drugi dom Zysera oraz ogród niedostępny dla dzieci. Przez sztachety widać było w tym ogrodzie czerwone kwiaty maków i tym kwiatom przyglądałem się z biciem serca, jak niepojętej tajemnicy. Nieraz wspominam, jak bardzo chciało mi się urwać czerwony wysoki kwiat i uciec z nim przed panem Zyserem! Nie urwałem; brakło mi odwagi. Kwiat był tajemnicą. Bóg raczy wiedzieć, co się kojarzyło w dziecięcem głupiem sercu z posiadaniem takiego kwiatu! W ogrodzie pana Zysera rosły także drzewa, a na nich czerwieniły się takie same wiśnie, jakie widywałem w koszyku Sury, córki krawca Fizona, który mieszkał w drugim domu. Te wiśnie na drzewie były daleko ciekawsze od wisien w koszyku. Znowu tajemnica. Zrazu na drzewie nie było nic, potem kwitło, potem były zielone kuleczki, potem czerwone wiśnie. Cóż z tego, że matka przynosiła z targu takie same wiśnie, kiedy tak ogromnie chciało się wisien z drzewa w ogrodzie pana Zysera! Raj zamknięty, z czerwonym makiem tajemnicy i z wiśniowem drzewem wiadomości złego i dobrego.

Na podwórzu był, oczywiście, duży śmietnik i rynsztok wylewający się na ulicę. Ten rynsztok polewano wapnem. Dlaczego? Bo pewno będzie cholera. Co to takiego cholera? To był wóz, na którym wywożono ludzi do baraku razem z rzeczami. Potem mieszkanie zamykano, a z za zamkniętych drzwi dobywał się ostry zapach.

— Co tak mocno pachnie, babciu?

— Śmierdzi, nie pachnie. To jest karbol. Wszystko ludziom popali...

Pierzyny wsadzano do jakichś pieców i też je palono, czy co, bo ludzie bardzo narzekali na te piece. Jedna sąsiadka mówiła, że jej oddali kluski a nie pierzyny i że się wszystko rozleciało. Cholera miała też zapach mięty, bo wszędzie stały kadzie z wodą miętową, ale sąsiedzi twierdzili, że najlepsza jest mocna wódka z pieprzem grubo tłuczonym, bo taka wódka rozgrzewa. To wszystko utkwiło w pamięci, bo było dziwne, że rynsztok malowano wapnem, chociaż cholera nie siedziała przecie w rynsztoku.

Pewnego razu ojciec przyszedł z fabryki bardzo rozradowany i powiedział matce, że dostaliśmy mieszkanie fabryczne w ładnym nowym domu, trzechsieniowym. Dom Zysera był bylejaki, drewniany, i miał tylko jedną sień. A tu dom fabryczny, murowany, trzechsieniowy. Zacząłem mieć szacunek dla domów trzechsieniowych i dla ludzi mieszkających w takich domach. Ojciec opowiadał, że takie mieszkania były tylko dla zasłużonych robotników i że mu nie chcieli dać, ale on nie ustąpił.

— A wiele lat pan pracuje? — pyta się pan Krauze.

— A dwadzieścia cztery — mówię mu na to.

— Ha-ha, to pana w kołysce do fabryki nosili!

— Nie żadne ha-ha, proszę pana, tylko sama prawda. Półszosta roku miałem jak zacząłem szpulki snowaczom podawać. Popatrzył na mnie i kazał mi przynieść kartkę na te lata pracy. Przyniosłem, przeczytał i powiada, że dobrze. Czy chcę alkierzyk, czy duże mieszkanie. Że duże. A naco duże? Bo mam żonę

i dwoje dzieci. I ojciec z radością mówił, że się dostanie kawałek pola pod kartofle, że obórka do tego mieszkania jest bardzo ładna, z piwnicą, a na strychu też własna komórka do suszenia bielizny.

To było szczęście, bo wszyscy chcieli mieszkać w domach fabrycznych, ale nie wszyscy pracowali dwadzieścia cztery lata. Po przeprowadzce do domu fabrycznego zaczęło się nowe życie. Ojciec zaprowadził mnie do ochronki fabrycznej i zostałem przyjęty do klasy panny Marji Słoneckiej. Kupiono mi książeczkę z obrazkami, tabliczkę i „szyferek“ do pisania. W ochronie było bardzo dobrze, osobliwie podczas długich pauz na ładnym dziedzińcu. Bawiliśmy się w piasku, właziliśmy na „kołki“, których było dość dużo, biegaliśmy, albo też pan Kolenda, woźny pani przełożonej, urządzał wyścigi i chwalił tych z pośród nas, którzy biegali najszybciej. Zimą i podczas niepogody spędzaliśmy godziny pauz w dużych salach, gdzie można było z klocków budować domki i pałace, i gdzie panna Marja urządzała nam różne zabawy.

Pomimo to bardzo chętnie uciekałem z ochrony w pole, nad rzekę, albo do lasu. Udawało się uciec podczas pauzy, bo furtka prowadząca z ochrony na szosę Wiskicką, stała otworem i już tem samem kusiła do skorzystania z wolności. Biegłem prosto ku „świętemu Janowi“, gdzie latem mogłem wykąpać się w chłodnej wodzie i gdzie na wielkiej łące pasło się stado krów pana Oxnera. Od „świętego Jana“ było niedaleko do „starej rzeki“, przed którą wszyscy przestrzegali się wzajemnie, że jest zdradliwa, ale mogłem wszak przejść przez most, a na drugim brzegu, już całkiem blisko lasu, jarzyło się pole smacznego zielonego

grochu. Lecz gdy milkliwą piaszczystą dróżką zajeżdżał na pole pan Gabryel, albo zakradał się polowy, wtedy nastawał koniec świata, jeśli się w porę uciec nie zdążyło. Pewnego razu, gdy jakoś przez dwa czy trzy dni używałem swobody i do ochrony nie chodziłem, rówieśnik mój, Władek Szulc, zatrzymał mnie na drodze i powiedział mi, że koniecznie muszę przyjść do klasy, bo jutro przyjedzie do nas polski król.

Oczywiście, że przerwałem swoją włóczęgę po łąkach i polach i pośpieszyłem do ochrony, chociaż nie wiedziałem, że o polskiego króla było wtedy dość trudno. Do Żyrardowa przyjechał nie polski, ale perski król, światły Nasr-eddin, który w roku 1888 dość długo bawił w Warszawie i postanowił zwiedzić także sławny Żyrardów. Zajechał do ochrony ze wspaniałą świtą, przeszedł szpalerem ufraczonych urzędników i uważnie rozglądał się po gromadkach dzieci, poustawianych wzdłuż korytarzy i obu sal ochronkowych. Było to zdarzenie, które zrozumiałem dopiero po latach, we wspomnieniu.

Drugie zdarzenie ochronkowe, które mi także głęboko utkwiło w pamięci, jest powszedniejszej lecz głębszej natury. Matka moja ciężko chorowała. Ostatnie dwa lata jej życia były długiem, męczącem konaniem. Podarłem kiedyś rondo słomkowego kapelusza i rzuciłem zniekształcony kapelusz na ziemię. Matka prosiła mnie, abym wziął tymczasem kapelusz taki, jaki mam, i obiecała mi kupić nowy. Nie usłuchałem i pobiegłem do ochrony z gołą głową. Podczas pauzy ujrzałem matkę stojącą u furty ochronkowej. Dawała mi znaki, abym się zbliżył. Podszedłem, spodziewając się strofowania za nieposłuszeństwo. Ale matka podała mi

nowy słomkowy kapelusz i dwie bułki. Wziąłem jedno i drugie, i nawet nie słuchałem, co mi wtedy mówiła. Słowa jej przypomniały mi się znacznie później, gdy już dawno nie było jej na świecie.

— Masz, moje dziecko, żebyś sobie główki nie przepalił.

Była ciężko chora i niełatwo przyszło jej wyjść na miasto, aby kupić kapelusz i bułki dla krnąbrnego smyka. Gdy po latach nierozumnego dzieciństwa i płochej młodości przychodziły pierwsze klęski życiowe i niedole, zrozumiałem, czem jest serce matki w życiu człowieka i w dziejach świata. Bywało mi straszliwie smutno, że już nigdy nie będę mógł powiedzieć tej męczennicy, iż ją kocham. Przeszła przez życie z oczyma szeroko otwartemi i z sercem pełnem pragnień. Zdziwione oczy zbyt wcześnie zgasiła śmierć, serce skonało pokrzywdzone i niesyte miłości. Ciężko jest umierać w trzydziestym trzecim roku życia, gdy z miłością patrzy się na słońce i z trwogą na dwoje małych dzieci. We wspomnieniu o niej pozostał nazawsze nienazwany żal. Piękna muzyka, melodyjny wiersz, ładny krajobraz włoski, widok morza—wszystko zawsze i niezmiennie budziło przesmutną refleksję, że tego wszystkiego matka moja nie znała. Wielka sztuka, głęboka myśl, szczęście oglądania pięknych okolic nadmorskich, to było dla niej zaledwie jakiemś niejasnem przeczuciem i niewymierną sumą tych tęsknot, które serca wierzących i słabych umieszczają w radościach niebiańskich. Jej światem był Żyrardów. Pracowała od wczesnego dzieciństwa w fabryce, była przykręcaczką, rodziła dzieci, niańczyła je, czuwała nad niemi po nocach, kładła jedno za drugiem do grobu i wreszcie

poszła za niemi. Ciężka praca, poronienie, krwotoki, suchoty i śmierć na czterdzieści lat przed kresem, o którym mówi Psalmista. Trochę czystego górskiego powietrza, obfite pożywienie i wypoczynek dostatecznie długi, mogły ją uratować, ale takie rzeczy nie są dla ubogich przykręcaczek osnowy.

Pewnego lutowego popołudnia po Matce Boskiej Gromnicznej szliśmy za jej trumną z ojcem i młodszą siostrą: niebardzo rozumiałem o co tu chodzi. Było to coś jak jedna z opowieści dziadka o wyjazdach na jarmark czy do miasta, jednem słowem jakaś niepojęta sprawa dorosłych ludzi. Padał rzadki śnieg, wiatr rzucał zimne płatki na wszystkie strony razem z drżącemi smutnemi głosami śpiewających ludzi, skądś dolatywał odgłos dzwonu i było cicho na polu za domami. Ale gdy matkę zakopali na cmentarzu i gdy wszyscy zaczęli się rozchodzić, żal, który wyprzedził na długie lata zrozumienie tragedji młodej robotnicy, chwycił nas kościstą ręką za serca i wycisnął z nich bezradny płacz. Wracaliśmy do pustego domu zziębnięci, w lichych ubrankach, jakie się nosiło latem. Było bardzo chłodno, musieliśmy śpieszyć, a tam została matka sama w grobie. Ten płacz zziębniętych dzieci, biegnących o zmroku z cmentarza do domu, był śmieszny i tą śmiesznością bezgranicznie smutny. Brakło mu hieratycznej powagi i namaszczonego gestu. Nie mieliśmy ciepłych płaszczyków i płakaliśmy jednocześnie dlatego, że nam zakopano matkę i że nam było bardzo zimno. Więc płacząc biegliśmy, trzymając się za ręce, do domu, w którym było pusto i chłodno. Te tragedje, które stają się tragedjami dopiero w odległej retrospektywie wspomnienia, nie mają jeszcze swoich

Sofoklesów i Szekspirów. Mijają niezauważone i nieocenione należycie, może dlatego, że są tak liczne.

Po śmierci matki życie nasze zmieniło się bardzo. Chodziłem już do wstępnego oddziału szkoły fabrycznej, młodsza siostra była wtedy w ochronie. Gdy o dwunastej wracałem ze szkoły, rozpalałem ogień w piecu i nastawiałem kartofle, ojciec przynosił do nich coś ze sklepu; najczęściej zaś wieczorem gotował obiad na dzień następny. Spostrzegałem wiele rzeczy dotychczas niezauważonych, uczyłem się robić niejedno z tego, co zawsze robiła matka. Przygodnie uciekałem ze szkoły i włóczyłem się po lasach i łąkach. Nauczycielowi mówiłem, że muszę to, że muszę owo. Wierzył mi bardzo chętnie. W dziewiątym roku życia stawałem się coraz samodzielniejszym.

Dla Żyrardowian z przed półwiecza geografja nie przedstawiała żadnych trudności. Słońce wschodziło za Czarnym borkiem i zachodziło latem nad Guzowem, a zimą między Sokólem a Benenartem. Na północ od Żyrardowa był Teklinów i Feliksów, dalej wlewo, ku zachodowi leżały Wiskitki, do których szło się przez las koło Papierni, a jechało się szosą przez długie Kozłowice; za Wiskitkami istniał barwny Łowicz, znany nam tylko z imienia, bo był bardzo z drogi dla ludzi wędrujących pieszo, albo furkami chłopskiemi. Na południowej stronie leżały wsie Korytów i Chroboty, a za niemi Radziejowice i miasto Mszczonów, wsławione niezliczonemi pożarami.

Robotnicy żyrardowscy pochodzili przeważnie ze wsi okolicznych: Kozłowic, Henryszewa, Glinek, Marjampola, Chrobot, Korytowa, Radziejowic, Oryszewa, Guzowa... Ale nie brakło śród nich także mieszczan z Wiskitek, Mszczonowa, Błonia, Sochaczewa, Łowicza. Z różnych stron schodzili się ludzie na robotę do fabryki żyrardowskiej, która ongi pracowała dniem i nocą na dwie zmiany, rozbudowywała się szybko i nie mogła wydołać zamówieniom, nadchodzącym ze wszystkich stron. Gdyby fabrykanci byli mogli, to byliby kazali pracować nawet w niedzielę i święta. Było to niemożliwe, bo dawni robotnicy niedziele i święta tak dalece uważali za swój przywilej, że nawet wysokiemi płacami nie dawali się skusić, aby przy pilnych robotach pracować czasem w święto.

Niedzielę zaczynano świętować już w sobotę po czwartej, czyli po wypłacie. Chłop pańszczyźniany pił wódkę z obowiązku, bo jego dziedzic był panem „propinacji“ i musiał mieć spożywców dla wyrobów swoich gorzelń. Trwało to tak długo, że wódka stała się przyzwyczajeniem i nałogiem także dla chłopów uwłaszczonych i dla robotników, przybywających do fabryki ze wsi. Za robotnikiem wiejskim, idącym szukać pracy i chleba w fabryce, karczmarz szedł tak samo, jak markietanki dawnemi czasy chadzały za wojskiem. W dni powszednie karczma wegetowała, ale w soboty i niedziele miał karczmarz istne żniwo. Prosto z fabryki po wypłacie szło się z towarzyszami „na jednego“. Jeśli się wypiło drugiego i trzeciego, to nie było w tem żadnej zdrożności. Obraza boska zaczynała się dopiero wtedy, gdy kto upił się tak, że padał na ulicy, albo przepijał większą część wypłaty, a żonie i dzieciom przynosił żałosne resztki zarobku.

Stateczniejsi unikali karczmy i pili w domu. Przyszedł sąsiad do sąsiada, pogadali, złożyli się i posyłali do Oppenheima po półkwarty okowity. Na zakąskę smażono kaszankę i raczono się nią dowoli. Wódka rozwiązywała języki i wspominaniom o dawnych dobrych czasach nie było końca. Starsi opowiadali jak to było w powstanie, kiedy się to „poloki z moskalami za łby brali“, młodsi mieli w zapasie opowieści o jakichś nadzwyczajnych wyprawach na jarmarki, z przygodami w lesie po nocy, z napadami opryszków i cudownemi obronami. Ten sprzedał chytremu Moszkowi jedno cielę dwa razy, tamten wyprowadził w pole przebiegłego handlarza końmi, ów spotkał w gęstym lesie o północy jakąś poczwarę i byłby przepadł, bo w ża-

den sposób nie mógł sobie przypomnieć słów pacierza... Starsze niewiasty opowiadały o strachach i duszach, widywanych różnemi czasy po nocach, gdy rodzice kazali im paść konie.

W niedzielę rano znowuż okowita z kaszanką albo i z kiełbasą, jeśli kogo stać było na większy zbytek, potem nabożeństwo, po nabożeństwie obiad i hajda w pole! Sąsiad z sąsiadem porozumiał się łatwo co do celu wyprawy. Ten szedł na Benenart do ojca, ów na Chroboty do kuma, ktoś inny miał jakieś ważne sprawy do załatwienia w Korytowie. Spotykali się koło przejazdu kolejowego i szli, gawędząc, we dwóch, we trzech, w pięciu. Za przejazdem była już wieś i serca niedawnych wieśniaków tajały odrazu na widok zboża, kartofli, łubinu, koniczyny, „salatery", jak nazywano seradelę, grochu, a miejscami kapusty i paru zagonków lnu.

— Ładne żyto chwalić Boga — rzucił jeden, głaszcząc kłosy.

— A ładne — dodał drugi, — tylko słomy za dużo, a w kłosie niewiele.

— E, kłos ujdzie, nie bójcie się.

— A czyje toto?

— Niby to żytko tutaj? Mirgosowe.

— Co wy znowu z tym Mirgosem? Przecie tu Łojszczyki siedzą od dziada-pradziada.

— Tak, ale pili zdrowo u Wicka Mirgosa, to podobno jakąś tam ugodę zrobili i teraz Mirgos tu sieje.

Zaczęli kumowie opowiadać o procesach różnych, o tem, jak ten i ów prawował się o pole przez dziesięć czy piętnaście lat, przegrywał, wygrywał i tak mu jakoś życie zeszło na tych sądach. A tymczasem w jasnem

letniem słońcu szosa kurzyła szarym, delikatnie wyzłoconym pyłem, podrywanym kopytami końskiemi i kołami chłopskich wózków. O kilkaset kroków od przejazdu stała przysadzista solidna karczma „pod trzema murzynami", z szyldem, który radował oczy widokiem trzech na glanc wymalowanych „czarnych ludów" i pociągał serca młodzieży muzyką kilku żydków. Na skrzypcach, trąbce i basetli, zacne te muzykusy ogromnie skutecznie zastępowały całą kapelę, dla której zresztą nie byłoby się znalazło miejsca w karczmie, gdy się naschodziło tancerzy.

Za karczmą była „bawełnianka", przędzalnia bawełny, ogrodzona wysokim płotem, jak wszystkie zabudowania fabryczne, a za nią już było szczere pole aż do samego Korytowa, któremu przewodził murowany młyn nad wielkim stawem i karczma na rozstajach. Tutaj rozwidlała się droga: wprawo szło się do sławetnego Mszczonowa, który co jakiś czas płonął, a jednak nie przestawał fabrykować zapałek, wlewo wiodła droga do Radziejowic. Koło karczmy stał krzywy słupek z dwoma ramionami, a u końca tych ramion dwa kułaki, misternie wyrzezane, wskazującemi palcami pokazywały wyraźnie gdzie Mszczonowa szukać należy i gdzie leżą cierpliwe Radziejowice.

U karczmy była kuźnia, a przed nią stało zawsze kilka wozów. Ten chce sobie koło naprawić, bo chodzi jakoś wichrowato, tamtemu szkapina utyka, widać podkowa coś nie tego, innemu łańcuch się przetarł. Niech kowal kuje i naprawia, co trzeba, konięta przegryzą trochę sieczki, a gospodarze zjedzą rządek bułek z kawałkiem suchej jak gnat kiełbasy i spłuczą kurz z zachrypniętej gardzieli łykiem okowity. Nie ta-

kie straszne. Rządek bułek pięć groszy, kiełbasa dziesięć, półkwaterek okowity — dwanaście. Za dwadzieścia i cztery grosze, czyli za cztery „dydki", albo i „czeskie", jak niektórzy mawiali, mogłeś więc upić się na amen. Dobre były czasy, ale starzy ludzie pamiętali jeszcze lepsze i o tych jeszcze lepszych czasach opowiadali sobie siedząc przy stołach i popijając ze szklanek.

Z Korytowa na Chroboty było „parę kroków" dla dobrej woli, a droga wiła się ładnie nad stawem, śród łąk i pól aż pod sam las, gdzie właśnie koło chałupy gajowego stała karczma Mirgosa. I tutaj to samo: sucha kiełbasa ćwierć funta za dziesiątkę, rządek bułek za pięć, okowita za dwanaście groszy półkwaterek. Kumowie siedzieli na murawie przed karczmą, opowiadali sobie akurat tak, jak w karczmie korytowskiej, o dawnych dobrych czasach i fundowali sobie wzajemnie. Jeśli dnia było jeszcze kawał a ochoty nie brakło, to się szło lasem cienistym na Benenart, gdzie też była karczma z okowitą i suchą kiełbasą, oraz bułkami, które razem z kiełbasą schły sobie tak długo i cierpliwie, dopóki ich głodny człowiek nie kupił i nie zjadł. Gdy sąsiedzi zasiedzieli się na Benenarcie albo na Chrobotach przydługo i za dużo wypili półkwaterków, to powrót do domu przez mostek koło „świętego Jana" bywał połączony z niejakiemi obawami, bo dziur w nim nie brakło, a poręczy nigdy nie miał, zaś woda pod nim była dość głęboka i ludzie topili się w niej czasem.

Podczas gdy starsi dawali pierwszeństwo Chrobotom, Korytowowi, Benenartowi i Glinkom, młodsi lubili chodzić do Wiskitek, oddalonych od Żyrardowa

o miłkę rozciągniętą lasem wzdłuż Papierni i łąkami wiskickiemi nad rzeką Pisią, która z Żyrardowa na Wiskitki podążała ku Bzurze. Uczone encyklopedje mówią nie bez dumy o tem, jakie to łowy miewali sławni polscy królowie w okolicach Wiskitek i jacy wielmoże duchowni i świeccy przejeżdżali przez one Wiskitki jeszcze wtedy, kiedy stolicą Rzeczypospolitej był Kraków, a Warszawa była sobie jakimś poprostu Sochaczewem. Mówią też książki uczone o Guzowie, który jest niedaleko Wiskitek, i o tem, co się koło tego Guzowa działo, a w kalendarzach można się doczytać o Miedniewicach, ich klasztorze i obrazie cudami słynącym. Wszystko to blisko Wiskitek. Ale młodsze pokolenie nic o sławie tego miasteczka nie wiedziało i nie chodziło do niego, aby szukać śladu królów polskich, lecz dlatego, że były tam liczne dobre „restauracje", a między innemi dwie najchętniej odwiedzane: Warszawiaka i Warszawskiego, dwóch brodatych i wymownych żydków. W ich „restauracjach" można było dostać nietylko okowity po dwanaście groszy półkwaterek, ale czystego spirytusu, koniaku, ratafji, araku i najróżniejszych słodkich wódek, nie mówiąc o przepalance, która pociągała spragnionych nietyle istotną wartością, ile nazwą, mającą w sobie coś piekielnie obiecującego. Prócz tego w „restauracji" Warszawiaka czy Warszawskiego gość mógł dostać za złotówkę kawałek dobrej gęsiny, cielęciny na zimno, albo pieczeni wołowej. Wszystko, oczywiście, było koszerne, czyli pierwsza klasa. Jeśli gość się zasiedział i trzeba było skredytować mu, to pan restaurator i owszem, skredytował. Bywał przecie tyle razy w Żyrardowie, więc wstąpi i odbierze swoje. No nie?

Powrót z Wiskitek był równie przyjemny, jak spacer do Wiskitek. Albo na las koło Papierni, albo odrazu szeroką drogą leśną koło kościoła ewangelickiego i cegielni. W lesie cienisto i miło, w kieszeni buteleczka dana przez Warszawiaka na drogę, u boku miły przyjaciel, z którym można pogadać, powspominać o tem co było. Okazywało się podczas takiej przechadzki, nieraz, że dawniej nie było tak dobrze, jak dziś, a raczej, że młodzi nawet pojęcia nie mają, jak trzeba było harować za owych czasów wojny tureckiej, kiedy to fabryka szła dniem i nocą. Dzieciaki teraźniejsze idą do ochrony o dziewiątej rano, zimą dostają w ochronie obiady, żeby nie potrzebowały dreptać po śniegu i deszczu. Potem idzie chłopak do szkoły i uczy się do piętnastego roku, po rusku, po polsku, a historji, a rachunków...

Ale wtedy, miły Boże! Pięć lat dziecko kończyło, a już je ojcowie do fabryki zabierali. Zima nie zima. O piątej rano już przy robocie. Spać się chciało dzieciakowi, ale gdzie tam! Nieprzytomnego wlekli do fabryki, i dalej, noś szpulki, podawaj co tam trzeba. Zimą śniegi po pas, dzieciaki płaczą, a tu nic, tylko dymaj, bratku, ze starymi! Nosili nas na rękach, bośmy oczu otworzyć nie mogli i przez śniegi po ciemku nie bylibyśmy się przekopali. Uciec do domu nie sposób, bo i drogi z tych sal się nie znało, a jeśli się dzieciak zabłąkał na inną salę, to dostał lanie od ojca. Jeszcze wielkie szczęście, gdy się znalazło jaki kącik z trochą przędzy i można było pospać chociaż chwilę. Wiele to się namarnowało tych biednych dzieci! Chore, niechore, wszystko jedno, noś szpulki i po krzyku.

Rozmowę przerywano na chwilę, aby przepić do siebie z buteleczki i przekąsić, albo zapalić papierosa. Jeden drugiemu wtykał papierosa swojego, zapalał usłużnie zapałkę. Masz, bracie, kurz ile wlezie! W oczach migotały jakieś ciepłe życzliwe płomyki, na czole zbierały się zmarszczki od usilnego myślenia nad tem, coby tak temu drugiemu powiedzieć miłego, wesołego, radosnego, żeby się cieszył, żeby mu na świecie było dobrze i wesoło. Więc szły gadki jedna za drugą o tem, jak sobie radzili z majstrami srogimi, z panami z kantoru, gdy nie chcieli dawać „forszusu", czyli zaliczki, albo i z samymi dyrektorami. Jeszcze weselsze były opowieści o tem, jak to stary Dittrich z Hiellem chodzili w poniedziałek po domach i kijami napędzali ludzi do roboty. Trzeba było dzieciaka postawić przed domem, żeby pilnował, czy stary nie idzie. Uciekało się na strych, Dittrich przychodził, krzyczał, szturał kijem pod łóżkiem, kręcił nosem, że wódkę czuć i szedł gdzieindziej, a myśmy sobie dalej poprawiali niedzielę. To się nazywało wtedy „Blaumontag", niebieski poniedziałek, chociaż nie wiadomo dlaczego nie nazwali go naprzykład zielonym.

W owych dawnych czasach wiele rzeczy nazywało się inaczej, niż obecnie. Tkalnia była *webernią*, a tkacz *webrem*. Nawlekał mu osnowę nie nawlekacz, jak teraz, ale *rajgownik*, albo *rajger*. Cewiarka była *szpularką* i *szpulowała* na osnowę albo na *szus*, czyli wątek. Czółenko tkackie nazywało się *szycą*, krochmal tkacki *szlichtą*, płocha — *blatem*, a naczynie — *giszerami*. Krosna były poprostu *warsztatem*, poruszały je różne *szajby*, połączone z *transmisją* pasami, tkaninę przytrzymywały na *kantach szperuty*, a czółenka prze-

rzucały ze strony na stronę *sznelery*. W przędzalni były *gremple*, *forszpiny*, *szpinmajstry*, wykańczalnia nazywała się *apreturą* i t. d. i t. d. Poczciwi kumowie, siedzący na wsi, otwierali szeroko usta, gdy się dowiadywali, że ich krewniak jest *rajgerem*, *webrem*, a nawet, Panie odpuść, *forszpinem*, a znowuż dziewczyna brata czy kuma pracuje w *apreturze* przy pończoszarni i jest *repasjerką*. Czem jest? *Repasjerką*. To już była nie wiejska robota w oborze, czy w stodole, i nawet nie praca fabryczna, ale urząd. Ten tu jest *webrem* i opowiada dziwne rzeczy o swoim *salmajstrze*, a tamta stroi się jak wielka dama i nawet była u fotografji. Może sobie pozwolić: pieniędzy dostaje na rękę jak lodu i ma tytuł, choć go ta i niełatwo wymówić. Jak to ciebie, Antolka, tytułować? *Repasjerką*. Niech wujcio nie mówi Antolka, tylko poprostu Tosia. Wujcio drapał się spracowaną ręką po kudłatym łbie i uśmiechał się z zachwytem. Zazdrościł fabrycznym ludziom, jak wszyscy wieśniacy, ale cóż miał robić? Sprzedać grunt? Za nic w świecie! Kto nie ma gruntu, może sobie pozwolić, ale kto ma grunt, musi siedzieć na wsi i biedować. Wola boska.

Tak samo jak geografja, prosta była i topografja Żyrardowa. Rzekę Pisię zwano poprostu „wodą“ i wszystko, co się znajdowało za nią, pod lasem, było „za wodą“. Wielkim punktem orjentacyjnym i „drapaczem nieba“ owych czasów był trzypiętrowy olbrzymi barak: dom familijny. Koło domu familijnego stał niższy nieco, ale duży „biały dom“. Nazwano go tak samo, jak mieszkańcy Waszyngtonu nazwali i nazywają dotychczas pałac prezydenta Stanów Zjednoczonych. Do punktów orjentacyjnych przybyła później

Resursa fabryczna, a za nią, z prawej strony szosy stał „niebieski krzyż“, który orjentował swoim niezwykłym kolorem. Gdzie mieszkasz? Za niebieskim krzyżem. Tem jednem określeniem obejmowano przestrzeń kilku kilometrów kwadratowych. Do ścisłości było wtedy tak daleko, jak od niebieskiego krzyża do „kolei“. Tuż u południowego krańca Żyrardowa biegł tor kolejowy. Ludzie mieszkali za koleją, albo przed przejazdem. Dla ścisłości dodawano: u Kotlińskiego, u Gipsa, pod gwiazdą, u parasolniczki, u Wita, u Klatta, u Szmidta. Familijny dom był blisko fabryki, a za nim, ku północnemu wschodowi było pustawo. Na rogu błotnistej uliczki stał „Sochy dom“ z piekarnią i tam cała okolica kupowała chleb i bułki. Ładny chleb niesiecie, somsiedzie—zagadał jeden do drugiego. Zagadnięty odpowiadał: Z Sochy domu. Albo też: Od Krajzycha.

Przed frontem „starej tkalni“, czyli jak się zwykle mówiło, „starej weberni“, nad którą wznosiła się paropiętrowa przędzalnia, był rynek; wtedy nazywał się poprostu „placem“. Chodziło się więc nie na targ, ale na plac. Były to czasy legendarnej taniości. Jajka kupowało się „para trzy“, funt mięsa kosztował kilkanaście groszy, ser, masło, śmietana, kaszanka, kiełbasy, przywożone w soboty ze Mszczonowa przez pana Tomaszewskiego, — wszystko było niesłychanie dostępne i tanie, ale dobry ton nakazywał targować się wytrwale, i „na placu“ panował w soboty i w przedpołudnia niedzielne gwar i rejwach nieopisany. U płotu stały kolorowe obrazy święte, zwożone do Żyrardowa przez różnych „obraźników“, dziady zjeżdżały na soboty całemi furami i prezentowały litości bliźnich,

którzy właśnie otrzymali wypłatę, pokracznie wyginane ręce i nogi kalek, podobno specjalnie hodowanych dla celów dziadowskiego przemysłu. Dziady grały na skrzypcach i przyśpiewywały, a cała familja dziadowska wywodziła wielogłośnie o sierotach, które nie mając nikogo na świecie, rzekły do siebie:

„Pójdźmy ach pójdźmy na Jasną Górę
Tam zobaczymy Panny figurę..."

Sieroty poszły na Jasną Górę, a dziady śpiewywały o tem na rynku żyrardowskim autentycznemi rymami i rytmami częstochowskiemi. Przed wozem dziadowskim stał tłum gapiów i słuchał o cudach, które się działy dokoła sierot. Kopiejki, trojaki powycierane na glanc, czworaki, szóstki, a nawet dziesiątki, padały w czapę dziadowską, obowiązkowo barankową. Trochę dalej stał poczciwy łysy dziadek, który żebrał nieco detaliczniej i jakoś nieśmiało. Wspominam go ze szczerem wzruszeniem. Żebrać należało z głową obnażoną, to już był prosty przepis dziadowskiego savoir vivre'u, przeciw któremu nikt nie odważyłby się wystąpić, aby nie obrazić miłosierdzia ludzi pobożnych. W dodatku trzeba było bezustannie odmawiać pacierze „na intencję". Dawca jałmużny rzucał trojaki i mówił na jaką intencję, a obdarowany odmawiał pacierz. To było zajęcie, przy którem czapki na głowie mieć nie można. Ale łysina jest wrażliwa, a słońce nie omija gołej dziadowskiej głowy. Więc mój zacny dziadek uczcił miłosierdzie kładąc czapkę u swoich nóg albo kolan, zależnie od tego, czy klęczał, czy też stał, a głowę owiązał kolorową chustką, jakie noszą kobiety po wsiach. Zagadnienie ochrony łysiny było rozstrzygnięte zgoła

nienagannie, boć i kobiety modlą się przecie w takich właśnie chustkach.

Prócz dziadów, „na placu“ w sobotę i w niedzielne przedpołudnia było atrakcyj co niemiara. Stragany z paciorkami, guzikami, piszczałkami, zabawkami dla dzieci, lalkami, trąbkami, a przedewszystkiem z medalikami, ciągnęły się wszerz całego „placu“, aż do budki strażnickiej, gdzie dniem i nocą strażnicy rosyjscy grywali w warcaby. Na północo-wschód od placu zaczynał się Nowy Świat. Nie ulica, ale kompleks topograficzny: kilka rzędów niskich i wyższych domków robotniczych przecinających szczere piaszczyste pole. Jeden z tych rzędów domostw fabrycznych przedłużała aleja kasztanowa i kończyła się u bramy cmentarnej. Dozorcą cmentarza był stary brodacz utykający nieco i nazywający się niezrozumiale dla ucha naszego ludu, Lillwitz. Zmieniono mu nazwisko na Nelwic. Gdy kto był ciężko chory, to albo sam mówił o sobie, albo inni to o nim mówili, że się wybiera do Nelwica na piwo. Ponieważ cmentarz był blisko gęstego zagajnika sosnowego, który dla paru brzózek został całkiem niesłusznie nazwany „brzeziną“, więc chorych wyprawiano także „do brzeziny“, a mianowicie „do brzezinki na świeże powietrze“. Ale sąsiedztwo cmentarza nie odstraszało młodzieży i starszych od zagajnika. Kochankowie szukający samotności, znajdowali ją tam bardzo łatwo. Tylko że każda panna, która romansowała z kawalerami w „brzezinie“, bywała w opinji publicznej źle notowana. Powiedzenie, że „chodzi do brzezinki“, albo że „z chłopcami psy pasie“, było synonimem opinji mocno zaszarganej. Żyrardów był w owych dobrych dawnych czasach cały za wodą, za koleją, na

Nowym Świecie, koło niebieskiego krzyża. Ścisłość topograficzna nastała dopiero później, gdy już fabrykanci nie szukali robotników pod łóżkami w „Blaumontag“ i gdy „na placu“ nie sprzedawano jajek „para trzy“. Gdzież te dobre stare czasy!?

Kilka lat temu Żyrardów mógł był obchodzić stulecie swego istnienia, ale chociaż tak chętnie wyzyskujemy najbłahsze rocznice dla urządzania jubileuszów, o stuleciu Żyrardowa nikt nie wspomniał. Zapewne dlatego, że przypadło ono na smutne czasy powojenne, bezrobotne i głodne. Trudno, oczywiście, urządzać jubileusze w mieście, które liczy tysiące bezrobotnych, nie mających najmniejszego wyobrażenia czem i kiedy zakończy się ich przymusowe świętowanie. Początki Żyrardowa i czasy jego wspaniałego rozkwitu wolne są przedewszystkiem od posępnego nastroju tej przełomowości dzisiejszej, która wisi nad Żyrardowem niby chmura chronicznej jesieni i smutek niekończącego się przednówka. Jest źle i nikt nie odważa się prorokować, czy wogóle będzie lepiej kiedykolwiek. Gdybyśmy byli mieli ongi jakiego Jeremjasza żyrardowskiego, to byłby nam mógł prorokować gniew Pański, który zwali się na trzecie i czwarte pokolenie, ale Jeremjaszów nigdy i nigdzie nie słuchają, a potopem, który był kiedyś albo przyjść ma po latach trzydziestu, nikt się nie przejmuje.

Praca szła wartko od piątej rano do siódmej wieczorem, później naogół od szóstej rano do siódmej, pół do siódmej, szóstej wieczorem, zależnie od oddziału. Tkalnia za moich czasów szła do szóstej, czyli dwanaście godzin, z przerwami na śniadanie i na obiad, wynoszącemi dwie godziny, przędzalnie szły do pół do siódmej, pończoszarnia i wykańczalnie bielnikowe do

siódmej. Były to dobre czasy wielkiej taniości i względnie dużych zarobków, a także licznych świąt z radościami, jakich dzisiejsze pokolenie żyrardowskie nie zna. Obok niedziel i świąt powszechnych były święta parafjalne i święta fabryczne, w lecie, podczas spisu inwentarza i oczyszczania stawów fabrycznych. Dość powiedzieć, że Wielkanoc trwała całe pięć dni: zaczynała się świętowaniem Wielkiego Piątku, bo w Żyrardowie jest wielu ewangelików, a po „lanym poniedziałku" był we wtorek „babski dyngus". Po wyjściu z fabryki w Wielki Czwartek po południu, robotnicy wracali do pracy dopiero w środę tygodnia przewodniego. Zielone Świątki z zapachem tataraku i Boże Narodzenie z piernikami i orzechami, a przedewszystkiem z obfitą „wilją" i pasterką, to były także wydarzenia radosne. A tu jeszcze tyle różnych innych świąt, imienin, wesel, chrzcin, ostatków! Nawet po pogrzebie bywało w domu nieboszczyka wesoło i gwarno, gdy krewni i znajomi wspominając zmarłego i jego zacność, przepijali do siebie i przegryzali wódkę i piwo dobremi zakąskami.

Wielkie święta doroczne były istnemi uroczystościami emigracyjnemi. Na Boże Narodzenie, osobliwie zaś na Wielkanoc i Zielone Świątki, rozjeżdżali się ludzie w różne strony świata: do Warszawy, do Łowicza, do Błonia, a już najwięcej do Łodzi, Zgierza, Pabjanic, gdzie żyrardowiacy mieli najwięcej krewnych. I nawzajem, najwięcej gości przyjeżdżało do Żyrardowa z „Łodzi-miasta", jak przyjezdni mówili zazwyczaj. Przy wyjazdach było dużo przygotowań i kłopotów, co komu zawieźć i czy się aby w Koluszkach nie będzie czekało zbyt długo, bo to z temi Ko-

luszkami nigdy nie wiadomo. Można się trochę spóźnić i już tamtego pociągu do Łodzi niema. Czekaj potem parę godzin! Już na tydzień naprzód mówiono o tych wyjazdach, prezentach, Koluszkach, o ulicy Piotrkowskiej, o Widzewskiej, o Bałutach i o Helenowie, gdzie muzyka ładnie grywa i gdzie bardzo jest wesoło. Po powrocie opowiadaniom nie było końca.

Kto nigdzie nie wyjeżdżał, starał się o to, aby święta miał jak najprzyjemniejsze. Gospodynie szykowały szynki, kiełbasy, marynowały cielęcinę i wieprzowinę, suszyły mąkę na baby i placki, w Wielkim tygodniu kupowały jajka i barwiły je misternie. Stoły bywały bogato zastawione nawet u ludzi zgoła ubogich, krewni i znajomi odwiedzali się wzajemnie i nie żałowali sobie niczego. Zrazu istniał niepisany, ale ściśle przestrzegany zwyczaj, że w pierwsze święto Wielkiej Nocy i Bożego Narodzenia nie chodziło się do nikogo i spędzało się ten dzień w kole rodzinnem, ale później zapanowała pod tym względem duża swoboda. W poniedziałek wielkanocny, czyli „lany", znajomi pojedyńczo i grupkami odwiedzali się po domach, częstowali się, i nierzadko nadużywali trunku. Młodzież męska gorliwie oblewała panny, znajome i nieznajome. Wybranki skrapiano obficie wodą kolońską, dla innych nie żałowano wody studziennej. Dzieci także miały uciechę nielada, że mogły oblewać kogo spotkały. Prócz tego w czasach dawnych istniał zwyczaj chodzenia po dyngusie. Dzieci rodziców stateczniejszych chodziły po znajomych, uboższe wędrowały poprostu od drzwi do drzwi, śpiewały pieśni wielkanocne i dostawały za to kolorowe jajka. Taka była zasada, ale gdy jajek kolorowych zabrakło, gospodynie dawały

dzieciom po kawałku ciasta, albo po parę groszy. Dyngus wyrodził się powoli w zwykłą żebraninę i wkońcu dzieci szanujących się robotników już po dyngusie nie chodziły.

W ostatnim tygodniu przed Wielką Nocą chłopcy robili smoczki z siarki i kalichloricum i strzelali po podwórzach, ulicach, gdzie popadło. Rezurekcja nie obeszła się bez wielkiej strzelaniny z kalichloricum. Barbarzyński ten zwyczaj miał w jakiś niepojęty i niewytłumaczony sposób uświetniać uroczystość święta Zmartwychwstania. Zakazy policji, a nawet przygodne kary, nie zdały się na nic: chłopcy młodsi i starsi nie uznawali Wielkiej Nocy bez wydatnej strzelaniny. Dopiero w czasach ostatnich dzięki energicznym wystąpieniom naszej policji udało się jeśli nie zupełnie wytępić, to przynajmniej bardzo ograniczyć folgowanie tym dzikim upodobaniom robienia hałasu.

Dawniej, gdy postów ściśle przestrzegano, Wielkanoc była odszkodowaniem generalnem za długą prywację i wszyscy popełniali podczas świąt jeden z grzechów głównych, obżarstwo, któremu niezmiennie towarzyszył drugi, jeszcze gorszy: pijaństwo. Nieraz zastanawiałem się nad dziwnem zjawiskiem, że najbardziej uduchowione święto Zmartwychwstania, poświęcone czci Chrystusa, obchodzono wyuzdanem obżarstwem i pijaństwem, i że jakoś nikt się tem osobliwie nie gorszył. Apteki sprowadzały zawczasu większe ilości oleju rycynowego i wody selcerskiej, a dystylarnie robiły wszystko co mogły, aby nie zabrakło wódki.

Po wódkę na święta, na chrzciny, wesela i „konsolacje", chodzono do pobliskich Wiskitek, gdzie pro-

sperowała dystylarnia parowa Oppenheima. W Wiskitkach okowita i spirytus kosztowały o kilkanaście groszy taniej na kwarcie i dlatego wszyscy wędrowali tam, aby się zaopatrzyć w niezbędny trunek. Kto kupował parę kwart wódki oszczędzał kilkadziesiąt groszy, ale tracił parę złotówek, jak nazywano wtedy monety 15-kopiejkowe. Bo i jakże iść do Wiskitek i nie wypić? A jakże pić i nie przekąsić? W dystylarni kupowano tedy wódkę, a w drodze powrotnej wstępowano do pierwszej lepszej karczmy i przepijano dwa i trzy razy tyle, ile wynosiła oszczędność. Klientów dystylarni wiskickiej przeciągali powoli na swoją stronę „restauratorzy" wiskiccy, Warszawski i Warszawiak. Znikały w owych czasach butelki kwartowe i nastawały rosyjskie „sztofy", „półsztofki" i t. d. Warszawiak zachwalał i sztofy, że to rzetelniejsza miara od kwarty, i spirytus, że to lepszy trunek niż okowita, bo go można przecie dobierać wodą. Ale i spirytus nie był dla niego ideałem. Sprowadzał z Łagiewnik destylaty pod nazwą alkoholu i tłumaczył nabywcom, że to jest najlepsze, co wogóle może być, bo nawet w aptekach używa się alkoholu. Ludzie słuchali z rozdziawionemi gębami i kupowali ów najzdrowszy alkohol, którego nawet w aptekach używają do wyrobu lekarstw. Taki napój nie może zaszkodzić nikomu.

Pod wpływem majstrów i robotników niemieckich, których w Żyrardowie było sporo, ogół przyzwyczajał się do picia piwa. Napój ten uchodził za wytworniejszy od wódki. Przy doskonałem piwku, popijanem z małych szklaneczek, opowiadano sobie różne gadki, urządzano gry towarzyskie, śpiewano i deklamowano. Na pół antałka piwa składało się niewielkie towarzy-

stwo, na cały antałek trzeba już było towarzystwa większego. Zielone święta lubiano spędzać w lesie, albo na ładnej leśnej polance. Z Łodzi zjeżdżało dużo dawniejszych żyrardowiaków, zbierały się nawet całe chóry, a wówczas polanka pod Radziwiłłowem albo łączka za Czarnym borkiem rozbrzmiewała pieśniami śpiewanemi na kilka głosów, co dla robotników żyrardowskich było wzruszającą i rewelacyjną nowością. Na wozie zabierano do lasu antałek piwa i zakąski, a swoboda świąteczna i piękno przyrody rozweselały serca bardziej, niż piwo. Goście łódzcy popisywali się nietylko ładnym śpiewem chóralnym, ale i zbiorowemi ćwiczeniami gimnastycznemi, traktowanemi zrazu raczej jako „sztuka" na popis, niż jako sport w dzisiejszem rozumieniu słowa. Łódź uchodziła za wielki świat, z którym Żyrardów w żaden sposób mierzyć się nie mógł i dlatego popisy śpiewacze i gimnastyczne stały się wezwaniem do naśladowania. Zaczęto organizować chóry, co było sprawą wcale niełatwą, ile że władze rosyjskie spoglądały na wszelkie stowarzyszenia polskie jako na przygotowywanie powstania. Tem gorliwiej uprawiano śpiewy solowe. Kto miał ładny głos podsłuchiwał melodję nowej piosenki, przepisywał sobie do „kajetu z piosenkami" tekst, uczył się go napamięć, i śpiewał, gdy nadarzyła się sposobność. Śpiewano wszystko, co miało ładną sentymentalną melodję, choćby tekst był najgłupszy w świecie. W kajetach z piosenkami obok sakramentalnej piosenki Karpińskiego „Laura i Filon", znajdowały się perły liryki Heinego w nieperłowych zresztą tłumaczeniach i zwykłe aktualne kuplety z różnych operetek. W czasach, gdy zaczynała się w Żyrardowie propaganda socjalistycz-

na, a pierwsi socjaliści byli strasznie czerwoni, zdarzało się, że w towarzystwie zaczynał śpiewać który z młodych apostołów nowego ruchu i wtedy wszyscy się rozczulali, gdy socjalista śpiewał głosem drżącym ze wzruszenia, że „do Francji szli grenadjerzy dwaj...“ Gwar zamilkał, zapanowywała uroczysta cisza, a śpiewak wywodził o tem, że grenadjer za nic sobie ma rany i los swej rodziny, a to dlatego, że „cesarz, mój cesarz w niewoli“. W liryzmie tej pieśni Heinego odzywała się tragiczna epika, gdy śpiewak kończył strofę przesmutnem stwierdzeniem: „A cesarz na wyspie dalekiej“. Głos obniżał się stopniowo i zacichał w tem obniżaniu, jakby dobiegał z tej wyspy dalekiej i smutnej. Aż dziw ile możliwości wzruszeniowych i siły ewokacyjnej mieści się niekiedy w dwóch prostych słowach wypowiedzianych przez wielkiego poetę.

Prócz tradycyjnej „Laury i Filona“ śpiewano zawzięcie o „Wandzie i Edwinie“, o młodych cygankach, które spojrzeniem goniły „za Ebry falą“, o sierotach, o smutnych powrotach kochanków do kochanek, które tymczasem umrzeć zdążyły. Deklamowano rzeczy równie smutne, jak te, które się śpiewało. Treścią deklamacyj była zawsze miłość nieszczęśliwa, tragiczne powikłania, śmierć, samotny cmentarz i zapadły grób. Niekiedy, dla odmiany, niewierni kochankowie wyrównywali swoje wzajemne pretensje po śmierci jednego z nich. Kochanek przybywał o północy i zabijał niewierną kochankę zgrozą. Albo też kochanek zmarły na obczyźnie, przybywał do kochanki gnany tęsknotą zagrobową, i w tym wypadku spotkanie żywej ze zmarłym było chwilą radości i szczęścia, chociaż cokolwieczek mglistego i melancholijnego. Wogóle kajety z pio-

senkami aż buchały płomieniami romantyzmu najbardziej sentymentalnego na jaki dusza pierwotna zdobyć się może. W piosenkach i deklamacjach zatargi miłosne znajdowały swoje artystyczne wyrównania. Opuszczona dziewczyna umierała obowiązkowo, uwiedziona nie mogła przeboleć utraty „wianka zielonego“ i popełniała samobójstwo w sposób bardzo pierwotny w nurtach rzeki. Oczywiście, zarówno zmarła opuszczona, jak i zdradzona samobójczyni, nie miały w mogile spokoju i wracały do swego kochanka, który za niewierność płacił życiem, albo też uciekając przed upiorami, wstępował do klasztoru, modlił się gorliwie za duszę opuszczonej kochanki i własną, broda mu rosła, siwiała, głowa łysiała i wszystko kończyło się pobożnym zgonem, odpuszczeniem win i spotkaniem przed tronem bożym. Ludzie, którzy całe tygodnie spędzać musieli przy realistycznych trzeźwych maszynach, zanim nadchodziły dla nich dwa, czy trzy dni świąt, odszkodowywali się za nudę życia fabrycznego fantastyką najbardziej wybujałego romantyzmu. Ale obok piosnek o Wandach i Edwinach i deklamacyj o Ostapach i Jarynach, dostawały się do kajetów wesołe kuplety, a nawet piosneczki zgoła swawolne. Okres romantyzmu ulegał likwidacji. Młoda robotnica przestawała czuć się skrępowana wzorem Wandy czy Laury, umarłej kochanki, czy smutnej mniszki, i stawała się ubogą damą. Przez cały tydzień pracowała jako tkaczka, czy cewiarka, prządka czy motaczka, a w niedzielę ubierała się w ładną sukienkę, modne pantofelki, szykowny kapelusz, namaszczała się pachnącemi olejkami i kazała towarzyszowi pracy prowadzić się na „wielką zabawę taneczną z atrakcjami“. Rodzice, którzy

dawniej nie spuszczali oka z dziewczyny, teraz musieli zgodzić się z tem, że nastały inne czasy, inne sukienki, inne obyczaje.

Potrzeby życia towarzyskiego znajdowały bogate ujście na weselach i chrzcinach. Wesela wyprawiano dawniej obowiązkowo huczne. „Bylejakie“ wesele rzucało ponury cień na pana młodego i na pannę młodą oraz na ich rodziny. Obowiązywało jeszcze powiedzenie: „Zastaw się, a postaw się“. Oczywiście, zastawić nie było czego, ale można było wziąć na kredyt. Podział obowiązków był dokładnie ustalony: pan młody dawał trunek i muzykę, panna młoda jedzenie. Wesele zaczynało się w godzinach popołudniowych w niedzielę i kończyło się późną nocą. Spraszano sporo gości, więc trunku i jedzenia trzeba było szykować dużo. Najchętniej wybierano na wesela takie niedziele, po których poniedziałek był świętem, bo wesele musiało mieć koniecznie „poprawiny“. Na weselach kojarzyły się nowe pary i szykowały się nowe wesela. Panna młoda ustalająca kto będzie starszą druchną, kto młodszą, przydzielała przyjaciółkom takich drużbów, żeby „było z sensem“. Oblubienica szła do ołtarza obowiązkowo w mirtowym wianuszku, pan młody miał na klapie marynarki czy żakietu gałązkę mirtu na białej wstążce atłasowej, ułożonej w misterną kokardkę. Druchny nosiły także ozdoby symbolizujące ich panieństwo, a drużbowie otrzymywali od druchen atłasowe kokardki z gałązkami mirtu. Druchna przypinająca drużbie ową kokardkę, znaczyła go niejako jako swoją własność, a podczas zabawy weselnej miała aż nadto sposobności do oczarowania i usidlenia młodziana. Dobór par, druchen z drużbami, bywał tedy „z sen-

sem", gdy pary te stawały się niedługo narzeczonemi i zanosiły na zapowiedzi.

Nie mogło być wesela bez muzyki i tańców. Niegdyś na tańce weselne chodzono do karczmy, gdzie stale grywali muzykanci, potem muzykantów sprowadzano do domu. Zespół instrumentów bywał zgoła fantastyczny. Trąbka i skrzypce; klarnet, basetla i „stalka", czyli dzwoniący drut stalowy wygięty w trójkąt dla wybijania taktu; puzon, basetla i bębenek; aryston i skrzypce i t. d. Brało się, co akurat było pod ręką. Niekiedy, gdy rodzice państwa młodych mieli głos decydujący w tych sprawach, niemałą rolę odgrywały także względy oszczędnościowe. Sąsiad grał na flecie, to i chętnie posłuży za niewielki grosz, dobre jedzenie i jeszcze lepszy trunek, stary stryjek chodził po weselach z basetlą, to i jakże go ominąć? A dobry znajomy służył w „gminie" i obębniał różne wiadomości, to i przyszedł z bębenkiem, gdy mu się dało dobre słowo. Taka zaimprowizowana muzyka kosztowała wszystkiego parę złotych, a uciechy było tyle, że i cała kapela nie dałaby jej więcej. Flet zawodził cieniutko i jurnie, basetla przyhukiwała, żeby się nogi nie plątały, bębenek postukiwał figlarnie, a pary tańczyły tak zamaszyście z takiem szurganiem gorliwem, że niejako same wyszurgiwały sobie takt taneczny z podłogi.

Ale stopniowo improwizacja znikała i muzyka ustalała się na weselach w postaci harmonji i skrzypiec. Grywali zawodowi muzykanci i trzymali się mody. Jakie były tańce w modzie, takie się grywało. Z mieszkania wynoszono łóżka, szafy i komody, pozostawiając krzesła, ławki i kanapy, jeśli je posiadano, ściany ozdabiano obrazami, nieraz pożyczanemi, okna osłaniano

świeżo wypranemi firankami i zabawa się zaczynała. Muzykanci witali zwożonych gości marszami, rodzice panny młodej, w której domu odbywało się wesele, kłaniali się grzecznie, prosili siadać, częstowali przybywających wódką i przekąskami, a tymczasem w mieszkaniu sąsiadów ubierała się panna młoda do ślubu. Gdy wszystko już było przygotowane i gdy pary ustawiały się, aby pójść czy też pojechać do kościoła, rodzice z wielkiem wzruszeniem i zakłopotaniem udzielali młodym błogosławieństwa, przyczem kobiety starsze rozpłakiwały się obowiązkowo pod przypływem wspomnień i działaniem wypitej słodkiej wódki, a młode zarażały się przykładem i płakały niejako na zapas, wyprzedzając wzruszenia przyszłości bliższej i dalszej. Odjeżdżającym do ślubu grano marsze poważne i solidne, o rytmie powolnym, polonezowym. Nie można się przecie śpieszyć nieprzystojnie, gdy się idzie do ślubu. Wolnego, panowie muzyka! Powracających witano marszami aż zachłystującemi się z uciechy. Wysoko sięgał skrzypek w struny, żwawo machał smykiem, a harmonista rozgarniał miechy, na ile ramion starczyło i cały zapas życzliwości dla młodych, starszych i starych, dla życia i wesela, przepuszczał przez drobne klawisze ze strony prawej i przez gładkie i niskie basy strony lewej. To było nietylko granie, ale była gra! Zgrabnie i sprawnie biegały palce po strunach i klawiszach, miękko i żwawo latał smyczek nad ramieniem, które podnosiło szyjkę skrzypcową w jakieś wysokości obietnic radosnych i obniżało ją dyskretnie jakby dla potwierdzenia i zaprzysiężenia, że wszystko, co się w najwyższych tonach dopiero co wyśpiewało, to najszczersza i najrzetelniejsza prawda.

Zaś harmonista rozsuwający miechy harmonji, to z jednej tylko strony, to z obu jednocześnie, to zlekka i ledwo dostrzegalnie, to znowu z wielkim rozmachem, zdawał się gestykulować przy wygłaszaniu mowy bez słów, ale dla wszystkich zrozumiałej i miłej.

Tańce, wódka, piwo, przekąska, gawędy starszych, wspominających stare dobre czasy, i wreszcie obiad, podawany późnym wieczorem. Były specjalne kucharki, które chodziły gotować na wesela i wiedziały, co i jak trzeba zrobić, żeby się nie pokpić. Zastawa taka, jedzenie takie, kolejność znowuż taka. Do tego piwo, do tego wódka słabsza, a do tamtego mocniejsza. Po obiedzie, panny szanujące swoje odświętne sukienki, szły do domu, żeby się przebrać, i tańce rozpoczynały się nanowo, aby trwać do późnej nocy, albo i do rana, jeśli nie trzeba było pójść do fabryki. Przebieranie się panien na weselu było wtedy zwyczajem, obecnie uchodziłoby za coś niestosownego. Dawniej, oczywiście, sprawiano sobie sukienki droższe, które musiały służyć dwa i trzy lata, ile że moda szła krokiem wolnym, i dlatego ubranie szanowano. Istniały też różne zwyczaje, które pozanikały całkowicie, jako coś staromodnego i śmiesznego. Do takich zwyczajów należały oczepiny. Mężatki odbierały pannę młodą druchnom, zdejmowały jej „wianuszek zielony" i welon, aby na jego miejsce włożyć symboliczny czepek. Była znowu okazja do płaczu, który jednak szybko rozpływał się w przyśpiewkach wesołych i pełnych napomknień. Muzyka grała „Chmiela". (A żebyś ty, chmielu, na tę tyczkę nie lazł, nie robiłbyś ty nam z panieneczek niewiast...) Cieniutko wywodziły skrzypki, dyskretnie przyświadczała harmonja, że tak jest, że tak jest, a pani młoda,

oczepiona już, szła z rąk do rąk, i co kto z nią przetańczył kawałek owego „Chmiela“, to kładł na talerzu dar pieniężny. Za najstosowniejsze uchodziły dary w srebrze i na oczepiny specjalnie zbierano nowe monety srebrne, albo kupowano srebrne ruble, których dawniej było w obiegu bardzo mało. A kumy śpiewały cieniutko i wnikliwie:

„Nie tańcuje drużba, jeno anioł boży,
A jak przetańcuje, talara położy...
Oj, chmielu, nieboże, niech ci Pan Bóg dopomoże,
Niech ci dopomoże!“

Oczywiście, kumy uważały to sobie za punkt honoru, żeby zebrać na czepek jak najwięcej i dlatego bezustannie nawoływały przyśpiewami:

„Trzeba jej dać, nie żałować!
Trzeba jej dać na powijak,
Żeby chłopak nie był pijak.
Trzeba jej dać, nie żałować!“

I wyśpiewywały chrypnącemi już nieco głosami, na co trzeba jeszcze dać. Na poduszkę, na koszulę, na kołyskę, na pierzynkę, a do tego wszystkiego dobierano rymy kulawe, przyciągane za łeb, ale pełne ochoty i życzliwości sąsiedzkiej. To już minęło i przepadło. Oczepiny wyszły z mody. Wesela bywają teraz przyjęciami dla bliskich, na ślub zaprasza się przyjaciół i znajomych kartami drukowanemi. Niema już „Chmiela“, nie słychać nawet walca, nad wszystkiem panuje wszechwładny międzynarodowy fox-trott i two-step.

Romantyzm ustąpił już dawno trzeźwemu pozytywizmowi, a nawet swawoli. Babki śpiewały, że „miesiąc już zeszedł i psy się pośpiły“, wnuczki skandują słowa o tem że „pani dziś jest bez koszulki“ i zadają sobie pytanie, „czy Anna jest panna?“

Chrzciny były także okazją do zebrań sąsiedzkich, do wypicia i do podjedzenia sobie. Były to wesela pomniejszone bardzo znacznie do rozmiarów garstki krewnych i wyłącznie starszych. Rodzenie było sprawą, nad której sekretami czuwały długonogie bociany, więc dzieci i młodzież trzymano od niej zdala. Rodzice chrzestni dawali położnicy prezenty dla noworodka, a gdy wracali od chrztu, powtarzali sentencję, która szła z pokolenia w pokolenie: „Zabraliśmy poganina, niesiemy chrześcijanina“. Tymczasem chrześcijanin darł się w niebogłosy, więc go szybko podawano matce, żeby go nakarmiła. W izbie pachniał sakramentalny rumianek, którym pojono obficie położnicę, a przy płycie kuchennej krzątała się albo krewniaczka jaka, albo kucharka zawodowa. Goście się schodzili, jedli dobre rzeczy, pili, weselili się na wszelki sposób. Przed chrzcinami i w pierwsze dwa-trzy dni po chrzcinach przychodzili sąsiedzi i sąsiadki na „pępkową wódkę“, wypili, przekąsili, pochwalili dziecko, że ładne na psa urok i że przyszło na świat pod dobrą planetą. I niech mu ta Pan Jezus błogosławi i Panienka Najświętsza.

Na imieniny posyłali sobie przyjaciele, osobliwie zaś narzeczeni, prezenty, możliwie niepraktyczne. Byłoby obrazą dla panny, gdyby jej kawaler był posłał materjału na sukienkę, albo pantofelki, czy broń Boże, pończochy! Więc obdarowywano się pantofelkami do zegarków, figurkami gipsowemi, tacami niklowemi,

lampami, czajnikami, cukiernicami. Były to prezenty uciążliwe, bo lampy otrzymanej w prezencie, nie używało się nigdy i nie wiadomo było nieraz, gdzie ją postawić. To samo było z tacami i cukiernicami. Ustawiało się to gdzieś za szkłem, w kredensie, albo na komodzie i okurzało się te prezenty co dni kilka. Ale miały one jedną niewątpliwie dobrą stronę, a mianowicie, że można było zwrócić je sobie, gdy dochodziło do zerwania. Przyjaźń i miłość to sprawy ludzkie, a więc nietrwałe, a taka miłość nietrwała wymaga prezentu trwałego, który można oddać, rzucić pod nogi, odesłać z ironiczną uwagą.

W zamierzchlejszych czasach przyjaciele i narzeczeni posyłali sobie wzajemnie muzykantów w dniu imienin. A więc Ständchen? Słodki i tkliwy hołd przyjaźni i miłości? Zapewne, ale muzykanci psuli intencję, bo po pierwsze przychodzili pod okno solenizanta o świcie i grali marsze, polki, wyrywasy przeróżne, budząc nietylko jego, lecz cały dom i okolicę. Odbywało się to zawsze przy pomocy skrzypiec i harmonji. Trzeba było wstać i ugościć muzykantów wódką i przekąską, a wdodatku dać im parę złotych. Kawaler tem więcej winien był zapłacić nasłanym mu przez pannę muzykantom, im wyżej cenił sobie jej przyjaźń. Oszczędność byłaby w tym wypadku obraźliwa dla panny. Oczywiście, muzykanci nigdy nie mówili, kto ich przysłał; to był sekret i tylko serce mogło odpowiedzieć pytającemu na pytanie: kto i dlaczego? Za hołd przyjaźni kawaler musiał sobie sam zapłacić i to porządnie, panna tylko częstowała muzykantów i proponowała im zapłatę dla formy jedynie, bo zgóry wie-

działa, że nie przyjmą, jako że już zostali sowicie wynagrodzeni.

I to wyszło z mody niejako z musu. Ständchen ma pewne przesłanki mieszkaniowe. Własna willa, albo przynajmniej własny domek, czy choćby własne okno, pod którem mogą stanąć muzykanci. Ale jak zagrać solenizantowi, czy solenizantce gdy adres prowadzi na trzecie-czwarte piętro? Wejść do sieni i pójść pod drzwi, aby czynić to, co się zrodziło pod oknem i dla okna? A następnie ten straszliwy głód mieszkaniowy. Jedno okno na tyle osób stłoczonych w izbie, na tylu lokatorów mieszkających kątem! Muzyka rozprasza się tu pod niewiadomemi adresami i cztery Heleny spoglądają po sobie pytająco, nie rozumiejąc i nie domyślając się dość wyraźnie. Muzykanci, którzy na własną rękę obchodzili solenizantów, dali za wygranę. Niema już ubogich chatek, z których szedł obfity poczęstunek i sowita zapłata. Milczenie wielkich domów zdaje się mówić: Niech Pan Bóg opatrzy! Muzykant nie dziad przecie, więc się usunął i już niema miłych Ständchen o świcie dnia imieninowego. I niema też konsolacyj po pogrzebach. Ostatnią posługę oddaje się bezinteresownie. Smutek nie chce być pocieszany wódką i przekąską. Musi minąć sam, w sposób odwieczny i powieczny.

Champollion przez piętnaście lat sylabizował jeden wyraz „Ptolmis“ i dla tego zdobył nieśmiertelną sławę. Gdyby był przypuścił, że ma do czynienia z literami, a nie z ideogramami, byłby się nauczył czytać po egipsku daleko prędzej. W Żyrardowie było dużo genjalnych Champollionów, którzy czytać uczyli się „sami z siebie“ pomimo nauczycieli i wbrew nauczycielom. Najprzód abecadło, czyli okrutnie długa litanja różnych Zetów, Enów, Iksów, Erów, Esów... Ileż trzeba było mordęgi, zanim się to wszystko zapamiętało! Więc to jest wreszcie Zet, to Wu, a tamto I, ale razem to nie znaczy bynajmniej: „zetwui“, „zetwuj“, „ze twój“, czyli ostatecznie, „że twój“, ale znaczy to „zwi“. Dlaczego? Bo tak jest: zet wu i-zwi. Albo stoi wkupie sześć liter: emełoteeka. Proszę pana, co to jest emełoteeka? Sylabizujesz kiepsko. Emeło-mło: teeka-tek-Młotek. Takie proste! Rzeczywiście: emeło, to jest mło, a teeka, to tek. Dzień za dniem upływał przy takiej nauce w jakimś uporze wewnętrznym. Wykluczone na wieki wieków, aby się tego można nauczyć. Przecież to jest zgadywanie! „Dezet-jecej“, „cezetoeło“, „enogea“, to dla tych, co się znają na wszystkich tysiącznych sekretach czytania, znaczy: dzieci, czoło, noga. A dlaczego? Bo tak się sylabizuje: eno-no-geaga-noga. O, jakże się chciało zrozumieć to! Po miesiącach mordęgi wreszcie Duch święty, którego w ochronce już od pół roku prosiliśmy codziennie o światło dla tępoty naszego przyrodzonego umysłu, zmiło-

wał się snać nade mną, bo po długiem wpatrywaniu się w „dezetikai“, zerwałem się olśniony i wzruszony jak Champollion, i zawołałem: Już wiem, już wiem! Deski! Co za deski? Dezetikai—deski. Dezeti - dzi - kai - ki - dziki. Nie deski, ale dziki. Byłem zrozpaczony i upokorzony tem, że jestem tak straszliwie głupi

Ale ostatecznie czytać się nauczyłem. Przyszło to pewnego dnia samo z siebie i wtedy uciesze nie było końca. Ponieważ książek w domu nie mieliśmy zbyt wiele, więc sztukę czytania sprawdzałem przy każdej sposobności na każdym skrawku znalezionej gazety. I wtedy polubiłem sklep pana Niebrzydowskiego, do którego matka posyłała mnie po herbatę, kawę, mydło, cukier, naftę i cykorję. Pan Niebrzydowski stał za ladą w wysokiej czapce barankowej, jeśli akurat była zima, i uśmiechał się ładnie. Ważył, mierzył, liczył aż dziw jak szybko: tu herbata, tu mydło, tu kawa, dziesięć, osiemnaście, trzydzieści sześć. Złoty i groszy sześć. Gdy się płaciło czterdziestówką, czyli dwudziestu kopiejkami, dostawało się cztery grosze reszty, a pan Niebrzydowski zawijał cały sprawunek w karty starych gazet. Dopieroż było czytania! Ostrożnie rozwinąłem w domu paczkę, wygładziłem kartę gazety, a potem czytałem o mnóstwie rzeczy obcych, niezrozumiałych i niepokojących. Świat był pełen tajemnic, w gazetach pisano o rzeczach dziwnych i nieznanych. Coby znaczyły te rzeczy, nie było kogo zapytać, musiałem tedy tłumaczyć je sobie na swój sposób.

Na jednej z kartek przeczytałem, naprzykład, kilka niezrozumiałych zdań o Boskiej Komedji Dantego. Ktoby był ten Dante, z takiem śmiesznem nazwiskiem, mało mnie obchodziło, ale komedja i to boska, to już

była sprawa godna zainteresowania. Boską Komedję tłumaczyłem sobie wtedy w sposób uproszczony przy pomocy komedji ludzkiej, którą znałem bardzo dobrze i, jak wszystkie dzieci całej okolicy, strasznie lubiłem. W niedzielę, albo w święto popołudniu załomotał nagle bęben, pobudzając dziecięce serca do przeradosnego zachwytu, i już było wiadomo: komedjanci! Wszystko, co żyło i co było młode, wybiegało na dwór i zwoływało się wzajemnie po sieniach i podwórkach. Józiek, Władek, Adach, Stefka, Michał, Nastka — komedjanty!!!

W głuchym łomocie bębna była uroczysta obietnica czegoś odświętnego, niezwykłego, nadzwyczajnego. Wydzierało się to dudnienie bębna z tłumu dzieciaków, idących za komedjantami, za nienapatrzonemi, cudownemi komedjantami i komedjantkami! Wreszcie korowód stawał na podwórku, odzywała się katarynka, albo i trębacze grali marsze na złocistych trąbach, a komedjant, narazie w marynarce, z pod której wyglądały czerwone trykoty, układał na ziemi dywan kolorowy. Obok katarynki stał młody chłopak w stroju, który zachwycał kolorami, olśniewał oczy złocistemi blaszkami, kokardkami, chwościkami, pełnemi przepychu i bogactwa. Jeszcze ładniejsza była młodziutka komedjantka. Króciutkie spodenki kończyły się wysoko nad kolanami i jaskrawemi barwami obciskały biodra, na ramiączkach trzymających prześliczny staniczek bez rękawów, miała kokardy z jakiegoś zachwycającego atłasu zielonego, niebieskiego, czerwonego, w pasie sukieneczka z gazy w misterne fałdki, paciorki, blaszki złote i srebrne... Była to królewna, która śniła się po nocach czarnemi puklami

włosów i wielkiemi oczami, uśmiechem i ruchami, budzącemi zawiść. Komedjanci tańczyli, wyprawiali sztuki przedziwne, tworzyli figury. Katarynka gra, bębenek łomocze, starszy komedjant przyklęka, młodszy staje na jego ramionach, a czarnowłosa młodziutka komedjantka, zdawało się, frunęła na sam wierzch i kołysze się na jednej nodze. Na jednej nodze i jeszcze rękoma rozsyła wszystkim dokoła całusy, ach jak ładnie!

To była komedja ludzka z trębaczami, z bębnem, słońcem niedzielnem i z radosnym tłumem dzieci. Otwierały się okna, padały papierki, w których pozawijane były pieniądze. Ach jak miło było podnieść taki papierek i podać go pięknej komedjantce, która mówiła z uśmiechem: Ich dank! Albo: Merci! Biegło się za tymi komedjantami jeszcze na jedno podwórko i jeszcze na jedno, aż wreszcie trzeba było wracać. Potem przez parę dni z rzędu bawiliśmy się wszyscy w komedjantów, ale zabawa nie zadowalała wielkich ambicyj serca. Komedjanci byli zjawiskiem ze świata cudów i czarów. Niektórzy połykali szable wyostrzone, albo płomienie, inni umieli rzucać piłki, sztylety, talerze, po trzy, po pięć, po siedem, a potem kłaniali się bardzo ładnie i zbierali groszaki w nadstawione miseczki kolorowe, albo prosto w bębenek, który tak ślicznie łopotał w ręku młodych komedjantek. Do innych komedjantów trzeba było chodzić, aby ich zobaczyć. Pokazywali różne ciekawe sztuki w budzie z białego płótna, albo chodzili po linach rozpiętych wysoko nad domami. Szła piękna panienka w kolorowych trykotach po wysokiej linie, nie — nie szła! — ale płynęła na tysiącach spojrzeń, unosiła się nad gło-

wami tłumu patrzącego z milczącym zachwytem na ten dziw nad dziwami!

Do gatunku komedji należały strzelnice, w których za sześć groszy można było strzelić dwa razy do czego kto chciał: do lwa, do rycerza, do trębacza, do orła, do wszystkiego na świecie. Trafiony lew podskakiwał, ryczał i padał, ale trafiony trębacz przykładał do ust trąbkę i grał niezapomnianą melodję, której podobieństwa już się nigdy i nigdzie nie słyszało. Taka była piękna i rzewna. W strzelnicy była i świnia, a gdy ją strzelec trafił, to śmiesznie kwiczała i wszyscy się śmieli. W budach pokazywano też olbrzymie zielone węże zamorskie, małpy i wilki, a prócz tego olbrzymów, którzy papierosa mogli zapalić od zapałki podanej im z drugiego piętra.

To więc była komedja ludzka, zachwycająca i cudowna. Nigdy nie można było napatrzeć się na komedjantów dosyta, a cóż dopiero komedja boska, o której doczytałem się na karcie gazety, owijającej mydło pana Niebrzydowskiego! Tylko co to była zacz ta Boska Komedja, jacy występowali w niej boscy komedjanci i boskie komedjantki, o jakie tam chodziło boskie karuzele i strzelnice, tego w żaden sposób odgadnąć nie mogłem. Wogóle w dziewiątym roku życia trudno jest zająć stanowisko wobec komedyj boskich i ludzkich. Ale razu pewnego wydało mi się, że znalazłem się bardzo blisko Boskiej Komedji. Przedmiotem specjalnego zainteresowania dzieci żyrardowskich była okolica „dużego kantoru", nazwanego tak dla odróżnienia od małych kantorów, a raczej kantorków przy oddziałach. Otóż za dużym kantorem istniał skwer z pięknemi trawnikami, cienistemi drzewami i liczne-

mi ławkami. Dobrze tam było pobiegać i pogapić się na rzeczy niewidziane i niesłychane. Z lewej strony ciągnął się rząd pałacyków, w których mieszkali urzędnicy i dyrektorowie, z prawej strony skweru jaśniał na tle zieleni wielkiego parku biały pałacyk samego Dittricha, czyli właściciela Żyrardowa.

Karol Dittrich, który do roku 1893 był wyłącznym właścicielem fabryki, przebywał przeważnie za granicą i do Żyrardowa przyjeżdżał tylko od czasu do czasu. Ponieważ pałacyk Dittricha otaczał rozległy i piękny park, w czasie jego nieobecności urzędnikom wolno było korzystać z niego. W lecie spacerowali po jego malowniczych alejkach wszyscy, którzy mieli prawo wstępu, zimą na stawach jego używano ślizgawki. Pewnego popołudnia, kiedy się dowoli nabiegałem po zieleńcu za „dużym kantorem", oddaliłem się od rówieśników i przez żelazne kraty otaczające park pałacyku, ujrzałem na białej wygodnej ławce panią czytającą książkę. Paniami nazywaliśmy w Żyrardowie osoby nie pracujące w fabryce i pięknie zawsze ubrane. Zresztą w tych paniach było jeszcze coś, co nam się wszystkim okrutnie podobało, chociaż tego powiedzieć, czy może nawet zauważyć nie umieliśmy. Kobiety i panny pracujące w fabryce miały także ładne sukienki odświętne, jedwabne bluzki, lakierkowe pantofelki, kapelusze z piórami i parasolki. Ale gdy się ubrały w te ładne stroje, widać było jak bardzo boją się pognieść sukienkę, powalać pantofelek. Parasolki swoje dźwigały jakoś niezdarnie, nie po pańsku, a dla kapeluszy trzymały kark prosto, jakby na głowie nosiły szklaną wazę i jak gdyby musiały się obawiać, że jeśli ta waza spadnie, to się potłucze i będzie wielka

szkoda. To było właśnie nie po pańsku, niezgrabnie i nawet w jakiś sposób żałośnie.

Natomiast panie..! Chodziły w tych szeleszczących jedwabiach, czy atłasach, tak swobodnie, jakby wcale nie wiedziały, że ich suknie są kosztowne. Nie oglądały się za nikim, a parasolkę trzymały w dłoni tak ślicznie, że ta parasolka zdawała się płynąć nad piórami kapelusza i nad bogatemi „kokami" włosów. Gdy taka pani przeszła blisko, to pozostawiała za sobą smugę zapachu, który rozweselał serce w jednej chwili i zasępiał je w następnej jakimś żalem. Jeśli pachnąca pani przeszła przypadkowo obok kilku robotników, to jeden z nich obowiązkowo skrzywił się i wycedził: „A to się lafirynda upachniła! Aż w nosie kręci!" Ale te słowa nie były szczere, lecz wyrażały jedynie bezsilną zawiść. Młodsze robotnice, które jeszcze „były w pretensji" i wypowiadały się szczerzej, a na perfumach się znały, odpowiadały na złośliwe uwagi: „Nie gadaj głupstw. Każdy woli ładny zapach od nieładnego". — „No tak — godził się ostatecznie zrzęda,— ale takie pachnidło kosztuje conajmniej pół rubla. To nie kolońska wódka na pomarańczowych skórkach". Na to pan Jankowski, który był pisarzem na Bielniku i mieszkał w domu robotniczym, uśmiechał się dyskretnie i pykając z fajki na długim cybuchu, mówił, że takie perfumy sprowadza się z Paryża i że flakonik ich kosztuje z pięć rubli. Wszyscy spoglądali po sobie z przerażeniem, bo to przecie cała wypłata tygodniowa poszłaby na same perfumy, a gdzie jedzenie, a szewc, a mieszkanie? Więc podziw dla takich bogatych pań rósł coraz wyżej, chociaż się do tego nie przyznawano.

Ale my, dzieci, byłyśmy szczersze i nie taiłyśmy podziwu dla tego, co nas zachwycało i czego bogatym zazdrościłyśmy, mniejsza z tem, czy świadomie, czy nieświadomie. Gdy więc stanąłem u kraty pałacyku pana Dittricha i ujrzałem piękną panią na ładnej wygodnej ławce z parasolką w jednej ręce i z książką w drugiej, pomyślałem, coby też stać się mogło, gdyby podejść do niej, pogłaskać ją po tym gładkim atłasie i powąchać, czy pachnie olejkiem różanym, bo wszyscy mówili, że taki ładny zapach to tylko olejek różany i że już ładniejszego zapachu na świecie niema. Takie myśli przychodziły do głowy pewno tylko dlatego, iż wiadomo było, że do takiej pani siedzącej w parku koło pałacyku, podejść w żaden sposób nie można, jak się podchodziło do sąsiadki Guzakowej, czy Szkopowej. Po pierwsze stróż stał zawsze u żelaznej furty i sam ją otwierał tym, co mogli wchodzić i wychodzić, a po drugie, choćby się naprzykład przelazło przez żelazny płot, to podejść do takiej pani byłoby przecie wstyd. Inna rzecz popatrzeć zdala.

I nagle olśniła mnie wielka niespodziana myśl, od której serce zabiło żywiej. Byłem święcie przekonany, że ta pani może czytać tylko Boską Komedję, o której dowiedziałem się z gazety pana Niebrzydowskiego. Bo i cóżby czytać mogła w tym ładnym ogrodzie? O Magielonie, o świętej Genowefie, czy też o Ali-Babie i czterdziestu zbójcach? Wszystkie te książeczki kupowało się w Żyrardowie, na placu, w sobotę albo w niedzielę, gdy były stragany. Za złotówkę, za złoty groszy sześć, kupowali robotnicy takie książeczki, a potem zbierali się sąsiedzi, i dzieciakom kazano czytać pokolei, żeby się wprawiały. To były książeczki nie-

pańskie i w niczem nie przypominały ogrodu, pałacyku i kwiatów dokoła białych stopni prowadzących na balkonik, czy na coś takiego. W pięknym ogrodzie może być czytana tylko Boska Komedja. Przywarłem tedy obu policzkami do krat żelaznych i wpatrywałem się i w książkę i w czytelniczkę. Czytała wsparta bokiem o poręcz ławki i zasłaniała się ładną parasolką tak jakoś mile, jakby się przekomarzała ze słońcem. Raz trzymała ją tak, to znowu inaczej, a zawsze ładnie. I nie odrywała oczu od Boskiej Komedji. W taki to sposób poraz pierwszy w życiu spróbowałem przerzucić fantastyczny most między komedją ludzką, którą mniemałem znać, a komedją boską, o której roiłem anarchicznie i wybujale. Kiedy po latach dowiedziałem się wreszcie coś niecoś o Dantem i Boskiej Komedji, a zarazem od czasu do czasu dostawałem się w pobliże tych pięknych pań, na które ongi patrzyłem przez kraty zamkniętego dla mnie ogrodu, było mi żal złudzenia. Nie, te piękne panie z parasolkami nad wspaniałą fryzurą, w atłasach i jedwabiach, nie czytywały Boskiej Komedji i pewno nawet nie wiedziały o jej istnieniu. Jeszcze później, gdy już nadobre rozejrzałem się w tercynach genjalnego Florentczyka, znalazłem w Boskiej Komedji scenę centralną, która nazawsze utkwiła mi w pamięci. Gdy w Czyścu Kato pyta Wirgiljusza jaki jest cel wędrówki Dantego po zaświatach, Wirgiljusz odpowiada: *Libertà va cercando* — idzie, szukając wolności. I za to jedno słowo, za to wyznanie wiary w wolność, Dante stał mi się bliski i drogi, a jego pieśni o sprawach często dalekich i obcych, nabrały życia także dla mnie. Wszyscy przecie wędrujemy szukając wolności.

Dużo kłopotu miałem także z Beethovenem, Chopinem, Lisztem... Gdy się mydło wyjęło z zadrukowanej gazety, ileż trzeba było daremnie nałamać głowy przy czytaniu o jakichś nadzwyczajnych koncertach, które zdawały się odbywać gdzieś na jasnem pograniczu ziemi i nieba. Jakież tam były obiecujące i cudowne słowa, znaczące tak strasznie dużo ładnego! Wszystkie te symfonje, nokturny, rapsodje, eroiki, larga, ronda, impromptu, scherza, menuety, sonaty, h-mole i g-dury, tak przedziwnie przewracały w głowie i wdzierały się w serce, które kochało to wszystko in blanco, na wiarę i nieograniczony kredyt. Sprawy powikłane, trudne, niepojęte załatwiało się wtedy sumarycznie, a mianowicie odkładało się je do czasu, „gdy będę duży". Tego nauczyli mnie dorośli. Gdy pytałem o rzecz niezrozumiałą, a nie chciano mi odpowiedzieć, to mi mówili, że gdy będę duży, to się i tak dowiem.

Skąd się przyplątał do nas mały Józinek, którego wieczorem jeszcze nie było, a rano już leżał w kołysce i płakał? Bocian przyniósł? A skąd ten bocian bierze dzieci? Opowiadano o jakichś sadzawkach za borami, ale się w to przecie nie wierzyło. Po wyczerpaniu mnóstwa pytań, którym końca nie było, padała obietnica: Jak będziesz duży... Ale kiedy to będzie? A tymczasem zagadki mnożyły się jak grzyby po deszczu. Skąd ksiądz wszystko wie o Bozi? Jak będziesz duży... Beethovena, Liszta i Chopina trzeba było także odłożyć do tamtych czasów, gdy wszystko zacznie się cudownie wyjaśniać. Ale gdzie się tam odbywają te koncerty? Czy puszczają na nie każdego, czy też tylko „państwo" chodzić tam może? Znowuż nikt nie wie-

dział. Trzeba było czekać długo i cierpliwie, aż się wyjaśnią symfonje, staccata i larga. Gdy pan Flakiewicz, czeladnik pana gospodarza, rzeźnika i właściciela wędzarni, siadywał wieczorem na schodkach drewutni i grywał na harmonji, brałem te radości muzyckie jako należną mi zaliczkę na dalekie rapsodje, na Lista i Schumanna, którego nazwisko odczytywałem sobie rzetelnie po polsku jako Sss-chuman-na.

Ale razu pewnego sąsiadka rozchorowała się na oczy. Ustalono djagnozę i wszyscy zgodzili się, że to jest „łuszczka". Na łuszczkę nikt tak nie poradzi, jak stara Prostowa, mieszkająca pod lasem, która zażegnuje zresztą nietylko łuszczki, lecz i suchoty, kołtun, a nawet ukąszenie żmii, czy też psa wściekłego. Na łuszczkę są inne słowa zażegnywania, na suchoty inne, na jad żmii również inne. Gdy chodzi o oczy, albo o inne „bolaki" zewnętrzne, naprzykład wrzodzianki, Prostowa bierze w usta gwoździk pachnący, żuje go powoli, szepcze nad choremi oczami swoje tajemne zaklęcia, a potem tym gwoździkiem chucha trzy razy, prowadząc ustami z góry na dół i z lewej strony ku prawej, na krzyż. Jeśli łuszczka nie znika, to choroba jest zadana przez złego człowieka i trzeba z chorym iść do owczarza na Kopiska, albo do młynarza w jakiejś dalekiej wsi, który nazywa się bardzo dziwnie i ma tajemnicze księgi o ziołach i chorobach zadanych.

Wysłano mnie tedy do Prostowej pod las, żeby przyszła do sąsiadki zażegnać łuszczkę. Pod ten las szło się koło dużego kantoru, a za nim był ów zieleniec miły, z którego widać biały pałacyk pana Dittricha. Zgoła bezwiednie i odruchowo skręciłem wprawo,

pobiegłem ku żelaznej kracie pałacyka w przekonaniu, że na białej ławce ujrzę piękną panią z książką w ręku. Ale był już wieczór i ogród stał pusty. Zresztą miało się widać dobrze pod jesień, bo wieczór zapadał wcześnie i padywały deszcze. W ogrodzie pana Dittricha było smutno. Odwróciłem się od ławki, na której nikt nie siedział i już miałem biec do starej Prostowej, gdy z przeciwnej strony ozwały się ładne dźwięki, jakich dotychczas nie znałem. Pobiegłem w tamtą stronę. W jednym z pałacyków urzędniczych było otwarte okno, ale zasłaniała je cieniutka delikatna firanka, jedna z tych pańskich rzeczy, bez których się obywaliśmy i które były symbolem innego świata. Dźwięki brzmiały bardzo ładnie, nie wiadomo jak, ani to skrzypce, ani trąbka. Czasem głośno i mocno, czasem ciszej i jasno, miejscami głęboki ton drgał jak pogróżka, a zaraz potem odzywały się jasne dzwonki jak wesoły śmiech.

Musiałem korzystać z okazji, bo to mógł być akurat ten Beethoven, albo Chopin. Kto wie, czy jeszcze kiedy nawinie się taka gratka. Więc słuchałem i miarkowałem sobie, co może być podobne do ronda, a co do symfonji. Przychodziło mi to odgadywanie bardzo łatwo i radowało serce. Nawet nie zauważyłem, że mży deszcz i ucieszyłem się, gdy za zasłoną rozbłysło światło odrazu i niespodziewanie. Jeszcze jedno! To była elektryka, o której opowiadali robotnicy fabryczni istne cuda. Zapala się taka lampa bez zapałki; prztyknie się i dosyć. Nie wiem, czy słyszałem wtedy Chopina, czy Liszta, czy Beethovena, czy też jaka zacna dziewczynka grała ćwiczenia i powtarzała sobie gamy, ale podobało mi się to bardzo. Stałem widać

długo, zmokłem i do Prostowej poszedłem dopiero wtedy, gdy jakiś pan spojrzał na mnie z pod parasola i zapytał: „Nanu, Junge?“ Przestraszyłem się i w nogi, bo to może nie wolno stać tu wieczorem i jeszcze gotowi wołać ojca do kantoru, jak kiedyś straszył mnie pan Studziński, gdy kręciłem się wesoło dokoła młodych, i równie jak ja wesołych, kasztanków.

Do domu wróciłem gdy już było całkiem ciemno, i dostałem, rzecz prosta, lanie. Ktoś mówił przy tej sposobności bardzo gorzko i nudnie o nieposłusznych dzieciach i o Bozi, która takich dzieci nie znosi. Trudna rada. Antypatja była wzajemna. Bozia spoglądała z obrazu trójkątnem okiem, trzymała w ręku berło, i niem biła pewno te nieposłuszne dzieci, do których należałem z serdecznem i szczerem przekonaniem. Umarł kto — Bozia, złamał kto nogę — Bozia, nadciągnęła burza z błyskawicami i piorunami — Bozia. Raz się gniewała za to, innym razem za tamto. Burza z ulewą i gradem mogła powstać w sposób bardzo prosty, gdy nieposłuszne dziecko do kawałka suchego chleba wzięło ukradkiem dwa - trzy kawałeczki cukru, żeby podwieczorek lepiej smakował. Bozia okrutnie nie lubiła kradzieży cukru.

Pewnego popołudnia nadarzyła się taka sławna sposobność, że można było wziąć niespostrzeżenie aż trzy kawałki cukru do chleba. Serce podskoczyło radośnie, będzie uczta. Ale w izbie zrobiło się tymczasem mroczno, wicher zatrzasnął drzwi, a gdzieś pod samym domem zagrzmiało tak mocno, aż szyby w oknach zabrzęczały. Nie było wątpliwości: Bozia widziała, jak kradłem cukier i masz tobie! Wierzyłem niezachwianie, że gdybym oddał cukier, to burza skończyłaby się

natychmiast jako bezprzedmiotowa i bezcelowa. Ale tak żal było wyzbywać się słodkiej zdobyczy! Może Bozia pohałasuje i ostatecznie pogodzi się z faktem kradzieży. Na wszelki wypadek wlazłem pod łóżko, jak czyniły wszystkie dzieci okoliczne podczas burzy. W spoconej dłoni zaciskałem kurczowo trzy kostki cukru. Burza grzmiała, błyskała, tłukła deszczem o okna z takim gniewem, iż należało coś zrobić, aby z nią zakończyć, a przynajmniej złagodzić ją trochę. Po jakiejś oślepiającej błyskawicy, która całkiem wyraźnie wślizgnęła się do mnie pod łóżko, odruchowo wyrzuciłem na środek izby jeden kawałek cukru, co powinno było uciszyć nieco grzmoty i przygasić błyskawice. Ofiara była daremna: błyskawice wdzierały się pod łóżko czerwone i jadowite, grzmot potrząsał całym domem pana Zysera. Gdyby się ludzie dowiedzieli, że to ja sprowadziłem na wszystkich ten strach burzy, dopierożbym dostał! Nagle huknęło bardzo głośno, więc ze strachu wyzbyłem się drugiego kawałka cukru. Zanosiło mi się na płacz, że pozostanę przy jednym. I ten jednak musiałem oddać, bo Bozia nie chciała wdać się w żadne układy. Gdy rodzice wrócili wieczorem z fabryki, sprawa kradzionego cukru jako przyczyna burzy stała się przedmiotem szczegółowego roztrząsania i przykładnej kary. Co była zacz ta Bozia? Jak będziesz duży, to się dowiesz. Ach, jakże pragnąłem już być duży! A tymczasem tak długo było się małym i dźwigało się na słabych barkach ciężkie niedole wszelkiej małości.

Wszystkie dzieci ubrane były w niedzielne ubrania i stały w dużej sali ochronkowej, a pani Hornig coś mówiła i potrząsała aksamitną kokardą czarnego czepka. Ta sama pani Hornig pokazywała nam kiedyś drewniane lalki z za parawanu i mówiła, że to jest pan Purcel i jego rodzina. Lalki podawały sobie ręce, całowały się, wyjeżdżały dokądś, wracały, biły się i płakały. Ale myśmy to widzieli pierwszy raz w życiu i nie wiedzieliśmy, że trzeba się z tego śmiać, że to jest wesołe. Więc pani Hornig powiedziała, że te dzieci są jeszcze za głupie i już nam tych lalek drewnianych z za parawanu nie pokazywała. A teraz przemawia, jest stara i pomarszczona, a nad głową trzęsie jej się czarna kokarda na czepku. Myśleliśmy, że pewno znowu będzie przedstawienie i patrzyliśmy, czy nie widać parawanu. Nie było parawanu, a za białemi filarami sali, pod oknem górnem, niby w jakim kościele stał biały marmurowy człowiek: głowa i kawałek piersi z krawatem i z koszulą. Pomnik starego pana Dittricha. Pani Hornig przestała prawić, zeszła z krzesełka i wszyscy mówili, że bardzo długo będziemy siedzieli w domu: dwa miesiące, czy coś takiego. Jednem słowem końca tym wakacjom widać nie było, bo się jeszcze nawet nie zaczęły, i można się było cieszyć.

A potem ojciec zapytał: Karteczkę już masz? Już ją miałem. Była to karteczka do szkoły, a szkoła to nie przelewki. W ochronie tylko zabawa i tyle, żeby dzieciaki miały gdzie siedzieć, gdy ojcowie pracowali

w fabryce. Natomiast szkoła, — to już nie zabaweczki! Nie na tabliczce się tam pisze, ale piórem na papierze. Trzeba uważać, bo tego, co źle napiszesz, już nie zliżesz, jak z tabliczki. A wydrzesz kartę, to cię nauczyciel nauczy moresu. Czytać trzeba ładnie i gładko, po rusku, a do rachunków każdy musi się przykładać zdrowo. Wiadomo było, jakie brali „łapy" chłopcy, co już mieli niedługo w fabryce pracować, a niejeden choć był „chłop pod wąsem", a i tak na pokładankę od nauczyciela dostał, jeśli już na to przyszło. Taka była szkoła, do której mnie panna Marja Słonecka, miła kochana panna Marja, odsyłała. Kochałem ją uczciwie, a gdy razu pewnego dostałem od matki dwa czerwone jabłuszka, dałem jej jedno, że takie ładne, a teraz oto kończyła się sielanka ochronkowa i zaczynały się wakacje, chwała Bogu bardzo długie, bo za niemi groźnie czekała szkoła z rachunkami, z ruskiem czytaniem i z nieubłaganą surowością nauczycieli.

Długie i jasne godziny dzieciństwa zdają się nie mieć końca, dzień ma tych godzin cały różaniec, a w miesiącu jest tyle dni, że i doliczyć się ich niepodobna. Wakacje to jakaś nieskończoność słonecznej uciechy. Ale godziny poodpływały jedna za drugą w daleką wieczność, mijały dni i tygodnie, kończyły się miesiące i wakacje dobiegły końca. Z karteczką panny Marji w kieszeni, trzymając się matki za rękę, poszedłem tedy na wielki dziedziniec starej szkoły i poddawałem się ustalonemu biegowi spraw ludzkich. A na karteczce było wypisane moje imię i nazwisko oraz lata. Miałem lat siedem z czemś tam. Na karteczce stało: „Sprawowanie dobre, pilność dość dobra, zdolność bardzo

duża". Pilność była nieosobliwa, bo uciekałem z ochrony, gdy się nadarzyła jaka taka sposobność, a więc powiedziano o niej, że jest dość dobra. Natomiast ta zdolność duża napełniała dumą i radością matkę, która obiecywała sobie po niej bardzo wiele. Nie doczekała się niczego, nie doczekałem się i ja. Zdolność bardzo duża, ale człowiek niepraktyczny.

Na dziedzińcu starej szkoły był ruch niezgorszy. Rodzice i dzieci z karteczkami chodzili od nauczyciela do nauczyciela, od klasy do klasy, rozpytywali się o różne rzeczy i zapisywali się gdzie należało. Matka podeszła do nauczyciela pana Bergmanna, którego wszyscy nazywali Bertmanem, i podała mu karteczkę. Zapytał o wyznanie. Reformowane, kalwińskie. Aha, to do pana Schmidta. W ochronie też były różne klasy: polskie i niemieckie. Do polskich chodziły dzieci katolickie, do innych ewangelickie. Ojciec umieścił mnie w klasie polskiej, u panny Marji Słoneckiej, a nie u panny Liese, czy u pani Baumgart. Ale to była ochrona, a w szkole było inaczej: tu katolicy, tu ewangelicy.

Zacząłem tedy chodzić do klasy wstępnej pana Schmidta, dostałem obok rosyjskiej czytanki jakiś niemiecki Fibel i zaczynało się wszystko od nowa. U miłej panny Marji ei to było ei, u pana Schmidta ei czytało się aj, a roh to nie był żaden Roch, lecz było to poprostu rou, a leben nie czytało się leben, lecz lejben. Tak samo było z rosyjskiem czytaniem: w książce stało wsego, a czytać musieliśmy wsiewo; było w niej czernago, a wymawiać kazali czornawo; drug to był druh, a Bog-Boh. A prócz tego były akcenty, czyli udarenja. W jednym wyrazie udarenje jest tu, w innym wyrazie indziej. Trzeba było miarkować.

Uczyliśmy się tedy napamięć wierszy i skandowaliśmy głośno: Pách - niet sjé - nom nád łu - gámi w pjé - snie dú - szu wie - sie - ljà, bá - by s grábljami rja - dámi chó - djat sjé - no szé-wie-ljá...

Odrazu uczyliśmy się trzech języków: po polsku rozmawialiśmy w domu i poza szkołą, a w szkole nauczyciel rozmawiał z nami po rosyjsku, zaś dzieci z rodzin niemieckich, których w Żyrardowie było wiele, rozmawiały po niemiecku. Można się było osłuchać. „Nie bałtajtie, dieti!" — wołał nauczyciel. „Siditie smirno, a to w karcerie was astawlju!" Gdy obchodził ławki podczas lekcji kaligrafji, napominał nas: „Piszi staratielno, nie tarapiś. Ty poczemu piszesz tak skoro i niebreżno?" A na lekcjach niemieckiego i katechizmu słyszało się inne słowa: „Pass mal auf, Junge!" Albo: „Lese das noch einmal!". „Warum ist dein Heft so schmutzig?" Wszystko rozumiało się odrazu i odpowiadało się tak, jak mówiły w podobnych warunkach dzieci niemieckie, ale gdy kazano uczyć się napamięć wierszy niemieckich, kłopot był wielki. Niezrozumiałe słowa trudno było zapamiętać i nie wiadomo było, o co w tych wierszach właściwie chodzi. Ale skończył się rok klasy wstępnej, w oddziale pierwszym już wszystko szło daleko raźniej, a gdy pan Schmidt uczył nas rysować i gdy nasze krowy, kozy, gałązki i głowy ludzkie były zbyt zamazane w kajetach, to nie napominał nas ani po rosyjsku, ani po niemiecku, lecz mówił całkiem prosto po polsku: „Weźmiesz w domu kawałek świeżego chleba i przetrzesz tę kartę, bo jest zabrudzona ołówkiem. Rozumiesz?" Lecz zanim się mu odpowiedziało tak prosto, jak on mówił, dodawał:

„Waźmiosz kusok swieżawo chleba... Poniał?“ Jeśli się odpowiedziało zbyt krótko: „Da“, — wywodził: „Dawaj mnie połnyj atwiet: Poniał, gaspadin uczitiel“.

Gdy jeszcze byłem w oddziale wstępnym, pewnego dnia wszedł do klasy mój rówieśnik, Józiek Szkop, syn sąsiadów, i powiedział coś nauczycielowi. Ten kazał mi iść do domu, a na odchodnem pogłaskał mnie po głowie. Okazało się, że matka umarła. Jeszcze nie wiedziałem, co to znaczy umrzeć i niebardzo się tą wiadomością przejąłem. Matka od długiego czasu leżała stale w łóżku, a gdy przyszedłem do domu, leżała tak samo, jak zawsze, tylko że spokojniejsza i nakryta prześcieradłem. Potem był pogrzeb w szare chłodne popołudnie lutowe, był gorzki płacz bez dokładnego rozumienia dlaczego, a potem znowu szkoła. Gotowało się kartofle o dwunastej w południe, gdy kończyła się nauka w szkole, ojciec przychodził z fabryki o trzy na pierwszą, siedział z nami przez chwilę, zapytał o to, o owo, zjedliśmy na obiad co Pan Bóg dał, i ojciec szedł do fabryki, ja do szkoły, siostra Marynka do ochrony. Wracałem o czwartej, nosiłem wodę, drzewo i węgiel z drewutni, zamiatałem podłogę, a gdy ojciec wracał o pół do siódmej z fabryki, gotował kawę na cykorji, dobierał ją mlekiem, dawał nam po kubku tej kawy i po kawałku chleba, a potem, jeśli to było zimą, szło się niedługo spać, żeby nie wypalać nafty po próżnicy, a jeśli to było latem, wychodziliśmy na podwórze i biegaliśmy aż do zachodu słońca.

Byliśmy z siostrą w ciągu miesięcy prawie stale sami, biegaliśmy z rówieśnikami po podwórkach, po łące na Wilczym krzu, czasem chodziliśmy kąpać się za

Fabiana młyn albo do kanału fabrycznego, gdzie woda była zawsze ciepła. Oczywiście, że często-gęsto coś się tam przeskrobało. A to się do ogródka sąsiadczynego wpadało za piłką, a to się któremu chłopakowi dało kuksańca. Wtedy sąsiadka wychodziła przed dom, podnosiła kułak do góry i wołała głosem wieszczej Sybilli: „Czekaj, smyku, jak się ojciec ożeni, to cię macocha nauczy moresu!" O macochach opowiadano sobie bajki i gadki. Wiadomo już było, że macochy są obowiązkowo złe, że biją dzieci po nieboszczce, że je morzą głodem. Więc protestowałem z głęboką wiarą: „Nasz tatuś się nie ożeni!" Ale niemiłosierna sąsiadka obstawała przy swojem: „A juści, nie ożeni! Ty mu będziesz prał, i gotował, i ubranie reperował!"

Istotnie, pod jesień, gdy wieczory stawały się już dość długie, ojciec zostawiał nas samych, zamykał izbę na klucz i wracał czasem wcześniej, czasem później. Na płycie kuchennej kopciła mała lampka, więc albo bawiliśmy się jeszcze trochę, albo też kładliśmy się spać. Ale okna mieszkania nie miały firanek i rolet, i noc jesienna waliła się przez nie czarna i niepokojąca. Baliśmy się poprostu patrzeć w te czarne okna, tembardziej, iż wychodziły na pusty plac, zarośnięty wszelakiem zielskiem i ogrodzony sztachetami. Po placu tym snuły się i wrzeszczały różne głupie Franki i głupie Małgośki. W dzień patrzenie na głupiego było ucieszne i wesołe, ale w nocy, gdy okna poczerniały, i nikogo nie było w domu, takie krzyki przerażały. Pewnego wieczoru kiedyśmy się zabierali do snu, coś w okno stuknęło raz i drugi. Była to rzecz niezwykła, bo mieszkaliśmy na piętrze i wiedzieliśmy, że do okna można się dostać tylko po drabinie. Pomyśleliśmy, że

to złodzieje dobierają się do nas, i w krzyk. Ale to, co się pokazało, było straszniejsze od wszelkich złodziei. Za czarnemi szybami kołysała się okropna wielka morda z pustemi ślepiami i wyszczerzonemi kłami. Ze ślepiów, nosa i pyska buchały płomienie. Ze zgrozą rzuciliśmy się ku drzwiom. Zamknięte. Krzyk i walenie do drzwi zwabiło sąsiadów. Co to, dzieci? Baliśmy się powiedzieć, bo nawet nie wiedzieliśmy, jak się taki potwór nazywa, co zieje z pyska ogniem. Nie było rady, bo żaden klucz do naszych drzwi nie pasował, a nikt nie wiedział, gdzie trzeba szukać ojca. Dobra pani Falińska pocieszała nas jak umiała, a pan Faliński wyszedł na ulicę pod okno. Ano nic, tylko figiel łobuziaków. Dynia wydrążona z wyciętym pyskiem, ślepiami, nosem, a w środku świeca. Na wysokiej tyce kołysało się to w lewo i w prawo. Pan Faliński odegnał łobuzów z pod okna i kazał nie bać się. Tłumaczył nam przez zamknięte drzwi, że to nic, tylko dynia i powtarzał, że nie trzeba się bać, ale myśmy się bali i czekaliśmy przy drzwiach na powrót ojca.

Zresztą trudno było nie bać się, bo cała atmosfera przeludniona była najróżniejszejmi straszydlakami. Sąsiadki widywały po nocach dusze i strzygi, koło cmentarza poskakiwały „mierniki", czyli dusze dzieci niechrzczonych, a gdy panowała wichura, to już nikt nie wątpił, że powiesiła się stara baba. Potem pokazywało się, że nie baba, ale jakiś młody człowiek powiesił się w Czarnym borku, i że musiał się powiesić, bo go „franca stoczyła" i już z niego ciało kawałami padało. Felczerzy, którzy razem z doktorem wisielca „egzenterowali", kazali ludziom uciekać, bo much na trupie było pełno, a taka rzecz jest zaraźliwa. W Ży-

rardowie nie wierzono w żadne zarażenia. Okazywało się czasem, że dziecko miało szkarlatynę, co już jest przecie bardzo zaraźliwe, jak powiadają doktorzy, a matka spała z niem w jednem łóżku i nic. Drugie dziecko też nie dostało szkarlatyny, to znaczy, że Pan Bóg nawiedzi kogo chce i żadna zaraza mu nie rządzi. Ale powoli spostrzegali, że jednak coś w tem jest i przestrzegali się wzajemnie przed znajomymi: podobno ten a ten jest francowaty, a znowu ta a ta też się doigrała i teraz chodzi do felczera, żeby jej wcierał szarą maść.

W jesiennej ciemnej szarudze włóczyły się dusze topielców, których każdego lata przybywało po kilku, w skowycie wichru w kominie jęczeli wisielcy, w niektórych domach na Blichu, czy pod przejazdem straszyło po nocach zgoła okropnie. Wiadomo było jak się do strachów przemawia, ale nic to nie pomagało. Mogli sobie ludziska powtarzać bez końca: „Wszelki duch Pana Boga chwali“ — strach milczał i robił psoty, od których włosy na głowie stawały. Szczękał łańcuchami, szurgał ciężkiemi buciarami, przesuwał szafy, tłukł naczynia, ale gdy się zapalało światło, nastawała cisza i wszystko było na swojem miejscu w najlepszym porządku. Jakieś niezwykłe były strachy, bo zazwyczaj na słowa o tem, że wszelki duch Pana Boga chwali, porządny strach odpowiadał głosem grobowym: „I ja go chwalę“. Na to mówiło się: „To idź, duszo, do tego, co jest ziemia i niebo jego“. I dusza szła, w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen. A inny strach odpowiadał: „A ja go nie chwalę“. Na to znowuż odpowiedź była inna, ale całkiem wyraźna: „To odejdź do piekła, duchu przeklęty, bo to miejsce jest święte“.

Jeśli duch nie słuchał rozkazu, to w ciężkich wypadkach wzywało się księdza. Strachy były powszednią i powszechną rzeczą. Trzymano ich zdala od siebie, pacierzami, mszami zadusznemi, jałmużnami.

Wkrótce po śmierci matki naszej, gdy pewnej niedzieli zebrało się u nas kilku przyjaciół, aby pocieszyć ojca, dostaliśmy od jednego z gości dziesiątkę. Macie, biedne sieroty. Tak nas wszyscy tytułowali z głaskaniem po głowie. Wieczór był już późny i oczywiście, mroźny, jak to w lutym. Matka nasza została pochowana w jasnej sukience, mówili, że w kanarkowej. Była to jej ślubna sukienka starannie przechowywana, a sąsiadki po jej śmierci uraiły, że matka jeszcze młoda i że można ją pochować w jasnej sukience. Gdyby była kobieta stara, to co innego, trzebaby czarną suknię szykować, ale młoda, niech będzie pochowana w jasnej swojej sukience. Gdyśmy dostali dziesiątkę, wielkie pieniądze, odrazu powstała ochota kupienia sobie chałwy. Sklepy bywały wtedy otwarte do jedenastej i później. Więc poszliśmy do pana Niebrzydowskiego. Sienie domów fabrycznych nie były nigdy oświetlane, a i dzisiaj są oświetlane tylko gdzie-niegdzie. Zbiegliśmy po schodach trzymając się za ręce, wyszliśmy przed sień, a przed sienią—matka. W czepku i w kanarkowej jasnej sukience, bielejącej w blasku księżyca. Twarzy jakoś nie widać, nie wiadomo dlaczego. Ominęliśmy ją i idziemy dalej. Czy widziałaś matkę? A ty widziałeś? Nie dostrzegliśmy nic osobliwego w tem, że matka stała przed sienią naszego mieszkania. Kupiliśmy chałwy, wróciliśmy do domu i powiedzieliśmy w wielkiej prostocie ducha, że przed sienią stała matka. Wszystko rzuciło się w popłochu na

dół, szukać, patrzeć. Oczywiście, matki ani śladu. Co to było? Nie wiem do dzisiaj i nigdy wiedzieć nie będę. Niezawodnie jedna z licznych lokatorek wyszła przed sień w nocnym negliżu, a ponieważ oczy nasze były jeszcze pełne matki, a myśli nie odrywały się od niej ani na chwilę, ujrzeliśmy ją w nocnym mroku i w cieniach własnej tęsknoty. Aleśmy jej w twarz nie spojrzeli, bośmy się bali. Po latach, kiedym jako student filozofji w Heidelbergu zachodził w gościnę do teologów i egzegetów, rozczytując się w tekstach Ewangelji, głęboko zastanowiłem się nad ostatniemi słowami Ewangelji według Marka o niewiastach, które przyszły w niedzielę rano do grobu Pańskiego, a zastawszy go pustym, uciekły, „bo się bały". *Efobunto gâr* — powiada ewangelista. Czytając te słowa, zawsze wspominam swoje dziecięce przeżycie i powtarzam sobie, iż nie spojrzeliśmy w oczy i w twarz postaci w jasnej sukience, „bośmy się bali".

Po tym wieczorze, gdy drążona dynia ze świecą wewnątrz nabawiła nas takiego śmiertelnego strachu, ojciec wychodził wprawdzie nadal z domu, ale nie zamykał nas na klucz, albo też, jeśli było późno, zamknąwszy drzwi, klucz oddawał sąsiadce, a ta zaglądała do izby i uspakajała nas w razie potrzeby. Ojciec w chwili śmierci matki miał niespełna trzydzieści dwa lata, więc ożenek młodego wdowca był rzeczą zgoła naturalną. Macocha nie była zła, ale przeciwnie, była wobec nas raczej onieśmielona. Odznaczała się pracowitością i była na wszelki sposób zabiegliwa. Chodziła razem z ojcem do fabryki, a w domu robiła wszystko, co trzeba było zrobić: prała, szyła, gotowała wieczorem obiady na dzień jutrzejszy. Pozatem, jak wszystkie robotnice,

tak i ona rodziła dzieci, czuwała nad niemi w nocy, pielęgnowała je w chorobie. W cztery tygodnie po pierwszem dziecku poszła nanowo do fabryki, a do domu przyjęto staruszkę, tak zwaną „kobietę do dziecka". Taka kobieta do dziecka dostawała zależnie od umowy półtora rubla do dwóch rubli miesięcznie i utrzymanie. Za to gotowała śniadania i obiady, sprzątała mieszkanie i czuwała nad dzieckiem. Ponieważ była to zawsze kobieta stara i słaba, do obowiązków jej nigdy nie należało noszenie wody z dalekiej pompy, drzewa i węgla z drewutni. Zaopatrywanie domu w wodę, rąbanie drzewa i noszenie go do domu było naogół obowiązkiem młodzieży, a raczej dzieci robotniczych, poczynając od 7 — 8 roku życia. Gdy po godzinie czwartej przychodziłem ze szkoły do domu, dostawałem kawałek chleba na podwieczorek, a potem przynosiłem dwa duże kubły wody, naręcz drzewa z drewutni i skrzynkę węgla. W poniedziałki gdy w domu było pranie, musiałem nanosić wody znacznie więcej. Poniedziałek był dniem obrzydliwym. Po niedzieli, która jaśniała słońcem w lecie, a śniegiem w zimie, po wypoczynku i swobodzie, trzeba było dźwigać wodę, wąchać wstrętny zapach mydlin i odczuwać niemiłą ciasnotę mieszkania, w którem naczelne miejsce zajmowała raptem balja w towarzystwie ceberka i szkopka. We wtorek bieliznę wieszano, do piątku było o niej cicho, a w piątek szło się z nią do magla i kręciło ciężką maglownicę, dopóki się cała bielizna należycie nie wymaglowała. Niektóre sztuki, jak koszule męskie, fartuchy, chusteczki, były w sobotę prasowane osobno.

Życie takie było złe, ciężkie, niegodne poprostu czło-

wieka, ale Bóg raczy wiedzieć dlaczego, nikomu z nas nie przychodziło do głowy, aby się przeciw niemu buntować. Uważaliśmy, że tak jak jest, być musi, i że na to niema rady. W kościele słuchaliśmy co niedziela i święto kazań o cnotach chrześcijańskich, śród których najwyżej stała cnota pokory i ubóstwa, a w szkole wypisywano nam na tablicy piękne wzorce kaligraficzne do przepisywania o tem, że cierpliwością i pracą ludzie się bogacą. Tymczasem, chociaż na cierpliwości nam nie zbywało, a pracować musieliśmy po kilkanaście godzin na dobę, nietylko że się nie bogaciliśmy, ale miewaliśmy długi u krawców, sklepikarzy, piekarzy. Gdy na zimę trzeba było nakupić kartofli, kapusty, węgla, drzewa, sprawić trochę ciepłej odzieży, to już nie zostawało na nic, a cierpliwość i praca była najzwyczajniejszą blagą, tylko że o tem nie myśleliśmy.

Myśleli natomiast inni i uczyli myśleć robotników, ale ta nauka szła niesłychanie ciężko. Jeszcze zanim robotnicy nauczyli się wymawiać słowo „socjalizm", już był on zdyskredytowany przez różnych tchórzy i pełzających oportunistów, a głównie przez księży. Nieśmiertelność duszy, piekło i niebo to były sprawy, których nikt nie kwestjonował. Życie na ziemi, czyli życie doczesne, było takiem nędznem głupstwem w porównaniu z wiecznością! A tymczasem wiadomo było, że im gorzej komu na tym świecie, tem pewniejsze niebo i tem lepiej będzie na tamtym świecie. Taki fabrykant, czy dyrektor, czy też pan hrabia z Guzowa, który przez Żyrardów przejeżdżał powozem zaprzężonym w cztery konie, to byli właśnie ci bogacze, którzy do nieba dostaną się akurat tak, jak wielbłąd przez ucho

igielne. Wieczność to wieczność, a tu dzisiaj żyjesz, jutro gnijesz. Więc gdy księża jęli wywodzić, że Pan Bóg socjalizmu nie chce i że socjaliści do nieba się nie dostaną, ruch robotniczy utknął i spoczął na barkach kilkudziesięciu szlachetnych i światłych ludzi, którzy posiadali zdolność myślenia i odważali się myśleć.

Już w najwcześniejszem dzieciństwie słyszałem opowiadamia o pierwszym krwawym strajku, który wybuchł w maju roku 1881 czy 1882. Widywałem u nas kobietę, która miała tylko połowę lewej dłoni. Czemu ma tylko trzy palce? Bo jej ustrzelili. A kto jej ustrzelił? Wojsko. A dlaczego? Jak był pierwszy strajk. Ludzie szli do wójta, bo koło wójta była „koza“, a w „kozie“ siedzieli jacyś zaaresztowani i chciano ich uwolnić; wtedy wojsko strzelało do robotników. Było kilku zabitych i wielu rannych. O tem opowiadano sobie przy lada sposobności. Jedni mówili, że wszystkiemu winni bezbożni socjaliści, drudzy — że to zawinił kapitan, który dowodził wojskiem. Kiedym był we wstępnym czy też pierwszym oddziale, w roku 1889, czy 1890 — dokładnie nie pamiętam, — zaczęły się dziać rzeczy zastanawiające. Mieszkała u nas wtedy panna Franciszka Dobrucka, tkaczka z tkalni kolorowej, gdzie było dużo socjalistów. Gdy przychodziła na obiad, albo gdy siadała wieczorem do swojej skromnej kolacji, opowiadała o tem, że podrzucają jakieś książki, a kto zostanie z taką książką przyłapany, tego aresztują i wywożą do Warszawy do Arsenału. A w Arsenale podobno były jakieś ruszta nabite gwoździami i po tych rusztach musieli chodzić aresztowani bosemi stopami tak długo, dopóki wszystkich wspólników nie powydawali.

I panna Franciszka mawiała: „U nas na sali znowu

znaleźli parę książek". Chodziło, oczywiście, o broszurki uświadamiające robotników narodowo i społecznie. Ale robotnicy bali się tych „książek" jak ognia Z ust do ust podawano sobie szeptem wieści, że tego aresztowano, że tamten w więzieniu, że przyszła do Żyrardowa sotnia kozaków, ale w wielkim sekrecie, żeby nikt nie wiedział. Miał być na pierwszego maja wielki strajk: trwożliwsi wiedzieli już naprzód, że będzie wielkie krwi rozlanie, a wszystko na nic. Stary Jackowski, który z dumą wspominał, że jest „mikołajeskim sołdatem" i że służył dwadzieścia i pięć lat w wojsku, powtarzał słyszane proroctwo, że Polska będzie rozniesiona na końskich kopytach i że ludzie samochcąc w biedę się pakują. Kobiety modliły się żarliwie, aby Bóg odwrócił zło od biednego narodu, a mężczyźni siadywali wieczorami zamilkli i posępni. Gdy kto wychodził z domu wieczorem w ostatnich dniach kwietnia, choćby nawet szedł z kubełkiem po wodę, narażał się na to, że zostanie obity przez kozaków, których konie umiały skradać się w ciemnościach jak koty i zanim się biedny robociarz opatrzył, już ze wszystkich stron sypały się nahajki kozackie na jego plecy, głowę, twarz, gdzie popadło. Okrwawiony, blady, bez tchu wpadał do domu i błędnemi oczami patrzył przed siebie Za co? Socjalistą nie był, „książek" podrzucanych nie chciał czytywać, a te sobacze syny... Zaciskał pięści, obmywał okrwawioną twarz, a po chwili wykradał się z domu, aby odnaleźć czapkę, którą strącono mu z głowy. Kosztowała 60 kopiejek, dzień pracy, nie można jej było przecie zostawić na ulicy. Wracał z czapką: była stratowana kopytami i daszek miała złamany. Zresztą wszystkoby nic, tylko jak tu się teraz pokazać

z taką szramą na twarzy? Niech to zobaczy dyrektor. Kto, co i jak? Kozak cię zdzielił nahajem? A gdzieś ty, bratku, łaził i w coś się mieszał? Czy ty aby nie rozrzucasz tych owych książek? Było zmartwienie wielkie, tajony gniew i pragnienie zemsty, ale na co zdał się gniew słabego człowieka? Jak można zemścić się na tych złodziejskich kozuniach, z nahajami, z karabinami i lancami? Panu Bogu wszystko ofiarować? Gdzie też to ten Pan Bóg jest, gdy kozacy biją po nocy niewinnego człowieka? Ludzie bali się wychodzić z domu pociemku, a gdy już trzeba było wyjść koniecznie, skradali się podwórkami i opłotkami, jak złodzieje. Ale i to nie na wiele się zdało, bo kozacy zaczajali się po podwórkach i urządzali sobie polowanie na biedaków zmuszonych wyjść z domu. Takie to były te ostatnie dni kwietnia przed pierwszym majem. Chciano ludzi zastraszyć i przerazić.

A potem przyszedł pierwszy maj. W ogródkach jarzyły się kwiaty, łączki między domami, jakich wtedy było w Żyrardowie bardzo wiele, złociły się od kwiatów mleczu, wesoło ćwierkały wróble i śmigały jaskółki. Jak zwykle kwadrans po piątej ozwał się gwizdek na Rudzie, w bawełniance, za kwadrans zagwizdała przędzalnia lnu, a potem kwadrans do szóstej gwizdała tkalnia. Jak zwykle, tylko tak jakoś długo i złowieszczo, jakby ten gwizdek zapowiadał nieszczęście. Wszystko, co żyło, było na nogach. Jedni twierdzili: nie chodzić do fabryki i nie chodzić. Będzie wiadomo, kto poszedł, kto jest łamistrajk, i taki zostanie dobrze zapisany. Inni znowuż: trzeba iść do roboty. Na co to się wszystko zdało! Biednemu zawsze wiatr w oczy. Będą po sali latać majstrowie i dyrektorzy i będą pilnie

zważać, kto przyszedł, a kto nie. Mają odprawiać wszystkich, co zastrajkują.

Więc biedni ludzie szli i nie szli. Wstawali, ubierali się, wychodzili na ulicę. Iść? Nie iść? Któż to wie? Pójść trzeba i popatrzeć. Nie pójdą inni, to się nie pójdzie razem z nimi, pójdą inni, wola boża. Sam człek nic nie zrobi, trzeba kupą. Zobaczy się, jak tam będzie. Dali mi szóstkę i kazali przynieść z apteki chlorku do bielizny, bo było pranie. Koło ósmej poszedłem do apteki, a potem zagwizdały gwizdki i było śniadanie. W fabryce trochę robotników pracowało, ale dużo ich stało przed bramą, sporo pozostało w domu. Ale potem, huczenie maszyn, które zawsze dobrze było słychać, zacichło. Fabryka stanęła, czy co? Jeden spoglądał na drugiego, nikt nic nie wiedział. Więc dobrze, strajk, ale co będzie dalej? Do szkoły tak samo: jedni przyszli, drudzy nie przyszli, bo im rodzice wyjść z domu nie pozwolili. Kiedy wracałem do domu o dwunastej, kozacy prowadzili ludzi z piłami, schwytanych w lesie. Czego od tych ludzi chcieli? Niewiadomo. Na placu, czyli na rynku, siekli nahajami każdego schwytanego, czy winny czy niewinny, a dzieci na podwórkach bawiły się w kozaków i w buntowszczyków. Tu była brama fabryczna, tu stali kozacy, a tu szli robotnicy, jak ci, co się nie boją czarnego luda.

Po niewielu dniach, gdy ludzie dość sobie naopawiadali kogo i jak kozacy niewinnie sprali, fabryka znowuż ruszyła, a na Żyrardów padł strach. Podczas gdy robotnicy pracowali, przed poszczególne domy zajeżdżała policja z kozakami i „zabierała“ zapisanych. I dzień w dzień powtarzano sobie ponure wieści: Sadowskiego zabrali. Kamińskiego zabrali. Hermanowi-

cza zabrali. Z żonami, dziećmi i z betami. Do Skierniewic do aresztu. A co będzie dalej? Niewiadomo, podobno mają ich na Sybir wywieźć. Nie spali ludzie, czekając po nocy, czy się nie ozwie kołatanie do drzwi, czy nie zajadą kozacy, czy nie przyjdą żandarmi na rewizję. I u nas było ponuro i cicho. Ojciec strajkował i stał wszystkim ludziom na oczach przed bramą, zamiast iść do roboty. Gdy kozacy zajeżdżali w sąsiedztwo, serce zamierało w trwodze. Zabiorą, nie zabiorą? Popędzą na Sybir? Ale wreszcie areszty się skończyły, kozacy przestali się pokazywać i po Żyrardowie rozchodziła się wieść: kozacy podobno już wyjechali. A drudzy na to: nie wyjechali, tylko się zaczaili w lesie, w stajni pałacowej i w razie czego wyskoczą. A ludzie starzy mawiali, że jest tak, jak za Szwedów było. Dziewuchy uciekały w zboże, w krzaki, gdzie popadło, bo Szwedy żadnej nie przepuściły, a potem skrzykiwali się ludzie wesoło: wyłaź, Kaśka, Maryśka, bo już Szwedów djabli wzięli!

Szwedów djabli wzięli nadobre, ale kozacy tylko się przyczaili: w lesie w stajniach pałacowych, w Warszawie, czy w Skierniewicach, wszystko jedno, w razie czego wyskoczą. Nienawidziano ich serdecznie i szczerze. Gdy koło „małych domków“ na krótkiej ulicy Świętokrzyskiej spłoszony koń kozacki zrzucił pijanego jeźdźca i wlókł go za sobą, bo kozak uwiązł nogą w strzemieniu, świadkowie tego wypadku rozbiegali się na wszystkie strony, nie chcąc mieć nic do czynienia z kozakiem. Kobiety wychylały się z okien i załamywały ręce, że przecie człowiek i że tłucze głową o kamienie, ale doświadczeńsi mężczyźni odpowiadali: „Juścić człowiek to on jest, ale ty mu dopomóż za-

trzymać konia i usiąść w siodle, a on cię nahajem zdzieli przez łeb, albo jeszcze lepiej, pociągnie cię przed swoje naczalstwo, że go chciałeś zabić".

To też wszyscy odwracali się z odrazą od tej dziczy i każdy myślał w duchu, że dobrze, iż choć jeden z nich zakosztuje tych rozkoszy, jakich nie szczędzili ludności robotniczej.

Kiedy po przejściu oddziału wstępnego zaaklimatyzowałem się u pana Schmidta nadobre w oddziale pierwszym, trzeba było rozstać się i z nim, jak przedtem rozstałem się z panną Marją. Po wakacjach przyszliśmy wszyscy do jego klasy i pozajmowaliśmy swoje dawne miejsca, ale zanim jeszcze doszło do jakichkolwiek lekcyj, nauczyciel wywołał kilku z pośród nas, porozdawał nam kartki, tego i owego pogłaskał po głowie i wyprawił nas do klasy pana Kurtha, który prowadził dwa wyższe oddziały: drugi i trzeci. O klasie pana Kurtha mówiono nam młodziakom, że to nie przelewki. Tam dopiero jest szkoła naprawdę, tam trzeba umieć wszystko jak Ojczenasz. Historja Rosji, geografja, arytmetyka, „czystopisanie“, „dyktowka“, gramatyka— wszystko musi być odrobione na piątkę, bo jak nie, to karcer i łapy takie wcinane, że aż świszczy. Opowiadali nam o tem starzy bywalcy, którzy w obu oddziałach pana Kurtha siadywali po dwa i trzy lata, więc musieli chyba wiedzieć, jak się rzeczy mają.

Ukłoniliśmy się swemu dotychczasowemu nauczycielowi, panu Schmidtowi, jak zawsze, gdy wychodziliśmy z klasy i gdy żegnał nas spojrzeniem, stojąc na katedrze, i poszliśmy do klasy pana Kurtha. Stanęliśmy pod drzwiami nasłuchując uważnie. Ani śladu tego rozkosznego rejwachu, jaki zazwyczaj panował w naszej klasie dotychczasowej. Spojrzał jeden na drugiego. „Tu ci, bratku, smirno!“ Ze ściśniętem sercem weszliśmy, każdy szurgnął przepisowo prawą nogą zginając się

jednocześnie, co razem było ukłonem, i czekaliśmy na rzeczy i sprawy, które nadejść miały. Pan Kurth spojrzał na nas z głębi klasy, gdzie stały ławki oddziału trzeciego, i dał nam znak, abyśmy poczekali. Klasa była bardzo duża i wysoka, wsparta na kilku żelaznych filarkach.Oddział drugi miał jakąś pracę pisemną i zajęty nią był z wielkiem przejęciem. Głowy pochylały się nad zeszytami, ręce mocno dzierżyły pióra i wypisywały literę za literą, bo pan Kurth nie znosił pisania niechlujnego. Tymczasem oddział trzeci odpowiadał. Nauczyciel stał, trzymając otwartą książkę za plecami i słuchał. Wysoki chłopak, któremu sypały się rudawe wąsiki, patrzył na swoje ręce oparte na ławce i bardzo szybko recytował:

„Predki naszi sławianie...“

Ławki były dość szerokie i w każdej siedziało po czterech uczni: po prawej stronie chłopcy, po lewej dziewczęta. Drugi oddział był ze dwa razy większy od trzeciego, a między obu oddziałami było puste miejsce, w którem zmieściłyby się ze cztery ławki. Rozglądałem się po klasie coraz swobodniej, spostrzegałem znajome twarze i oswajałem się powoli.

„...i pa riekie Akie...“ — mówił rudowąsy akademik z trzeciego oddziału.

Przyszliśmy od pana Schmidta na bosaka, z książkami związanemi poczciwie sznureczkiem i z kawałkami suchego chleba w kieszeni. Tu było jakoś inaczej. Co chwila widziało się, że chłopak czy dziewczynka sięga do ładnego zamykanego piórnika, do skórzanej teczki, czy do tornistra, który się nosi na świecących rzemiennych paskach. Wszyscy byli tu obuci, bardzo wielu miało na sobie ubranie wyraźnie odświętne. To znaczy-

ło, że tu chodzi dużo bogaczy. Trochę to krępowało. Poraz pierwszy w życiu miałem kłopot z bosemi nogami, nie wiedząc, gdzie je podziać, szczególniej, gdy mi na nie spoglądały dziewczynki w czystych fartuszkach, starannie uczesane, z ładnemi szerokiemi kokardami w warkoczach. Od ładnych ubrań uczni tej klasy oczy nieznacznie przenosiły się na nasze „cajgowe" portczyny i kapotki mocno już wyświechtane, a dłoń mimowoli strzepywała jakieś pyłki z rękawów, zdejmowała źdźbła pierza. Na co się to zdało! Tu wszyscy w pierwszych ławkach siedzieli w niebieskich kortach, czy nawet w czarnych sukiennych bluzach, przepasanych lakierowanemi szerokiemi pasami, jak w gimnazjum, byli krótko postrzyżeni i starannie umyci. Spojrzałem na jednego z kolegów, potem na drugiego: cajgowe, szare kapotki, spodenki pokurczone, rękawy wyświechtane. A włosy! Ktoby je tam był czesał specjalnie! Jeden miał czuprynę już tak dobrze rozwiniętą, że ztyłu nad karkiem zaczynała pięknie odwijać się ku górze, jak u dziewczyn. Mimowoli sięgnąłem ręką na własny kark: mniej więcej to samo. Ale cóż robić, fryzjer kosztuje dziesiątkę, której się akurat nie ma!

„...i prapustiw nieprijatiela wpieriod, nanasili jemu parażenie styłu".

Chłopak, przesłuchiwany z historji, usiadł, nauczyciel powiedział odkąd dokąd mają się nauczyć w trzecim oddziale na lekcję następną i podszedł do nas. Nie mogliśmy wzbudzić w nim zachwytu. Przedewszystkiem powiedział nam, że mamy się krótko ostrzyc, następnie, że ubranie trzeba codzień starannie czyścić szczotką, szyję, uszy i twarz myć porządnie, ręce tak samo. Będzie codzień sprawdzał, nieposłusznych będzie

karał, albo i wydali ze szkoły. Następnie przejrzał nasze książki i kajety: nie podobały się mu. Powiedział, że kajety i książki musimy oprawiać w czysty papier, bo brudnych kajetów i książek nie zniesie. Wreszcie wskazał nam miejsca: ty tutaj usiądziesz, ty tu, a ty, duży, tam, na końcu.

Zadzwonił Galbierczyk, dozorca szkolny, na pauzę, i klasa rzuciła się wesoło ku drzwiom. Zawieraliśmy znajomości z nowymi kolegami i byliśmy mocno skrępowani. Ten i ów rozwinął czysty papier i wydobył bułkę z masłem, czy nawet z szynką, jakiś karczmarczyk trzymał w jednej ręce bułkę, w drugiej serdelka i jadł leniwie, byli i tacy, co mieli w płaskiej butelce czyste mleko na drugie śniadanie. Okropny luksus! Jak tu było wyjąć z kieszeni kawałek suchego chleba? Dziewczyny pachniały dobrem mydłem, czy może czem innem, śmiały się wesoło i zbytkowały. Zaczęły się zabawy na dworze, w „berka“, w chowankę, w węża. Zjadłem ukradkiem swój kawałek chleba i myślałem z niepokojem, jak też tu będzie dalej. Dadzą mi w domu dziesiątkę na fryzjera, czy nie dadzą? A jeśli nie dadzą, co było prawie pewne, to co z tego będzie? Oczywiście, nie dali i przez jakiś tydzień trzeba było upominać się o nią, a w klasie wstyd, bo nauczyciel coraz energiczniej domagał się ostrzyżenia włosów. Wreszcie zabrał się do mnie ojciec macochy, usadowił mnie na ławce, wziął jakieś okrutne nożyce i ostrzygł jak owcę. Przyszedłem do klasy dumny, że już jestem ostrzyżony, a tu klęska: wszystko w śmiech, bo miałem okrutnie śmieszne „schody“ powystrzygane z przodu, z tyłu, z boków. Strasznie mi było wstyd, bo

i dziewczyny śmiały się ze mnie. Dziesiątka to były przecie takie wielkie pieniądze!

Nieodmienne cajgowe ubranie, podarte i wyświechtane, dreptanie na bosaka do późnej jesieni, a zimą liche bucięta o podartych podeszwach, przez które wdzierała się do zdrętwiałych nóg zwycięska lodowata woda. Wiecznie jakieś kłopoty i wstydy wobec wszystkich dobrze odzianych i dobrze jadających, a w domu ustalona na wieki wieków bieda z nędzą. Cienka lurka mianowana kawą, kartofle z zacierkami, z żurem, z kaszą, na wieczerzę znowuż garnuszek „kawy“ z chlebem, a potem skrawek łóżka dzielonego z kim się dało. A tu arytmetyka z jakiemiś nadzwyczajnemi figlami! Kupiec miesza herbatę trzech gatunków i trzeba wyliczyć jak ma sprzedawać tę mieszaninę, aby mu przypadł określony zarobek. Nietrudno to było wymiarkować na swój sposób, ale nauczyciel żądał, żeby koniecznie było według teorji. Z rur wylewała się woda niewiadomo dokąd, przez inne rury się wlewała, jedne były większe, drugie mniejsze, otwarto wszystkie rury i zostawiono je otwarte przez trzy minuty. Cóż za nuda, miły Boże! Co mi tam było do całego tego rezerwuaru z jego rurami! Albo te straszliwe pociągi, które pędzą ze stacyj A i B na spotkanie. Jeden przejeżdża na godzinę tyle wiorst, drugi trochę więcej. Kiedy się spotkają? Jaka jest odległość między obiema stacjami?

Na co to wszystko? Aby nauczyciel mógł zapisać w „żurnalu“ dwójkę, czy tam trójkę. Jeszcze lepsza była gramatyka. W Paulsonie „dużym“, czyli w obowiązującej czytance, było tyle ładnych rzeczy o wodospadach w Finlandji, o przygodach różnych, o wiośnie i jesieni, ale cóż z tego, kiedy te opowiadania musieliś-

my „razbirat“ po przeczytaniu. To jest imia „suszczestwitielnoje“ takiego a takiego rodzaju, w takiej a nie innej liczbie i w takim znowu przypadku. To jest „miestoimienie“, a jeszcze inne jakieś słowo to „głagoł“. „Czto takoje głagoł?“ — pytał nauczyciel, a uczeń musiał dokładnie odpowiedzieć: „Głagoł jest izmieniajemaja czast‘ rieczi po załogam, widam, nakłanieniam, wremienam, czisłam i licam“. Gdy się to powtórzyło tyle a tyle razy, można już było recytować napamięć na każde zawołanie, ale coby to znaczyć miało, Bóg jeden wiedzieć raczył. Plagą i to niezgorszą, była „dyktowka“, bo co innego się wymawiało, a co innego trzeba było pisać. Mówiło się „czetyrnacat“, ale pisać kazano „czetyrnadcat“; nauczyciel dyktował: zielonyj, czornyj, zwiozdy, a uczeń powinien był pisać: zielenyj, czernyj, zwjezdy. Czasem całe zdania były chytrą zagadką, na którą uczniak miał odpowiedzieć nieoczekiwanym dowcipem. Nauczyciel dyktował: „W dierewnie wołki cierkow sjeli“. To znaczyło, że we wsi wilki zjadły cerkiew. Jawne głupstwo nawet dla dziecka w dziewiątym roku życia, ale w czem jest figiel, któż mógł odgadnąć? Gdy się za złe napisanie tego zdania już dostało obowiązkową dwóję, wychodziło najaw, że Wołki to nazwa wsi i że w tej wsi jest cerkiew z drzewa jodłowego, czyli „s jeli“. Coś w rodzaju naszego „jechał buk przez Bug, dałby Bóg, żeby buk nie wpadł w Bug“.

Nieco ciekawsza i łatwiejsza była historja, chociaż także niezawsze było wiadomo, dlaczego działy się grube awantury z bijatykami, z podstępami i wrzucaniem posłów do łaźni, w której się ci państwo dusili na śmierć. Ciekawa też była scena, gdy jakichś wysokich panów przywiązywali inni wysocy panowie za nogi do

pochylonych drzew, potem te drzewa prostowały się nagle i rozdzierały tych przywiązanych. Wzruszały opowiadania o Iwanie Susaninie, który tak strasznie wiernie kochał swego cara, chociaż niebardzo można było wymiarkować za co znowu aż tak bardzo był mu wierny. Jeszcze bardziej wzruszali tacy panowie, jak Minin i Pożarskij. Tu jeden z nich wygłaszał w „Istorji Rassiji“ Pucykowicza piękną tyradę o tem, że dla ojczyzny odda wszystko i wołał: „Załażim żon swoich i dietiej“ — czyli że: zastawimy żony swoje i dzieci. To były opowieści z pod nagłówka: „Smutnoje wremja na Rusi“. Ale chociaż te słowa wzruszały, to jednak już się w nie nie wierzyło. Było to takie sobie ładne gadanie, bo po pierwsze, kto weźmie w zastaw żonę Minina czy też Pożarskiego razem z dziećmi? Po drugie chyba takich rzeczy robić nie można. A po trzecie, jak wyglądałoby w tej uratowanej ojczyźnie, gdyby ci panowie zostali sami bez żon i dzieci, oddanych komuś w zastaw?

Daleko przyjemniej było czytać o Napoleonie, który poszedł na Moskwę, a potem tyle zwaliło się na niego klęsk i tak ciężką miał przeprawę przez Berezynę. Głęboką odrazę budziły hordy kozaków, które napastowały rozbite wojska Napoleońskie i znęcały się nad jeńcami. Pozatem Napoleon był i dlatego sympatyczny, że jego rok 1812 był bardzo łatwy do zapamiętania. Żołnierze wracający ze czteroletniej służby wojskowej, przynosili z Rosji różne książki, które pootrzymywali w pułkach swoich jako nagrody za pilność przy nauce „słowiesnosti“, czyli czegoś w rodzaju pogadanek na tematy wojskowe i niewojskowe. Były to książeczki z opowieściami, z legendami, z ba-

śniami ludowemi. W jednej z nich doczytałem się, że książę Oleg według przepowiedni „wieszczego“ czyli „wołchowa“ miał zginąć z powodu swego konia. Rozstał się tedy natychmiast z ulubionym wierzchowcem i wkrótce zapomniał o przepowiedni. Po latach natknął się znowu na tego „wieszczego“ i śmiał się z jego proroctwa. Koń bowiem księcia już dawno nie żył. Książę zapragnął na własne oczy ujrzeć kości swego wierzchowca. Pokazano mu je, leżące w ustronnem miejscu. Oleg podszedł do nich i nogą trącił biały czerep koński. „Oto wartość przepowiedni wieszczków“ — rzekł przy tej sposobności. W tej chwili z pod czerepu końskiego wysunęła się żmija i śmiertelnie ukąsiła księcia. Umarł tedy jednak przez konia swego. Przy szkole istniała bibljoteka nauczycielska i uczniowska, z których jednak mało kto korzystał. Jakoś się do niej zakradłem i brałem, co mi do ręki wpadło. Były tam ładne opowiadania o carze-samozwańcu, o wojnach Napoleońskich, o niewoli tatarskiej. Wszystko pochłaniałem bardzo chciwie, a gdy potem uczyliśmy się odpowiednich rzeczy z historji, wiedziałem znacznie więcej, niż było w naszym Pucykowiczu.

Gdy chodziłem do drugiego i trzeciego oddziału klasy pana Kurtha, zjeżdżał do Żyrardowa na wizytację „popieczitiel warszawskawo uczebnawo okruga“, Popow. Uczyli nas odpowiadać na jego pytania z dodatkiem „wasze prewaschaditielstwo“. Była to więc ekscelencja i budziła istny popłoch śród nauczycieli. Zjeżdżał taki pan „popieczitiel“ najczęściej znienacka, wpadał do klasy, pytał, co za lekcja i przesłuchiwał uczni. Gdy był dobrze usposobiony, zadawał różne żartobliwe pytania i śmiał się z zadowoleniem, jeśli otrzy-

mywał dowcipne odpowiedzi. Sytuacja wytwarzała się nieraz bardzo dramatyczna. Dajmy na to, że była lekcja historji Rosji. Pukanie do drzwi i na progu ukazuje się pan z siwą brodą. Wita się z nauczycielem, struchlałym potrosze i prosi o „kłasnyj żurnał". Patrzy przez okulary po klasie, przerzuca karty dziennika i wywołuje jednego z uczniaków. Ten staje i czeka. Jaką lekcję macie w tej chwili? — pyta dygnitarz. Uczniak odpowiada. Co przechodzicie? Przytomny chłopak odpowiada, że się akurat powtarza wszystko.

„Bojkij malczugan" — mówi Popow, zwracając się do nauczyciela. — „Dawajtie drugowo". I znowuż rozgląda się za przeciętnościami i miernotami. Nagle i niespodziewanie pada jakie nazwisko i wizytator każe sobie szczegółowo opowiedzieć, co się powtarza, co było przedtem, co uczeń zapamiętał i co się stało wtedy a wtedy. Odpowiedzi wypadają dobrze. Wizytator jest widocznie zadowolony, pyta jeszcze o to i owo, a wreszcie rzuca pytanie: „No, a który z was wie, w jaki sposób umarł książę Oleg? Jest przekonany, że tego nikt nie wie, i gotuje się do uraczenia klasy opowiastką interesującą. Przydała mi się książeczka żołnierska, z której się o tej legendzie doczytałem. Podnoszę palce do góry, a gdy przychodzi wezwanie, puszczam wszystko, com był wyczytał w „nagradnoj knižkie", na wysokiego dostojnika. Słucha widocznie zadowolony, ściska nauczycielowi dłoń, daje klasie na „kanfetki", czyli na karmelki i żegna się z nami: „Praszczajtie dieti!" — „Praszczajtie, wasze prewaschaditielstwo!" Innym razem ten sam pan przychodzi na lekcję arytmetyki i gwałtem domaga się, abyśmy mu powiedzieli dlaczego dwa razy dwa jest cztery.

Spoglądamy po sobie bezradni i podejrzliwi. Czyż trzeba dowodzić, że dwa razy dwa jest cztery? Ten i ów ryzykuje uśmiech, bo przecie dostojnik mógł zwarjować. Nauczyciel jest nieszczęśliwy, przestępuje z nogi na nogę i nie wie, co z sobą zrobić. Wreszcie ryzykuje jakąś uwagę. Aha, dobrze, zobaczymy. I pan „popieczitiel" przechodzi na rury rezerwuaru, na mieszaną herbatę, na pociągi pędzące ze stacji A i ze stacji B. Woła chłopców do tablicy i każe robić „rieszenia". Chłopak staje, przezwycięża tremę i zaczyna filozofować, że gdyby było tak, toby było tak, ale skoro jest inaczej, przeto... Z tego wynika to, z tamtego owo, to się dzieli, to się mnoży, to się dodaje i oto jest rezultat. Doskonale! Dygnitarz jest znowu zadowolony, wdaje się w rozmowę z klasą, podchodzi do chłopców, pyta o nazwisko, o rodziców, i wreszcie zapowiada, iż sam zada do rozwiązania zadanie. Nie notować w kajetach, tylko dobrze uważać. „Dwa raznoszczika targawali piragami..." Okazuje się, że jeden z tych przekupni sprzedał wszystko, a drugi tylko połowę. I oto pytanie: „S cziem byli piragi i kak zwat' raznoszczikow?" Humor jest wyborny. Klasa podchwytuje wlot kawał jego ekscelencji, która odpowiedzi, oczywiście, nie oczekuje, bo się wesoło śmieje, ale jakiś spryciarz zaczyna dowodzić, że ten, co wszystko sprzedał, miał „piragi z kapustoj", a ten drugi bez kapusty. Popow zaczyna nacierać na chłopaka: skąd, co i jak, chłopak na niego, że najlepiej idą „piragi s kapustoj", bo o tem i czytywał i słyszał. A co do imion przekupni, to jeden będzie „Udalec", a drugi „Nieudacznyj". Wizytator nie posiadał się z zadowolenia, ściskał nauczycie-

la za ręce, pisał mu jakieś nadzwyczajne rzeczy w dzienniku i dawał na cukierki. Były to czasy generał-gubernatora Hurki, wielkiego rusyfikatora „Priwislinskawo Kraja“, i Apuchtina, który ustalał nawet termin, w którym matki polskie będą dzieciom swoim śpiewać nad kołyskami piosnki rosyjskie.

Oczywiście, że my uczniacy nic o sekretach carskiej polityki nie wiedzieliśmy. Starzy robotnicy siadywali wieczorem na ławkach przed domem i opowiadali sobie o powstaniu, ale tak jakoś dziwnie, iż z owych opowiadań wychodziło na to, że co innego Moskal, co innego Polak, a co innego katolicki „włościjanin“. Ten katolicki „włościjanin“ patrzył na panów szlachtę okiem niechętnem i opowiadał o batach własnych, dziadowskich i pradziadowskich. Moskal baty skasował, ale i Moskalowi dowierzać nie można. Kużden sobie... Słuchało się tych opowieści i biadań, ale coby one znaczyć miały, któżby wiedział? W niedzielę wieczorem, kiedy sobie robociarze wypili jednę kwartę i drugą okowity od Oppenheima, znalazły się raptem ładne melodje i niespodziewane słowa. Śpiewali zrazu półgłosem, sekretnie, żeby nikt niepowołany nie usłyszał, potem pieśni nabierały rozmachu i siły:

„Pijmy zdrowie Mickiewicza
On nam słodkich chwil użycza...“

Wtedy ktoś wychodził na dwór, aby się przekonać, czy niema w pobliżu podsłuchujących uszu, czy okiennice są szczelnie zamknięte i czy na dworze nie słychać śpiewu. Nastrój wytwarzał się sentymentalno-agresywny, zapanowywały chwile milczenia przerywane kilku słowy i westchnieniami. Ktoś zaczynał śpiewać

jakąś pieśń, ktoś inny przestrzegał i kazał być cicho, więc pieśń urywała się na kilku pierwszych słowach.

„Hej strzelcy wraz! Nad nami Orzeł biały...“

Głębokie westchnienie, czy wydech nagromadzonego żalu. Śpiew szeptem z głębi serca idący i gest kapelmistrza, czy wodza podnoszącego szablę. Ale zaraz błagalne zaklęcie gospodyni: „Cciii... Józiu, co ty? Nieszczęście chcesz na nas sprowadzić?“ Więc Józio na chwilę zamilkał, opuszczał głowę, a potem podnosił rękę, jakby się z kimś sprzeczał i twierdził z głębokiem przekonaniem:

„Ej, Bartoszu, Bartoszu, ej nie traćwa nadziei!“

Ten i ów podchwytywał słowa piosnki i już nikt nie myślał o tem, że za okiennicą może stać szpieg albo i strażnik. Za takie piosenki wywozili wtedy do więzień, bili, rujnowali ludzi. Dla nas, młodych dzieci, wszystkie te sprawy były osnute tajemnicą. Strażnik był wróg i kozak był wróg, ale jak do tej wrogości doszło, nikt nie umiał dokładnie powiedzieć. U sąsiadów mieli na ścianie obraz, który wisiał tuż obok Matki Boskiej. Krępy pan z potężnym wąsem podkręconym fantazyjnie. Na ramionach czerwony płaszcz spięty zboku agrafą. Kto to? Polski król, Jan Sobieski. U innych sąsiadów wisiał natomiast portret cara Aleksandra II, albo Aleksandra III. Wytwarzało się w głowie wrażenie jakiejś równoczesności i równorzędności. Jest Aleksander III i jest Jan Sobieski. Kiedy przygodnie wszystkich napędzano do kościoła i gdy ksiądz czytał manifest: „My bożiej miłostju, samodzierżec wsieja Rassiji, car polskij, wielikij kniaź finlandskij...“ —

znowu powstawało pytanie w jaki sposób car rosyjski stał się królem polskim i jeszcze do tego wielkim księciem finlandzkim, ale na to nikt nie chciał odpowiadać. Kazano milczeć i pilnować języka. Więc się pilnowało języka, bo wiedzieliśmy, że ten poszedł do więzienia „za politykę“, tamtego wysiedlili na Sybir, innego obili straszliwie. Trzeba więc było wystrzegać się polityki, ale coby to była za polityka, nikt nie wiedział. Nie śpiewać o Mickiewiczu, o Bartoszu, o strzelcach, nie pytać się o królów polskich, nie gadać niepotrzebnie, oto i wszystko. Wtedy nie było polityki i mogliśmy nie bać się nikogo. Ale co to wszystko znaczyło?

U dziadka z ojca strony zbierali się znajomi na pogawędkę, na „bumlerkę“, jak się mawiało. Mieszkał w „białym domu“ i zajmował wielką izbę, w której łatwo mogły się pomieścić ze trzy rodziny z dziećmi. Toteż różnemi czasy mieszkiwali u niego kątem młodsze rodziny robotnicze. Między innemi mieszkał tam także ręczny tkacz Szlot, człowiek ogromnie wesoły. Przychodzili do niego koledzy z fabryki, z pośród których znałem Sadowskiego, Szwarca, Wrońskiego czy Wręckiego, już nazwiska dokładnie nie pamiętam. Ten ostatni był pończosznikiem, doskonale zarabiał i lubił wypić w dobranem towarzystwie, gdy się czasem niedziela przeciągnęła daleko w poniedziałek. Posyłali mnie wtedy do Oppenheima po półkwarty okowity, po zakąskę, której można było dostać po drodze, i używali sobie. Wręcki był podobno kiedyś organistą, ale przerzucił się do fabryki i bywał z tego powodu przedmiotem życzliwych drwinek swoich towarzyszy. Był to chłop wzrostu wyjątkowo wysokiego, kościsty, dobroduszny, poczciwy „z bebechami“. Gdy przepili do sie-

bie raz i drugi, przekąsili i otarli wąsy, Szlot, urodzony komik i kpiarz, zabierał głos i mówił uroczyście do Wręckiego:

„Tyś, bracie Rochu, czy jak ci tam, zdradził kościół boży całkiem niepotrzebnie, bo ciebie Pan Bóg nie na pończosznika stworzył, ale na organistę. Pończosznikiem może być każda gnida, a tobie Pan Bóg dał wzrost, żebyś nie potrzebował latać na chór, kiedy trzeba naprędce zagrać Veni Creator. Stajesz sobie pod chórem, sięgasz temi swojemy palicami na klawisze i rżniesz, bratku, aż szyby brzęczą".

Szlot wstawał, pokazywał, jak tamten podnosi ręce i jak gra na organach. Było w tem tyle komiki, że wszyscy zaśmiewali się zawsze, nie wyłączając ex-organisty, który zdradził kościół boży dla pończoszarni. Przy sposobności, gdy ludziska spragnieni byli śmiechu, zawsze proszono owego Szlota, aby pokazał jak to Wręcki mógł był grywać na organach, stojąc pod chórem. Sadowski miał reputację zdecydowanego socjalisty i na ucho mówili sobie o nim, że kochany zacny człowiek, tylko że w Pana Boga nie wierzy i nawet powiada, że duszy żadnej niema. A Sadowski, rosły i krzepki tkacz z brzuszkiem i podbródkiem, miał ładny tenor i lubił zaśpiewać na całego:

„Niech się wali, niech się pali,
A my będziem świętowali..."

Gdy śpiewak zabardzo podnosił głos, Szlot wstawał i zaczynał pokazywać jak ten i ów tańcuje w niedzielę „pod trzema murzynami". Ktoś tam miał nóżki w literę X i przy polce albo oberku tłukł się kościstemi kolanami aż stukało. Ktoś inny miał kończyny takie

pałąkowate, że przy walcu zagarniał niemi nogi tancerki jak sierpami. I Szlot pokazywał jak to się odbywało. Świadkowie tych popisów ryczeli, Sadowski zaśmiewał się do łez i przestawał śpiewać niebezpiecznie. Gdy zapanowywała cisza i w butelce widniała już tylko zielona melancholja, Sadowski machał pulchną ręką i zaczynał swoje: „Niech się wali..." Szlot nie czekał, aż tenor Sadowskiego wyrwie się na ulicę z zapowiedzią, że „my będziem świętowali", i odzywał się z miną okrutnie ważną:

— Starą Sielską znasz?

— Którą Sielską? Ankę? Któżby jej nie znał! Tylko poco ty mówisz, że stara?

— Bo są młodsze od niej.

— Juści są i młodsze, ale i ona ujdzie. Ładna babina.

— Ładna. Tylko język, mój ty Boże, ma...!

— A ma. Gębula od ucha do ucha. No to co mi chciałeś o niej powiedzieć?

— Uśmiałem się zdrowo — i Szlot zaczyna się śmiać, zanim jeszcze ktokolwiek dowiedział się przyczyny jego wesołości. Słuchacze śmieją się na kredyt długo i serdecznie.

— No już! Sza! Gadaj, co tam było z Sielską.

— Nic osobliwego. Idę sobie koło apteki, patrzę stoi kuma Sielska z kumą Kobiałową. Gadają. Pozdrawiam po sąsiedzku, przystaję. Kobiałowa kontenta czegoś, prawi, że jej Władek już robi na siebie A Sielska, jak to Sielska, macha ręką i mówi jakby nigdy nic: Z dziećmi to już tak jest: najprzód toto robi pod siebie, a potem na siebie. Wieczny kłopot. I dowidzenia.

Wszyscy się śmieją, są sobie mocno radzi i wyciągają z kieszonek dwudziestówki. Pół kwarty okowity i pół funta kiełbasy. Nastrój się poprawia. Szlot musi jeszcze raz pokazywać, jak się tańcuje walca z pałąkowatemi nogami, i jak idzie oberek, gdy kolana tancerza są za blisko siebie. Śmiech jest burzliwy, radosny, uciecha wylewa się na jasne twarze łzami z roześmianych oczu. Rodzą się niespodziane koncepty, nawijają się wspomnienia jak na zawołanie. Posyłają po Sielską, niech i wdowa wypije i niech poplotkuje z uczciwymi webrami.

— Z pończosznikami! — upomina się Wręcki.

— Pal cię sześć — odpowiada Szlot — dopuszczamy cię do towarzystwa, chociaż jesteś zdrajca i porzuciłeś organy boże dla maszyny pończoszniczej.

Zapada zmierzch, kończy się „blaumontag", ten i ów myśli z melancholijnym uśmiechem, że jutro trzeba będzie jednak iść do fabryki, a pan Sadowski pociesza się swoją piosenką: „Niech się wali..."

— Nie łżyj, bratku, zadużo, bo nie zdrowo. Jak ci marsza na ulicę na gwizdku zagrają, to podyrdasz razem z nami.

Pan Sadowski nie przeczy. Jest smutny. Co innego piosenka, a co innego rzeczywistość.

W owych też czasach poraz pierwszy i jedyny w życiu zetknąłem się z carami rosyjskimi. Pewnego dnia popołudniu przyjechał do szkoły jakiś urzędnik z Warszawy, pogadał uroczyście z panem Kurthem i zaczęły się śpiewy na bardzo wielką skalę, chociaż to nie były dni śpiewów. Ze Skierniewic przyjechał pan Brauliński, kapelmistrz, i ćwiczył olbrzymi chór utworzo-

ny na dziedzińcu szkolnym z kilku klas. Śpiewaliśmy tedy i było nam dobrze na świecie, bo lekcyj coś przez dni dziesięć nie było. Potem przyjechał jakiś wojskowy ze Skierniewic w towarzystwie dobosza i obaj uczyli nas chodzić w takt bębna. Padała komenda: „Szerenga strojś!“ — i wtedy szereg się prostował. Wojskowy mówił nam, jak się stoi na „Smirno!“ —, co się robi, gdy skomenderuje „W rozsypnuju!“ —, jak się zdwaja szeregi i t. d. Ćwiczyliśmy się w śpiewie i w obrotach wojskowych i widzieliśmy, że to było dobre, a w każdym razie lepsze od siedzenia w klasie i pisywania zdradzieckich „dyktowek“.

Szło już pod jesień i poraki były chłodne. Jeździliśmy do Skierniewic na próby, a pewnego dnia ustawiono nas przed pałacykiem skierniewickim i kazano czekać. Na balkonie pałacyku ukazały się jakieś okrutnie wysokie dygnitarskie postaci w orderach, akselbantach i z dziwnemi nakryciami głowy, a nauczyciele nasi denerwowali się coraz bardziej. Długie było czekanie, ale pałacyk jaśniał kolorowo, stali tam Czerkiesi z kindżałami, generałowie i dostojnicy cywilni. Było na co patrzeć. A potem nagle i nieoczekiwanie gdzieś w głębi parku zaszczekało głośno i dobitnie: Wa-wa-wawawa! Wszystko zamarło raptem i zastygło w bezruchu. Szczekanie było coraz bliższe i wreszcie słychać było wyraźnie: „Zdrawia żełajem waszemu impieratorskomu wieliczestwu!“ Wojsko witało cara.

Nauczyciele napominali nas, abyśmy stali cicho, pan Brauliński w mundurze ze świecącemi guzikami, stanął na stołku, abyśmy go wszyscy dobrze widzieli i podniósł obie ręce, jakby wzywał zmiłowania naszego. W pra-

dziej, niż widok cara. Tylko że po drodze trwoniliśmy swoje skarby zgoła lekkomyślnie. Cały tor kolejowy obstawiony był żołnierzami. Obrzucaliśmy ich temi kasztanami i stwierdzaliśmy dziwny dla nas fakt, że żaden z nich ani drgnął gdy mu kasztan spadł na głowę. Wielka była karność carska.

Białe sypkie piaski Nowego Świata leżą w słońcu słodkiem lenistwem, powietrze drga jak niewidzialny płomień, którym pali się ziemia. Cisza głęboka i niesamowita chwili południowej wisi nad domami, nad uliczkami, rynsztokami i ogródkami. Wiuju, wiuwiu, wiujuuu, gra powietrze jakimś ostrym odgłosem dalekich skrzydeł, czy śmig wiatrakowych. Miło jest wsłuchiwać się w to przeciągłe i nieustanne wiuczenie, ledwo dosłyszalne, ale wyraziste. Chce się spać od niego, czy płakać, czy też iść w daleki świat. Jeden z popularyzatorów wiedzy przyrodniczej opisał przepięknie muzykę sfer. Jowisz, jak bąk kosmiczny, niewyobrażalnie wielki, wierci się w przestworzach i huczy głębokim basem; Wenus śpiewa słodkim kontraltem; Mars, tenor bohaterski, przenika przestwór pełnią wysokich i mocnych tonów, a Ziemia śpiewa liryczną canzonę słodką i tkliwą, podczas gdy kręgi Saturna brzęczą szerokim metalowym rytmem. A tu jeszcze Merkury, komety, planetoidy, księżyce srebrne — harmonja sfer.

Mniej więcej to samo, co w Żyrardowie. Ogromne turbiny przędzalni lnu rozdygotały ziemię pod sobą głuchym głębokim basem, ryczą gremple, trzaskają czesalnie niby wielkie kastaniety, ostremi głosami zawodzą prząśnice, cicho nucą motaczki. W tkalni maszyna parowa nadaje rytm krosnom: buch-buch-buch. Tysiące większych i mniejszych krosien śpieszy się w zadyszanym rozpędzie, aby prędzej, aby prędzej.

Niby ljany w dziewiczym lesie snują się zgóry na dół i z dołu na górę tysiące pasów, przekazując zgiełkliwy, ostry i szybki ruch chyżym kołom i zgrzytającym trybom. Śmigają czółenka, trzaskają lady, biją „sznelery“. Wietrzniki obracają się w sufitach i w oknach z szumem i łopotem jakichś olbrzymich ptaków, blaszane wyloty „szlichciarni“ czyli krochmalni, jęczą i płaczą, cewiarnia syczy jak mityczny wąż... Pończoszarnia idzie szybko, miękko, jakby stąpała po warstwach wełny i bawełny. Na Bielniku bucha para z kotłów, a magle walą ciężkiemi tłukami w wywijające się z pod nich wielkie wały omotane płótnami żaglowemi, brezentami, czem trzeba. Gdy podejść do której z maszyn, słychać tylko ją, ale dość oddalić się nieco, aby usłyszeć wszystkie odgłosy stopione w wielki zgiełk i zamęt, od którego w głowie się kręci.

Zaś na Nowym Świecie słychać nad piaskami już tylko to wiuczenie senne, szum jakiejś tęsknoty, która woła w nieznane dale, i narzekanie, od którego chce się płakać. Słońce stoi wysoko i nagrzewa piaski pustkowi między rzędami domów. Tu niskie domki długim rzędem biegną aż ku Brzezinie, tu puste pole, tu drugi rząd takich samych domków biegnących ku cmentarzowi, potem uliczka, potem rząd wyższych domów, a za niemi zagony kartofli, płaty łopuchów i gęstwiny chrzanów o tłustych liściach. Cisza powtarza swoje melancholijne wiujujjjuuu bez końca i bez chwili przerwy, topole przy kościołku rzucają chłodne modre cienie na piaski pod sobą i za sobą, na ulicach jest pusto. Nagle w tę pustkę pada jakieś rozpaczliwe wołanie o ratunek, czy co? Smat, smat, smaaat! Głos jest wysoki,

wzbija się wołaniem coraz wyżej nad strzechy domów, leci ku słońcu i urywa się gdzieś okrutnie już wysoko.

Smotek. Stary żyd, o siwej skudłanej brodzie, na wózku pełnym łachów i gnatów, jedzie przez Żyrardów, pogania swego starego siwka, gnaciastego i sztywnego, a co chwila, jakby dla ratowania się przed własnym rozpaczliwym losem woła wysokim tenorem: Smat, smat, smaaaat...! Jego głos jest ładny i żywo przypomina głos muezzinów wzywający wiernych, aby oddali cześć Allahowi. Ale to jest wspomnienie z przed lat czterdziestu, słoneczne, gorące i miłe. O pięknym głosie muezzinów mówił mi Niemojewski znacznie później, po powrocie ze Wschodu i gdy się rozwodził nad słodyczą muezzinowych wezwań do pacierzy, wyobraźnia podsunęła mi ilustrację w postaci starego Smotka i jego wołań: Smat, smat, smaaat!

Od tego wołania budziło się coś w sennej południowej ciszy i z cienia uliczki odzywało się jasne przenikliwe brzękadło szlifierza: dzyń-dzyń-dzyń dzyń-dzyń-dzyń... Kumy i dzieci biegną do smotka: ten uzbierał parę funtów gnatów, tamta ma sporo szmat rozmaitych. Smotek zatrzymuje konika: Prrr! Waży gnaty i pokazuje ile tego jest, żeby każdy widział. Cztery grosze, no pięć. Sprzedawca uważa, że mało, nabywca sumituje się, że więcej na swoje sumienie, auf majne munes, dać nie może. Zresztą, niech będzie jego krzywda, sześć groszy. A sof? Niech będzie. Teraz szmaty. Znowuż się je waży. Da igieł do szycia, prawdziwych angielskich i nici Broksa. Ustala się stosunek ceny szmat do ceny igieł i nici. Okazuje się, że Smotek jest rzetelny żyd. A szlifierz swoje: dzyń-dzyń-dzyń! Ktoś podał mu nożyce, że już takie tępe, chłopak od rzeźni-

ka niesie kilka noży. W któremś podwórzu Słowak owieszony drutami i pułapkami na myszy, trzyma w ręku kilka brytfan z białej blachy i z czarnej blachy i woła: „Garki drutowat'!“ Akcentuje mocno pierwszą sylabę druuu-towat', i to ma wdzięk egzotyczny. Ubrany jest w obcisłe portki z szarego worka, na nogach ma dziwaczne sandały, na plecach jakąś pelerynkę czy ornacik, a na głowie kapelusik okrągły. Warto mu się uważnie przypatrzeć, bo aż z Węgier idzie, a gdy drutuje garnek, to opowiadanie jego o wysokich górach Karpackich i o świecie więcej warte, niż wszystkie garnki i całe jego drutowanie. Ale to jeszcze nie wszystko: gdzieś z trzeciego podwórka dolatują skoczne dźwięki krakowiaczka. Katarynka! Jest już trochę sapliwa i wysokie tony wykwikuje zgoła pociesznie, ale na niej siedzi kolorowa papuga i gotowa jest za szóstkę sięgnąć krzywym dziobem po „płanetę“ dla panien, dla kawalerów, dla mężatek, dla wdów. Za sześć groszy. Kawalerów niema, ale panny, mężatki i wdowy śpieszą jedna za drugą, aby się dowiedzieć o swoich losach. Katarynka gra, papuga ostrzy dziób, a z samego końca świata odzywa się lament straszliwy: Rolety, dywany! Dywaaany! Przypominał mi się często ten zesłaniec rosyjski — Tatarzyn, Moskal? — ilekroć zdarzyło się słyszeć coś z „Lohengrina“. Ach, Elzo z Brabantu, łabędziu mój, święty Graalu, Tannhäuserze, i to wszystko, czego nie pamiętam, jakież podobne jesteście, wy dziwne sprawy, do tego wołania o roletach i dywaaanach! A tu jeszcze nowa melodja: „Sacharnoje marożennoje!“ — z czego słyszało się tylko: „Sachar... marożny“. W skrócie nazywaliśmy te przedziwne słodycze „siacher marożny“ i cztery grosze

otrzymane od Smotka za szmaty czy kości inwestowaliśmy natychmiast w lodowatej słodyczy, jeśli się okazja nadarzyła.

Życie pachniało przeróżnie, jarzyło się w słońcu wszystkiemi barwami, krzyczało i wołało ze wszystkich stron na wszystkie strony. Z nudnej klasy wylatywały marzenia w szeroki świat i wracały na brudną ławę, aby odpowiadać na pytania nauczyciela o rzeczach obojętnych, dalekich i śmiesznych. Borys Godunow? Piotr Wielki? Granice północne Italji? Największe wulkany Europy? „Czto takoje miestoimienie?“ W każdym oddziale, prócz wstępnego, dostawałem nagrody, czasem pierwsze. Przeszedłem drugi oddział, potem trzeci. Miałem lat dziesięć. Do fabryki nie wezmą. Poszedł ojciec do nauczyciela, żeby mnie trzymał w klasie jeszcze rok. Doskonale, zgodził się bardzo łatwo. Chodziłem tedy drugi rok do oddziału trzeciego, a w niedziele, święta i w popołudnia sobotnie włóczyłem się po polach, lasach, nad rzekami. Tataraki pachnące Zielonemi Świątkami, grążele, wyrastające z ciemnych topieli i kwitnące białemi kwiatami śród szerokich liści, jakież to były rozkosze! A u brzega „starej rzeki“ zatrzęsienie niezapominajek. Były duże i pachniały dziwnie słodko. Pewnego popołudnia sobotniego narwałem ich pełną naręcz i wracałem do domu wzdłuż rzeki od strony lasu. Spotkałem piękną panią, letniczkę.Uśmiechnęła się do mnie, czy do tych kwiatów, że takie ładne i tak ich dużo. Podałem jej niezapominajki, szczęśliwy, że mogę je ofiarować jednej z tych pań dalekich i niedostępnych. Przyjęła dar, pochyliła się nade mną, aby go wziąć z moich rąk. Była bielutka, na twarzy miała złotawy puszek i pachniała lepiej od nie-

zapominajek. Stałem, oczarowany, bo nie znałem jeszcze wtedy pudrów Houbiganta i Cotty. Na białym karku pod jasnemi zwiniętemi warkoczami kręciły się jej sekretnie złociste włoski. Pragnąłem, aby stała tak pochylona na wieki wieków.

Podziękowała mi, uśmiechnęła się ładnie, a potem dała mi miedzianego czworaka i poszła. Byłem w szarem cajgowem ubraniu, dobrze znoszonem, jak zawsze, cóż miała robić? Musiała mi dać cztery grosze. Postałem chwilę i patrzyłem za nią, czy się nie obejrzy. Nie obejrzała się. Zrobiło mi się smutno. Rzuciłem czworaka w wodę i połykałem jakieś gorzkawe śliny. Zaczynały się kłopoty z kobietami. Ten był pierwszy i nie najgorszy, a przydarzył się może dlatego, że w sobotę mieliśmy od trzeciej do czwartej śpiewy. Pan Kurth był rozmiłowany w śpiewie i umiał uczyć śpiewu. Śpiewaliśmy mnóstwo piosenek ukraińskich i rosyjskich o melodjach miłych i ładnych, na trzy głosy. Czasem udało się panu Kurthowi przemycić jednę z cudownych kolend polskich, jak np. „Bóg się rodzi“... albo pieśń „Kiedy ranne wstają zorze“, ale pozatem śpiewaliśmy dużo piosenek miłosnych, poprzerabianych urzędowo na sprawy między przyjaciółkami, lecz tak niezręcznie, że romantyzm miłosny aż buchał z programowego tekstu i z melodji, zarażając najniewinniejsze serca tęsknotami i marzeniami bardzo przedwczesnemi. Te lekcje śpiewów nastrajały nas osobliwie: siedzieliśmy w ławkach, nic nie robiąc, podczas gdy nauczyciel sposobił jeden z głosów, patrzyliśmy dziewczętom w oczy i nie wiedzieć dlaczego, rumienieliśmy się. Gdy spojrzenia chłopców i dziewcząt spotykały się kilka razy i gdy potem śpiewaliśmy: „Ja wieczor w ługach gulała...“—

to miłość była gotowa. Pierwsza szkolna miłość, uparta i niewinna. Odra erotyczna, która musiała minąć i mijała, oczywiście, ale robiła swoje w organizmie psychicznym, pozostawiając w nim urazy i kompleksy.

Chór naszej klasy był rzeczywiście ładny i gdyśmy zaczęli śpiewać przepisowe „potpourri“ z rosyjskich i małorosyjskich pieśni ludowych, w którem epicka szerokość burłackich melodyj przeplatała się skocznemi rytmami kozaczków i liryzmem pieśni miłosnych, to przed szkołą gromadziły się tłumy słuchaczy, przedewszystkiem żydów świętujących w sobotę i znających się na ładnym śpiewie. Po lekcji śpiewu w środę i w sobotę wracałem do domu ciężki od marzeń pozbawionych określonej treści i celu, i tem właśnie męczących. Takich samych uczuć doznawałem później, gdy słuchałem wielkich muzyków. Zawsze chciało się zrobić coś równie wielkiego jak ta muzyka, a ponieważ nie można było ani wzlecieć pod obłoki, ani zatrząść światem, więc działo się jak na obrazie Balestrierego: artysta siedzi przy fortepianie, na półce biust głuchego Beethovena i dwoje ludzi na kanapie. Ona podciągnęła nogi pod samą brodę i patrzy ogromnemi załzawionemi oczami nie wiadomo w co, on pochylił głowę i załamał ręce. Widziałem reprodukcję tego obrazu poraz pierwszy w oknie wystawowem Königa w Heidelbergu i stawałem przed nim bardzo często. Tłumaczył mi coś dawnego i wiecznie aktualnego, a zarazem rozgrzeszał, że nikt nic nie poradzi wobec nakazów muzyki. Nie można wzlecieć nad obłoki na własnych skrzydłach i nie można zatrząść światem, i stąd ten smutek pełen słodyczy, ach jakże gorzkiej!

Lubiłem też chodzić po gąszczach leśnych, podpatrywać ptaki w gniazdach, żmije i jaszczurki. Jakie wielkie wrażenie wywarł na mnie widok kobiety śpiącej w głębi lasu śród zielonej paproci! Ramiona odrzuciła za głowę, na oczy zgarnęła chustkę. Bluzkę miała rozpiętą, sukienka zsuwała się daleko poza krótkie pończochy. Patrzyłem na nią z bijącem sercem, bojąc się, że ją moje spojrzenie zbudzi, a potem ogarnął mnie lęk i uciekłem. Wspominam to niepojęte wrażenie równie często, jak inne, podobne, czy może niepodobne. Mieszkałem w Alzacji w jednym z tych Weilerów, których tam jest pełno. Byłem młodziutkim studentem drugiego semestru, w głowie miałem pełno Schopenhauera, którego filozofję wykładał właśnie sławny Kuno Fischer, i łatwo nawiązałem romans z kuzynką moich gospodarzy. Gdy miesiąc zeszedł, a psy się pośpiły, spotykaliśmy się w ogrodzie i spędzaliśmy z sobą całe noce. Pewnego razu, gdy się rozstaliśmy i gdy obszedłem chytrze czujność wielkiego doga duńskiego, który szczekał przy lada sposobności i mógł nas sromotnie zasypać, przez okno swego pokoju, wychodzącego na pustą uliczkę, ujrzałem kobietę w chustce na głowie, w prostej sukience wieśniaczki, w drewnianych chodakach. Było dopiero po trzeciej, uliczka pogrążona była jeszcze w głębokim cieniu. W nocnej ciszy huczał daleki kurjer pędzący do Strassburga. Kobieta szła z pochyloną głową i głośno szlochała. Co się stało? Szybko przeszła przez uliczkę i znikła w cieniu przedrannych mroków. Wydało mi się, że to jest ta sama kobieta, którą widziałem śpiącą śród zielonych paproci radziwiłłowskich lasów. Do dziś nie mogę zrozumieć, dla-

czego nie pobiegłem za nią i nie zapytałem, czemu płacze tak gorzko?

Chodziłem się kąpać do stawu rudzkiego albo do starej rzeki i przygodnie patrzyłem na topielców, wyłowionych z tego stawu, czy z wirów złej rzeki. Aż mi się wierzyć nie chce, że byłem taki beztroski w owych czasach i taki wprost nieśmiertelny. Ani przez myśl mi nie przeszło, że mógłbym także utonąć w wirach starej rzeki lub w zdradliwych głębinach stawu, który pochłonął tyle ofiar. Do największych przyjemności tamtych lat należało chodzenie na grzyby, oczywiście, z ojcem. Brało się stare, znoszone buty, bo nowych nie można było niszczyć na rosie, kawałek chleba do kieszeni, chustkę i nóż, i hajda do lasu! Wychodziliśmy przed świtem, żeby się nie dać nikomu ubiec i do lasu docieraliśmy w chwili, gdy budził się dzień. Wtedy zaczynało się to samo, co w piosence: „Tu rydz, tu grzyb, tu surojadka". Było tam tyle tych różnych koźlarów, kurków, olszówek, kozich bródek, niemek, czubajek, turków, zajęczych grzybków, gąsek, maślaczy, że po kilku godzinach wracaliśmy do domu z chustkami pełnemi grzybów i bedłek. Brnęliśmy wysokiemi ostremi trawami, z pod nóg zrywał się często duży ptak i z wielkim szumem skrzydeł wzbijał się na drzewo, z chichotem kukały nad nami kukułki, śpiewały nieznane ptaki. Ojciec mówił mi wtedy, że z trawy wyleciał głuszec, że kukułka sama dzieci nie wysiaduje, a ptaszek co polatuje za nami i świergoli, to taki przedrzeźniacz: chce żeby się do niego koniecznie odezwać. Więc się do niego odzywałem. Czy mu to sprawiło przyjemność, nie wiem. W domu nastawała nowa przyjemność oczyszczania grzybów, a potem była wyżerka. Oczywiście,

że na grzyby mogliśmy chodzić tylko w święta i w niedziele, bo do fabryki wybieraliśmy się już o pół do szóstej rano.

Do świąt dorocznych, które wszyscy bardzo lubiliśmy, trzeba jeszcze doliczyć dni inwentarzowe. Zarząd fabryki wybierał taki dzień, który przedzielał dwa święta: albo sobotę, gdy święto wypadło w piątek, albo poniedziałek, gdy święto było we wtorek, i w takie trzy dni świąt urządzano inwentarz. Jednocześnie oczyszczano stawy, a wtedy spuszczano z nich wodę, co było widokiem wysoce interesującym dla ludzi równiny mazowieckiej, którzy nigdy nie widzieli wodospadu. Wszyscy zaopatrywali się wtedy w sieci, w kancerki, w podrywki zrobione z byle czego, i śpieszyli łowić ryby i raki, zdezorjentowane rewolucją, jaka powstawała przy spuszczaniu wody. Stawy szlamowano bardzo starannie, poczem zamykano stawidła i robota zaczynała się w fabryce nanowo.

Przy takiem chodzeniu na grzyby i na ryby, włóczeniu się po lasach i polach w niedziele i święta, zleciał mi ostatni rok szkoły, upłynęły ostatnie wakacje. Gdy w pierwszych dniach września rówieśnicy zabierali się z książkami do szkoły, ja miałem już zostać w domu. Rodzice mawiali, że mnie oddadzą do seminarjum, czy do jakiej innej szkoły, jako że byłem podobno nadzwyczajnie zdolny, ale nikt nie wiedział, jak się do tego zabrać, a zresztą to było zbyt kosztowne, jak dla nas. Zostałem tedy w domu. Zobaczymy, co będzie dalej. Było mi smutno. Przyszedł jeden z tych niezliczonych smutków, któremi usiane jest życie ludzkie i na które niema rady. Ta sama szkoła, z której tyle razy uciekałem, stała się nagle okrutnie miła i bliska

sercu. Musiałem ją pożegnać. Zostać trzeci rok w trzecim oddziale? Byłyby to czyste kpiny. Lecz rozpamiętywanie skończyło się bardzo szybko. Do pana Kurtha, który słynął z tego, że wychowywał dobrych kaligrafów i rachmistrzów, posłano z kantoru zapytanie, czy nie ma absolwentów swej szkoły, którzy mogliby zostać przyjęci do kantoru tkalni. Zacny nauczyciel polecił przedewszystkiem mnie.

Wdziałem odświętne ubranie i kamaszki, mocno już rozciapane, zawiązałem obyczajem naszym ojcową chustkę jedwabną na szyję i poszedłem do fabryki. Posadzono mnie przy stoliku, dano coś do przepisywania, a od czasu do czasu posyłano z listami i książkami do poszczególnych oddziałów i do kantoru głównego. Miałem 25 kopiejek dziennie i marszałkowską buławę dyrektora w tornistrze. Kupiłem sobie kołnierzyk i krawat, żeby się upodobnić do innych pracowników kantorowych, potem dostałem nowe kamaszki i awansowałem. Na Boże Narodzenie otrzymałem podwyżkę na 35 kopiejek dziennie, a po roku, gdy skończyłem lat 13, miałem już 45 kopiejek dziennie, czyli dwa rubie i 70 kopiejek tygodniowo. Było to dużo, gdy się zważy, że wtedy dniówki nie przekraczały naogół 50 kopiejek dziennie i że niejeden robotnik mający żonę i dzieci zarabiał tygodniowo okrągło trzy ruble.

Ta względna wysokość mego zarobku nie zadowalała mnie jednak, bo mi na nic nie starczało. Już wtedy ulegałem manji, która z czasem rozwinąć się miała wprost fatalnie, a mianowicie manji kupowania książek. Nie mogłem się rzucać nadmiernie, bo nie było z czem, ale i trzydzieści kopiejek tygodniowo na książki było już wiele, jeśli dodać do tego drugie trzy-

dzieści na papierosy. Na utrzymanie, ubranie, obuwie, pranie i t. d. pozostawało dwa ruble na tydzień. Rozpacz! Ale cóż było robić? Korzystałem z każdej sposobności, aby zarobić kilkadziesiąt kopiejek. Udzielało się lekcyj, pracowało się po „fajerancie“, za co fabryka płaciła o 50 proc. wyżej, ale w sumie i to dawało nie więcej jak jakie 40 — 50 kopiejek tygodniowo. Trzeba było pomyśleć o jakiejś lepszej przyszłości.

Zdarzyło się wtedy, że jeden z żyrardowiaków najmłodszego pokolenia, pracujący jako praktykant kantorowy, zabrał się cichaczem do nauki buchalterji. Biura Zakładów Żyrardowskich wysyłały do swoich biur w Warszawie obfitą korespondencję przez woźnych, którym płaciły odpowiednie djety. Ów tedy aspirant buchalterji zaproponował szefowi poczty fabrycznej, że w sobotę po zamknięciu biura zabierać będzie pocztę do Warszawy wzamian za djety woźnego, czyli za zwrot kosztów podróży i drobnych dodatków. Otrzymywał tyle, że mógł jeździć co tydzień do Warszawy i jeszcze opłacać kursa niedzielne i wieczorowe u Chankowskiego, który wtedy całej Polsce wykładał buchalterję. Po ukończeniu kursu młody praktykant odrazu awansował i dostał pensję świetną jak na owe czasy i swój wiek.

Przykład był zaraźliwy. Wszystko, co żyło, rzuciło się na buchalterję. Z samego Żyrardowa jeździło zrazu kilkunastu, później kilkudziesięciu młodzieńców do Chankowskiego i do innych nauczycieli tego przedmiotu. Było jasne, że dla takiej masy buchalterów nie starczy pracy w Żyrardowie i niełatwo będzie o nią gdzieindziej. Z naśladowania tedy łatwego przykładu zrezygnowałem, ale za to zabrałem się do innych rzeczy. Naprzeciwko bramy fabrycznej był sklep Berenta,

księgarnia, galanterja, papierosy, obrazy, nafta, pieczywo, czekolada i t. d. W oknie wystawione były pierwsze zeszyty Samouczka języka francuskiego „pedagoga Reussnera". Zeszyt 15 kopiejek. Kupiłem pierwszy zeszyt i pochłonąłem całą jego treść w ciągu tygodnia. Potem kupowałem następne w tempie przyśpieszonem. Nauczę się dobrze po francusku, po niemiecku, po rosyjsku, przejdę kurs korespondencji handlowej i będę korespondentem. Po kilku miesiącach byłem posiadaczem kilkudziesięciu zeszytów Samouczka, znałem ich treść od deski do deski i gdyby się Francuzi uczyli swego języka także z tego podręcznika, to byłbym mógł powiedzieć, że ten język znam, ale kiedym sobie za drogie pieniądze sprowadził jakąś nowelkę Maupassanta i zabrałem się do czytania, spostrzegłem, że rozumiem poszczególne słowa, lecz jaki w tych słowach jest sens, tego wymiarkować nie mogłem. Znowuż fala smutku zalała mnie od stóp do głów i obezwładniła na długo. Do rozmówek, na których uczyłem się francuskiego, byłbym mógł dodać pytanie i odpowiedź tego rodzaju: „Parlez-vous français?" — Czy mówisz pan po francusku? „Oui, je parle français, mais je n'en comprends rien du tout". Owszem, mówię po francusku, ale nic a nic z tego nie rozumiem. Tylko że takiego zdania byłbym wtedy nie zmajstrował. Dziecinne rozpacze są głębokie i czarne jak noc, ale na szczęście nie trwają długo.

Koło kantoru, w którym pracowałem był warsztat mechaniczny; bardzo lubiłem zaglądać do niego. Terminował tam mój rówieśnik i były kolega szkolny, Fröhlich. Jego ojciec mógł mu dać tak zwany fach i pieniądze na założenie własnego warsztatu. To było

warte więcej, niż urzędowanie w biurach fabrycznych. Gadu-gadu. Czy nie poszedłbym kąpać się do nich. Mają łazienkę dla urzędników pod swoim nadzorem. Dno jest czyste, z upustu spada struga zimnej wody, jest tam cudownie. Przychodzą też różni znajomi, naprzykład synowie pastora Gundlacha i brat doktora Tokarskiego. Chodziłem tedy do kąpieli razem z tymi szczęśliwcami, którzy jeździli do Warszawy do gimnazjum. Synowie pastora Gundlacha podczas wakacyj letnich pracowali w warsztacie mechanicznym ze względów pedagogicznych. Ojciec ich chciał, aby dokładnie poznali pracę fizyczną. Widywaliśmy się tedy często i codzień spotykaliśmy się w kąpieli, gdzie bywało bardzo wesoło.

Kiedyś w drodze powrotnej zagadnąłem jednego z młodych Gundlachów czego uczą się w gimnazjum. Odpowiedział mi. Najbardziej zastanowił mnie język grecki. Łacina była wszędzie: na recepcie doktorskiej, w pacierzach, w powieściach Sienkiewicza, i można ją było od biedy zrozumieć, ale grecki? Jak też po grecku nazywa się naprzykład dom. Ojkija. Dziwacznie. To już nie żaden domus, Haus, czy la maison. Ojkija do niczego niepodobne i na to już żadne samouczki nie pomogą. Niema samouczków do nauki języka greckiego. Trzeba koniecznie chodzić do gimnazjum, ale na to brak, niestety, pieniędzy. Jeszcze jeden żal pomieszany z zawiścią.

A potem nawet wstyd. Ojkija? Przecież to jest kpina. To znaczy: oj, kija! Na kogo? A na takiego, co stawia takie głupie pytania! Czułem się poniewierany, ale nie byłem pewien, czy ze mnie zakpiono, czy też dom po grecku naprawdę nazywa się ojkija. Musia-

łem to więc sprawdzić, zanim będę mógł obrazić się na młodego Gundlacha. Trwało to długo. Cierpliwie i wytrwale chodziłem koło tej sprawy i dowiadywałem się powoli o antykwarniach, gdzie sprzedają stare podręczniki gimnazjalne, o programach szkół średnich, o prawach eksternów do zdawania egzaminów na maturę. Każda taka wiadomość była poprostu objawieniem. Ale pojechać do Warszawy i kupić potrzebne książki było niemożliwością. Sama podróż byłaby kosztowała połowę wypłaty tygodniowej, a tu jeszcze książki! Musiałem więc czekać cierpliwie na okazję, kupować, wymieniać, zdobywać gramatyki, komentarze, ćwiczenia. I wreszcie pewnego wieczoru jesiennego, kiedy wszyscy w izbie pokładli się spać, mogłem był zusadowić się w kącie, zasłonić świecę marynarką, zawieszoną na poręczy krzesełka, aby nikomu nie przeszkadzała, i odczytywać tekst Anabasis Ksenofonta: „Dareiu kaj Paryzatidos gygnontai paides dyo; presbyteros men Artaxerxes, neoteros de Kyros...".

Starałem się wymiarkować sekrety składni tego dziwnego języka i wierzyłem niezłomnie, że mi się to wszystko w głowie rozleży. Więc dalej. Słowniczek, gramatyka, dowcip... Jeszcze to i jeszcze owo. Około drugiej zapędzono mnie gwałtem na siennik, ale spać nie mogłem: powtarzałem sobie deklinację łacińską i byłem rad, że trzeci przypadek liczby pojedynczej pewnej deklinacji ma i w łacinie i w greckim taką samą końcówkę. Populus, populi, populo; adelfos, adelfu, adelfo. A w dodatku jak miło, że brat zwie się adelfos, a siostra adelfe. Adelfoi, adelfai... Wszystko takie proste, jasne, łatwe! Okropności konjugacji greckiej i zamęt, jaki w reguły grama-

tyki łacińskiej wprowadzały deponentia, miały mi zatruć życie dopiero znacznie później. Narazie radość płoszyła mi z oczu sen i malowała przyszłość w barwach tęczowych i wesołych. I co najważniejsza po upływie roku od chwili, gdy usłyszałem słowo ojkija, wiedziałem już napewno, że ze mnie nie zakpiono, że potraktowano mnie poważnie. Więc obrażać się nie miałem powodu. Byłem szczęśliwy i zasnąłem bardzo późno. Po takiej nocnej nauce ze wstawaniem zawsze był kłopot, ale ostatecznie wstać musiałem, bo praca zaczynała się o szóstej rano, a o grubszem spóźnieniu się nie mogło być mowy. Siadałem nad księgą zarobkową „centrali tkalni" i obliczałem, ile kto zarobił. Godzin tyle, za godzinę tyle. Ten i ów miał specjalne premja. Nie święci garnki lepią. Tylko, że chce się spać, a w dodatku do serca wkrada się niepokój, czy się aby wszystko zrozumie. Matematyka, powiadają wszyscy jednozgodnie, okrutnie trudna, rosyjski trzeba znać jak Ojczenasz, a historja, a przyroda?

Ale życie było wtedy nieskończenie długie i można z niem było zrobić wszystko. Cała wieczność czekała, aby jej cząstki użyć na naukę konjugacji greckiej, składni łacińskiej, równań z kilkoma niewiadomemi i djabli wiedzą czego tam jeszcze. Roznamiętniałem się powoli. Cel zginął mi z oczu, karjera przestawała mnie interesować, budziły się zaciekawienia filologiczne, historyczne, przyrodnicze. Na elementarne pytania musiałem szukać odpowiedzi tygodniami, ale ta praca odkrywania tajemnic była ogromnie miła i pociągająca. Tyle tylko, że jadałem licho, nie wysypiałem się porządnie, paliłem dużo papierosów i po paru latach takiego życia rozchorowałem się bardzo.

Fabryka była cudowna. Zarabiałem w niej nietylko na chleb powszedni, ale syciłem głód ciekawości, podniecany na każdym kroku. Maszyna w przyjaźni z człowiekiem była mądrym żelaznym siłaczem, życzliwym i posłusznym, ale gdy ją pozostawiono samej sobie, stawała się potworem niszczycielskim i straszliwym. Ruch jest sprawą tajemniczą, a ruch celowy, twórczy, rozumny, budzi zawsze podziw. Patrzyłem na różne maszyny jak na istoty żywe i dostrzegałem tyle różnic indywidualnych śród maszyn, ile ich się widzi śród ludzi. Malutkie krosna tkające ścierki i zgrzebne płótna pracowały szybko, hałaśliwie, nerwowo, z jakimś dzikim pośpiechem, podczas gdy krosna duże, wyrabiające piękną stołowiznę, szły cicho, sprawnie, względnie wolno. Maszyny cewiarskie, motające nici na niezliczone cewki i szpule, pracowały dyskretnie, szeptliwie, a na sali cewiarek panowała atmosfera zadumy, przerywana tylko na chwilę, gdy otwierały się drzwi od sali tkackiej i przez nie wdzierał się ogłuszający ryk i trzask tysiąca krosien. W przędzalni lnu panował ruch poprostu wściekły: trzaskało żelazo zderzające się z żelazem, stalowe grzebienie przejeżdżały po warkoczach jasnego lnu, ręce robotników chwytały len wyczesany i rzucały niecierpliwej maszynie kołtuny skudłane jeszcze i szare. W gremplarni, na parterze wielkiej budowli, która nazywała się „dużą fabryką“ panował zawsze szary półmrok, bo powietrze nasycone było drobniutkim pyłem czyszczonego lnu. Robot-

nicy uwijali się tu żwawo i w milczeniu, a usta miewali prawie zawsze poowiązywane pasmami jasnego niedoprządu. Długie bębny najeżone kolcami, obracały się blisko siebie rozczesując i rozdzielając len, bez wielkiego pośpiechu, ale tak jakoś nieubłaganie i nieustępliwie, że od tych maszyn powiewało strachem.

Ten strach, który włóczył się śród maszyn gremplarskich, zrodził się w mojej wyobraźni pewnej soboty, gdy pod koniec wypłaty rozeszła się wieść, że „jednego w gremplarni maszyna zgnietła". Co za jeden? Zimek, syn tej Zimkowej co włoszczyzną handluje. Przepisy fabryczne surowo zakazywały czyszczenie maszyn w ruchu, ale młodzi robotnicy, którym pilno było opuścić fabrykę po wypłacie, czyścili swoje maszyny jeszcze w ruchu będące. Zimek pochylił się tak nieszczęśliwie nad maszyną, że głowę jego schwytały długie dwa bębny najeżone kolcami i zgniotły ją jak orzech. Mózg opryskał maszynę i ściany. Zatrzymano maszynę, wydobyto trupa i odesłano do kostnicy. Poszedłem popatrzeć razem z innymi. Serce ścisnęło się boleśnie, na maszynę spojrzałem jak na wroga i po powrocie do domu nie mogłem jeść obiadu. Sięgnąłem po stary kalendarz i natknąłem się na wizerunek pięknej Elżbiety, cesarzowej austrjackiej, zamordowanej w Genewie przez Luccheniego. Tekst opisywał szczegóły morderstwa. Czytałem ten tekst o tragicznej śmierci pięknej pani i byłem przywalony ciężarem nieustępliwego smutku. Wykradłem się z domu, sam nie wiem jak zaszedłem na skraj lasu i usiadłem pod sosnami. Chciałem rozgarnąć ten mrok, którym byłem oplątany jak pajęczyną. Wyciągnąłem się na trawie pod drzewami i próbowałem myśleć.

Nie udawało mi się, bo w głowie miałem tylko dwa słowa: ¡Veni Creator! W Żyrardowie hymn ten śpiewano zawsze przy ślubach, znałem te słowa doskonale i rozumiałem je. Teraz, gdy zwaliła się na mnie śmierć młodego robotnika i śmierć cesarzowej, i gdy nie umiałem dać sobie z niemi rady, po głowie chodziły mi te dwa słowa: Przyjdź, Stworzycielu! Przyjdź i wytłumacz mi niepojęte i smutne.

Zapamiętałem się w leśnej ciszy sobotniego popołudnia i czekałem na nadejście myśli jasnych, rozumnych, godzących człowieka smutnego z życiem i ze śmiercią. Czekałem daremnie: myślenie jest tylko zapamiętywaniem się, bo myśleć można jedynie o tem, o czem się już myślało, zaś nowe myśli przychodzą nagle i niespodziewanie. Do domu wlokłem się wolno, noga za nogą, jak człowiek obarczony brzemieniem nad siły. Spałem źle, niedzielę miałem posępną, a w poniedziałek poszedłem pod jakimś pretekstem do przędzalni i przez okno spojrzałem na maszynę, która zamordowała człowieka. Biegała żwawo, wesoło, obojętnie jakby nigdy nic. Było to niepojęte. Miejsce, w którem stałem, przypominało wąwóz: z jednej strony sterczały cztery piętra „dużej fabryki“, z drugiej dwa piętra tkalni. Uliczka była wąska, słońce nigdy tam nie docierało i mało kto chodził tamtędy. Czaił się tam dziwny strach, któremu lubiłem się poddawać, jakby z zamiarem pokonania go i przezwyciężenia.

Poszedłem dalej, gdzie wąwóz urywał się nagle, a ziemia trzęsła się i dudniła głucho pod ciężarem ogromnej maszyny parowej. Robotnicy opowiadali sobie, że to jest największa maszyna w Polsce, czy na-

wet na całym świecie, w czem było dużo ambitnej przesady, ale maszyna przędzalni była istotnie ogromna, bo miała ze trzy piętra wysokości. Stawałem przed nią i przez wielkie okna śledziłem ruchy jej, potwornych ramion, które zdawały się pochylać ku ziemi, aby z niej dobywać siłę. Ziemia dudniła i drżała od biegu tej maszyny, a od tego drżenia ziemi do serca zakradał się strach, ja zaś stałem i zmagałem się z tym strachem, chociaż zdawało się, że lada chwila runą te wysokie mury, rozleci się maszyna i przywali mnie swoim śmiertelnym ciężarem. A za oknem widać było stalowe galeryjki z wypolerowanemi poręczami, prowadzące wysoko aż ku szczytowi maszyny. Po tych galeryjkach krokiem wolnym chodził stary maszynista z oliwiarką w ręku prawym i ze ścierką w lewym. Gdzie było brudno, wycierał, gdzie zachodziła potrzeba, naoliwiał. Wyglądało to tak, jakby ten stary siwy człowiek posiadał tajemnicę ujarzmiania potwora: pogłaskał go, popatrzył, przytknął oliwiarkę do jednej ze ssawek tylko jemu wiadomych i chodził sobie dalej, nie wiedząc pewno, że stoję i podziwiam jego mądrość i odwagę.

Gdy się szło jeszcze kilka kroków dalej można było patrzeć na wysokie kopce węgla przed kotłownią. Zajeżdżały na dziedziniec fabryczny wagony kolejowe, robotnicy zrzucali węgiel tworzący pagórki wysokie jak domy, a inni robotnicy wozili ten węgiel na żwawych skrzypiących taczkach do kotłowni. Z za szerokich drzwi kotłowni waliło czerwonym żarem jakby z samego piekła, a ludzie obnażeni do pasa, nabierali węgla na szerokie łopaty i wrzucali go w głębie straszliwego paleniska. Usmoleni byli ci palacze sadzą i py-

łem węglowym, jak djabły chodzące z królem Herodem albo z trzema królami na Boże Narodzenie, i co najgorsze, bywali źli. Krzyczeli głośno na siebie, mówili coś do robotników z taczkami, ogromnemi pogrzebaczami z wielką złością grzebali w ogniu i zatrzaskiwali drzwi kotłów z takim rozmachem, jakby to miało znaczyć, że już na wieki wieków amen. To była ilustracja do opowiadań o piekle i tu stawałem opodal, ostrożnie, czujnie, bo wyobraźnia malowała obrazy mało ponętne: złapie taki na szeroką łopatę, wgarnie do tego piekielnego pieca i koniec. Ale palacze byli zacni i jeden z nich wdał się ze mną kiedyś w rozmowę, aby pomiarkować moje zbytnie zdziwienie. Opowiadał mi, że wracał z Brazylji na wielkim statku, a że nie miał na szyfkartę, więc poszedł za palacza.

— Tam dopiero, mój ty Boże, było używanie! Parę pięter pod wodą! Choć i tutaj gorąc duży, to w porównaniu z tamtem poprostu chleb z masłem. Tam trza było harować! Jezus Marja! Lało się z człeka ciurkiem, a na pragnienie była tylko ciepława woda, bo gdzie ją tam chłodzić w takiej kotłowni pod wodą!

Taczkarz przystawał na chwilę, nie wypuszczając z rąk taczek i chciwem uchem łowił słowa opowiadania. A palacz mówił:

— W razie czego, to taki palacz nie wydostanie się na wierzch i idzie na dno jak amen w pacierzu. Bo i skądże!

Zamyślił się przez chwilę, usmolonem przedramieniem otarł czoło, a potem rzucił naostatek:

— To było na wielkim statku, co się nazywał „Ochajo“.

— Jak? — zaciekawił się taczkarz. — Śmiesznie jakoś...

— Po amerykańsku „Ochajo“ się wymawiało, ale pisali „Ohio“. Duży był okręt.

Z wielkim rozmachem i zgrzytem otworzył drzwi jednego z kotłów, zagarnął węgla na szeroką łopatę i cisnął głęboko w czeluść pieca. Fabryka pełna była tajemnic i rzeczy ciekawych. Maszyny miały bardzo różne ręce i nogi, a nad niemi zdawała się unosić niewidzialna twarz i jakiś mądry łeb kierował trybami i kółkami. Miałem na co patrzeć. Na sali tkackiej było jak w lesie oplątanym ljanami, a łoskot panował tak wielki, że gdy się wychodziło potem na dziedziniec fabryczny, pusty i porosły soczystą trawą, cisza waliła się swojem nagłem milczeniem, jakby się coś oberwało, ale nie padało nadół, lecz w górę. Rodziły się wtedy dziwne myśli, uczucia, czy coś innego, co nie było ani myślą, ani uczuciem, ale zdumiewało i zmuszało do wysilania umysłu, aby pojąć, zrozumieć, odgadnąć. Umyślnie chodziłem do tkalni i wsłuchiwałem się w jej łoskoty najróżniejsze, a potem wybiegałem na „holcplac“ (wielki dziedziniec z drzewem) i stanąwszy w słońcu pod wysokim płotem, patrzyłem przez szparę na rzekę. W ciszy tego ustronnego miejsca było po łoskocie sali tkackiej tak tajemniczo, iż zdawało się, że gdyby ktoś umiał dotrzeć do dna tej ciszy, to posiadłby wszystkie wiadomości świata.

Tymczasem przez szparę wysokiego płota, otaczającego dziedziniec fabryczny, widać było rzekę rozmigotaną w słońcu, za rzeką łąkę ze stadem krów pana Oxnera, za łąką las, a ku temu lasowi pędził pociąg, wiozący nieznanych ludzi w nieznane strony. I wtedy

rodziła się słodka tęsknota, pragnienie poznania tego wszystkiego, co jest za lasem, zobaczenia wysokich gór, nieznanych miast i morza. Co może być jeszcze prócz tego? Prócz morza, gór i tych obcych dalekich miast? Byłem jeszcze bezpłciowy, czy dwupłciowy i nie wiedziałem, że góry i morza, miasta i ludzie to tylko sublimacje wiecznego głodu miłości. Nie miałem czasu na rozmyślania i trzeba było wracać do kantoru. Prześlizgiwałem się zręcznie tylnemi drzwiami, siadałem przy swoim stoliku i udawałem zapracowanego. Czasem się powiodło, czasem nie.

— Gdzie siedziałeś tak długo? — pytał czyjś zły humor.

Odpowiadałem jak się zdarzyło, że byłem na bielniku, w przędzalni, w kantorze głównym, w takiej a takiej sprawie i że musiałem czekać.

Strofowano mnie, że się włóczę niepotrzebnie, udzielano napomnienia, czasem grożono wyrzuceniem. To psuło radość sycenia ciekawości w fabryce, ale to nie trwało długo. Przy najbliższej sposobności stawałem zdumiony przed jakąś maszyną niewidzianą dotychczas i niesłychaną. Nie było koło niej żywego ducha, jej połyskujące tłoki zsuwały się gładko po naoliwionych szynach, wystukując równiutki takt, a nad jej głową z ciemnego żelaza kręciły się dwie kule jakby dla radowania moich oczu. Byłem przekonany, że te kule nie są maszynie na nic potrzebne i że kręcą się tylko tak, aby maszyna była ładniejsza. Radowało mnie to bezinteresownie i szczerze. Ale potem wyłazil skądś człowiek w niebieskiej bluzie z oliwiarką w ręku jednym i ze ścierką w drugim. Naoliwiał lśniące

żelastwo, głaskał je ścierką. Pytał czego szukam. Odpowiadałem uczciwie, że tylko tak sobie patrzę, bo byłem przekonany, iż będzie dumny, że jego maszyna bardzo mi się podoba, ale umazany maszynista fukał na mnie, że maszyna nie jest od patrzenia. Istotnie, maszyna nie była od patrzenia.

A jednak nie! Cały świat był od patrzenia i wiecznie był nienapatrzony. W niedziele i święta, niekiedy zaś nawet w sobotę popołudniu biegłem do lasu aby widzieć rzeczy niewidziane i słyszeć niesłychane, aby się bać ponurych pustek leśnych i mokradeł, w których tonęły czasem dzieci, aby się ukrywać za pniami drzew przed ludźmi nagle dostrzeżonymi. Szedł ktoś po miękkim mchu niesłyszalnie, jakby się skradał z najgorszemi zamiarami. Może chce złapać? Co zrobi, jeśli złapie? Zabije? Dlaczego miałby zabijać? A jednak zabijają, nie wiadomo dlaczego. Dziwnie miłe były te igraszki ze strachami leśnemi.

A w poniedziałek rano, albo i niekoniecznie w poniedziałek, starsi koledzy, wąsaci i „festlonowcy" (tacy, co już mieli wynagrodzenie tygodniowe na „fest", niezależnie od świąt i przepracowanych godzin), opowiadali sobie swoje przygody erotyczne z Józkami, Felkami, Stefkami... Oni sami byli jeszcze bardzo niewinni i niezepsuci, interesowali się anatomją i fizjologją swoich partnerek i własną, i komunikowali sobie spostrzeżenia. Biurka tych starszych pisarzy przystawione były do siebie tak, że po dwa tworzyły jakby piramidę, a z boku stały stoliki młodych pisarczyków i popychadeł. Siedziałem przy takich opowiadaniach jak mysz pod miotłą, udając gorliwą pracę i z błękitniejącemi wypiekami na twarzy wsłuchiwałem się

w opowiadania tych panów, które zresztą uważałem za grube przechwałki. Troszkę, zapewne, było w tem wszystkiem prawdy, ale nie tak dużo chyba. Czasem opowiadali sobie o ładnych dziewczynach, które znaliśmy wszyscy. Pracowały w tkalni, pończoszarni, czy na bielniku, były ładne, ubierały się czysto. I nagle słyszało się z ust takiego festlonowca, który pewno niedługo będzie już miesięcznym urzędnikiem, jakie „czarna Stefka" ma uda, jakie piersi i jaka wogóle jest. To samo o jakiejś Mańce, czy Feli. Gdy jedną z nich spotykałem potem, to przyglądałem się jej bardzo uważnie i wtedy nie wierzyłem w nic z opowiadań tamtych panów. Czysta, ładna twarz, jasne dobre oczy, miły uśmiech, pełen słodkiej serdeczności. Szła sobie ładnie, obuta w wyczyszczone pantofelki, na szyi miała kolorową chusteczkę... Nie i nie! „Taka" musiałyby być podobna do czegoś brzydkiego, wstrętnego, obrzydliwego. Ale opowiadania dodawały nowych szczegółów do tego, co się już słyszało, a ze wzajemnych pytań tych znawców wynikało, że jednak coś tam musi być.

Oczywiście, z całą świadomością dopuszczałem się grzechu, słuchając tych opowiadań, ale ciekawość brała górę nad lękiem, że można dostać się do piekła. Życie było pełne sekretów, które trzeba poodsłaniać, poznać, poodzierać z dręczącej tajemnicy. Serce przenikała słodka radość na samą myśl, że kiedyś... Co kiedyś? Trudno to było pomyśleć, sformułować, wysłowić. Że kiedyś stanie się coś takiego, co przeniknie całą duszę z ciałem nieznanym rozkosznym dreszczem poznania. A tymczasem, nie wiedząc o tem, przyzwyczajałem się do grzechu, oswajałem się z nim,

czy może on oswajał mnie ze sobą, bo pełno go było wszędzie.

Najważniejsze było to, iż Bóg był wszechwiedzący. Każde mimowolne spojrzenie, znajdujące upodobanie w czemś grzesznem i zdrożnem, obrażało go dotkliwie, każda myśl, choćby najbardziej natrętna i nieswoja, wołała o pomstę do niego, a każdy uczynek grzeszny był podobny do beczek smoły, zasilających płomienie piekielne. Życie upływało w stałym strachu, a gdy się czemkolwiek uchybiło nakazom katechizmowym, serce miotało się niespokojnie i szukało sposobów skasowania grzechu, zanim spadnie kara na winowajcę. W tej atmosferze wiecznego zaniepokojenia nie było miejsca na premedytowane grzechy i przestępstwa, ale przeciwnie, omijało się okazję do nich szerokim łukiem. Grzech się poprostu nie kalkulował: przyjemność trwała chwilę i bywała wątpliwego gatunku, a sumienie robiło awantury dniami i nocami. Miło było wyjąć szóstkę z ojcowskiej szuflady i kupić papierosów, ale potem okazywało się, iż była to najzwyklejsza kradzież, a okradanie rodziców to grzech nad inne wstrętniejszy. Wygodnie było skłamać, aby się nie narazić na karę, czy naganę, ale wnet wychodziło na to, że kłamstwo i kradzież szóstki to droga wiodąca prosto do piekła.

Już w dzieciństwie miewałem kłopoty z teologją kościelną. W szkole tłumaczono nam obszernie, że trzy są wprawdzie osoby w Trójcy świętej, ale Bóg jeden, czyli że Duch święty jest Bogiem tak samo jak Chrystus Pan, lecz niema Bogów trzech, tylko jeden. Potem słyszało się w kościele kazanie o dniu ostatecznym. Kozły i owce, prawica i lewica, wyrok potę-

pienia i motywacja podniesionym głosem kaznodziei wygłoszona: „Coście najmniejszemu z pośród was uczynili, mnieście uczynili!“ To powiedział Chrystus i to pozostawało w pamięci. Lecz oto nowe kazanie, zawiłe i pełne grozy o grzechach i miłosierdziu bożem. Wszystkie grzechy zostaną odpuszczone kajającym się i żałującym serdecznie, „ale jest jeden grzech, który nie będzie odpuszczony ani w tem życiu, ani w przyszłem. Jest to grzech przeciwko Duchowi świętemu“. Zawiły wywód kaznodziei zagmatwał sprawę tego grzechu beznadziejnie i postawił mnie w obliczu wątpliwości nierozwiązalnych: czy popełniłem grzech przeciwko Duchowi świętemu? Jeśli nie, to trzeba się mocno tego właśnie grzechu wystrzegać, bo jest wyjątkowo niebezpieczny. Ale jak się go wystrzegać, skoro nie wiem, jak się grzeszy przeciwko Duchowi świętemu? Jeśli zaś miałoby się okazać, że już ten grzech popełniłem, to koniec wszelkiej nadziei, a piekło murowane.

Zacząłem zastanawiać się nad tem zagadnieniem i doszedłem do wniosku fatalnego dla siebie. Przypomniało mi się, że „najmniejszy z pośród nas“, Franek Łazarek, cisnął mi piaskiem w oczy; złapałem go, oczywiście, i obiłem przykładnie. „Coście najmniejszemu z pośród was uczynili...“ Masz tobie! Jeśli Pan Jezus zechce tę sprawę z Frankiem Łazarkiem wziąć do siebie, to nic mi nie pomoże. „Coście najmniejszemu z pośród was...“ Franek Łazarek był najmniejszy śród nas; ta strona zagadnienia nie pozostawiała wątpliwości. Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch święty jedno są. To już było nawet wydrukowane czarne na białem w katechizmie. Kto obraził Jezusa Chrystusa,

obraził i Ducha świętego. Logika była niezachwiana. Trzecia przesłanka nie kazała na siebie czekać: „Wszelki grzech będzie synom ludzkim odpuszczony, ale grzech przeciwko Duchowi Świętemu nie będzie im odpuszczony ani w tem życiu, ani w przyszłem“. Ze zgrozą przyjąłem do wiadomości, że jestem potępiony i że niema dla mnie wyjścia. Gdy klękałem wieczorem i rano do pacierzy, których w domu ściśle przestrzegano, jakiś głos szeptał mi z ironiczną złośliwością, że można się już nie fatygować, bo sprawa mego potępienia jest rozstrzygnięta. Męczyłem się tem kilka lat, włożyłem w tę teologję tyle myśli i tyle energji, że od biedy byłbym mógł napisać jakie dzieło filozoficzne i dopiero po latach wyperswadowała mi piekło moja doświadczona i roztropna babka. Przestałem się dręczyć na ten specjalny temat, ale kwestja grzechu była sprawą wiecznie aktualną i zatruwała mi życie.

A tu raptem miły pan od wielkiej księgi, który już był na festlonie i kierował się na „miesięcznego“, zwraca się do kolegi z przeciwnej strony biurka i mówi w tonie swobodnej konwersacji: „Wczoraj miałem tę rudą szpularkę...“ A tamten: „Gorąca dziwka...“ I dalej-że do szczegółów anatomicznych, fizjologicznych, psychologicznych. Obaj młodzi panowie rzucali sobie pytania fachowe: czy zwróciłeś uwagę na to, czy przyjrzałeś się tamtemu, czy zauważyłeś, co mówi przed tem, co po tem? Tak, głupia małpa, ale ładna psiakrew. No i gorąca. I tak codzień niemal. Grzech był dla nich czemś tak miłem i obojętnem jak ciepła kąpiel, czy bułka za dwa grosze. Może przechwałki? Oczywiście, że i przechwałki byłyby grzechem niemałym, ale zawsze. Pewnego wieczora jesiennego zaprosił mnie do sie-

bie jeden z tych starszych kolegów. Miałem mu coś przetłumaczyć z niemieckiego, bo się uczył tego języka i niebardzo mu szło. Poszedłem i tłumaczyłem, jak się dało. W pewnej chwili do drzwi jego kawalerskiego pokoiku ktoś puknął trzy razy. Mój gospodarz zrobił minę tajemniczą, przyłożył palec do ust, ujął mnie za rękę i na palcach podprowadził do parawanu okalającego kuchenkę. Wskazał mi krzesło i kazał być cicho. Siedziałem tedy za parawanem z trudem opanowując szczękanie zębów. Do pokoiku weszła znajoma pani, matka jednego z pisarzy, wdowa po jakimś urzędniku, i bardzo sprawnie przystąpiła do rzeczy. Mój gospodarz przykręcił lampę, a pani oświadczyła: „Zimno tu jak w psiarni, rozbierać się nie będę, a zresztą trzeba się śpieszyć, bo nie mam czasu...“ Drżałem ze strachu i odmawiałem pacierze, bo byłem święcie przekonany, że za chwilę jasny piorun uderzy w żelazne łóżko, które skrzypiało przeraźliwie. Nie uderzył. Pani się śpieszyła, obiecała przyjść jutro i poszła. Mój gospodarz wyprowadził mnie z za parawanu i bardzo uprzejmie zapytał, czy ją chcę. Nie chciałem, oczywiście, bo się strasznie bałem swej ciekawości. To może inną? I innej też nie chciałem. Byłem uświadomiony i wiedziałem teraz, że codzienne rozmowy przy biurku nie są zmyśleniem. Pukanie do drzwi, parawan, przykręcanie lampy, skrzypienie łóżka... — wszystko było takie proste, a mnie się wydawało zawsze, że to coś niesłychanego.

Potem u jednego ze starszych kolegów posłano sobie pewnego wieczora po dziewczynę, ale nie chciała przyjść, bo się kładła spać. Zawołano sąsiada—strażnika: „Panie starszy, niech pan nam tu sprowadzi Stefę“. Strażnik się ociągał: „Sami panowie poślijcie“.

„Nie chce przyjść, bo powiada, że się kładzie spać". Wetknęli strażnikowi pół rubla w rękę: „Ją trzeba aresztować dla kawału i do nas. Poniali?" — „Nu kak nie poniat'!" Poszedł i sprowadził senną Stefę pończoszniczkę. Pod jakimś pretekstem uciekłem. U kolegi było wesoło i nazajutrz opowiadano sobie o tej zbiorowej uciesze. Pewnego razu, gdy do fabryki przyszedłem o godzinę wcześniej, aby wyrównać duże zaległości, sprzątaczka podchodziła do mnie i proponowała coś „na chybcika", bo nikogo niema. Tłumaczyłem się, że mam bardzo pilną robotę, bo się bałem ośmieszyć.

Po nocach siadywałem nad Cezarem i Cyceronem, męczyłem się trudną konjugacją grecką i równaniami algebraicznemi, które były ciemne i nieprzeniknione. W fabryce pracy było coraz więcej, zarobione pieniądze niemal wyłącznie wydawałem na książki i coraz gorzej jadałem. A do tego wtrącało się życie pełne tajemnic i lęków. Śniły się kobiety bez ubrania z wielkiemi brzuchami i szerokiemi biodrami, a we dnie bolała głowa i chciało się płakać. Zacierki z kartoflami budziły odrazę, i sam nie wiedziałem, czego mi się chce. I oto pewnej nocy spędzonej w fabryce na obliczaniu zarobków przed miłemi świętami wielkanocnemi, kiedym o trzeciej nad ranem wracał pustemi uliczkami do domu, ogarnął mnie wielki strach. Nad zachodem między dwoma kominami kopcił rudy księżyc, poszczerbiony i żałosny, okna domów robotniczych były czarne i ślepe, uliczki straszyły groźną pustką. Przypomniały mi się wszystkie strachy, topielce i wisielce, wszyscy widziani zabici, zastrzeleni i zakłuci nożami. Wydało mi się, że morderca skrada się za mną i za chwilę wbije mi nóż między łopatki. Miejsce, w które wbije mi ten

morderczy nóż, czułem bardzo wyraźnie. Przyśpieszyłem kroku w śmiertelnej grozie i załomotałem do drzwi. Zrzuciłem ubranie, aby położyć się do łóżka, ale raptem przypomniałem sobie jakiś okropny opis zbrodni: morderca był zaczajony pod łóżkiem. Zajrzałem tedy pod wszystkie łóżka. Mordercy tam nie było, ale długo nie mogłem zasnąć. Byłem chory. Miejsce między łopatkami bolało wyraźnie, często kaszlałem, od jedzenia odwracałem się ze wstrętem i bywałem śmiertelnie smutny.

W fabryce żyrardowskiej pracowało dużo cudzoziemców: Niemców, Anglików, Irlandczyków, Szkotów. Byli to specjaliści z dziedziny przędzalnictwa i tkactwa. Na parę lat przed wojną jeden z dyrektorów zaczął przyjmować także Czechów, którzy jako tkacze z fachowem wykształceniem, znajdowali zajęcie przedewszystkiem w tkalni.

Gdy miałem za sobą dobre siedem lat pracy w fabryce i zarabiałem już cztery ruble i pięćdziesiąt kopiejek tygodniowo, do kantoru naszego przyjęto młodego Czecha, Prochazkę. Wiedziałem o tem, że jestem potomkiem wygnańców czeskich, którzy po nieszczęśliwem powstaniu przeciwko Ferdynandowi II musieli wyemigrować na początku wieku XVII-go, ale dopiero od Prochazki dowiedziałem się szczegółów o początkach wojny trzydziestoletniej, o straszliwych prześladowaniach powstańców czeskich, a przedewszystkiem o tym głębokim szacunku, jaki Czesi współcześni żywili dla emigrantów wieku XVII-go, którzy dochowując wierności przekonaniom swoim porzucili wszystko i zdecydowali się pójść na tułaczkę. Tacy właśnie emigranci, którzy zrazu mieszkali na Śląsku, przybyli na początku zeszłego wieku do Królestwa i osiedli w powiecie Łaskim, gdzie założyli kwitnącą kolonję Zelów. Znałem ich i stykałem się z nimi, gdy przybywali do Żyrardowa za pracą. Mówili, jak mniemali, po czesku, ale język ich był tak już spolonizowany, że całe niemal słownictwo i składnia były polskie.

Ponieważ dobrze ich rozumiałem, byłem przekonany, że umiem po czesku i prosiłem Prochazkę, aby mi pożyczał czeskie gazety i książki. Przy tej sposobności przekonałem się, że co innego gwara kolonistów zelowskich, a co innego współczesny czeski język literacki. Zabrałem się chętnie do nauki tego języka i niebawem mogłem był czytywać czeski dziennik „Ćas“, organ realistów czeskich, którego duszą był profesor Tomasz Masaryk, a najwybitniejszym pisarzem Machar. Właśnie wtedy, gdy mój czeski przyjaciel dawał mi do czytania swój dziennik, Machar drukował w nim rewelacyjne i rewolucyjne feljetony: „Konfese literàta“ (Wyznania literata, czy spowiedź literata). Dotychczas znałem tylko pisarzy polskich i rosyjskich oraz tłumaczenia z języków obcych. Wogóle czytywałem byle co i byle jak, bo chodziło mi wyłącznie o te uczuciowe przygody romantyczne, jakich dostarczała lektura. Sienkiewicz, Rodziewiczówna, Gogol, Kraszewski, Turgeniew, Prus, Gruszecki, Weyssenhoff, Puszkin, Sewer, Przybyszewski, Lermontow... — co Pan Bóg dał, i jak dał.

O literaturze miałem wyobrażenie bardzo awanturnicze, takie właśnie, jakie może mieć samouk, który jednym tchem spożywa Dostojewskiego, Krasickiego, Strindberga, Lama, czyli to, co akurat ktoś posiadał i co można było przeczytać. Wszystkie te rzeczy mierzyło się arcysubjektywnym miernikiem „podobania“: to było ładne, tamto jeszcze ładniejsze, inne rzeczy były straszne i pociągające. Nie wątpiłem, oczywiście, że wszystkie książki są zmyśleniem pisarzy, wytworami fantazji kapryśnej i niczem nie krępowanej.

I nagle Machar ze swojemi wyznaniami! Nie opisy-

wał już jakichś „bohaterów“, o których ostatecznie można napisać, co się komu podoba, czyli prawdę i nieprawdę, ale pisał prosto o sobie. O biednem swojem dzieciństwie, o troskach i zgryzotach rodziców, o trudnościach w szkole, o służbie wojskowej, o pierwszych miłościach i pierwszych próbach literackich. Kochał jakieś dziewczęta, rozstawał się z niemi, zbliżał się do innych. Nic nie upiększał, wszystko nazywał po imieniu. Jakież to było nowe, pociągające, mocne! We krwi ozwały się jakieś atawistyczne głosy fanatycznych wyznawców, którzy dla prawdy poznanej szli na wygnanie, pozostawiając w ojczyźnie mienie, przyjaciół, wszystko. Prawda nie była taka ładna, jak zmyślenie, ale była inna, mocna, wspaniała, pełna zuchwalstwa.

W wyznaniach swoich pisał Machar o jakiejś pannie Korze, opiewanej przez wszystkich młodych dekadentów czeskich. Była piękna, zepsuta, kusząca. Dotychczas uroda i cnota kojarzyły się w moim pierwotnym umyśle nierozerwalnie. Cnota była obowiązkowo piękna, występek musiał być brzydki. Ale Kora była występna i piękna zarazem. Ten paradoks moralno-estetyczny musiałem długo przetrawiać, zanim się z nim oswoiłem. Prochazka był bardzo pobożny i między innemi książkami dał mi do przeczytania „Przypowieści Salomonowe“ w nowoczesnem tłumaczeniu czeskiem. Czytałem je tem uważniej, że pewne miejsca były ponaznaczane ołówkiem. Zaraz w pierwszym rozdziale werset dziesiąty podkreślono grubą zamaszystą kreską, jak gdyby czytelnik całą duszą przyświadczał mądremu Salomonowi. „Synu mój, jeśliby cię namawiali wszetecznicy, nie przyzwalaj!“ To było dziwnie ładne.

Po pierwsze: Synu mój! Jakaż słodka inwokacja! A powtóre wezwanie do buntu przeciwko wszetecznikom: Nie przyzwalaj!

Słowo to utkwiło mi głęboko w pamięci, przenikło do serca. Gdy rezolutniejsi koledzy urządzali sobie eskapady pijackie z wesołemi dziewczętami, uciekałem od nich, nie przyzwalałem. Słodycz tego „liberum veto“ była cierpkawa, ale pożywna i krzepka. Lecz oto czytałem, że Machar lubił tę pannę Korę, piękną i zepsutą, i że szukał jej towarzystwa. Czy i tu należało nie przyzwalać? Nie, Machar nie był przecie wszetecznikiem i nie namawiał do niczego, ale opowiadał o swoich przygodach, jakże ładnych, ludzkich, prawdziwych! Sumienie nie godziło się z mojemi sofizmatami, ale zagłuszałem je i oddawałem się słodyczy lektury, jakiej dotychczas nie znałem. Czytałem uważnie wszystkie feljetony tego pisarza i doczytałem się wreszcie, jak piękna Kora szła pewnej niedzieli do kościoła. Było to w Brandysie nad Łabą, gdzie bawiła chwilowo i gdzie Machar spędzał wakacje. Spotkali się na drodze. Kora była w białej sukience i trzymała w ręku książeczkę do nabożeństwa w oprawie z kości słoniowej. Ranek był upalny, a z czerwonej parasolki rozpiętej nad głową tej panny padał na jej twarz ciepły różowy cień Nie poszli do kościoła, ale w pole i zabłądzili do lasu. Po drodze Kora mówiła, że mężczyzna to urodzony niewolnik, bo wynosi kobietę wysoko ponad siebie, aby tylko mógł pełzać przed nią. Kobiety tego nie lubią, bo to jest przecie kłamstwo. Czemu nie zadowolić się tem, co jedynie dać mogą? Usiedli w cieniu na mchu i Kora kazała się całować. Machar całował. Panna rozpięła bluzkę i wystawiała na pocałunki pierś. W pewnej

chwili zbladła śmiertelnie i zamierającym głosem wyszeptała: „Wszystko, co chcesz!“ Machara przeraziła jej bladość i niezwykłe zachowanie się. W tej chwili ozwały się uroczyste dzwony kościelne. Wstał, aby odejść od niej. Wstała także, poprawiła na sobie ubranie i ruszyła ku miastu.

Więc można mówić takie rzeczy o sobie? Przyznawać się do czegoś podobnego? Przecie to było surowo zakazane. Cały katechizm powracał do tego bezustannie i groził za takie rzeczy wiekuistem potępieniem. No i wstyd! W domu, w szkole, gdziekolwiek, nie wolno było czynić najmniejszych napomknień o takich sprawach, a tu masz! Czarne na białem i nie żaden bohater powieściowy, ale sam autor. Jakoś niewyraźnie wyczuwałem, że w prawdzie i prawdziwości jest mocne, zuchwałe piękno. Dotychczas wszystko, co było nieprzyzwoite, złe, brzydkie, starannie zasłaniałem płaszczykiem kłamstwa. Uważałem za zasadę, że trzeba się wypierać wszystkiego, co jest nieprzystojne i za co trzeba się wstydzić. Kłamstwo było jeszcze pewną postacią cnoty. A tu raptem widziałem człowieka, który już nawet nie kłamał cnoty, lecz z całem zuchwalstwem przyznawał się do występku. Byłem zdezorjentowany. Można ostatecznie nie wstydzić się, ale Bóg, piekło, sąd ostateczny? Nie umiałem uporać się z temi myślami i nie miałem nikogo, ktoby mi rozjaśnił mroki moich wątpliwości.

Tem gorliwiej czytałem wszystko, co mi wpadło do rąk, w przekonaniu, że któregoś pięknego poranka natknę się na książkę, z której dowiem się o wszystkich sekretach. Ale wtedy miałem poznać pewną stronę życia, której dotychczas nie znałem: cierpienie choroby.

Zarobki miałem małe, dużo wydawałem na książki, odżywiałem się źle i paliłem con amore. Już jako dziesięcioletni smyk kradłem ojcu tytoń i gilzy i zawzięcie paliłem, chociaż pierwsze próby palenia przyprawiały mnie o morską chorobę. Papieros przygłuszał głód we dnie, płoszył sen w nocy, gdy siedziałem nad książkami. Ale pewnej lutowej soboty rozkaszlałem się strasznie i mój zwierzchnik kazał mi iść do domu.

Choroba wlokła się długo i przeszła w stan przygnębienia. Zasmucała mnie myśl, że umrę niedługo, nie wiedząc nawet co to jest życie i szczęście. Buntowałem się przeciwko losowi, a ta szarpanina pogarszała mój stan. Lekarz fabryczny, zacny doktór Szulc, zabrał mnie do szpitala i leczył jak mógł, a gdy stan mój poprawił się nieco, wysłał mnie na kurację do zakładu przyrodoleczniczego w Grodzisku. Tam zetknąłem się poraz pierwszy z inteligencją, a pan Józef Bojasiński, młody historyk i współwłaściciel zakładu dawał mi do czytania różne książki polskie w wydaniach krakowskich i lwowskich, jakich cenzura carska do Królestwa nie puszczała. Otwierały mi się oczy na mnóstwo rzeczy, których dotychczas nie rozumiałem. Życie było bogate, ciekawe i piękne.

W Grodzisku poznałem profesora gimnazjum rosyjskiego w Białej Podlaskiej, Poljanskiego. Był to rusyfikator ze szkoły Apuchtina, więc wszyscy odwracali się od niego. Korzystał on z mego niedoświadomienia narodowego, zabierał mnie do siebie, chętnie udzielał mi wskazówek dotyczących nauki greckiego i łaciny i częstował mnie herbatą, której wypijał po kilka szklanek „w prikusku", to znaczy, że odgryzał kawałek cukru i trzymając go w ustach, ssał przezeń herbatę. Taki to

był oszczędny sybarytyzm. Poljanskij był gadatliwy i po rosyjsku dobroduszny. Gdy razu pewnego ktoś powiedział, że umarł jakiś dygnitarz, Poljanskij przeżegnał się z wielką powagą i rzucił, jakby od niechcenia: „Nu padlec był pierwokłasnyj, carstwie jemu niebiesnoje!“ (Podlec to był pierwszej klasy, Panie świeć nad jego duszą!) I ten paradoks retoryczny nie dawał mi spokoju. Podlec i Panie świeć..? Zbyt poważnie odnosiłem się do życia.

Jeszcze większem wydarzeniem dla mnie było poznanie małżonki znakomitego krytyka C. J., jednego z filarów grupy Nałkowskiego, czyli t. zw. forpocztowców. Pani J. była widać po ciężkiej chorobie, bo szybko się męczyła i nie mogła dużo chodzić. Było mi jej żal i pewnego razu zacząłem ją pocieszać po żyrardowsku, że da Pan Bóg, iż znowu będzie dobrze. Spojrzała na mnie jakiemś smutnem zdziwieniem i rzekła: „Pan Bóg, panie Pawle? Nie interesuje się nami, albo go wcale niema. Gdyby był taki wszechmocny i taki miłosierny, jak o nim mówią, czyliż mogłoby być tyle niedoli na tym najlepszym ze światów? Jeśli istnieje, to nie jest wszechmocny, jeśli zaś jest wszechmocny, to jest niemiłosierny i zły“. To wyznanie wiary wstrząsnęło mną do głębi. Według tej religijności, w jakiej zostałem wychowany, słowa tej chorej pani były zdeklarowanem bluźnierstwem, które likwiduje piorun z jasnego nieba, albo trzęsienie ziemi, pochłaniające mówiącego i słuchającego.

Nie odpowiedziałem nic, chociaż powinienem był skorygować takie mniemanie o Bogu. Milczałem, bo nie wiedziałem jak odezwać się do pani uczonej i mądrej niewątpliwie. Groziło mi za to piekło, bo „kto się mnie

zaprze przed ludźmi, tego zaprę się i ja..." Ze swojemi wątpliwościami poszedłem do doktora Glińskiego, syna poety; był on wtedy asystentem doktora Tokarskiego, kierownika zakładu. Doktór Gliński wysłuchał uważnie moich słów, a potem dał mi serdecznego szturchańca i roześmiał się wesoło: „Nie można tak pokpiwać ze swojego doktora! Piekło to figura retoryczna. Niechże pan usiądzie na ławeczce pod lipą i przez całe pięć minut myśli uważnie o miłosiernym i bezgranicznie dobrym Bogu, który za nikłe przewinienia naszego ciężkiego życia mógłby nas wpakować na wieczne wieki do piekła. Proszę o tem myśleć pięć minut..." Myślałem znacznie dłużej i zrozumiałem, że albo piekło, albo miłosierdzie. Jedno i drugie razem? Nie! Przeżycie było niby drobne, ale w skutkach olbrzymie.

W Grodzisku poraz pierwszy słyszałem piękną muzykę. Córka fabrykanta łódzkiego, panna B., grywała Chopina. Osobliwie podobał mi się nokturn Fis dur. Pierwsze takty niezrównanego larghetta były jak westchnienie idące w zaświaty. Po plecach przebiegał dreszczyk nieoczekiwanej rozkoszy i obezwładniał wyczekiwaniem, a gdy artystka dochodziła do przedziwnego doppio movimento, wzruszenie rzucało do oczu gorące łzy. Fortepian śpiewał o jakichś uroczystych radościach nieznanych światów i wytwarzał nastroje tak wysokie, iż sama myśl o konieczności powrotu do Żyrardowa wydawała się wyrokiem śmierci. Byli tam, oczywiście, i przygodni skrzypkowie, a młody rzeźbiarz N. deklamował wiersze Perzyńskiego i Tetmajera tak ładnie, że poraz pierwszy w życiu odczułem cudowny czar ludzkiego głosu. Nad ogrodem płynął księżyc w pełni, w sąsiedztwie grał ktoś na skrzypcach serenadę

Bragi, pachniały kwiaty, a pan N. stawał przed siedzącymi słuchaczami prosto w pełni księżycowej i przejmował się „Przysięgą“ Perzyńskiego: „Z nią, albo na niej! Z tarczą lub na tarczy, wrócimy z pola lub legniem w mogiłach!“ Słuchaliśmy, nasiąkając księżycem, i ciszą nocną, i głosem deklamatora. Słodko i miło było wzruszać się aż do łez. Jeszcze bardziej wzruszał patetyczny wiersz Tetmajera: „Evviva l‘arte!“

To wszystko było strasznie piękne, ale trwało zbyt krótko. Po sześciu tygodniach musiałem wracać do Żyrardowa i nanowo rozpoczynać pracę w fabryce. Pracowałem niedługo. Przyszła recydywa i trzeba było zostać w domu. Byłem zgnębiony i smutny, bo na kurację zadłużyłem się na kilkadziesiąt rubli i o ponowieniu jej nie mogło być mowy. Myślałem o śmierci i było mi okrutnie żal życia. Rozpacz rzucała się na mnie bezbronnego, ale mnie nie pokonała.

Zanim jeszcze wyjechałem na kurację do Grodziska, mieszkałem u dziadka swego w małym alkierzyku domu fabrycznego, którego okno wychodziło na przesmutne podwórko. Nie mogłem chodzić do fabryki, bo choroba trapiła mnie gorączkami i bólami głowy, lecz nie dawałem za wygraną. Czytałem wtedy ładną nowelkę Svatopluka Ćecha „Jestràb contra Hrdlićka“. Była to prześliczna opowieść o lichwiarzu Jastrzębiu, który rujnował rodzinę pana Hrdliczki (synogarlicy). Napisałem do przezacnego Svatopluka Ćecha, aby mi pozwolił przetłumaczyć swoją książkę i razem z zezwoleniem otrzymałem życzliwe słowa zachęty. Tłumaczyłem tedy jak umiałem. Na tłumaczenie złożyło się dużo dobrej woli, serdecznego sentymentu i lichutkiego ję-

zyka. Przesiedziałem nad książką dziesięć dni, a potem zawinąłem rękopis w papier i wyprawiłem pocztą do Warszawy do redakcji „Gazety Polskiej".

Było to w czasach, gdy dziennik ten po sześciomiesięcznem zamknięciu przez Moskali wznawiał swoją działalność i dla przyciągnięcia nowych czytelników obiecał ni mniej, ni więcej, tylko 52 książki rocznie jako premjum bezpłatne. Co tydzień książka. Atrakcja była nielada i „Gazeta Polska" w niedługim czasie odzyskała tylu prenumeratorów, że mogła była zaprzestać dawania premij. Liczyłem na to, że tłumaczenie moje zostanie wydane jako jeden z dodatków tygodniowych „Gazety Polskiej", redagowanej, jeśli się nie mylę, przez Jana Gadomskiego. Po wysłaniu rękopisu czekałem cierpliwie, chodziłem do prenumeratorów „Gazety", aby się czego dowiedzieć; niestety, praca moja zapadła w warszawskie milczenie jak kamień w wodę. Ale miałem wtedy 19 lat i mogłem czekać. Tymczasem przestano dodawać premje i mój sen rozwiał się w jedno z wielu rozczarowań. Trudna rada!

W kantorze tkalni, gdzie po powrocie z kuracji pracowałem jeszcze przez pewien czas, niektórzy urzędnicy prenumerowali „Wędrowca", „Tygodnik Illustrowany", różne pisma niemieckie, „Bibljotekę Dzieł Wyborowych" i t. d. Pisma zamawiało się u pana Sandmanna, kasjera fabryki żyrardowskiej, a w sobotę po wypłacie chłopiec zachodził do pani Sandmannowej i pisma przeznaczone dla naszych prenumeratorów, przynosił do kantoru. Rzucaliśmy się wtedy na nie i tanim kosztem oglądaliśmy obrazki „Wędrowca" i „Tygodnika Illustrowanego". Jakież było moje i kolegów zdumienie, gdy razu pewnego otworzywszy tom „Bi-

bljotegi Dzieł Wyborowych" przeczytaliśmy na karcie tytułowej: „Świętopełk Czech, Jastrząb contra Hordliczka". Z czeskiego przetłumaczył Paweł Laskowski! Ucieszyłem się ogromnie. Dziesięć dni pracy nie poszło tedy na marne. Napisałem do administracji wydawnictwa i za tydzień poczta przyniosła mi 50 rubli, czyli fortunę. Dziesięć dni pracy, to znaczy, że za każdy dzień wypadło 5 rubli, a więc więcej, niż w fabryce zarabiałem przez tydzień.

Kiedy nieszczęsna recydywa nie pozwoliła mi chodzić do fabryki, zakasałem rękawów i odrazu zacząłem pracować nad nowem tłumaczeniem. W kotłowni żyrardowskiej, jak we wszystkich kotłowniach świata, kierownikiem był Czech, pan Schwarz, i on sprowadził sobie książkę Ignàta Herrmanna, „Otec Kondelik a ženich Vejvara". Książka ta szła w Czechach nadzwyczajnie, rozchodziła się w wielu wydaniach i robiła furorę. Pożyczono mi ją. Zabrałem się do czytania z tym sybarytyzmem, jaki cechuje młodość niewinną i rychło dojrzało we mnie postanowienie: Przetłumaczyć! Ignàt Herrmann, człowiek ogromnej zacności — po latach poznałem go w Pradze osobiście — autoryzacji udzielił równie chętnie jak Čech, a ja pracowałem bardzo żwawo. Mieszkałem znowu u ojca, bo dziadkowi było za daleko chodzić do pracy na Bielnik i musiał się przeprowadzić w okolice bliższe swego oddziału. Jakoś tak wypadło, że trzeba było poprawiać u nas podłogi, a ja nie chciałem próżnować. Przeniosłem się tedy na jeden dzień do ciotki swojej, Kamińskiej, siostry ojca, i tam usadowiłem się w jednym z pokoików, aby tłumaczyć ucieszne przygody pana Kondelikowe.

Przypadek? Opatrzność? Tego właśnie dnia do Ży-

rardowa zjechał przedstawiciel morawskiej fabryki maszyn, pan Kostilek z Przerowa. Zamierzał sprzedawać maszyny rolnicze okolicznym dworom i zamożniejszym gospodarzom, ale nie umiał po polsku i szukał tłumacza. Przyszedł do ciotki Kamińskiej, która z wielką serdecznością przyjęła gościa tak niezwykłego, a pan Kostilek odrazu do mnie. Że będzie mi płacił po 3 ruble i 50 kopiejek dziennie wzamian za podróżowanie z nim po okolicznych dworach. Bagatela! To jest przeszło 100 rubli miesięcznie. Propozycję tak ponętną musiałem jednak odrzucić. Pan Kostilek nie rozumiał dlaczego nie przyjmuję jego oferty. Powiedziałem mu, że jestem chory. Zafrasował się: taki młody i już... Co będzie dalej? Co ma być dalej? Wyzdrowieję któregoś tam pięknego dnia i koniec. Pan Kostilek obstawał przy swojem, że przy takiej pracy, jaką widział na stole przede mną, nie będę miał nigdy zarobków tak wysokich, aby wyzdrowieć. Byłem innego zdania, ale się nie sprzeczałem z zacnym przedstawicielem fabryki maszyn w Przerowie.

Pan Kostilek nie ustępował i wreszcie wpadł na koncept, że jeśli pracowałem w fabryce, to powinienem zwrócić się do pana Dittricha, właściciela fabryki, takiego przecie mecenasa. Nie pierwszy mi to radził; powtarzali mi to inni bezustannie, ale uparłem się, że sam sobie poradzę. Pan Kostilek wtrącił, że, oczywiście, należałoby napisać po niemiecku, a ja zapewne nie umiem. Ofiarował mi się z napisaniem podania. Podziękowałem i powiedziałem, że tyle to i sam doskonale potrafiłbym napisać. Pan Kostilek bardzo był ciekaw, czy aby tak jest, jak mówię. Nawet wyraźnie i jawnie wątpił. Uczułem się dotknięty i napisałem na

arkuszu papieru list niemiecki jakich się u nas w kantorze pisywało setki. Trochę tam wprawdzie kulała składnia i mieszały się rodzaje, które żywcem poprzenosiłem z polskiego wbrew odmiennemu zdaniu gramatyki niemieckiej, na co pan Kostilek zwrócił mi uwagę, ale ostatecznie zgodził się, że list był napisany nienajgorzej. Posiedział, pogawędził, żałował, że nie chcę z nim podróżować i pożegnał się. Nigdy go więcej nie widziałem. Tłumaczenie Kondelika skończyłem, rękopis wysłałem do redakcji „Bibljoteki Dzieł Wyborowych", otrzymałem zawiadomienie, że przekład będzie wydrukowany i że niebawem otrzymam zaliczkę. Honorarjum miało mi dać ni mniej, ni więcej, tylko 150 rubli. Miesiąc pracy i zaraz taki majątek! Byłem uradowany i zacząłem się czuć bardzo dobrze. Szukałem już nowego objektu do tłumaczenia, gdy w tem stała się rzecz jeszcze ważniejsza.

Pewnego ciepłego popołudnia jesiennego zajechał przed moje mieszkanie doktór Szulc. Było w tem coś zgoła niezwykłego, bo lekarza nie wzywałem i nie oczekiwałem. Doktór oświadczył mi, że przybywa z polecenia pana Dittricha, zbadał mnie, pogawędził i powiedział mi, że pan Dittrich dowiedział się o mnie i zainteresował się mną bardzo serdecznie. Oczywiście, zacny Kostilek! Upłynął znowu dziesiątek dni, a ja zostałem wezwany do kantoru do dyrektora Garviego, który z miejsca powinszował mi życzliwie i powiedział, że fabryka wystara się dla mnie o paszport i że mam się szykować do podróży za granicę, zrazu do Czech północnych w okolice Rumburga, gdzie jest wspaniałe sanatorjum Frankenstein, a potem...

— A potem, panie dyrektorze?

— Będzie pan studjował w jednym z uniwersytetów, jaki pan sobie wybierze.

Uszczypnąłem się mocno w udo, aby się przekonać, że nie śpię. Nie spałem; wszystko działo się na jawie. Za parę dni miałem wyjechać za granicę. Jesień była złocista i ciepła, w kasie wypłacono mi na podróż sto rubli złotemi pięciorublówkami i dołączono bardzo serdeczne życzenia, a cały świat stał się raptem łaskawy i miły. Ale radość moja była przedwczesna. Miałem stawać do wojska i gubernator piotrkowski, którego prosiłem o paszport na leczenie za granicą, zażądał, abym się sam zgłosił do niego. Pojechałem do Piotrkowa, gubernator popatrzył na mnie, powiedział mi, że leczyć się można równie dobrze w kraju i paszportu odmówił.

Parę tygodni przed poborem do wojska spędziłem w śmiertelnej trwodze. Na losowanie do Łasku spóźniłem się, wójt, który za mnie losował, wyciągnął niski numer 93, komisja superrewizyjna uznała mnie za zdatnego do służby wojskowej. Moja rozpacz nie miała granic. Ale w Łasku znalazłem pomoc w przyjaźni zacnego doktora Szokalskiego, którego poznałem był w Grodzisku. Zakrzątnął się koło mojej sprawy i ostatecznie zaliczono mnie „w ratniki apałczenja", czyli do pospolitego ruszenia. Byłem wolny, dostałem paszport, spakowałem przeskromne manatki, pożegnałem nielicznych przyjaciół i na jesieni 1902 roku wyjechałem na Sosnowiec i Katowice do Czech północnych. W Saksonji poraz pierwszy w życiu widziałem ładne zielone góry, a we Frankensteinie znalazłem się nagle śród takiego przepychu, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie wi-

działem. Dostałem ładny pokój z łóżkiem, kanapą, szafą, umywalnią, oświetlony lampami elektrycznemi, i mogłem odpoczywać. Okno pokoju wychodziło na ładną równinę, za którą leżało miasto Rumburg, a gdy wyszedłem na korytarz zasłany miękkim chodnikiem, to widziałem szczyt góry Rauchberg, porosły świerkami i sosnami. Zbocze tej góry zbiegało w głęboki wąwóz, a dokoła rozsiadły się pagórki jak ogromne stada owiec. Było tam ładnie, spokojnie, beztrosko. W którąkolwiek stronę spojrzałem, wszędzie była moja przyszłość, radosna, pogodna i wesoła.

Doktór Glettler kąpał mnie, masował, układał na wysokiej werandzie i kazał godzinami leżeć na świeżem powietrzu, jedzenie było obfite i wyborne, towarzystwo liczne, chociaż nawet zdaleka nie przypominało miłego towarzystwa grodziskiego. W Grodzisku leczyli się literaci, artyści, studenci, żony wybitnych przedstawicieli literatury, nauki i sztuki, we Frankensteinie zaś siedzieli przeważne przemysłowcy i rozmawiali o interesach. *Andre Städchen, andre Mädchen,* ale można było wytrzymać. Gdy nadeszła zima i sanatorjum zamykano dla odnowienia, zaproponowano mi przejazd do Kamienicy Saskiej, gdzie istniało jedno z największych sanatorjów niemieckich. Było mi tam dobrze, a na wiosnę wróciłem do Frankensteinu, aby wreszcie w maju roku 1903 via Drezno, Hof, Bamberg pojechać do Heidelbergu.

Moje dawne marzenia ziszczały się nieprawdopodobnie szybko. Ujrzałem był kawał obcego świata i wkraczałem w progi głośnego uniwersytetu, w którym słuchaczami i nauczycielami bywali ludzie sławy światowej. Miałem przed sobą młode odważne życie,

nie przeczuwałem niebezpieczeństw, jakie na każdym kroku czyhają na człowieka, i rzuciłem się w wir pracy z zaciekłością i fanatyzmem. O przyszłość się nie trwożyłem. Cieszyłem się wprawdzie, że mam pomoc materjalną na czas studjów zapewnioną, ale samopoczucie moje podnosiła świadomość, że już bym się nie dał zjeść w kaszy i w razie konieczności umiałbym zapracować na kawałek chleba choćby jako tłumacz. Prócz rosyjskiego i czeskiego, znałem teraz dość dobrze niemiecki, a najbliższe wakacje postanawiałem spędzić we Francji, aby poznać francuski.

Ale właśnie wtedy przyszło pierwsze ostrzeżenie, że na dnie każdego kielicha czeka kropla goryczy. W Żyrardowie od czasu do czasu widywałem zeszyt „Chimery" Miriama. Jak się to wytworne pismo dostawało do Żyrardowa, Bóg raczy wiedzieć. Rzucałem się na nie ze swoim nigdy nienasyconym głodem, rozczytywałem się w niesamowitych tekstach poezji, prozy i krytyki, pożerałem oczami wspaniałe obrazki. „Chimera" była dla mnie uosobieniem literackiej doskonałości i nieomylności. I raptem, kiedym się rozkoszował wykładami Kuno Fischera, a każdą wolną chwilę spędzałem w salach ze zbiorami uniwersyteckiemi i w bibljotece, albo przed witrynami księgarzy heidelberskich, jeden z zacnych przyjaciół posłał mi VI tom tej ubóstwianej „Chimery". Zabrałem się do niej ze zwykłą żarliwością i czytałem ją, jak to się mówi, od deski do deski. Zgoła niespodzianie natknąłem się na notatkę o mojem tłumaczeniu Sv. Čecha. Tłumaczenie uznał recenzent Włast za złe i wydrwił mnie za to, że czeskie nazwisko Hrdlička przetransponowałem gwoli ułatwienia wymowy na Hordliczka. Uwagi były cał-

kiem słuszne; moje tłumaczenie było złe, musiało być złe, bo zabrałem się do tej pracy zgoła nieprzygotowany i nie mający pojęcia o języku literackim, ale ostra krytyka bardzo mnie zabolała. Zrozumiałem, że będę musiał uczyć się wytrwale nawet takich rzeczy, które uważałem za zgoła elementarne. Byłem święcie przekonany, że język ojczysty znam doskonale; okazało się że jestem od tego bardzo daleko. Nieco łaskawiej obszedł się Włast z mojem tłumaczeniem Kondelika. Była to druga moja praca tłumaczeniowa i recenzent stwierdzał rzecz dla mnie miłą: „Holenderszczyzna nie bez talentu, język świeży...“ Chwalił, oczywiście, autora, ale ten „język świeży“ to już była wszak moja zasługa jako tłumacza. Gdybym był tę rzecz przetłumaczył niedołężnie, to nie byłoby w niej tego świeżego języka. Rzecz prosta, recenzent „Chimery“ nie mógł znaleźć upodobania w takich „trywialnych komfortach, łakomstwach, figielkach, płaskościach ślimaczych istnień, bez żadnej by najmniejszej pokusy lotu, mocy ni satyry...“ — i tłumaczenie uznał za zbyteczne. Dzisiaj zgadzam się z nim zupełnie, ale pierwsze swoje tłumaczenie wydałem, mając lat dziewiętnaście, drugie — w dwudziestym roku życia. Byłem absolutnym samoukiem, gramatyki i stylistyki polskiej w żadnej szkole się nie uczyłem, słowników nie miałem, szedłem naprzód poomacku. Uwagi Własta były przykre i na długo pozbawiły mnie odwagi, ale były cenne. Recenzent powiedział mi, że trzeba się uczyć. Zabrałem się tedy do nauki także i tego, co mniemałem znać doskonale, do nauki języka polskiego.

We wspomnieniu pozostała jakaś niepowtarzalna radość związana z krajobrazem Niemiec południowo-zachodnich: czerwieniły się podczas podróży do Heidelbergu strzechy historycznego Bambergu, pełnia księżyca srebrzyła wody Menu, patrzyłem na Schweinfurt i Würzburg, a potem stałem na szerokim placu dworcowym w Heidelbergu i rozglądałem się dokoła. Więc to tu. Zaszedłem do pobliskiego hotelu, przespałem resztę nocy, a nazajutrz wczesnym rankiem wyszedłem na miasto. Ulica główna, Hauptstrasse, była zgoła wielkomiejska, ale w bocznicach, wiodących ku Nekarowi, mieszkało cudowne średniowiecze. Ruszyłem jedną z nich ku rzece, kazałem się przewieźć na drugą stronę i pożerałem oczami góry otaczające miasto, zamek starożytny, średniowieczne domki i sielankowe zacisza tego ładnego miasta. Było mi dobrze.

Tego samego dnia wynająłem mieszkanie, to znaczy pokój studencki, za 30 marek miesięcznie, a nazajutrz zapisałem się na wydziale filozoficznym. Wykładał Kuno Fischer, Schopenhauera i „Fausta" Goethego, a Windelband historję filozofji. Chodziłem na wykłady, słuchałem, notowałem, siadywałem w bibljotece seminaryjnej, kupowałem różne książki i zaczytywałem się w domu. Było to zapamiętałe sycenie ciekawości pierwotnej, naiwnej, bezinteresownej. Anim się spostrzegł, jak przyszedł upalny czerwiec, a potem lipiec, i już były wakacje. Wyjechałem do Alzacji do znajomych mojej gospodyni, zamieszkałem w jednym z tych Weile-

rów, których w tamtych okolicach jest tak wiele i cieszyłem się życiem. Horyzont zamykały sine Wogezy, przed oknami wieśniacy siekli trawę, a w rzece dziewczęta wiejskie prały bieliznę. W ciszy popołudnia słychać było dudnienie kurjera pędzącego do Strassburga, a w miłym ogródku szemrała fontanna, podrzucająca kolorowe kule celuloidowe to wyżej, to niżej. Lubiłem leżeć na trawie i patrzeć na te kule. Było to jakieś cudowne wybawienie od myślenia i pracy.

Przywiozłem z sobą sześć tomów Taine'a „Les origines de la France contemporaine", parę tomów Nietzschego, Schopenhauera, Kanta, dużo powieści i poezyj. Ale czytałem mało. Włóczyłem się po drogach okolicznych, po miedzach i łąkach, siadywałem na kamieniach przydrożnych i, zapatrzony w krajobraz, starałem się zrozumieć rzeczy niepojęte. Czasem zabierałem do ogródka Kanta, Nietzschego, czy powieść Halbego, ale po paru stronicach, przeczytanych w zadumie o czem innem, zamykałem książkę i znowu próbowałem przeniknąć myślą tajemnice świata. Były to godziny zapamiętania, jakie przeżywa się tylko w ufnej młodości. Myśl usiłuje odgadnąć, zrozumieć, przyswoić sobie świat, a świat staje się coraz bardziej tajemniczy i bliski zarazem, zrozumiały i niepojęty. Oto była droga, przy drodze rosły drzewa wysokie, a tu i owdzie stał domek z przymkniętemi okiennicami, za któremi były poukrywane tajemnice. Czasem przejechał wóz, przeszła dziewczyna w drewnianych chodakach, szczeknął pies, albo piał znudzony kogut. Cóż to była za cudowna nuda letniego popołudnia, w której lęże się coś nieznanego i tajemniczego! Snuły się przez nią aforyzmy Nietzschego, nie przemyślane do końca, wywody

Kanta, którym nie chciało się wierzyć, zachwyty Hamsuna, pełne radości, szczęścia i melancholji. Ciężka uczoność zagradzała drogę radości, ale na trawie leżał tom Ibsena: Peer Gynt... Myśl biegła w nieznane krainy, gdzie szalał Sowizdrzał skandynawski, a Solvejg siedziała u jakiegoś okna i śpiewała Griegowskie melodje, słodkie i smutne. Czasem otwierało się okno w sąsiedztwie, a za niem ktoś grał na fortepianie Schumanna albo Schuberta. Chłopiec, kobieta? Muzyka była bezosobowa, panteistyczna, niematerjalna. Łaska życia wielka jak świat.

Potem muzyka przycichła, znowu dolatywało dudnienie pędzącego dokądś pociągu, a za sztachetami ogrodu biedna komornica dźwigała koszyk nie wiadomo z czem. I zaraz za tą komornicą był Żyrardów. Mile jaśniały białe brzozy na skraju lasu, a żyrardowska Pisia wiła się skroś wspomnienie jasną wstęgą dziecięcego szczęścia i niewinnych radości. Widziało się jednocześnie i „niebieski krzyż" i most u stawu, po którym pływały białe łabędzie, i ciasne uliczki z ubogiemi domkami robotniczemi. Na kamiennych wydeptanych schodkach siedzieli robotnicy i gwarzyli o rzeczach prostych i bliskich. Twarze i postaci tych ludzi znałem jako cząstkę własnej istoty i kochałem ich ewangelicznie „jako samego siebie". Dość było zamknąć oczy przed zaśnięciem, aby ujrzeć wysokie topole koło starego kościoła. W pobliżu tych topol stał niski domek, w którym mieszkali ojcowie i z którego niedawno wyruszyłem w świat. Ze smutkiem myślałem o ich biedzie, na którą nie widziałem rady, a pokrzywdzone uczucie odszkodowywało się marzeniami o wielkiem

bogactwie, odziedziczonem po nieznanym wujaszku amerykańskim.

Niestety, człowiek wychowany w konwencjonalnej szkole przedwojennej, czy powojennej, na nic innego poza marzeniem zdobyć się nie umie. Szkoła wypacza w nim zdrowy instynkt życia, odbiera aktywność egoizmu i wpaja rezygnację jako najwyższą postać cnoty chrześcijańskiej. Uczono nas ładnych wierszyków o ptaszkach i rybkach, podczas lekcyj kaligrafji wypisywano nam na tablicy ładne wzorce wyrzeczenia i pracowitości, oczywiście dla innych, a w czytankach były ładne opowiastki o tem, jaką straszną plagą jest posiadanie bogactwa. Gdzieś kiedyś był sobie szewc, szył buty i śpiewał od rana do nocy. Bogacz, któremu to śpiewanie dokuczało, dał mu dużo pieniędzy. Szewc przestał śpiewać i zaczął się martwić o swój skarb. Nie spał, nie dojadał i pilnował pieniędzy, żeby mu ich złodziej nie ukradł. Rozchorował się nawet od swojego bogactwa. Cóż było robić? Odniósł pieniądze bogaczowi, nanowo zaczął szyć buty innym, a sobie śpiewał i było mu dobrze. Tacy to powiastkarze wychowywali nas na niedołęgów, marzycieli, romantyków i niewolników.

Ale taki był system. W kościele ksiądz mówił o bogaczach i wielbłądach. Wielbłąd nie przeciśnie się przez ucho igielne, to proste, ale jeszcze łatwiej takiemu wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi dostać się do królestwa bożego. Na każdym kroku, w szkole, w kościele, w domu, słowo żywe i nieżywe nauczało i nakazywało: bądź ubogi, nie pragnij niczego, jeśli chcesz dostać się do królestwa bożego i być

kochanym przez Boga! Toteż ambicje były potemu. Młodzieniec uczył się robić mniej lub więcej zgrabne wierszyki, stawał się wreszcie prezesem stowarzyszenia mandolinistów, ale nawet przez myśl mu nie przeszło, aby stać się dyrektorem, fabrykantem, bogaczem. „Nie skarbcie sobie skarbów na ziemi!“ — napominał go w kościele zamożny kapłan.

Takie myśli rodziły się podczas próżniaczki wakacyjnej i coraz bardziej podobały mi się książki Straussa, Haeckla, Stirnera... Z tych książek szedł jakiś nieznany dotychczas niepokój, jak wielkie wezwanie do buntu. Wychodziłem z domu i ruszałem na tułaczkę po okolicy. Kończył się już wrzesień, po winnicach wzmagał się wesoły ruch winobrania, a rowy przydrożne pełne były jabłek i gruszek, do których przypełzały nie wiadomo skąd wielkie tłuste ślimaki. Niebo stało się jakieś wysokie, świat opustoszał i był przestronny. Nastały chłodne dni październikowe, zdaleka słychać było łoskot parowych młocarni, a nad łąkami i polami wisiała milcząca nuda. Pewnego poranka spakowałem manatki i kazałem zawieźć się na kolej. Po paru godzinach jazdy trzeba było przesiąść się w jakiemś miłem miasteczku i długo czekać na pociąg. Włóczyłem się po nieznanych uliczkach z nieznośnem uczuciem, że już tam kiedyś byłem i każdy dom doskonale znam. Budziły się we mnie skłonności do wyuzdanego mistycyzmu, ale gdy wieczorem przyjechałem do Heidelbergu, otrzeźwiałem odrazu. Z domów zwisały długie kolorowe chorągwie na cześć Gustawa Adolfa, albowiem był Gustav-Adolf-Tag, wielkie święto protestanckie.

Po niewielu dniach zaczynały się prace semestru zimowego: nowe wykłady, nowi profesorowie, inne

książki. Ustalała się rutyna, ułatwiająca życie i pracę. Historja filozofji, literatura, Hegel, Schopenhauer, Nietzsche, ćwiczenia seminaryjne do „Etyki“ Spinozy, zaglądanie do audytorjów teologów i historyków, wystawanie przed witrynami księgarzy, pisywanie listów do przyjaciół, czy przyjaciółek. Grudzień, styczeń, luty, denerwujący wiatr południowy, Foehn, od którego trzeszczały strzechy i do serca wkradał się niepokój, a potem marzec, kwiecień, radości wiosenne, wakacje wielkanocne i semestr letni. Dawne twórcze zaciekawienia i upodobania buntownicze ustąpiły konieczności gromadzenia erudycji dla egzaminatorów. Fantastyka pragnień i chaos pytań, układały się grzecznie i ładnie w przygródkach akademizmu. Dawniej pytanie brzmiało: Czy Bóg istnieje? Teraz chodziło o to, aby wiedzieć możliwie wszystko, czem ta ciekawość wszechludzka zapisała się w dziejach filozofji. Ciekawość osobista przemieniała się w objektywną wiedzę, obojętną i niczyją. Ciekawy młodzieniec przekształcał się w badacza, a pragnienia młodego serca wypierała „literatura przedmiotu“.

A na wakacje wyjeżdżało się byle gdzie, bo wszędzie było ładnie. W przygodnej rozmowie padała nazwa jakiegoś miasteczka w Odenwaldzie. Że tam jest ślicznie i niedrogo. Pięćset metrów wysokości, powietrze wspaniałe w sam raz na bronchit. Dwie-trzy godziny koleją, potem parę kilometrów końmi. Jechało się tedy do tej wybranej miejscowości. Śród lasów i pagórków na skraju cichego miasteczka stała wysoka willa gotycka, a nad wzgórzami wznosił się tępy zalesiony wierzchołek o śmiesznej nazwie Melibokus. Woźnica pokazywał szeroki gościniec i mówił, że to jest droga

rzymska, Römerstrasse, przez legjony rzymskie zbudowana. Patrzyło się na tę drogę rzymską z głębokim filologicznym szacunkiem. W podręczniku Rzymianie byli widmami, widok tej drogi przywracał im ciało i krew historji.

Willa miała od ulicy dwa piętra, ale że stała na zboczu długiego pagórka, więc od strony ogrodu miała pięć pięter. Sala jadalna była na dole w chłodnym sklepionym refektarzu o drzwiach szeroko otwartych na duży ogród. Śniadanie jadałem wcześnie, razem z panią gospodynią, gdy goście pensjonatu przeważnie jeszcze spali. Kawa, herbata, kakao, mleko, masło, miód, wyborne białe pieczywo i chleb Grahama, co kto chciał. Przez otwarte drzwi salki widać w ogrodzie drzewa owocowe i krzewy z dojrzewającemi brzoskwiniami. Nieco dalej ów tępy pagór Melibokus, za nim droga rzymska. Pani gospodyni siedzi w miękkim kolorowym szlafroku, popija kawę i smaruje sobie rogalik masłem. Pyta, czy dobrze spałem i każe dużo jeść, bo jestem chudy i powinienem przybrać na wadze. Jej szlafrok rozchyla się na piersi i ukazuje bielutkie obfite wdzięki. Chce się patrzeć na tę białą pierś, ale nie wypada przecie.

Gospodarz, doktór, jest wymagający i surowy. Nie uznaje bólów głowy i żadnych tłumaczeń nie przyjmuje do wiadomości. Kto nie przyjdzie w czas do stołu, ten obiadu, czy kolacji nie dostanie. Musi być porządek, nicht wahr? Wstaje się o godzinie wyznaczonej, bierze się natrysk, potem śniadanie, leżakowanie, kąpiel słoneczna, czy powietrzna, obiad, znów leżakowanie, podwieczorek i dopiero potem jest się wolnym. Rygor niemal wojskowy. Czasem głowa boli porządnie i nie

chce się iść na obiad do sali jadalnej, lecz doktór nie pozwala zanosić obiadu do pokoju. Głodówka i upór. Ale gdy po obiedzie wyjeżdża na wieś do chorego, pani doktorowa znosi kurczęta, sałatki, leguminy, herbatę, salami, Bóg wie co. I tłumaczy męża, że to człowiek dobry, choć trochę szorstki, bo uważa, że ludzie winni brać się w kupę i nie poddawać się bylejakim dolegliwościom. Tylko, rany boskie! Nie wolno jej zdradzić. Co by to było, gdyby się doktór dowiedział, że tak rozpuszcza pacjentów! Więc sekret.

Nazajutrz znowu śniadanie z panią doktorową. Melibokus za ogrodem, na stole mnóstwo rzeczy dobrych, szlafroczek dobrej pani rozchyla się rewelacyjnie. Czy pani doktorowa nie widzi, że patrzę właśnie w to rozchylenie szlafroczka? Czy może nic sobie ze mnie nie robi? Ale gdy do sali jadalnej wchodzi pan Helmstaedt, kuzyn badeńskiego ministra finansów, pani doktorowa poprawia szlafroczek i zapina się po samą szyję. Co to znaczy? Nie wiem. Pewnego dnia na marmurowej płycie umywalni w swoim pokoju widzę lorgnon pani doktorowej. Była w moim pokoju i zapomniała. go. Przy sposobności mówię jej, że zapomniała w moim pokoju lorgnon. Ach tak, już go szukała. Dziękuje i przyjdzie sobie po niego. Może przynieść zaraz? Nie, bo nie jest jej potrzebny. Później.

Pewnego popołudnia schodzę po stromem zboczu pagórka, potykam się o korzeń i spadam prosto na łeb w głęboki rów. Przez chwilę leżę w zamroczeniu, a potem wstaję i chcę iść do domu: nie idzie mi maszerowanie. W pobliżu nie widać nikogo, bo wszyscy poszli na wycieczkę w góry razem z doktorem. W głowie mi się kręci i szumi, siadam i czekam aż to minie. Jest

mi wstyd, a zarazem ogarnia mnie niepokój. W tej chwli podchodzi pani doktorowa pełna skwapliwego współczucia. Bierze mnie pod rękę i prowadzi. Idę naoślep, w oczach wir, w dołku okrutne mdłości. Doprowadziła mnie do pokoju. Czy się nie położę? Nie, nie! Nawet usiąść nie chciałem. Stanąłem przy oknie i czekałem, aż minie to niemiłe zamroczenie. Pani doktorowa stała obok mnie i głowę moją opierała na swojem ramieniu. Zamroczenie mijało. Czy jeszcze chcę stać? Jeszcze, jeszcze. Stała obok mnie, chyba godzinę. Było mi strasznie dobrze w tem współczuciu jasnej blondyny z bogatą piersią. Potem położyłem się i spałem. Wieczorem przyszła zobaczyć, czy mi lepiej. Czułem się zupełnie dobrze. Było pół do jedenastej. Mówiła, że wszyscy już śpią, a męża to i w sto koni nie wyciągnąłby teraz z łóżka. Czyta gazetę i pije wodę mineralną. Taki ma zwyczaj i tak się żyje na wsi. Trzeba wcześnie wstawać, ale po dziewiątej idzie się spać. Czy przybrałem na wadze? Zdaje się, że tak. Rozmowa urywa się na chwilę. Jesteśmy zakłopotani. Czy nie potrzebuję czego? Ziewa ukradkiem, ociąga się i czeka. Odpowiadam, że niczego mi nie potrzeba. „No to dobranoc!“ — „Dobranoc pani.“

Tygodnie mijają w jakiemś szczęśliwem zaśnieniu. W dużym salonie o wysokich oknach jest ładny fortepian Blüthnera o tonie miękkim i śpiewnym jak głos kobiecy, słodko rozedrgany. Wzdłuż ścian stoją stoły, stołki i półki z misami, wazonami i wazonikami. Nad otomaną półka dębowa z marmurowemi popiersiami Beethovena, Goethego, Bismarcka. Na ścianach ładne obrazy w ciężkich ramach złoconych. Miło jest usiąść tutaj, zanurzyć się w głębokim miękkim fotelu i słu-

chać gdy młody student z sąsiedztwa gra sonaty Beethovena, potem Liszta, potem jeszcze to i owo. Z dębowej półki spogląda marmurowy głuchy Beethoven, zapadnięty w głębie własnych myśli, fortepian śpiewa Adagio cantabile, kończy je melodyjnemi westchnieniami i przerzuca się w rezolutne Rondo. O, jak dobrze być na świecie! Pani doktorowa pijała kawę w rozchylonym szlafroczku, zapominała lorgnon w pokoju, przychodziła wieczorem zapytać, czy jeszcze czego nie potrzebuję. „Ach, tu jest mój lorgnon! Dlaczego pan mi go nie odniósł?“ — „Bo chciałem, aby pani sama przyszła po niego“. — „Ach so...“ Pani się rumieni. „Bardzo lubię, gdy pani zapomina lorgnon w moim pokoju...“ Mówię to z głębokiem przekonaniem, z wyrazem wdzięczności, czy czegoś takiego. „Ach tak?“ Zdumienie i czekanie na dalszy ciąg, ale już się na nic nie zdobywam. Czy chcę może wody mineralnej? Jeszcze mam. „No, to dobranoc!“ — „Dobranoc pani!“

Tymczasem Rosjanie cofali się przed Japończykami, a w pensjonacie zastanawiano się, czy generał Stessel zdoła utrzymać się w Porcie Artura. Nadchodziła jesień i trzeba było wracać do Heidelbergu. Wykłady, bibljoteka, pisanie listów, czytywanie powieści. Port Artura padł, Rosjanie zostali rozbici na lądzie i morzu, rewolucja rosyjska czyniła postępy. Do lektury naukowej i beletrystycznej przybywała lektura dzienników. Przyszły nowe wakacje i zaprowadziły mnie w ładną okolicę pogranicza wirtemberskiego. Miły pokoik w zacisznym hotelu w Rappenau, kąpiele solankowe, słońce i lasy. Za niedrogie pieniądze można było pojechać powozem w okolice miasta Wimpfen

i patrzeć na historyczną równinę, gdzie 6 maja 1622 roku Tilly pobił margrabiego Jerzego-Fryderyka Baden-Durlach. Było to w czwartym roku wojny trzydziestoletniej, która po tej bitwie trwać miała jeszcze dwadzieścia i sześć lat. W duchu widziałem jak piechota ścierała się z konnicą, jak pobici uciekali wreszcie, a Tilly kazał otrąbić zwycięstwo. Gdzie jest dzisiaj ten zwycięzca? Powóz przepływał na promie przez Nekar, w Wimpfen piło się kawę i oglądało średniowieczne „boże męki", prymitywnie realistyczne i dokładne pod względem anatomicznym. A po powrocie do hotelu kolacja smakowała wybornie, zaś po kolacji znajomy pan grał bardzo ładnie na skrzypcach, a młoda panna śpiewała Griega. Naturalnie, przedewszystkiem „Pieśń Solvejgi".

Na świecie było dobrze, ale w Rosji była rewolucja. Z miłego Żyrardowa dostawałem listy pełne niepokoju. Po powrocie na zimowy semestr, otrzymałem list, że fabryka żyrardowska od kilku tygodni stoi i że jest bieda. Z „Dziennika Poznańskiego", który sobie zaprenumerowałem, dowiedziałem się, że hakata w Poznańskiem szaleje, a w królestwie hula kozactwo. Nie było rady, byliśmy bezsilni wobec prusactwa i wobec Moskwy. Już dawniej pisałem był do profesora Masaryka, aby mi pozwolił przetłumaczyć jedno ze swoich pomniejszych dzieł. Odpowiedział mi bardzo uprzejmie. Teraz w bezradności swojej napisałem do niego, aby mi poradził jak się uporać z ciężkiemi myślami. Gnębił nas Moskal, gnębili Prusacy. Co będzie dalej? Odpowiedział bardzo serdecznie, pocieszył.

Już trzy lata bawiłem poza domem i strasznie chciało mi się zajrzeć do Żyrardowa. Było to na początku

grudnia 1905 r. Nie wiele myśląc spakowałem swoje nieliczne manatki i ruszyłem w drogę, ciesząc się, że święta spędzę w domu. Z Heidelbergu wyjechałem 15-go grudnia, ale do Żyrardowa dotarłem dopiero 19-go, bo w pasie ówczesnego pogranicza niemiecko-rosyjskiego panował rozgardjasz nie do wiary. Na pociąg w Aleksandrowie trzeba było czekać dość długo i wtedy widziałem na własne oczy, co to jest strajk pocztowców w Rosji. Chodziłem po pustawym dworcu kolejowym, zaglądałem do opuszczonych kancelaryj i widziałem istne piramidy listów i różnorodnych przesyłek, leżących na podłodze. Drzwi i okna były wszędzie pootwierane, nikt niczego nie pilnował, a ciężkie buty sołdatów roznosiły listy aż na peron. Cały świat wydawał mi się zaśmiecony listami. Skorzystałem z pierwszego pociągu, aby jak najprędzej dostać się do Warszawy.

W pociągu wszyscy opowiadali sobie o tem, co już się stało i co się jeszcze stanie. Jakiś zacny kolejarz poradził mi, abym nie jechał na noc do Warszawy, bo tam wszyscy strajkują, więc nie dostanę się do hotelu. Wysiadłem we Włocławku i kazałem się zawieźć do jednego z hotelików. Pożywiłem się sakramentalnym barszczem z jajkiem i pieczenią, i zaraz poszedłem spać. Zanim jeszcze ułożyłem się do snu, przyszedł do pokoju obszarpany „boy" hotelowy, jeśli takiego chłopca tak nazwać można i przestępując z nogi na nogę, powiedział mi, że w ich hotelu „stoi" jedna sławna artystka z Warszawy. Niebardzo rozumiałem poco mi o tem mówi. „Bardzo ładna kobita — informował mnie uczynny młodzieniec, — gdyby pan chciał, to mogłaby tu przyjść".

A niechby przyszła! Nuda była straszna, a w pokoju zimno, jak w psiarni. Ale stchórzyłem. A nuż mnie ta sławna artystka z Warszawy okradnie? Miałem przy sobie kilkaset marek niemieckich. Powiedziałem młodocianemu stręczycielowi, żeby mi dał spokój, bo mi się chce spać. Chłopak postał chwilę na progu, wzruszył ramionami i poszedł. Spałem źle, oczywiście. Paszport z pieniędzmi wsunąłem pod poduszkę, drzwi zamknąłem na dwa spusty i przysunąłem do nich stół. Zajrzałem i pod łóżko, czy tam nie siedzi jaka rezerwowa artystka.

Nazajutrz rano ruszyłem w drogę do Warszawy i jeszcze dzisiaj żywo pamiętam nastrój ponurej opuszczoności, w jakim odbywałem tę podróż. Z okien wagonu widziałem te niskie chatki wiejskie, które znamy tak dobrze, żywe symbole rezygnacji i pokory. Po stacjach stali ludzie w czapach baranich i kożuchach nad blaszakami z mlekiem. Na butach mieli zaschłe błoto, w oczach pogodzenie się z losem. Kontrast między obiema stronami kordonu był okrutny poprostu. Na każdym kroku widziało się skutki obcego panowania, a rodzimy romantyzm czekał, że oto zaraz stanie się coś cudownego i miłego.

Nastroje panowały wtedy dziwne. Ludzie opowiadali sobie, że zdarzy się to, że zanosi się na owo, że staną koleje, że będzie stan wojenny, ale nikt nie wiedział nic na pewno. Na stacji w Żyrardowie powitało mnie przedewszystkiem bolesne rozczarowanie. Zawsze, gdy myślałem o podróży do domu, powrót mój miał buchnąć jakąś nadzwyczajną radością. Tymczasem stacyjka żyrardowska była osędziała, smutna, mocno brudnawa. Przed nią stały dorożki tak żałosne i brudne, że chciało się płakać. Niedaleko dworca kolejowego był niegdyś gaj brzozowy, ogrodzony wysokim płotem i w tym gaju odbywały się zabawy ludowe. Co niedziela grywała tam doskonała orkiestra fabryczna, a robotnicy tańczyli albo używali huśtawek. Na dużej sadzawce w tym gaju zapalano wieczorami sztuczne ognie, wybuchały kolorowe rakiety, uciecha bywała

wielka. Zaraz na pierwsze spojrzenie biło ponurym smutkiem od tego parku: znikło ogrodzenie, bo omszony stary płot, otaczający gaj od wielu lat, rozłamano na opał; trawniki były stratowane, budki, w których ongi siadywali kasjerzy sprzedający bilety wejścia, były porozbijane. Co się stało? Przyszła zima ze strajkiem, więc ludzie brali na opał, co się dało. Tak było wszędzie: nędza z biedą.

W domu niespodziewany mój przyjazd wzbudził raczej zakłopotanie, niż radość. Taka niespodzianka! Co słychać? Co będzie dalej? Nikt, oczywiście, nie umiał odpowiedzieć na te pytania. Fabryka stała już od wielu tygodni, do domów robotniczych zaglądał głód. Młodzi i starzy, chłopcy i dziewczęta, chodzili do lasu i znosili chrust na opał, a nawet chojaczki co pomniejsze. Nikt niczego nie pilnował, wszystko należało do wszystkich. Bezradność była poprostu straszna. Odwiedzałem znajomych; wszędzie panowało przygnębienie, ludzie bali się rozmawiać szczerze i nie chcieli wierzyć, że nastaną lepsze czasy. Panował dogmat, że biednemu nigdy nie będzie lepiej.

Upłynęło parę ponurych tygodni końca jesieni i początku zimy i oto pewnego dnia na murach domów pojawiły się obwieszczenia, że zostaje zaprowadzony stan wojenny. Na ulicach ukazały się patrole wojskowe, jeździli kozacy. Tak samo było w Warszawie. Co chwila widziało się smutny pochód arsztantów, eskortowanych przez policję i wojsko, czasem przez kozaków. Patrole, od czterech do sześciu żołnierzy, chodziły po ulicach i zatrzymywały przechodniów wezwaniem: „Ruki wwierch!" Przechodzień stawał, oczywiście, a żołnierze szukali po jego kieszeniach broni, gdy zaś jej nie

znajdowali, to zabierali, co Pan Bóg dał: portmonetki, zegarki, papierośnice. Jeśli kto protestował, to dostawał kolbą w zęby. Samowładztwo odzyskiwało równowagę ducha i likwidowało rewolucję. Jakoś w połowie stycznia 1906 roku otwarto nanowo fabrykę i wszyscy, młodzi i starzy, skwapliwie rzucili się do jej bram. Domy opustoszały, nie było z kim porozmawiać, więc po parotygodniowym pobycie w rodzinnem mieście wyjechałem zpowrotem do Heidelbergu.

Studjowałem w dalszym ciągu Nietzschego i Schopenhauera, podróżowałem trochę i coraz częściej myślałem o powrocie do kraju. Było mi smutno w ładnym Heidelbergu na samą myśl, że w Żyrardowie i w całem Królestwie dzieje się tyle złego. Zimę 1907/8 spędziłem na Weisser Hirsch pod Dreznem, a na przedwiośniu r. 1908 wróciłem na stałe do kraju i zamieszkałem w Grodzisku Mazowieckim, blisko Warszawy. Odrazu zacząłem wydatnie pracować w dziedzinie specjalnych zamiłowań, mianowicie w psychologji i filozofji religji, nawiązałem stosunki z Andrzejem Niemojewskim, który pracował wtedy nad swoim „Bogiem Jezusem", i zwróciłem mu uwagę na pokrewne dzieło Artura Drewsa, „Die Christusmythe", gdy ukazało się w połowie roku 1909. Żwawo tłumaczyłem dzieło Niemojewskiego na język niemiecki i korespondowałem z Mikołajem Morozowem, jednym z najwybitniejszych rosyjskich „narodowolców", który po 23-letniem zamknięciu w twierdzy Szlisselburskiej odzyskał wolność w roku 1905 i natychmiast zabrał się do wydawania prac religjologicznych, budzących żywe zainteresowanie.

Jeszcze podczas pobytu w Weisser Hirsch pod Dreznem korespondowałem z Macharem; interesował mnie

jako zjadliwy liryk, autor niezapomnianych „Wyznań“ i bliski przyjaciel Masaryka. Prace Masaryka ceniłem wysoko dla ich prostoty i realistycznego stosunku do życia. Tłumaczyłem to i owo, studjowałem psychologję religji, pisywałem do „Myśli Niepodległej“ i sposobiłem się do życia czynnego, ale praca nie szła tak łatwo, jak w Heidelbergu, gdzie istniała olbrzymia bibljoteka, a wszystko potrzebne było pod ręką.

Jesienią roku 1909 nadarzyła mi się sposobność odbycia podróży do Włoch z miłym dobrym człowiekiem, doktorem Onufrowiczem. Pojechaliśmy na Kraków i gościliśmy przez kilka dni u siostry doktora, pani Płoskiej i jej męża, wybitnego „proletarjatczyka“, który dopiero w roku 1905 zdołał uciec z Sachalinu, gdzie pędził życie jako zesłaniec, i drogą bardzo okrężną, na Tryjest, dotarł był z rodziną swoją do Krakowa. Dom państwa Płoskich był pełen emigrantów z Królestwa i to niebyle jakich. Tu poraz pierwszy widziałem bohaterów, którzy z frontu walki z caratem przybywali do Krakowa, aby wypocząć, poczem znowu wracali na swoje niebezpieczne stanowiska i wypełniali rozkazy, z za których patrzyła śmierć. Podczas pobytu w Krakowie zwiedzaliśmy miasto, a potem na Wiedeń i Innsbruck ruszyliśmy na Południe.

Przy wyjeździe naszym z Warszawy, wszędzie leżały już śniegi, w Krakowie było dokuczliwie zimno, a drogą do Wiednia, w wagonie dawał się we znaki mróz, ale w Salzburgu było ciepło i słonecznie jak na początku jesieni. Droga przez Brenner podobna była do przeprawy przez jakie puszcze syberyjskie: ludzie stali w śniegu po pas, a lokomotywa dyszała ciężko, wspinając się pod górę. Tuż za Brennerem ciasny korytarz

górski rozszerzył się nagle, śnieg padał tam dużemi mokremi płatami, a gdyśmy zjechali w dolinę Sarki, w zacisznem miasteczku Arco było akurat po ciepłym deszczu, kasztany miały jeszcze zielone liście, pachniały laury. Zamieszkaliśmy w miłym hoteliku naprzeciwko pomnika Segantiniego i zabraliśmy się do wypoczywania po trudach pracy umysłowej. Praktykowaliśmy jako wolontarjusze u pewnego introligatora włoskiego i odbywaliśmy dalekie spacery nad Gardę, do miasta Rivy, do Torbole, na Strada Ponale.

W Arco było nam dobrze, a spacery nad Sarką i nad brzegami Gardy dawały życiu radości nieznane dotychczas. Błękitne jezioro miało u brzegów wodę jasnoszmaragdową, zegary na dzwonnicach wydzwaniały jasne odświętne godziny, słońce świeciło jak wiosną, pod szczytami Monte Baldo i Rochette stały rzędy ciemnych cyprysów, wodospad Ponale huczał i syczał ześlizgując się ze stromej wysokiej góry. Na cudownej Strada Ponale spotykaliśmy stada owiec i piękne Amerykanki, małe półnagie Włoszęta sprzedawały pęczki czerwonych kwiatów po kilka centów. Nawet w styczniu było tam ciepło, a w południe temperatura dochodziła do 20 stopni. Miałem pojechać do Rzymu i Neapolu, ale wiadomość o chorobie córeczki odebrała mi spokój i w lutym pożegnałem piękne strony, aby na Trydent, Wiedeń i Kraków wrócić do domu.

W drodze powrotnej już w okolicach Trydentu niebo przybladło, na górach widać było jadowitą zieleń, od której zdołałem odwyknąć. W Wiedniu nastało już przedwiośnie, kisnące w błocie odwilży pod mdłemi niebiosami, w Krakowie padał śnieg z deszczem. Żal było szafirowego nieba, słońca, odświętnych krajobra-

zów, ale w domu czekała praca, której nie przerywałem w Arco, tłumacząc „Boga Jezusa“ na język niemiecki. Zbliżała się wiosna, w szufladzie mnożyły się kartki rękopisów, korespondencja z Morozowem i z profesorami niemieckimi stawała się coraz żywsza, gdy wtem stało się coś, co wysiłki długich miesięcy przekreślało na zawsze. Gdy wiosną roku 1910 wychodziłem po pracy na spacer, spotykałem na ulicach Grodziska znajomego z Krakowa. Niski krępy brunet o ciemnych energicznych oczach i zdecydowanych ruchach, spacerował sobie po Grodzisku z taką nonszalancją, jakby w tem mazowieckiem miasteczku mieszkał od urodzenia. Poznałem go odrazu i ucieszyłem się, że mogę go przywitać na własnych śmieciach. Był to Henryk Bartniak. Przebiegłem przez jezdnię, aby mu uścisnąć rękę, ale zanim zdołałem zbliżyć się do niego i przemówić, przystanął, szybkim ruchem sięgnął do kieszeni i wbił we mnie swoje bystre spojrzenie. Poznał mnie, oczywiście, uścisnął wyciągniętą dłoń, rozejrzał się dyskretnie dokoła, zamienił kilka słów i dowidzenia. Spieszył się dokądś, przepraszał. Spotkania z nim były zawsze takie same: przywitał się, spojrzał, czy niema kogo w pobliżu i żegnał się szybko.

Uważałem go za dziwaka, ale pewnego czerwcowego poranka, gdy po śniadaniu zasiadłem do pracy, a żona poszła na pocztę po listy i pisma, usłyszałem nagle potężny wybuch, a wślad za nim odgłosy licznych strzałów. Na stacji kolejowej coś się stało. Ludzie powybiegali z domów i spoglądali po sobie z niepokojem. Po chwili było wiadomo, że to rzucono bombę na kapitana żandarmów, Aleksandrowa, człowieka wyjątkowo niegodziwego, który z sadystycznem upodobaniem znęcał

się nad robotnikami żyrardowskimi. Miał wyjechać do Warszawy i w chwili, gdy wkraczał na peron, dosięgła go bomba. Jeden strażnik z jego konwoju zabity, drugi ciężko ranny. Stałem przy otwartem oknie i nagle na pustej uliczce zaturkotała dorożka, a w niej śmiertelnie blady i okrwawiony siedział Aleksandrow bez czapki. Strzelanina na stacji trwała dość długo.

Gdy ucichła, przyszedł do nas sąsiad, architekt Wysiekierski, i opowiedział jak to było. Zamachowiec poraniony odłamkami bomby, nie mógł uciekać, więc przyklęknął za węgłem jakiegoś budynku stacyjnego i odstrzeliwał się żandarmom. Wezwano wojsko i to z okien głównego budynku stacyjnego strzelało do niego z karabinów i poraniło go śmiertelnie. Gdy mu się naboje wyczerpały, ostatni zachował dla siebie i wymierzył rewolwer w pierś, ale się nie zabił. Sąsiad widział, jak na bezbronnego i ociekającego krwią bojowca rzucili się żandarmi i kopali go buciskami, aż mu podobno powybijali oczy. Dodał, że był to niski krępy brunet. Łatwo się domyśliłem, że to mój znajomy z Krakowa, Henryczek, jak go tam nazywano. Serce ścisnęło się boleśnie na myśl o cierpieniach tego miłego człowieka, a jednocześnie przygotowałem się, że pewno zostanę aresztowany. Nie było na to żadnej rady.

Około piątej po południu, gdy wszystko już ucichło, służąca wyszła z czteroletnią córeczką na spacer i zamknęła kuchnię na klucz. Usiadłem przy biurku i próbowałem pracować. Nagle do drzwi kuchni zakołatano gwałtownie. Otwierać, ale w tej chwili! Odpowiedziałem, że nie mam klucza, bo go służąca zabrała. Prosiłem pofatygować się do drzwi frontowych. Ozwało się tem gwałtowniejsze walenie do drzwi. Otwie-

rać! Straciłem panowanie nad sobą. Cóż to u Boga Ojca, nie rozumiesz jeden z drugim, że klucza niema? Frontem proszę wejść! Wyszedłem z kuchni, aby otworzyć drzwi frontowe, ale na progu pokoju stołowego, jakiś drab z rewolwerem w garści pchał się do sypialni, za nim zdążał drugi przez okno po drabinie przystawionej do muru. Niebawem mieszkanie pełne było żandarmów i policjantów. Rej wodzili jednakże dwaj szpicle z Ochrany o pyskach zakazanych.

Obaj ochraniarze mieli istotnie nie twarze ludzkie, ale pyski, czy może nawet mordy. Z rewolwerami w garści rzucili się do szaf, do biurka, do komody i bieliźniarki, a nawet do łóżek. Przetrząsnęli wszystko z fachową wytrawnością, nie omijając nawet lalek córeczki. Podczas gdy ci szpicle dokonywali rewizji, żandarmi stali przy mnie i przy żonie, nie pozwalając się ruszać. Z biurka wyrzucono wszystkie listy, rękopisy, notatki, fotografje, pocztówki. Jakiś cymbał w mundurze policyjnym otwierał książki i wydzierał z nich kartki z facsimile rękopisów znakomitych autorów. Niszczono mi w ten sposób kosztowne wydawnictwa, bez troski o to, że wyrządzano mi niepotrzebną szkodę. Stupajki carskie były przekonane, że wyławiają jakieś nadzwyczajne listy, poukrywane w książkach. Niepodobieństwem było perswadować im cokolwiek. Zabrano mi stosy pism naukowych, rękopisy licznych prac, wtłamszono wszystko do mojej własnej walizy i opieczętowano. Myślałem, że na tem będzie koniec, ale żandarm pośpieszył nas uświadomić, że oboje z żoną jesteśmy aresztowani z oskarżenia o współudział w zamachu na Aleksandrowa.

Parę dni przesiedzieliśmy w turmie grodziskiej. Cela była wysmarowana smołowcem, śmierdziała pluskwami i przypominała atmosferę kolejowych wychodków na linjach rosyjskich. Strzegli nas gołowąse sołdaty i jakiś mużyk o ryżej brodzie, należący do wielkiej rodziny chytrych cymbałów. Gdy się go prosiło o cokolwiek, domagał się zawsze bumagi, ale gdy dostał kilkadziesiąt kopiejek, bumaga stawała się niepotrzebną. Pozwalał nam siedzieć na dziedzińczyku więziennym, gdzie była kupa gnoju obok wychodka i panował taki smutek, jaki unosi się nad wszelkiem bezradnem niechlujstwem. Jedzenie przynosiła nam dziewczyna, przychodząca w towarzystwie córeczki. Oczywiście, jedzenie odbierano od niej u bramy, do wnętrza turmy jej nie puszczano. Przez dziurę w bramie patrzyliśmy na swoje dziecko, które podnosiło główkę i daremnie usiłowało zobaczyć rodziców.

Po jakimś tygodniu sielanki grodziskiej żandarmi przewieźli nas do Warszawy na ulicę Spokojną. Tu był rygor surowszy. Zrewidowano nas starannie, poodbierano nam wszystko, od pieniędzy aż po zegarki i scyzoryk, wydano żandarmowi pokwitowanie, że zostaliśmy należycie dostarczeni i rozdzielono nas: ja zostałem na niższem piętrze, żona poszła na wyższe.

Odrazu znalazłem się w miłem towarzystwie żyrardowian. Tkacze, pończosznicy, przędzalnicy, przeważnie młodzi i lekkomyślnie weseli, przywitali mnie bardzo życzliwie i ofiarowywali co mieli najlepszego. Było ciasno, bo cela obliczona najwyżej na osób sześć, musiała gościć czternastu aresztantów. Panował straszliwy zaduch w niewietrzonej i mrocznej celi. Towa-

rzysze niedoli radzili mi udawać chorego i wezwać lekarza, to dostanę się może do lazaretu, gdzie jest lepiej. Nie potrzebowałem udawać chorego, bo przeżycia ostatnich dni i fatalne warunki śmierdzącej turmy grodziskiej przyprawiły mnie o gorączkę i bóle głowy. Przyszedł felczer, wezwany przez współwięźniów, zmierzył mi temperaturę, zapytał ile mi kancelarja zostawiła pieniędzy, a gdy się dowiedział, że mam przy sobie pięć rubli i umiem grać w zechcyka, obiecał zameldować o mnie doktorowi.

Po dwóch-trzech dniach dostałem się istotnie do lazaretu. Była to duża izba na jakie cztery łóżka z przylegającą do niej łazienką. Siedział w niej stary brodacz rasy wschodniej, przyzwoicie ubrany, i drugi aresztant przyczajony w kącie izby, jakby chciał być niewidzialny. Brodacz siedział na łóżku i czytał syryjski Nowy Testament. Przedstawił mi się po łacinie i po francusku jako Nuja Ajwazjanc, duchowny kościoła syryjskiego. Przestrzegał mnie znakami i szeptem, że ten co siedzi w kącie „to szpion“ i zapytał, czy umiem grać w szachy. Szachownicę zmajstrował ze stołka więziennego polinjowanego odpowiednio i pomazanego atramentem, figurki ulepił ze sławetnego razowca rosyjskiego. Graliśmy w szachy, gawędziliśmy o tem i owem. Nuja Ajwazjanc dostał się do aresztu na całe trzy miesiące. Podróżował po Europie jako zamożny właściciel winnic na Kaukazie, w Anglji ujrzał ładny pistolet przedpotopowego kalibru i kupił go sobie dla radowania oczu. Na granicy znaleziono go łatwo w jego kufrze i zacny Syryjczyk na zasadzie jakiegoś paragrafu o stanie wojennym powędrował na trzy miesiące do aresztu. Tłumaczenia nie zdały się na nic, adwo-

kat poradził mu siedzieć, bo jak zacznie dochodzić sprawiedliwości, to mu się więzienie przedłuży kilkakrotnie.

Zaraz nazajutrz po naszem przybyciu do więzienia w Warszawie, przyszedł do nas przezacny i niezapomniany Andrzej Niemojewski w towarzystwie mecenasa Papieskiego. Przynieśli pieniędzy, ofiarowali pomoc, kazali być dobrej myśli. Nasi przyjaciele warszawscy nie wiedząc o sobie wzajemnie, zamawiali dla nas obiady w restauracji sąsiadującej z więzieniem. Otrzymywaliśmy tych obiadów po dwa i trzy jednocześnie, mogliśmy więc dzielić się z mniej szczęśliwymi więźniami. Ja oddałem jeden obiad zacnemu Syrzyjczykowi, który cieszył się z tego prezentu niewypowiedzianie, bo żarcie w turmie było nietylko pieskie, ale odrażająco brudne.

Wożono nas do Ochrany na przesłuchania, spisywano protokuły i tak płynął dzień za dniem, aż upłynął miesiąc. Towarzystwo było miłe: prócz robociarzy, siedzieli na Spokojnej studenci, lekarze, adwokaci, i — rzecz prosta — redaktorzy, którym się śniło o wolności słowa. Czasem przychodzili znajomi i przynosili wieści ze świata. Z jednymi z nich widywaliśmy się w kancelarji Carikowa, naczelnika więzienia, z innymi kazano nam rozmawiać podczas ogólnego widzenia przez podwójną siatkę, przedzieloną wąską sionką. W tej sionce powinien był stać strażnik i słuchać rozmowy więźniów. Ale to była teorja straszliwie idealistyczna. W więzieniu było sporo żydów i gdy ci zaczęli rozmawiać podczas takiego widzenia, to powstawał taki hałas, że i własnego słowa się nie słyszało. A strażnik, który miał prawo stać i czuwać, pełzał na brzuchu jak

jakiś wyjątkowo podły gad i podsłuchiwał. Chciał być niewidzialny, ale wszyscy go dobrze widzieli.

Doznałem uczucia odrazy poprostu fizycznej. Można było dostać choroby morskiej na widok takiego spodlenia ludzkiego. Bardzo podobnego uczucia doznałem po niewielu latach, gdy w resursie żyrardowskiej wygłaszałem jeden ze swoich licznych odczytów. Było to podczas okupacji niemieckiej i wszyscy wiedzieliśmy, że na każdym takim odczycie musi być przedstawiciel policji okupacyjnej. Meldowało się te odczyty, przybywał komisarz niemiecki, siadał w pierwszym rzędzie krzeseł i słuchał uważnie, co się mówi. Jednym z takich komisarzy był von Malaschewsky. Przychodził, sadowił się wygodnie i uważał. Ale razu pewnego, gdy podczas rocznicy kościuszkowskiej wygłaszałem przemówienie okolicznościowe, ze zdumieniem spostrzegłem, że na zwykłem miejscu niema policjanta okupacyjnego. Ucieszyło mnie to jako drobny objaw ustalającej się zmiany warunków politycznych, lecz gdy po chwili podniosłem głowę, spostrzegłem na chórze siwobrodego szpicla. Zaczaił się za filarkiem i czyhał. Nazywał się, niestety, Gniewota, był oczywiście zniemczony zupełnie i miał w sobie coś z prowokatora. Ludność szykanował con amore i pozostawił po sobie pamięć „pieskiego człowieka“. Gdy Niemców rozbrajano, drżał ze strachu, był bowiem przekonany, że powinien zostać zarżnięty za wszystkie swoje draństwa.

W „Serbji“, jak nazywano więzienie na Spokojnej, było nudno. Przyjaciele posyłali książki, ale czytać się nie chciało, bo serce trawił niepokój. Dowiadywaliśmy się, że Aleksandrow jest przekonany o naszym

współudziale w zamachu na niego i nawet słyszeć nie chce o zwolnieniu nas. W perspektywie było więc długie więzienie, a w najlepszym razie zsyłka administracyjna. Ale po paru tygodniach zostaliśmy znowu wezwani do Ochrany, przesiedzieliśmy tam parę godzin w oczekiwaniu na dygnitarza ochraniarskiego i wreszcie późną nocą dowiedziałem się, że nazajutrz będę mógł opuścić więzienie. Co się stało? Jeden z moich przyjaciół włożył w tę sprawę kilkaset rubli i poszło. Natomiast żona została przewieziona do więzienia na Pawiaku i przekazana sądowi. Po dalszych paru tygodniach sąd sprawę umorzył i żonę zwolniono, ale byliśmy materjalnie zrujnowani. Koszta takiego parotygodniowego aresztu rosyjskiego były ogromne.

Aby usunąć się z oczu policji grodziskiej, inspirowanej przez Aleksandrowa, który jeszcze leżał w szpitalu Ujazdowskim, przenieśliśmy się do Żyrardowa i zamieszkaliśmy przy ustronnej Alei Kolejowej. Znowu tedy mieszkałem w swojem miasteczku rodzinnem i dzieliłem losy swoich braci-robociarzy; chętnie zwracali się do mnie, gdy potrzebowali rady i pomocy.

Niemojewski, który w czasie naszego więzienia tak życzliwie opiekował się nami, zabiegając o nasze zwolnienie, sam niebawem musiał pójść do Cytadeli, gdzie miał odsiadywać rok twierdzy za „Objaśnienie katechizmu". Był pełen dobrej myśli, planował nowe prace, a „Myśl Niepodległą" podpisywała jego przezacna żona; statecznie dzieliła trudy i walki swojego męża i niczem nie dała się zastraszyć i zniechęcić. Z Cytadeli pisywał mi Niemojewski listy, w których przebijały się zmienne nastroje człowieka pracowitego

i czynnego, oderwanego od warsztatu pracy. Na nas była teraz kolej odwiedzać go w więzieniu. Niezapomniany ten pisarz dochował nam przyjaźni i tak samo, jak dawniej przyjeżdżał do Grodziska, tak po opuszczeniu Cytadeli odwiedzał nas w Żyrardowie. Do Żyrardowa przyjeżdżał też Tadeusz Miciński, który zabierał się wtedy do napisania książki przeciwko Niemojewskiemu w obronie historyczności Jezusa. Gromadził materjał religjologiczny i korzystał z tego, co posiadałem. Niebawem też wyszła jego „Walka o Chrystusa", ale sprawiła nam wszystkim zawód. Była to raczej apologja sentymentalna, okraszona tu i owdzie dość dowolnie dobranemi cytatami z dzieł różnych religjologów.

Życie płynęło śród kłopotów i trosk różnorakich. Policja miała mnie stale na oku, bo Aleksandrow nie mógł się pogodzić z myślą, że zostałem zwolniony z więzienia bez sądu, skazania i zsyłki. Jakiś głupawy strażnik rosyjski czepił się mojej bibljoteki i bezustannie dopytywał na co mi tyle książek i czy aby nie mam czytelni. Bo jeśli mam, to trzeba mieć „razreszenje" naczalstwa. Nie mogłem mu tego wyperswadować i musiałem tępy jego umysł wspomagać rublami.

Jakiemi metodami prowadzono wówczas śledztwo, tego drobnym przykładem było aresztowanie mego przyjaciela i ucznia, p. Józefa Wójcika, nauczyciela grodziskiego. Uczył się u mnie języka niemieckiego i bywał w moim domu bardzo często. Gdy dowiedziano się o naszych stosunkach, aresztowano go także. Było to dla niego, jako nauczyciela ludowego, fatalne, tembardziej, iż odrazu postawiono mu na śledztwie jakiegoś grodziskiego karczmarza, który twierdził, że oskarżony

był w jego karczmie i miał bombę pod połą surduta. Kiedy to było? W czwartek takiego a takiego dnia. Przy takim świadku można było dojść aż pod szubienicy, a conajmniej na katorgę. Biednego nauczyciela zawieziono do Warszawy, w kajdanach przeprowadzono go do więzienia i wzięto się do „bombiarza“ ostro. Byłby człowiek przepadł, gdyby nie przypadek. Przypomniało mu się, że owego krytycznego dnia, gdy miał być z bombą w karczmie grodziskiej, bawił ze szkołą swoją w Warszawie. Ponieważ chciał razem z dziećmi swej klasy złożyć wieniec pod pomnikiem Mickiewicza, więc musiał udać się do biura policmajstra warszawskiego po odpowiednie zezwolenie. Otrzymał je z datą i pieczęcią, a w biurze policmajstra pozostała adnotacja. Alibi było murowane. Świadek okazał się prowokatorem. Gdy p. Wójcik chciał zaskarżyć oszczercę do sądu, sędzia do spraw osobliwie ważnych odradził mu to, pouczając go: „Co z pana za rewolucjonista! Nie wie pan jak się takie rzeczy robi, czy co? Idziemy naprzód omackiem, omackiem... “ I tak, omackiem, omackiem prowadzono niewinnych ludzi na szubienicę i na katorgę.

Pod czujnem okiem policji, która interesowała się żywo nawet moją korespondencją, pisywałem do „Myśli Niepodległej“, „Bluszczu“, „Echa Literackiego“ i innych pism. Wynagrodzenie było znośne, a nawet dobre. Za artykuły pisywane, jak się to mówi, na kolanie, płacono po trzy kopiejki od wiersza, za rzeczy poważniejsze, po 5 do 8 kopiejek. Gdy się napisało 150 wierszy dziennie po 5 czy 8 kopiejek, to zarobek wynosił od jakich ośmiu do dwunastu rubli. Były to duże pieniądze jak na stosunki przedwojenne, ale, niestety,

nie było gdzie drukować różnych prac religjologicznych, które w owych czasach, jak i dzisiaj jeszcze, włącza się sumarycznie do rubryki „bluźnierstw“‘. Są to rzecz prosta bluźnierstwa tylko przeciw głupocie i tępocie, wiecznej i niezmożonej. Gdy naprzykład napisałem rozprawę o kobiecie w religjach świata i gdy wskazywałem na założycielki różnych kościołów w rodzaju Mary Baker, twórczyni „Christian Science“, a przy tej sposobności wspomniałem o M. F. Kozłowskiej, założycielce marjawityzmu, skreślono mi całą uwagę o niej. O Mary Baker można w Polsce pisać, Kozłowską można tylko lżyć.

Biedne było nasze życie literackie. Pamiętam, jakie bolesne wrażenie wywarł na mnie świetny poeta Antoni Lange, gdy wypoczywając w małem podwarszawskiem miasteczku, w lichutkiem wyszarzanem paletku szedł do sklepu po atrament, aby pisać potem swoje cudowne wiersze. Człowiek ten, którego niezrównane strofy czarowały całą młodzież ówczesną, był formalnie przytłoczony kompleksem onieśmielającej biedy. W towarzystwie pewnego miłego bałaguły, który pieniądze wyrzucał pełnemi garściami, Lange siedział milczący i słuchał pełen smutnej zadumy.

Tymczasem Rosjanie wywłaszczali kolej Warszawsko - Wiedeńską, wyodrębniali Chełmszczyznę. Pocieszaliśmy się słowami Prusa, że Chełmszczyzna nie będzie ani o krok dalej po wyodrębnieniu, ale pociecha była marna, mówiąc słowy Sępa - Szarzyńskiego. Po roku „wolnościowym“, 1905-6, nie zostało już ani śladu. Wszystko, co wtedy powstało, zlikwidowali gubernatorowie i kurs rusyfikacyjny trwał dalej. Na terenie Dumy petersburskiej przegrywaliśmy punkt po punkcie

wszystkie stawki. Dmowski chciał z przedstawicielstwa naszego uczynić „języczek u wagi“ i zaskarbić sobie względy władców rosyjskich; rezultat był taki, że przedstawicielstwo Królestwa mocno zredukowano. I, o ironjo, za to, że polskie Koło dumskie głosowało za kredytami wojskowemi przeciwko liberałom i lewicy. Władcy cesarstwa nie chcieli, aby jacyś tam „inorodcy“ decydować mieli o losach Rosji.

Ale kto chce ulegać miłym ułudom, zawsze znajdzie sposobność. Łudziliśmy się, że co innego samodzierżawie i biurokracja, a co innego naród rosyjski. Ten naród rosyjski odebrał nam Chełmszczyznę i kolej Wiedeńską, a zarazem chciał nas obdarować takim swoistym samorządem, który miał się stać narzędziem tem energiczniejszej rusyfikacji. To powinno było rozwiać wszelkie złudzenia chyba raz na zawsze. Ale nie rozwiało. W przededniu wojny światowej ożywały stare romantyzmy politycznego neo-słowiaństwa. Rachunek był prosty: wojna trwać będzie najwyżej trzy, no, cztery miesiące, a potem zjednoczone ziemie polskie dostaną się jako całość polityczna pod luźne panowanie cara rosyjskiego jako króla polskiego, a może nawet jeden z rosyjskich wielkich książąt zostanie w Warszawie ukoronowany na króla?

W Żyrardowie niewielu było takich, którzy mieli odwagę wymówić z wiarą słowo „niepodległość“. Po latach straszliwego ucisku, gdy nikt nie wierzył, aby rozbrojona Polska zdołała zrzucić z siebie jarzmo kolosa militaryzmu rosyjskiego, czy pruskiego, samo słowo autonomja miało pewien czar dla umysłów rozbrojonych. A tu jeszcze dogmat zjednoczenia i siły!

Taki był nastrój w moim Żyrardowie, gdy na początku wojny ukazała się pusta odezwa Mikołaja Mikołajewicza: „Do Polaków!“ Nastał „jubel“ i pewność, że za trzy miesiące będzie pokój i raj na ziemi. Więc niech żyją... „nasi“! Ale Hindenburg rozgromił Samsonowa, „nasi“, którzy byli ciągle „na bierlinskom naprawlenji“, zaczęli się cofać i ładny sen o trzechmiesięcznej wojnie rozwiewał się jak dym.

Podczas wojny światowej Żyrardów zmieniał fizjonomję kilkakrotnie. Rosjanie bardzo szybko awansowali na „naszych“, ale po pierwotnym entuzjazmie przyszło smutne rozczarowanie. Gwardyjskie pułki, które w pierwszych dniach i tygodniach wojny przeszły przez Żyrardów, imponowały nam. Żołnierze tych pułków byli chłop w chłopa, rośli, krzepcy, pełni wiary w zwycięstwo, tacy właśnie, jakich wymagał program wojny, mającej zmienić świat w ciągu trzech miesięcy. Ale tymczasem przychodziły wieści niewesołe i zgoła nieprogramowe: Niemcy szli na Paryż i usadowili się nad Marną, a Rosjanie, którzy wkroczyli do Prus Wschodnich, musieli szybko uciekać. Lecz wiara była uparta. Pierwsze koty za płoty! Kalisz i Częstochowę uważano u nas za wyjątki, za epizody przykre, w gruncie rzeczy mało znaczące. Komunikaty rosyjskie ciągle mówiły o kierunku na Berlin i na Budapeszt, a nawet na Wiedeń. Nagle spadła na nas wieść o klęsce Samsonowa pod Tannenbergiem. Program wojny wikłał się, termin pokoju wypadło odsunąć daleko. Mijały dni i tygodnie, przez Żyrardów przewalały się wojska, ruch w fabryce kulał i zamierał, aż zamarł całkowicie. W dniach październikowych nastała raptem jakaś dziwna cisza, a pewnego ranka z ust do ust szła wieść, że na szosie wiskickiej już są Prusacy. Gdzie? Koło niebieskiego krzyża. Dużo ich jest? Sporo, a jeszcze więcej idzie od Wiskitek. Całkiem blisko słychać było strzelaninę, z oddali dochodziło grzmienie dział.

Szosą na Wiskitki, Guzów i Sochaczew toczyły się niezliczone armaty austrjackie. W sklepie można było spotkać oficerów niemieckich w towarzystwie burszów; kupowali to i owo. Bursz pytał naprzykład, czy pan kapitan nie każe kupić rękawiczek? A pan kapitan odpowiadał, że rękawiczki kupi się pojutrze w Warszawie. Było to w piątek wieczorem. W sobotę rano na szosie wiskickiej ukazał się oddział konnicy z Małopolski w niebieskich kubraczkach. Kawalerzyści byli pomęczeni i głodni, więc gdy oddział zatrzymał się w pobliżu rynku, porozbiegali się po sklepach i nakupili dużo pieczywa i kiełbas. Śniadanie spożywali siedząc na koniach. Młody oficer stał przy swoim gniadoszu i co chwila spoglądał na zegarek. Działa grzmiały coraz donośniej, oficer pobudzał żołnierzy, aby kończyli śniadanie. W pewnej chwili skoczył w siodło, zagwizdał sygnał i spojrzał na swój oddział. Konie naostrzyły uszy i zrównały się, żołnierze zastygli w oczekiwaniu. Nowy sygnał, zagwizdany jakby od niechcenia, i oddział ruszył stępa ku Wiskitkom. Dowiedzieliśmy się później, że niemal cały ten oddział został zniesiony flankowym ogniem zaczajonych gdzieś przy drodze karabinów maszynowych. Działa grzmiały coraz bliżej i coraz donośniej. W niedzielę rano tabory austrjackie ukazały się na szosie i wlokły się powoli ku Wiskitkom, ale zgoła niespodzianie stanęły i po niedługim postoju ruszyły z powrotem. Ludzie znający się na wojaczce, twierdzili, że to odwrót Niemców i Austrjaków. Był to istotnie odwrót. W poniedziałek rozległy się liczne detonacje wysadzanych mostów kolejowych, a wieczorem niebo czerwieniło się łunami pożarów. Działa grzmiały w innych stronach, w Żyrardowie zapanowała cisza

i pustka, ale nazajutrz z Czarnego borku wychyliły się niewielkie oddziałki kozackie i popędziły w stronę Radziwiłłowa. Do Mszczonowa, do Skierniewic, na Łowicz szła piechota rosyjska, która nie wiadomo skąd się raptem wzięła. Za nią ciągnęły działa i tabory. Komunikaty rosyjskie głosiły zwycięstwo i znowu powtarzały zwroty o operacjach „na berlinskom naprawlenji".

Ale operacje w kierunku Berlina udawały się tylko na papierze. Front był niestały i zmienny, z różnych stron dochodziły wieści o walkach toczonych „ze zmiennem szczęściem", a żołnierze rosyjscy zaczynali mówić o rewolucji. Szkoły poprzemieniały się w szpitale, na salach fabrycznych leżeli ranni i chorzy, a panie żyrardowskie chodziły do tych zaimprowizowanych szpitali i podawały ciężko rannym, co mogły. Młodziutki chłopak, któremu odłamek granatu rozbił czaszkę tak strasznie, że widać było opony mózgowe, zwracał się do czuwających pań z prośbą: „Siestrica, daj szokoład!" Ktoś pobiegł do sklepu po czekoladę dla umierającego, a ten wywodził, że strasznie mu się chce spróbować, jak smakuje czekolada, bo jeszcze nigdy nie jadł jej, a tyle o niej słyszał! Jakiś młody Sybirak, nauczyciel, służący przy telegrafie polowym, rozchorował się na cholerynę i strasznie bał się szpitala cholerycznego. Bezustannie powtarzał, że chciałby dożyć wiosny, aby usłyszeć słowika, bo jeszcze nigdy nie słyszał ptaszka, który nocą śpiewa. Na Syberji mąka tania, mięso tanie, ale słowików niema. A wieczorami brodaci mużycy, rozkwaterowani po domach prywatnych, myli się do pasa, pili herbatę, jedli, co kto miał, i pisywali dłu-

gie listy do swoich rodzin, jeśli znajdowali chętnego pisarza.

Przywykliśmy do nich i polubiliśmy tych ciemnych płowych brodaczy. Stali w rezerwie i czekali swej kolei. Pewnego dnia kazano im iść na front, więc poszli, ale z pięciu wrócił jeden. Gdzie tamci? „Nu nakłali nas tam, durakow" — odpowiadał poczciwy mużyk, żegnając się zamaszyście krzyżem świętym. Dziwni to byli ludzie! Gdy ich na rynku żyrardowskim uroczyście dekorowano, zawijali swoje krzyże „gieorgijewskie" w szmatkę i chowali w kieszeni u spodni. Wstydzili się nosić je, bo im się zdawało, że dostali odznaczenie chyba przez pomyłkę. Robił to samo, co wszyscy inni, i raptem „gieroj"! Wzruszał poczciwy chłopak ramionami i kazał patrzeć na siebie. „Nu kakoj-że ja gieroj?! Sami pasuditie!" Nie, ci ludzie nie chcieli być bohaterami i poprostu wstydzili się za swoich przełożonych, którzy gwałtem czynili z nich bohaterów. Czasem w szarugę zimową, gdy padał deszcz ze śniegiem i wył wiatr, do domu przyszło dwóch - trzech młodych oficerów, poprosili o szklankę herbaty i zjedli co akurat było pod ręką, a potem ruszali znowu Bóg wie gdzie. Było w tem wszystkiem sporo bałaganu i bezhołowia. Bezustannie przypominała się historja Rosji opowiadająca o tem, jak to Słowianie posłali do Rurika i jego braci: „Ziemla nasza wielika i abilna, no porjadka w niej niet". Przybądźcie tedy i panujcie nad nami!

Na początku roku 1915 front ustalał się nanowo, i tym razem całkiem już blisko, bo nad Rawką i Bzurą. Żyrardów stał się wielkim składem amunicji i garnizonem rezerw. Na rynku paradowały armaty, wzdłuż kościoła u drzew poprzywiązywano konie, po domach roz-

kwaterowani byli żołnierze i oficerowie. Aeroplany niemieckie coraz częściej odwiedzały nasze miasto i zrzucały na nie po kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt bomb dziennie. Na podwórzach stały beczki z solonemi rybami, z których kucharze wojskowi gotowali dla żołnierzy rosyjskie „szczi", a tu i owdzie leżały kawałki czarnego chleba wdeptywane w błoto butami żołnierzy i cywilów. Nieraz można było znaleźć na podwórzu pół dużego bochna chleba, ale nikt nawet nie pomyślał, aby ten dar boży zbierać i suszyć. Czyniła to tylko jedna ze znajomych, wdowa po urzędniku fabrycznym, pani Pentherowa. Porzucony chleb zbierała, oczyszczała go starannie, krajała i suszyła. Dobrze ususzone suchary przechowywała w workach zawieszonych na strychu. Była przekonana, że ten chleb, tak niebacznie wdeptywany w błoto, będzie kiedyś przysmakiem. Jej przewidywanie było trafne, bo okupacja niemiecka równała się przewlekłej klęsce głodowej. W roku 1917 i 1918, gdy nędza dochodziła do szczytu, pani Pentherowa rozwiązywała worek za workiem i karmiła sucharami najgłodniejszych.

Już w pierwszych tygodniach wojny powstał komitet opieki nad ubogimi i działał schematycznie, jak to takie komitety działają, chociaż jeszcze było bardzo znośnie i nędza nikomu nie dokuczała. Gorzej było, gdy nastała nędza prawdziwa i gdy najlepsza wola nie miała czem ratować nędzarzy. Podczas gdy w Żyrardowie stały wojska rosyjskie i gdy każdy mógł nabrać chleba żołnierskiego i solonych ryb, ile chciał, ten i ów co gospodarniejszy, owemi rybami i chlebem porzuconym karmił świnie. Byli nawet tacy, którzy brali zupę komi-

tetową dla całej rodziny poto tylko, aby nią paść trzodę. W sklepach zaczynało braknąć różnych rzeczy, a zabiegliwe gospodynie składały się, kupowały do spółki świnię i robiły kiszki i kiełbasy sposobem domowym, mięso zaś „saletrowały" i soliły.

Życie układało się w pewien schemat i wytwarzało atmosferę nowego sposobu istnienia. Zrana nad miastem pojawiały się aeroplany niemieckie, a wtedy działa rosyjskie ukryte w Czarnym borku ostrzeliwały je bez większego powodzenia. Co chwila buchała armata, a na tle strzałów armatnich odzywały się daleko głośniejsze detonacje wybuchających bomb niemieckich. Potem wózki zwoziły rannych z frontu do szpitali w szkołach i w fabryce, a na innych wozach wywożono codzień tyle a tyle trumien na cmentarz. Czasem pogrzeb był okazały, asystowało wojsko pod bronią i grała orkiestra śmiertelnego marsza. Pewnego pięknego dnia majowego na dziedzińcach szkół żyrardowskich poukładano setki żołnierzy potrutych gazami. Biedni ci ludzie leżeli pokotem na ziemi w swoich znoszonych i brudnych szynelach, a nieliczni lekarze z siostrami Czerwonego Krzyża, chodzili śród nich i rozkładali ręce bezradnie. Nie było środków ratunkowych, brakło wyszkolonego personelu, aby ratować potrutych. Umierali na ziemi spokojnie, cicho, bez buntu, całemi dziesiątkami. Ano wojna. Chleb wdeptywano w ziemię, życie ludzkie trwoniono w sposób zbrodniczo lekkomyślny. Frazeologja patrjotyczna i „Boże carja chrani!"

I znowu komitet. Panie robiły opaski na usta i nos, aby chronić niemi żołnierzy przed gazami trującemi. Później, gdy już dokwitały jaśminy a w gąszczach zanosiły się słowiki, na podwórzach nagromadzono ma-

sy amunicji armatniej, a od stacji na Wiskitki dniami i nocami płynął nieprzerwany korowód dział i jaszczów z amunicją. Ziemia dudniła pod ciężarem tej masy żelastwa, a zgiełk, jazgot i szczęk wypełniał powietrze. Miała być wielka bitwa. Huczały armaty jak przeciągły grzmot, gdy zaś wieczorem przycichały, słychać było monotonne, zimne i obojętne terkotanie karabinów maszynowych. Zwożono rannych, którym litościwe kobiety podawały mleko i kawę, grzebano umarłych, aeroplany zrzucały na Żyrardów po trzydzieści kilka bomb dziennie, zabijając kobiety i dzieci wystające przed herbaciarniami, albo gości kinoteatrów. Palacze tytoniu skupowali po sklepach ostatnie papierosy; były coraz droższe. Znajomy „dienszczyk", którego oficerowi zachciało się placków kartoflanych, przyszedł poprosić o pożyczenie tarki do tarcia kartofli i mówił, że na froncie „nie charaszo".

Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. Mijały dni czerwca, iluzjoniści cieszyli się, że teraz będzie lepiej, bo przecie i Włochy idą z koalicją, a pesymiści machali ręką na takie porządki. Ten i ów pakował trochę ubrania do walizki, zamykał mieszkanie na klucz i ruszał na Wschód. Dlaczego pan ucieka? A dlaczego mam nie uciekać? Niemiec tu przyjdzie jak amen w pacierzu i będzie głód, albo jeszcze i co gorszego. Kapitan Napiersnikow, od taborów, zakwaterowany w sąsiednim domu, przychodził na pogawędkę i usilnie doradzał, abyśmy rzeczy cenniejsze wywieźli do Warszawy. Dał nam samochód wojskowy, więc usłuchaliśmy jego rady i wywieźliśmy to, co przedstawiało dla nas największą wartość; sami wróciliśmy do Żyrardowa. Trudna rada, niech się dzieje co chce, ale trzeba pilnować własnych

śmieci. Może jeszcze nie będzie tak źle..? Lecz w piątek 16 lipca znajomy dienszczyk przybiegł wieczorem zadyszany, aby nam oddać tarkę, którą sobie był pożyczył od nas. Razem z tarką przyniósł butelkę dobrego wina. Co za wino? Z piwnicy jednego z pałacyków. Wszyscy brali, wziął i on. Bierzcie państwo i dowidzenia. „My atstupajem!" I pobiegł do swoich.

Konsternacja i popłoch. Ludzie rzucili się w stronę kolei, aby jeszcze ostatniemi pociągami dostać się do Warszawy. Ci, co się nie dostali do pociągów, szli piechotą na Grodzisk, albo jechali wózkami zaprzężonemi w te chabetki, jakie po rekwizycjach pozostały w wyniszczonej okolicy. W sobotę rano zapanowało w mieście wielkie podniecenie. Śmigały automobile z generałami i dygnitarzami rosyjskimi, tu i owdzie przemykało się ulicami kilku kozaków, maruderzy wlekli się ku Czarnemu borkowi, a w fabryce krzątali się żołnierze i rozścielali słomę po salach, aby ją w odpowiedniej chwili można było bez wielkiego zachodu podpalić. Pod gmach nowej przędzalni podłożono masę dynamitu, podminowywano kominy fabryczne. W składach pończoszarni i bielnika gospodarowali żołnierze i wyrzucali wyroby pończosznicze i tkackie; ludność mogła brać ile chciała. Wszystko jedno i tak się spali. Jacyś oficerowie arjergardy szukali dyrekcji, chcąc się z nią porozumieć. Mówiono sobie na ucho, że za kilka tysięcy rubli można było ocalić fabrykę przed spaleniem. Ale dyrekcji już nie było. Władze wojskowe wydały rozkaz, że sikawki fabryczne mają natychmiast wyruszyć do Warszawy. Ci, co jeszcze nie zdołali uciec, siadali teraz na sikawkach i wozach strażackich i pomykali ku Warszawie. W godzinach popołudniowych Żyrardów

był tak doskonale ewakuowany, że tylko zrzadka spotykało się na ulicy cywila. Ostatnie rosyjskie auta pomykały w stronę Mszczonowa. Na podwórzach, na ulicach, przed domami, na rynku, przed kościołem, wszędzie leżały jakieś porzucone odpadki, skrzynki, słoma, kupy nawozu końskiego. Przy płocie na podwórku koło Domu ludowego stał chory koń na uwięzi, wystraszonemi oczami rozglądał się dokoła i rżał słabnącym głosem. Zadyszany podoficer podbiegł do niego, wyjął rewolwer i przyłożył mu do ucha. Młody chłopak rzucił się do podoficera z błaganiem, aby nie zabijał chorego konia. Obiecał zaopiekować się nim, wyleczyć go. Podoficer machnął ręką i schował rewolwer. Od strony fabryki biegli jacyś ludzie. Baczność! Baczność! Rozległ się głuchy grzmot: pierwszy, najwyższy komin zachwiał się śmiesznie, podskoczył i runął, a nad nim zawisł czarny tuman kurzu. Wślad za pierwszą detonacją ozwały się inne. Padały kominy koło tkalni, koło przędzalni bawełny... W domach fabrycznych zamiast po kilkudziesięciu mieszkańców pozostało po kilkunastu, pc kilku. Ostatni żołnierze rosyjscy znikali w okolicach cmentarza, nad Żyrardowem zaczęły krążyć aeroplany niemieckie. Wystraszone kobiety z sąsiedztwa uciekły do naszej sieni i zbielałemi ustami odmawiały pacierze. Wstrząsające wybuchy powtarzały się jeden za drugim, ale nie wiedzieliśmy, czy to wybuchają rosyjskie miny, czy niemieckie bomby. Nastała chwila ciszy. Nad tkalnią zaczynały się snuć dymy, śród ciszy słychać było trzask pożaru. Nagle ziemia zadygotała od straszliwego wstrząsu i zanim rozległ się huk, oba okna sieni, niższe i wyższe z suchym trzaskiem wyleciały na schody. Przez wyrwane okno wpadł do sieni straszliwy huk.

Wszyscy rzucili się na ziemię. Nikt nie wiedział, co się właściwie stało, bo w ciągu całej wojny takiego wybuchu nie słyszeliśmy. Okazało się potem, że cofający się Rosjanie wysadzili za cmentarzem spory zapas ekrazytu.

Zapadał ciepły lipcowy wieczór, południowo-wschodni wiatr pędził dym z płonącej tkalni na północo- zachód, nieliczni pozostali mieszkańcy Żyrardowa wychodzili na ulice i spoglądali po sobie. Nad bielnikiem zakwitały bielutkie obłoczki pękających szrapneli niemieckich. Artylerja niemiecka czekała, czy nie otrzyma odpowiedzi. Nadeszła noc rozjaśniona ponurym blaskiem olbrzymiego pożaru. Stara tkalnia paliła się jasnym płomieniem i rzucała czerwoną łunę na kościół. Kawki, które gnieździły się w jego wieżach, polatywały dokoła i niespokojnie skrzeczały. W wodociągach, zasycanych z fabrycznej wieży ciśnień, oczywiście nie było wody i ludzie nosili ją z dalekich studzien, aby chronić strzechy, na które padały snopy iskier z płonącej tkalni. Ale krótka noc letnia minęła i niedzielny ranek jaśniał pogodnie nad dymiącemi zgliszczami wielkiej fabryki. Oddziały piechoty niemieckiej w komicznych pikielhaubach stały na rynku, przy kościele, na ulicach. Obstawiono strażami fabrykę i zabrano się do ratowania tego, co jeszcze można było uratować. Pod gmachem przędzalni lnu znaleziono tak wielki ładunek dynamitu, że gdyby był wybuchnął, to zdaniem wojskowych niemieckich byłby zniszczył nietylko przędzalnię, ale cały kompleks okolicznych domów.

Zaczynało się nowe życie, ale ponure i ciężkie. Na murach domów widniały białe kartki z obwieszczeniami komendanta nimieckiego. Nakazywał, zabraniał,

grozil. „Kto się do tego rozporządzenia nie zastosuje, będzie zastrzelony“. Taki był stereotypowy końcowy zwrot wszystkich tych rozporządzeń. Aby zaś nie brakło odstraszającego przykładu, gdzieś na drodze wiskickiej złapano dwóch młodych chłopców mogących mieć po 15 — 16 lat i stawiono ich przed sądem polowym jako szpiegów rosyjskich. Sąd trwał kilkanaście minut, poczem obu chłopców wyprowadzono pod mur cmentarza i rozstrzelano. Szli, płacząc i narzekając, jak dzieci pokrzywdzone przez wszechmoc dorosłych uzbrojonych ludzi. Przechodnie spoglądali po sobie ze zgrozą, ale nikt nie odważył się wyrazić współczucia skazanym dzieciakom. Płacz ich przechodził w szlochanie i krzyk rozpaczliwy, — niestety, daremny. Huknęła salwa z dwunastu karabinów, a po chwili zwłoki dwóch chłopców, zamordowanych gwoli przykładowi, zostały zakopane pod płotem cmentarnym. Te straszliwe egzekucje powtarzały się tam częściej.

W okolicy było nie lepiej. Szpiegostwo służyło Niemcom wybornie, a wojsko niemieckie mściło się na swoich rzeczywistych i domniemanych wrogach w sposób zgoła okrutny. Jeszcze za Rosjan, gdy nad Żyrardowem pojawiał się aeroplan niemiecki, powstawał na mieście wielki rozgardjasz. Tu padała bomba, ówdzie uciekali ludzie, pod osłoną drzew i budowli ustawiali się żołnierze rosyjscy i ostrzeliwali aeroplany z karabinów, oczywiście, całkiem bezskutecznie. Z jakiegoś niewiadomego miejsca odzywały się karabiny maszynowe, a od strony Czarnego borku grzmiały armaty. Zaś aeroplany płynęły spokojnie i robiły swoje. Podczas takich ostrzeliwań aeroplanów, ten i ów, ciekaw jak też się strzela z karabinu, brał z rąk żołnierza broń i strzelał Panu

Bogu w okna. Teraz, Niemcy wyławiali przy pomocy swoich szpiegów wszystkich cywilów, którzy „ostrzeliwali" ich aeroplany i skazywali tych poczciwców na śmierć. Nie pomagały tłumaczenia, że chodziło jedynie o spróbowanie, jak się strzela z karabinu.

Po niewielu dniach od chwili wkroczenia Niemców do Żyrardowa, ze sklepów poznikały papierosy, nie można było dostać czekolady, mydła, świec. Życie stawało się jakieś pierwotne, puste i jałowe. Największą troską było zdobycie trochy mąki, słoniny, mięsa. Przepisy wojskowej administracji niemieckiej podobne były do mechanizmu zamykającego życie w ciasnych ramkach trosk najpowszedniejszych, a ogłoszenia niemieckie, wzywające robotników do pracy u nich, świadczyły o jakiejś wprost skandalicznej dezorjentacji nowych władców. Do pracy w Niemczech nakłaniało się ludzi perspektywą oryginalną. „Zarobicie tyle, że będziecie mieli z czego płacić podatki". Jak gdyby człowiek istniał na to, aby płacić podatki! A tymczasem nie było pieniędzy, zaś sklepy, takie ongi bogate, stały żałośnie puste. Znikła nafta, poznikały oleje, oliwy można było dostać tylko na lekarstwo, mydło stało się wspomnieniem i legendą.

Gdy w listopadzie roku 1916 państwa centralne ogłosiły niepodległość Królestwa, zastrzegając uregulowanie granic na później, akt ten padł w pustkę sceptycyzmu. Z niezapomnianym przyjacielem, doktorem Szulcem, jechaliśmy pewnego popołudnia listopadowego w Sochaczewskie. Dzień był pogodny i jasny, rozmawialiśmy o niepodległości radując się nietyle samym aktem państw centralnych i tem, że powstawały niejako dwie Polski jednocześnie, ile że dekret cesarza austrjackiego

wydzielał Małopolskę jako jednostkę samodzielną pod względem administracyjnym,—ale wiarą, że akt ten miał bądź co bądź swoją wymowę i świadczył, że dzieje świata nie skończyły się na okupacji niemieckiej.

Za Wiskitkami wjechaliśmy w cudowną aleję topolową zasłaną złotemi liśćmi i jaśniejącą melancholijnie w bladem słońcu jesiennego popołudnia. Na łąkach i ścierniskach wykwitały błękitne dymki ognisk pastuszych, krowy przeżuwały w zamyśleniu więdnącą trawę, tu i owdzie snuli się ludzie po polu, a na płotach i chałupach widniały olbrzymie plakaty obwieszczające niepodległość Królestwa. Patrzyliśmy na piękny krajobraz mazowiecki i oddawaliśmy się słodyczy wędrowania. Było nam tak jak włóczęgom Hamsuna „Pod jesiennemi gwiazdami". Każda nowa chata, nowy kamień przydrożny, czy strumień z drewnianym mostkiem był rewelacją i źródłem radości niespodzianej. Chodziłem po polu, podczas gdy doktór bawił u państwa Glezmerów, i cieszyłem się Bóg wie czem. Że jestem na świecie, że świat się przeobraża, że ze straszliwego kataklizmu zrodzi się nowy jasny porządek, że się ludzkość odrodzi. Ale nastrój radosny gasł razem ze słońcem. Wracaliśmy do domu o zmierzchu, a do Żyrardowa przybyliśmy, gdy już było ciemno. Chciało się jeść, lecz w domu czekały na mnie tylko odsmażone kartofle, lichy chleb okupacyjny i jeszcze lichsza herbata, której nie było czem słodzić. Kolację spożywaliśmy przy knociku, jakie się pali przed obrazami: w szklance wody warstwa oliwy, a w niej knocik mizerny.

Przy takiem oświetleniu można było od biedy zjeść kolację, ale jak czytać i pracować? Były to czasy wielkich pomysłów i wynalazków. Wchodziły w użycie ja-

kieś nadzwyczajne lampy karbidowe i malutkie lampki benzolowe, ale jedne i drugie wybuchały nieoczekiwanie i powodowały nieszczęśliwe wypadki. Człowiek przyzwyczaja się wszakże do wszystkiego, i to bardzo szybko. Kartkowy chleb, niemieckie świadectwa odwszenia, czyli „Entlausungsscheiny“, kluski ze szmuglowanej mąki i śledzie kradzione przez dobrych ludzi w magazynach niemieckich — to wszystko stawało się niejako nową naturą. Śledzia skradzionego niemieckim żołnierzom rozcierało się starannie na glinianej misce i mieszało się go z masłem, co dawało delikates pierwszej klasy: masło sardelowe.

Ale humor psuł się jednak dość często. Naprzykład na ulicy stawali żołnierze niemieccy i wyłapywali mężczyzn, aby ich następnie wyprawiać do Niemiec na ciężkie roboty i jeszcze cięższy wyzysk. Nikogo nie pytano, czy chce, czy nie chce, lecz brano przemocą. Miasto pustoszało. Z trzydziestu i kilku tysięcy mieszkańców przedwojennych pozostało w roku 1917 zaledwie niespełna osiemnaście tysięcy. Przeważały, oczywiście, kobiety i dzieci. Biedne „rezerwistki“ szyły dzieciom koszule z firanek i jakiemiś im tylko wiadomemi drożynami chodziły po okolicznych wsiach, aby zdobyć trochę mąki, ziemniaków, czy kawałek razowego chleba dla dziatwy. Przemykały się chytrze, aby nie wpaść w ręce żandarmów niemieckich i były rade, gdy dzieci przynajmniej od czasu do czasu najadały się dosyta.

Czasy szły złe, głodne, smutne. Brakło pracy i trzeba było zarabiać na kawałek kartkowego chleba czem się dało i jak się dało. Tu odczyt, tam lekcje,owdzie tłumaczenie... A gdy się wychodziło na pustą ulicę, aby odetchnąć świeżem powietrzem, można było ujrzeć naj-

smutniejszy pogrzeb, jaki tylko wyobrazić sobie można. Na pustej ulicy rezerwistka ciągnęła ręczny wózek z trumną dziecka zagłodzonego przez wojnę na śmierć. Nic, tylko ta lichutka trumienka na ręcznym wózku i siła pociągowa łkającego serca matczynego. Jedna ręka, wychudzona w niedoli wojennej, ciągnie straszliwy ciężar niewymownej żałości, druga ociera łzy znoszoną zapaską. W pustej i głuchej uliczce turkocze po kamieniach ręczny wózek z umarłem dzieckiem i rozlega się szloch bezradnego serca. Były to czasy gdy zamiast 182 związków małżeńskich zawierano w Żyrardowie tylko 33 rocznie i gdy zamiast 650 dzieci rodziło się tylko 130. Wtedy to na 130 noworodków przypadało 670 pogrzebów rocznie.

A Niemcy zwyciężali na lądzie i na morzu i zapowiadali rychłe zdobycie Paryża. Nieszczęśliwi ojcowie rodzin błąkali się po wsiach w poszukiwaniu pożywienia, wymykali się żandarmom, ścierali się z nimi niekiedy i ginęli rozstrzeliwani z wyroku cesarsko - niemieckiego sądu wojskowego. Naczelnik powiatu czyli „Kreischef“ wydawał gazetę urzędową, w której było czarne na białem za co kto został rozstrzelany, skazany na więzienie, czy na grzywnę. Wyroków było zatrzęsienie, a tłumacz siedział w Grodzisku i tłumaczył teksty niemieckie na język polski. Łaja Birencwejg została skazana na 300 marek grzywny za fałszowanie środków spożywczych, czyli „für Fälschung der Genussmittel“. Tłumacz zajrzał do słownika i zapisał sobie: Genuss— rozkosz; Mittel — środek... A więc: za fałszowanie środków rozkosznych. Urzędowy „Kreisblatt“ był lekturą bardzo wesołą dla tych właśnie tłumaczeń na język polski.

Pewnego razu znajoma wieśniaczka, Tomaszewska, z pobliskiej wsi, przyniosła nam serek i trochę masła. Zastanowiło mnie, że przyszła sama i do tego z dość daleka, chociaż na pierwsze spojrzenie widać było, że lada chwila może zacząć rodzić. Zapytałem ją, czy nie mógł jej kto wyręczyć. Milczała, dawała wymijające odpowiedzi, aż wreszcie przyznała się z okrutnym wstydem, że mąż siedzi w więzieniu i to aż w Łomży. Gdzieś z okopów rosyjskich nad Bzurą wziął sobie okrąglaczek i wrzucił na wóz. Wiadomo, przyda się taka rzecz w gospodarstwie. Żołnierz niemiecki, który tam stał na warcie, zatrzymał go i nuż spisywać imię i nazwisko, miejsce zamieszkania i inne rzeczy straszliwe. Chłopek do kieszeni po ruble i — jak to bywało zawsze: masz tu, panie żołnierz, a nie zapisuj. Żołnierz zapisał i okrąglak i owe ruble otrzymane od gospodarza. Oczywiście, cesarsko - niemiecki sąd sądził i wydał wyrok „sprawiedliwy": za okrąglak sześć miesięcy więzienia, a za próbę przekupienia żołnierza stojącego na warcie, pięć lat więzienia.

Gospodyni narzekała: pięć lat! I jeszcze trzeba płacić na jego utrzymanie w więzieniu, a tam za byle co biją i każą spać na kamieniach, a nieraz to i wody puszczą na posadzkę, żeby się nie mógł położyć. Zmarnuje się chłop jak amen w pacierzu, bo żołądek zawsze miał lichy. Było mi szczerze żal tego zacnego gospodarza i nie podobał mi się ten „sprawiedliwy" niemiecki wyrok. Pomyślałem, sprawdziłem okoliczności i napisałem do generał-gubernatora Beselera o tym nieszczęśliwym chłopie. Nie chciał korumpować waszego żołnierza, ale robił to, co tu za rządów rosyjskich musieli robić

wszyscy. Był niezawodnie przekonany, że ów żołnierz spisuje jego personalja jedynie dlatego, aby mieć pretekst do otrzymania łapówki. Nie zna waszych praw, bo nie umie czytać. To nie wina, ale tragedja biednego człowieka, i nie przestępstwo, ale nieszczęście... Niech Wasza Ekscelencja raczy sprawdzić te dane, a jestem przekonany, że ułaskawi nieszczęsnego człowieka, który padł ofiarą własnej nieświadomości.

Po jakimś tygodni, czy dniach dziesięciu, mój Tomaszewski przyszedł, pokłonił się nisko i podziękował mi za pomoc. Generał-gubernator kazał go zwolnić, a prócz tego, jak się dowiedziałem, polecił skontrolować podobne sprawy i jeśli nie chodziło o złą wolę, lecz o nieświadomość, miano uwalniać skazańców z napomnieniem i pouczeniem. Byłem szczęśliwy, że udało mi się poratować nieszczęśliwego, ale nazajutrz po powrocie Tomaszewskiego z Łomży, zwaliło się do mnie narodu co niemiara. Jakieś sprawy o kradzieże koni, o fałszowanie weksli, krzywoprzysięstwa i tym podobne rzeczy. Trzy lata, pięć, sześć... Wszyscy chcieli, abym koniecznie pisał do generał-gubernatora i obiecywali grube setki marek. Niepodobna było wytłumaczyć tym poczciwym ludziom, że co innego sprawa o okrąglaczek z okopów, a co innego kradzież konia. Dziwili się, że nie chcę zarobić trzechset marek i odchodzili z wielkiem wahaniem.

Ale już się miało pod koniec panowaniu niemieckiemu i ze wszystkich stron nadchodziły wieści, od których radowało się serce, rodziły się nadzieje. Można już było dostać trochę nafty do lampy,a mili znajomi ze wsi przysłali zajączka albo trochę słoniny i serdecz-

ną miłą plotkę polityczną, że tak a tak... Plotka była plotką, ale jakże miło wierzyć w kochaną i pożądaną niedorzeczność! Więc spożywało się pieczeń z sekretnego zajączka i cieszyło się serce plotką polityczną, że dzień wyzwolenia blisko jest i we drzwiach.

Lecz dzień wyzwolenia był jeszcze daleko...

Na jednę z jasnych niedziel lipcowych roku 1918 padł cień ponury i zgasił radość wszystkich plotek politycznych. Pod Château Thierry Niemcy przeszli przez Marnę i zabierali się do okrążenia Paryża. Patrzyliśmy na mapę i byliśmy smutni. Stali nad Aisne'ą, przedostali się nad Marnę, przekroczyli ją... Co będzie dalej? Komunikat niemiecki mówił o drodze na Paryż, ale już nazajutrz zamilkł i wywodził rzeczowo o jakimś manewrze bez znaczenia. A tymczasem od Soissons ruszał z wielkiemi siłami Foch, i nagle front niemiecki, taki żelazny i taki niewzruszony, drgnął i jął się kruszyć. Znowu patrzyliśmy na mapę i widzieliśmy na własne rozradowane oczy, że linja frontu gnie się, łamie, cofa. Komunikaty niemieckie mówiły o jakiejś niezdobytej linji Hindenburga przecinającej Belgję i część Francji. Die Hindenburg-Linie. Niezdobyta i niedostępna dla żadnych sił ludzkich: żelazo, beton, woda, armaty, karabiny maszynowe, i znowu żelazo, beton, armaty, karabiny maszynowe, woda, pikielhauby, upór niezmożony.

Ta linja Hindenburga przecinała nietylko Belgję, ale serca nasze i wszystkie najdroższe nadzieje. W Żyrardowie pan Gniewota, komisarz cesarsko-niemieckiej policji szalał i tropił wrogów Niemiec. Upłynął sierpień i wrzesień, z Rosji wracali koloniści niemieccy wysiedleni ongi przez władze rosyjskie. Jakiś biedny gospodarz z Feliksowa, który słuchał moich wędrownych odczytów o Polsce niepodległej, przyszedł

ze strachem, że kolonistki niemieckie grożą mu żandarmami za jakieś tam wykroczenie. Uspokoiłem go i powiedziałem mu, aby mi owe kolonistki przysłał, to się z niemi rozmówię i sprawę załagodzę. Przyszły i czekały na mnie w sieni na parterze. Doradzałem im, aby owemu gospodarzowi nie czyniły żadnej krzywdy, bo żandarmi niemieccy pójdą sobie, a wtedy pokrzywdzony może się zwrócić przeciwko nim do innych żandarmów. Trzeba spór załatwić po sąsiedzku, okazać trochę dobrej woli. Młodsza kolonistka zgadzała się ze mną, starsza ani słyszeć nie chciała o tem, iż żandarmi niemieccy mogliby kiedykolwiek opuścić okolice Feliksowa. Straciłem cierpliwość i zawołałem: „Róbcie, co chcecie, ale patrzajcie końca! Żandarmi niemieccy pójdą stąd prędzej, niż przypuszczacie!"

Odwróciłem się od interesantek, aby wyjść na podwórze i we drzwiach sieni spotkałem pana Gniewotę. Zasalutował z ironiczną grzecznością i uśmiechnął się zwycięsko. Sam słyszał w tej chwili jak głosiłem porażkę niemiecką i jak mówiłem, że Niemcy pójdą sobie precz... Te kobiety będą świadkami. Odpowiedziałem mu, że te kobiety wcale świadczyć nie potrzebują, bo ja przeczyć nie będę. Niemcy ogłosili wszak niepodległość Królestwa, czy tak? To znaczy, że je opuszczą i przekażą władzę rządowi tego niepodległego Królestwa. Czy pan Gniewota tego nie rozumie? Tym kobietom doradzałem polubowne załatwienie sprawy, bo potem, gdy już nie będzie tu okupacji niemieckiej, mogą źle wyjść na swojem pieniactwie i wyzyskiwaniu chwilowej przewagi. Manifest niemiecki o niepodległości Królestwa zrozumieliśmy wszyscy jako zapowiedź ustąpienia Niemców z ziemi polskiej. Pan Gniewota

zabrał obie kobiety z sobą i rzucił mi na odchodnem obiecujące słowo: „Wir werden sehen!“ — Zobaczymy!

Przyjaciele doradzali mi ostrożność, bo tak łatwo przecie zajechać do niemieckiego obozu koncentracyjnego! Trzeba było ukrywać się, co przychodziło tem łatwiej, że zacni ludzie w porę ostrzegali przed niebezpieczeństwem, gdy już wypadło zniknąć z domu. Ale nastał październik, linja frontu niemieckiego wychylała się coraz bardziej na wschód, wyginała się ku południowi, wojska niemieckie opuszczały pokolei miasta między Gandawą a Reims i wreszcie przyszedł ów dzień listopadowy, w którym kapitan francuski Lhuillier spotkał generała niemieckiego Winterfeldta na drodze wiodącej do dowództwa wojsk francuskich. Ach, ta rozmowa historyczna obu wojskowych! „Jestem generał Winterfeldt z misji parlamentarjuszy niemieckich. Przepraszam za spóźnienie. Pozwoli pan, panie kapitanie, że przedstawię panu pełnomocników“. Tak mówił niemiecki generał, a na to prosty kapitan francuski skromnie i jasno: „Nie mam upoważnienia do przyjmowania panów. Proszę, aby pan zechciał zająć miejsce w samochodzie i udać się za mną...“ Poczem kapitan francuski daje znak trębaczowi niemieckiemu, że ma zejść ze stopnia samochodu, a jego miejsce zajmuje żołnierz francuski, trębacz Sellier. Pada rozkaz: „Clairon Sellier, sonnez aux champs!“ I trębacz Sellier trąbi, a echo jego trąbki dociera do mojego Żyrardowa.

Jakże to było inaczej w scenie „Kordjana“! Czekaliśmy słońca, radości wybuchającej weselem i szczęściem. „A dzień pierwszy wolności gdy radość rozniecі, ludzie wesela krzykiem o niebo uderzą, a potem

długą ciemność niewoli przemierzą, siądą... i z wielkiem łkaniem zapłaczą jak dzieci... i słychać będzie płacz ogromny zmartwychwstania". Świadomość, że jesteśmy wolni, że przyszłość już tylko od nas samych zależy, przychodziła powoli, ale utrwalała się coraz bardziej. Najpierw z rąk do rąk przechodziły nieliczne egzemplarze gazet, które ocalały podczas okupacji niemieckiej, i z nich dowiadywaliśmy się o warunkach rozejmu. Każdy z przyjemnością czytał o tysiącach armat, wagonów kolejowych, lokomotyw, samochodów, aeroplanów, o masach broni wszelakiej, którą Niemcy musieli złożyć jako okup za to, że zgodzono się na rozejm. Rozchodziły się wieści najradośniejsze o tem, że Wilhelm uciekł do Holandji, że z Warszawy pouciekały władze okupacyjne razem z Beselerem i t. d. Po ulicach krążyli żołnierze niemieccy bez broni z czerwonemi opaskami na przedramieniu... Rewolucja w Niemczech!

Jednocześnie tu i owdzie chuda szkapina wojenna ciągnęła chłopski wózek z masą karabinów niemieckich. Rozbrajanie Niemców! Młodzi chłopcy z P. O. W., starsi wąsacze z P. P. S., przechodzili grupkami, dźwigając na ramionach po dwa, trzy, cztery karabiny, jak kto mógł udźwignąć. Nawet kobiety, radośnie zadyszane, brały udział w tej akcji likwidowania potężnej ongi okupacji niemieckiej. Żołnierze niemieccy, porozstawiani po mieście na warcie, nie wiedzieli co z sobą zrobić: wychowani w nieubłaganej dyscyplinie wojskowej, rozumieli co to znaczy oddawać broń cywilom kraju okupowanego, ale brakło im nagle dowódców i stali się zupełnie bezradni. Koło kościoła stał jakiś wąsaty landwerzysta niemiecki i czekał na peowiaków

albo pepesowców, którzy przyjdą, odbiorą mu karabin i każą iść, ale nie szli ani jedni, ani drudzy. Przechodziła jakaś rezolutniejsza niewiasta i zagadała do landwerzysty: „A wy poco tu jeszcze sterczycie?“ Żołnierz skwapliwie sięgnął na ramię po karabin, odpiął ładownicę i oddał kobiecie. Był rad, że mu zacna żyrardowianka zwiastowała koniec wojny.

Teraz dopiero pokazało się w całej pełni co zacz byli legjoniści, peowiacy i pepesowscy bojowcy. Gdy latem roku 1917 w szkole żyrardowskiej rozkwaterowano oddziałek legjonistów, śród których byli i chorzy, patrzyliśmy ze ściśniętem sercem na różnice w traktowaniu żołnierzy niemieckich a legjonistów polskich. Niezapomniana siostra Julja biegała od domu do domu i zbierała dla swoich chorych chłopców, co tylko mogła. A chłopcy obnażali się do pasa i kładli się na słońcu, aby wydobrzeć i wyzdrowieć. Wylegiwali tak całemi godzinami w milczeniu i skupieniu pod promieniami słońca niby pod wielką lampą kwarcową, jakby zbierali rozproszone siły i myśli. Po kilku dniach wypoczynku rozruszali się, nabrali animuszu i z dziedzińca szkolnego wyleciało wesołe i swawolne „opaj-siupaj“, podchwycone przez chłopaszków i rozniesione na wszystkie strony. Zaś dziewczęta uczyły się od legunów najpiękniejszej polskiej piosnki żołnierskiej: „O mój rozmarynie...“ Starzy zacni robociarze, którzy nie mieli czasu na naukę historji i niewiele wiedzieli o przeszłości własnego narodu, wsłuchiwali się uważnie w słowa piosnek żołnierskich i w te echa, które budziły się w ich własnej krwi. „Bagnet mnie przekłuje, śmierć mnie ucałuje, ale nie ty, ale nie ty!“

Jakież to było wzruszające! Zdawało się, że melodja tej pieśni jest żywym i czułym pogłosem czegoś bliskiego i swojego z przed lat stu, czy więcej. Jakaś rzeczywistość, w którą nie ośmielano się jeszcze wierzyć, odzywała się słowem, a słowo ciałem się stawało. Ale legjoniści nie mieli broni, ubrani byli licho i w oczach sceptyków nawet zdaleka nie mogli się mierzyć z uzbrojonymi i dobrze karmionymi żołnierzami niemieckimi. Cóż zrobi garstka legjonistów takim nażartym i uzbrojonym landwerzystom? I co to za wojsko bez karabinów, bez żadnej broni? Tak mówił niejeden, tak myślał prawie każdy. Ale pewnego wieczoru sierpniowego skończyło się to rezonowanie. Zdarzyło się coś zgoła nieoczekiwanego, co bezbronnego leguna podniosło w oczach żyrardowiaków na całą wysokość serdecznej miłości i podziwu. Było tak:

Koło szkoły, w której mieli kwaterę legjoniści, przechodził chłopek z kosą. Wracał z sianokosu i kosę niósł na ramieniu. Kilku żołnierzom patrolu niemieckiego nie podobało się, że ulicą idzie ktoś z kosą. Przyczepili się do owego chłopka i nuż krzyczeć na niego. Ale i napadniętemu nie podobało się takie traktowanie go przez patrol. Na niemieckie pokrzykiwania odpowiedział soczyście po polsku. Zaczynała się awantura: landwerzyści otoczyli spokojnego przechodnia, a jeden z nich podniósł kolbę karabinu nad głowę kosiarza. Lecz w tej chwili stało się to, czego nikt nie przewidywał. Przez płot okalający szkołę przeskoczyło kilku legjonistów i do Niemców! Że mają dać spokój chłopu idącemu do domu, i nie wtrącać się do nieswoich rzeczy. Zdawało się, że za chwilę stanie się rzecz straszna, że popłynie krew. Legjoniści zasłonili chłopa i kazali mu zmykać,

a tymczasem landwerzyści przybrali postawę bojową i zabierali się do legjonistów nie na żarty. Padły strzały. W chwili tego zatargu stałem w sieni z kilku znajomymi, śród których był podoficer legjonowy w cywilu, zwolniony ze służby z powodu ciężkiej choroby nogi. Ktoś przechodzący powiedział nam w kilku słowach, że legjoniści biją się na ulicy z Niemcami. Chory legjonista, utykając na chromej nodze, wybiegł na ulicę, aby dopomóc towarzyszom. Padło jeszcze kilka strzałów, ze wszystkich stron zbiegali się żołnierze niemieccy, wobec czego legjoniści wycofali się do szkoły i na tem skończył się pierwszy zatarg czynny. Oczywiście, że przeprowadzono bardzo surowe śledztwo, ale niemieckie władze śledcze nigdy nie zdołały ustalić, którzy to legjoniści wystąpili w obronie polskiego chłopa przeciw landwerzystom patrolującym. Legjonistów internowano w szkole, zakazano im wychodzić na dziedziniec, a niebawem wywieziono ich z Żyrardowa. Zdarzenie to zmieniło do gruntu stosunek żyrardowian do legjonistów. Wszyscy zrozumieli nagle, że ci chłopcy, którzy z gołemi rękoma rzucili się na pomoc napadniętemu kosiarzowi, chociaż na miejscu mogli zostać zastrzeleni, to swoi, żołnierze i obrońcy. Bez trudu wyobrażono sobie, czem oni będą, gdy zostaną uzbrojeni. Prosty ten wypadek uliczny stał się najskuteczniejszym apelem werbowniczym. Gdy do Żyrardowa nadchodziły następnie wieści o Benjaminowie i Szczypiornie, wiedzieliśmy już, że toczy się walka o Polskę wolną nietylko od Moskala, lecz i od Niemca. P. O. W. zdawała się być konspiracyjną namiastką jawnej siły zbrojnej, lecz w pamiętnych dniach listopadowych pokazało się w całej pełni, czem była na-

prawdę. Niemcy stanęli nagle w obliczu sprawnej organizacji i rozbrojenie ich stało się faktem, zanim zdołali się opamiętać.

Ale dni były po listopadowemu szare, bezsłoneczne, wilgotne, a przedewszystkiem głodne i chłodne. Ze wszystkich stron nadchodziły wieści o walkach polskich. Walczyło Poznańskie, powstawał Śląsk, zmagał się Lwów z Ukraińcami o prawo należenia do Polski. Młodzi żyrardowiacy bez najmniejszego wahania śpieszyli zaciągać się do różnych ochotniczych formacyj wojskowych. Najwięcej poszło ich pod Lwów: nie wszyscy wrócili, niejeden przyniósł sobie do domu ciężkie kalectwo albo początki śmiertelnej choroby. Żyrardów leżał w gruzach i wyludniał się w dalszym ciągu. Przed wojną liczył przeszło trzydzieści tysięcy mieszkańców; w roku 1913 urodziło się w Żyrardowie 781 dzieci, a pogrzebów było 624. Małżeństw zawarto owego roku 218. Ale już roku następnego liczby te zaczynają opadać: małżeństw nowych zawiera się tylko 150, dzieci rodzi się 710, zgonów jest 658. W roku 1916 małżeństw zawarto tylko 35, a w roku następnym na 147 narodzin było 670 zgonów; w roku 1918 liczba małżeństw podnosi się z 35 do 70, dzieci rodzi się 150, ale zgonów jest jeszcze 720. Dopiero w roku 1919 nastaje przełom: małżeństw 240, narodzin 400, a chociaż zgonów mamy jeszcze znacznie więcej, bo aż 620, to jednak dysproporcja nie jest już taka rozpaczliwa, jak w roku 1917. Wroku 1920, czyli w czasie wielkiej wojny polskiej, liczba małżeństw spada znowu dość znacznie, ale narodzin mamy 473 a zgonów tylko 440. Odtąd nowe życie bierze górę nad zagładą wojenną, Żyrardów odradza się szybko.

Zarząd nad fabrykami żyrardowskiemi, właściwie nad żałosnemi ich ruinami, obejmuje inżynier Władysław Srzednicki, człowiek wielkiej energji i inicjatywy, jako zarządca z ramienia państwa. Pod jego kierunkiem fabryka i miasto budzą się do nowego życia. Ludność w roku 1919 dochodziła zaledwie do 20 tysięcy, czyli mniej więcej do połowy stanu przedwojennego, a z pośród 8,450 robotników przedwojennych, w fabryce pracowało ich zaledwie 1,653. Lecz już w roku 1923 ludność Żyrardowa podnosi się do 27 tysięcy, a w fabryce pracuje 6,020 robotników. Kto widział własnemi oczami pożar fabryk żyrardowskich fatalnej nocy lipcowej 1915 roku, temu wierzyć się nie chciało, że tak szybko można było odbudować tyle gmachów spalonych. Odbudowano pomieszczeń fabrycznych i domów mieszkalnych, względnie wybudowano zupełnie nowych, do 100 tysięcy metrów sześciennych, uruchomiono tysiące wrzecion w przędzalni lnu i dziesiątki tysięcy wrzecion w przędzalni bawełny, w tkalni pracowało 1340 krosien, w pończoszarni 60 maszyn dziewiarskich. Miesięcznie przerabiano w przędzalniach 126,900 kilogramów bawełny i 157,000 kilogramów lnu. Tkalnie wyrabiały miesięcznie 1,380,000 metrów tkanin, odbudowująca się pończoszarnia dawała miesięcznie 6000 par pończoch i skarpetek i 500 kilogramów materjałów trykotowych. Rozmach był iście amerykański.

W ciągu niewielu lat swej działalności żyrardowskiej inżynier Srzednicki był wszędzie: odbudowywał fabrykę, szukał kredytów, organizował sprzedaż towarów, troszczył się o rozwój szkolnictwa, inicjował szkolnictwo fachowe, mając na względzie przedewszystkiem szkolenie młodych majstrów tkackich, nie zapominał

o pokoleniu najmłodszem, czyli dziatwie uczęszczającej do ochrony fabrycznej i razem z lekarzami fabrycznymi urządzał kąpieliska i dożywianie dla dzieci zaniedbanych pod każdym względem podczas wojny. Były to dla nas czasy straszliwej nędzy powojennej, ale zarazem czasy wielkich nadziei na przyszłość. Działały różne misje amerykańskie, zaspakajając najbardziej naglące potrzeby, a zarząd fabryki czynił ze swej strony, co tylko mógł, aby dopomóc jeńcom wracającym z obozów niemieckich i uchodźcom wracającym z Rosji. Odnawiano szkoły, które podczas wojny bywały szpitalami wojskowemi i koszarami, organizowano zabawy publiczne i odczyty na ławki dla szkół, nanowo udostępniano ochronę dla najmłodszych, w Domu ludowym odbywały się odczyty i zabawy, Czytelnia robotnicza zaopatrywała się w nowe książki. Zarządca państwowy odrazu stworzył atmosferę o wysokiej temperaturze społeczno-kulturalnej, w której wszyscy czuliśmy się członkami wielkiego społeczeństwa i robotnikami przy budowie własnego państwa. Między fabryką a miastem nie było tej pustki izolacyjnej, jaka istniała podczas przedwojennego zarządu niemieckiego i jaka, niestety, jeszcze się pogłębiła po ustąpieniu inż. Srzednickiego ze stanowiska zarządcy państwowego, gdy Zakłady Żyrardowskie przeszły w roku 1923 pod zarząd konsorcjum francuskiego.

W roku 1919 wojna z bolszewikami była dla nas czemś dalekiem, nieistotnem, nużącem. Mieliśmy wojny dość i chcieliśmy pokoju, dlatego nastrój wobec walk z bolszewikami był bardzo podobny do upierania się przy pokoju; poprostu nie przyjmowano do wiadomości wydarzeń niemiłych. Wszyscy byli przekonani,

że ten zatarg zbrojny jest błahy i że się skończy sam przez się. Tymczasem zima 1919/20 r. była bardzo ostra, a żołnierze nasi siedzieli w okopach na wschodnim froncie i pozbawieni byli ciepłej odzieży. Jak zwykle w takich razach utworzył się komitet dla zbiórki ciepłej odzieży i po mieszkaniach chodziły panie zbierające ofiary w naturze i w pieniądzach, lecz ofiary płynęły opieszale, bo po pierwsze nikt nie miał za dużo ciepłej odzieży i nikt nie miał dość pieniędzy na potrzeby własne.

Już po odwrocie Rosjan i po oddaleniu się frontu bojowego w Żyrardowie nastało nowe życie. Nareszcie można było powiedzieć sobie publicznie wiele rzeczy, o których niewolno było mówić pod panowaniem rosyjskiem. Wprawdzie okupacja niemiecka nielepsza była od rządów rosyjskich, ale bądź co bądź swoboda nastała większa. Gdy Rosjanie wycofali się z nad Bzury i Rawki na linję Warszawy, komunikaty niemieckie brzmiały bardzo optymistycznie a gazety niemieckie zapowiadały bliski pokój. Ale pokój nie nadchodził i postawa okupantów wobec nas zaczęła się zmieniać. Krążyły przeróżne plotki polityczne, z ust do ust szły wieści, że nadchodzi Polska niepodległa. „Dajcie mi tylko jednę ziemi milę!" — wołał Słowacki, a tu miało być tyle mil kwadratowych tej ziemi! Zaczynaliśmy rozumieć związki zachodzące między wydarzeniami wojennemi i teraz nikt nie wątpił, że to, co się rozpadało w gruzy, już nie wstanie. Przychodziła kolej na nas, ale było chłodno, głodno i ciemno. Jakich to zachodów było trzeba, aby dostać trochę węgla, nafty, mąki, słoniny!

Były to jednak czasy, w których pokazało się w całej pełni, że nie samym tylko chlebem człowiek żyje.

Już na wiele lat przed wybuchem wojny powstało i rozwijało się w Żyrardowie stowarzyszenie „Samokształcenie“. Założyło sobie bibljotekę, zapraszało wybitnych odczytowców z Warszawy i na wszelki sposób rozwijało pracę samokształceniową. Wybuch wojny i jej perypetje pierwszych lat uczyniły z Żyrardowa wielkie obozowisko i muzy musiały zamilknąć wobec szczęku zbroi, ale jak tylko front oddalił się na wschód, „Samokształcenie“ natychmiast wznowiło działalność, a obowiązki głównego odczytowca przypadły mnie. Już pod jesień 1915 roku powstał w Żyrardowie zawiązek Klubu Robotniczego z wielkim entuzjastycznym programem uniwersytetu robotniczego, bibljoteki, systematycznych kursów dla analfabetów i wykładów specjalnych dla słuchaczy lepiej przygotowanych. Nikt się wtedy nie troszczył o takie drobiazgi jak środki materjalne, lokale, pomoce. Z czasów ucisku moskiewskiego pozostało tylko pragnienie, którego nikt nie mógł urzeczywistnić, i dlatego nie mieliśmy pojęcia o tem wszystkiem, co leży między zamiarem a jego realizacją.

Uniwersytet robotniczy to dla nas byli przedewszystkiem robotnicy spragnieni wiedzy. Chcieliśmy z nich wyrobić światłych polskich obywateli. Odczytowcy i wykładowcy? I to było proste: nauczyciele szkół powszechnych i średnich, inżynierowie, lekarze, studenci, każdy według sił swoich będzie socjalizował dobra duchowe. W swoim czasie był w Żyrardowie oddział „Kultury Polskiej“, zamkniętej w roku 1910 przez władze rosyjskie. Pozostała po nim jaka taka bibljoteka i ta bibljoteka przeszła teraz na własność „Klubu Robotniczego“. Gorzej było z programem. Nie dlatego, aby tak trudno było ułożyć program odpowiedni, ale dlatego, że lu-

dzie rozmiłowani w dyskusjach zasadniczych całemi godzinami rozwodzili się o kwestjach strasznie formalnych i nudnych. Nie czekałem, aż program zostanie ustalony i zabrałem się do wykładania tego, co znałem najlepiej i co zdaniem mojem najbardziej mogło zaciekawić słuchaczy ze sfer robotniczych i drobnourzędniczych. W wielkich skrótach wykładałem robotnikom historję cywilizacji, a pozatem dawałem odczyty na tematy aktualne: konstytucja, Śląsk, astronomja elementarna, historja Żyrardowa, życiorys Filipa de Girard, węgiel kamienny i jego przetwory — to były tematy, które się same napraszały. Przygodnie mówiłem o sztuce i literaturze, o wielkich postaciach dziejów,a każdy z odczytów w miarę możności ilustrowałem przezroczami. Słuchaczy miałem wdzięcznych i wiernych. Pamiętam, z jakiem skupieniem słuchano mego odczytu o Meunierze. Miałem sporo przezroczy obrazów i rzeźb tego znakomitego artysty belgijskiego, a cykl „Praca“ ogromnie się podobał moim słuchaczom, chociaż salka Domu ludowego, w której wykładałem, była nieogrzana, a na dworze mroźny wicher roznosił tumany sypkiego śniegu. Było nam z sobą bardzo dobrze w ciągu tych paru lat współpracy wykładowcy i słuchacza. Ale w miarę, jak zaczynały się budzić zainteresowania polityczno-społeczne, i dochodziło do partyjnego różnicowania się żywiołu robotniczego, zainteresowanie dla wykładów i dla pracy uniwersytetu robotniczego słabło coraz bardziej, a gdy na początku roku 1920 wyjechałem do Pragi Czeskiej jako referent prasowy poselstwa naszego, działalność uniwersytetu robotniczego skończyła się nie dla braku wykładowców, ale dla braku słuchaczy. Co innego oświata zakazana

surowemi sankcjami, a co innego oświata wolna i dozwolona.

W roku 1916 gdy okupanci wznawiali pracę w szkołach a nie było sił nauczycielskich, inspektor szkolny Piella, prawdopodobnie Ślązak, umiejący jako tako po polsku, organizował w Żyrardowie kursy dla nauczycieli i do mnie zwrócił się z propozycją wykładania na tych kursach dziejów pedagogiki i psychologji wychowawczej. Niebardzo wiedziałem o co tu chodzi, ale bieda dawała się już wtedy ogromnie we znaki, a za parotygodniowy kurs miałem dostać aż 240 marek! Zorjentowałem się szybko, bo rutyna metody historycznej pomagała mi tu znakomicie. Oczywiście, trzeba było zacząć od sakramentalnej Grecji: tu Ateny z Solonem i Peryklesem, tu znowu Sparta z Lykurgiem. Potem Rzym z Cyceronem. *Non scholae sed vitae.* Chrystus, początki chrześcijaństwa, wieki średnie, odrodzenie, reformacja, reakcja katolicka, oświecenie, wiek dziewiętnasty... Plan miałem gotowy, a poszczególnych pedagogów wyławiałem z encyklopedyj, z podręczników, z czego się dało. Psychologję wychowawczą potraktowałem jeszcze prościej, przypominając sobie wszystkie trudności, jakie miałem w szkole fabrycznej i korygując je post factum. Oczywiście, na wstępie dałem słuchaczom szkic psychologji według posiadanego podręcznika Wundta, a potem przystosowywałem te wiadomości do potrzeb praktycznych nauczyciela. Inspektor Piella przyszedł na pierwsze dwa wykłady, słuchał bardzo uważnie, kiwał z zadowoleniem głową i przyniósł mi dwa podręczniki niemieckie do obu wykładanych przedmiotów. Obaj byliśmy radzi, że tak dobrze utrafiłem w sedno, ja zaś pierwszy raz w życiu

przekonałem się o sile sugestyj naukowych i władzy schematu.

Na kursie dodałem słuchaczom dwie godziny tygodniowo od siebie i wykładałem im literaturę polską, odczytując celniejsze utwory nowoczesnych poetów polskich. Te godziny były bardzo miłe. Lubiliśmy je tembardziej, że pan Piella nic o nich nie chciał wiedzieć, chociaż ich wyraźnie nie zakazywał. Swoje audytorjum pokochałem serdecznie i czułem, że odpłaca mi ono głęboką wzajemnością. Ale składało się z bardzo różnie przygotowanych żywiołów, a wypracowania pisemne, przy których pomocy chciałem utrwalać wykładane przedmioty w głowach mych uczni, doprowadzały mnie do rozpaczy. Słuchacze niektórzy pisali np. „śrud-móżdżek" zamiast „śródmóżdże", mieszali stale „rz" i „ż", „g" i „k" na końcu wyrazów, tak że przy wykładach psychologji wychowawczej trzeba było przemycać elementarne wiadomości gramatyczne, a mianowicie pod płaszczykiem mnemotechniki, aby słuchaczy lepiej przygotowanych nie obrażać. Pan Piella wykładał inne przedmioty, jak arytmetyka, geografja, historja, i bardzo wielki nacisk kładł na naukę śpiewu. Miał mały podręczniczek z różnemi piosenkami ludowemi, a z największą przyjemnością wsłuchiwał się, gdy uczestnicy kursu nauczycielskiego śpiewali: „Krakowie, Krakowie, ty stary grodzie nasz..." Melodja tej pieśni była mi nieobca, bo słyszałem ją często w małych miasteczkach niemieckich. Tylko że tam śpiewano nie o Krakowie, ale o Strassburgu. „O Strassburg, o Strassburg..." Na zakończenie kursów zjechał z Grodziska „Kreischef" von Norman i przybył okupacyjny burmistrz niemiecki Prüfer, ja zaś pożegnałem się ze swoimi słuchaczami,

gdy zostaliśmy sami. Jeden z nich wygłosił bardzo miłe przemówienie pod moim adresem, niektórzy płakali. Jesteśmy skłonni do wzruszania się to trudno, ale już się odzwyczajamy od łez.

Po wykładach w Klubie Robotniczym i na kursach nauczycielskich przeszedłem do „Samokształcenia“ z długim cyklem wykładów z dziedziny historji cywilizacji, oczywiście, na wyższym poziomie. Wykłady moje odbywały się zrazu w sali resursy fabrycznej i dotychczas zdumiewam się na samo wspomnienie, że sala bywała często nabita. Biedni ludzie tak byli spragnieni jakiej takiej rozrywki, że chodzili chętnie nawet na wykłady historji cywilizacji. Działy się rzeczy wzruszające, bo gdy zimą nie można było wykładać w resursie, zbieraliśmy się w małej salce Ochrony, w której słuchacze mogli się zachuchać wzajemnie. Urzędnicy i ich żony, nauczyciele i nauczycielki, schodzili się na te wykłady z łojówkami w pierwotnych latarniach, bo ulice były nieoświetlone, a razu pewnego, na przedwiośniu, zdarzyło się, że po odczycie słuchacze moi nie mogli się rozejść dla dość prostej przyczyny: powiał nagle ciepły wiatr i lód zaczął topnieć tak szybko, iż wytworzyła się niebywała wprost ślizgawica. Wiał gwałtowny wiatr i wywracał każdego, kto się odważył stanąć na topniejącej powłoce lodowej. Przestrzeń od Ochrony do domu, którą przebywałem zazwyczaj w ciągu jakich trzech minut, przebrnąłem z olbrzymim wysiłkiem przez pół godziny. Ale w owych czasach żadne przeszkody nie były wstanie odstraszyć ludzi od uczęszczania na odczyty. Oczywiście, że przygodnie mówiłem także o sprawach aktualnych.

Odczyty aktualne urządzała przedewszystkiem

wskrzeszona Macierz Szkolna. Stuletnia rocznica śmierci Kościuszki dała temat do czterech kolejnych wykładów, w cztery niedziele od 11 listopada do 2 grudnia, a pozatem mówiłem w odczytach cyklicznych o kulturze polskiej, o niepodległości, o przywilejach i obowiązkach obywatela niepodległego państwa, o samopomocy narodu i jednostki i t. d. i t. d. Powstawało coraz więcej stowarzyszeń, a każde z nich uważało sobie za zaszczyt urządzanie rocznic narodowych, obchodów, wieczorków i zebrań dla uczczenia wybitnych ludzi i zdarzeń. Do najpiękniejszych uroczystości zaliczam obchód konstytucji 3-go maja wieczorem w piątek rocznicowy 1918 roku w Resursie fabrycznej. Wieczór ten zorganizowała drużyna harcerska im. Józefa Poniatowskiego. Sala była przepełniona, nastrój panował cudowny. Gdy wygłosiłem odczyt o konstytucji 3-go maja oklaskom nie było końca. Z podobnemi odczytami jeździłem po wsiach okolicznych znowuż jako delegat Polskiej Macierzy Szkolnej. Kozłowice, Teklin, Feliksów, Radziejowice to były etapy tych objazdów, podczas których roznosiliśmy z doktorem Szulcem albo z doktorem Rykowskim ideę niepodległości. W grudniu roku 1919, gdy z frontu nadchodziły coraz natarczywsze wołania o ciepłą odzież i gdy panie z komitetu nie wiedziały poprostu jak zabrać się do zdobycia pieniędzy na odzież dla żołnierzy, zaproponowałem im odczyt sensacyjny. Było to akurat owej zimy, kiedy to amerykański profesor Porta tak nas przestraszył, zapowiadając koniec świata. Postanowiłem tedy wygłosić odczyt o końcu świata. Wynajęliśmy wielką salę Domu ludowego, od Szallaya z Warszawy wypożyczyłem sporo przezroczy z dziedziny astronomji, a po mieście

kazałem rozlepić afisze z drobnym tekstem o dczycie, którego temat „Koniec świata“ wprost ryczał wielkiemi czarnemi literami. Publiczność wypełniła parter i galerje, a ja pokazywałem interesujące przezrocza i mówiłem, że prof. Porta nie ma racji, bo końca świata nie będzie. Ryzykowałem niewiele, zyskiwałem dużo. W razie końca świata nikt mnie do odpowiedzialności pociągnąć nie mógł, a zresztą zapowiedź prof. Porty była jawną, jak to mówią, bujdą na resorach. Ale panie z komitetu nie doceniły możności wyzyskania sensacji i w przekonaniu, że na „dobroczynno-społeczny“ odczyt już nikt wziąć się nie da, wyznaczyły bardzo niską cenę za bilety i dlatego impreza, która mogła udać się świetnie, udała się tylko połowicznie.

Od roku 1910 siedziałem stale w kraju, a nawet rzadko kiedy wyjeżdżałem z Żyrardowa, więc gdy jeden z przyjaciół zaproponował mi miejsce referenta prasowego w naszem poselstwie w Pradze Czeskiej, bardzo chętnie zgodziłem się na wyjazd do Czechosłowacji. Tak bardzo przecie chciało się zobaczyć kawałek świata powojennego! Propozycja przyszła pod koniec roku 1919; odrazu przystąpiłem do likwidacji swoich spraw żyrardowskich: spakowałem rzeczy potrzebne na dłuższy pobyt w obcem mieście, w styczniu roku 1920 pożegnałem swój miły uniwersytet robotniczy i byłem gotów do wyjazdu. W rocznicę powstania styczniowego bawiłem w Warszawie, aby się porozumieć ostatecznie co do pracy jakiej się podejmowałem i pojechałem na Miodową, gdzie się wtedy znajdowało Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Było to w godzinach porannych, gdy wszyscy bawili jeszcze na Placu Saskim, więc i ja tam poszedłem. Na tle bizantyjskiej cerkwi stały szeregi klasycznej Podchorążówki, a wewnątrz czworoboku przez nią utworzonego odbywał się jakiś uroczysty akt, w którym uczestniczył Piłsudski ze swojem ówczesnem otoczeniem. Publiczność warszawska stała za kordonem żołnierskim pogodna i wesoła, bez cienia troski, chociaż na wschodzie toczyła się wojna już nietylko o nasze granice, ale o samoż istnienie Rzeczypospolitej. Z powagi tej wojny mało kto zdawał sobie sprawę.

Z Placu Saskiego poszedłem znowu do MSZ, gdzie

miałem krótką konferencję z panem Alfredem Wysockim, kierownikiem naszego poselstwa w Pradze i w niewiele dni później wyjeżdżałem z żoną i córką do Pragi, w przekonaniu, że zamieszkam tam przez czas dłuższy. W kurjerze, który z Warszawy wychodził o godzinie jedenastej wieczorem, miałem wprawdzie zarezerwowane miejsca, ale przed samem odejściem pociągu przyszło jeszcze kilku pasażerów, przeważnie wojskowych, tak że w przedziale przeznaczonym dla sześciu osób uzbierało się ich dziewięcioro. Wszyscy palili, powietrze więc było w przedziale solidne i zawiesiste, a kiedy rano wysiadaliśmy w Krakowie, kręciło nam się w głowach jak po ciężkiej hulance nocnej. Postanowiliśmy tedy odpocząć porządnie i do Pragi wyruszyć dopiero pociągiem wieczorowym. Zdobyłem izdebkę w zacisznym hotelu, gdzie można było trochę podrzemać, zjedliśmy obiad, a po spacerze na Plantach i ich okolicy, wróciliśmy do hotelu, aby wyprawić kufry na dworzec kolejowy.

Chwila zdobywania miejsca w pociągu pozostanie mi nazawsze w pamięci. Mieliśmy listy polecające i bilety drugiej klasy, ale komendant dworca niewiele zdołał nam dopomóc. Na peronie stał olbrzymi tłum podróżnych, a gdy pociąg i tak już przepełniony, nadjechał, zaczęła się tak zajadła walka o miejsca, że ostatecznie zwyciężyli ci, co mieli mocniejsze kułaki i łokcie. Objuczeni różnemi tobołkami, jak to już bywa podczas dalszych podróży, musieliśmy być radzi, że wogóle dostaliśmy się do pociągu. Z biletami drugiej klasy zajęliśmy miejsca skromniutkie, które według dzisiejszej klasyfikacji kolejowej wypadłoby zaliczyć do klasy siódmej conajmniej. Wagon trzeciej klasy prze-

mianowany został na klasę drugą, ale nie miał drzwi, a niektóre jego okna, pozbawione szyb, pozabijane były deszczułkami. Podłoga tego wagonu, wydeptana do ostatecznych granic, niemile uginała się pod stopami, miejscami zaś była dziurawa. Przestrzeń od Krakowa do Dziedzic przejechaliśmy jako tako, ale gdy znaleźliśmy się na bezpańskiem terytorjum cieszyńskiem, pociąg przystawał w szczerem polu, podróżni wybiegali z wagonów żywo zaniepokojeni, komunikowali sobie jakieś pogłoski i wreszcie sadowili się zrezygnowani na swoich miejscach. Nikt nie wiedział, dlaczego zatrzymaliśmy się w ciemnem polu i dlatego najśmieszniejsze bajdy wydawały się nam prawdopodobnemi. Że miały być jakieś rewizje, że żołnierze francuscy, czy włoscy, poszukują jakichś zbiegów, że pociąg musi czekać aż się rozwidni, bo tor jest nieoświetlony i nie wiadomo, czy dalej jechać można.

Po północy dojechaliśmy do Bogumina i dowiedzieliśmy się, że na pociąg do Pragi czekać trzeba parę długich godzin. Na dużym dworcu bogumińskim aż się roiło od podróżnych, a w sali restauracyjnej było gwarnie i gospodarnie jak za najlepszych czasów. Odrazu rzucało się w oczy, że Czechy nie wiedzą co to jest wojna. Przy stolikach siedzieli podróżni i spożywali dobre kolacje, po kątach drzemały kobiety i dzieci. „Stammtische“ poobsiadali urzędnicy czescy, pili piwo i grali w karty, a przytem palili cygara i papierosy tak gorliwie, że cała wielka sala podobna była do jakiegoś, nie akwarjum oczywiście, ale „gazarjum“, wypełnionego gęstym błękitnawym gazem. Było to w sobotę, więc ludziska używali sobie już a conto niedzieli.

Zajęliśmy stolik, aby po nużącej podróży zjeść kolację. Była dobra, ale kelnerzy tak haniebnie nisko liczyli marki nasze przy ich wymianie na czeskie korony, że potraciliśmy humory. Tysiące, które wieźliśmy z sobą, przestały nam imponować i wzbudzały raczej zaniepokojenie, czy ich starczy na rzeczy elementarne. Podczas czekania na pociąg, chodziłem po dworcu i przyglądałem się niezwykłemu ruchowi. Jakiś funkcjonarjusz kolejowy z solidną fajką w zębach uwijał się śród podróżnych i rozdawał im obszerne wezwania w języku polskim, drukowane starannie i na ładnym papierze. Wezwania te starały się przekonać czytelników polskich, że powinni głosować za Czechosłowacją, bo po pierwsze nie grozi im żadne upośledzenie pod względem narodowym i gospodarczym, a po drugie będzie im lepiej i t. d. Szukałem kogoś ktoby rozdawał podobne wezwania przemawiające za Polską, ale nie znalazłem. Po długich godzinach czekania, na peronie ukazał się pociąg odchodzący do Pragi i znowu doznałem niemiłego uczucia zawiści, czy żalu, że wojna szalała tak wyłącznie na ziemiach polskich i tak jednostronnie niszczyła tylko nasz dorobek. Pociąg czeski był czysty, porządny, solidny, w przedziałach drugiej klasy było przestronno i wygodnie, mogliśmy drzemać. Ale drzemać się nie chciało, bo okolica była wyjątkowo ciekawa; od Bogumina do Przerowa jeżyła się kominami, wieżami żelaznemi, masą różnych dźwigów i szybów. Od Ołomuńca na północ teren stawał się coraz bardziej falisty, malowniczy, a za Trzebową, koło Usti nad Orlicą i dalej, okolica była wprost czarująca.

Lecz minęło popołudnie, nadszedł wieczór i nastrój zmienił się bardzo. Pociągu nie oświetlano i musieliśmy

jechać po ciemku. Praga była ciągle jakoś okropnie daleko, godziny w nieoświetlonym przedziale dłużyły się nieznośnie. Późnym wieczorem minęliśmy Kolin nad Elbą, Czeski Brod, i zdaleka zamajaczyły światła Pragi. Na dworcu czekał na nas woźny poselstwa i zawiózł nas do hotelu na pięknym placu Wacława (Václavské náměsti). Było ciepło, aż za ciepło jak na przedwiośnie, na placu Wacława panował żywy niedzielny ruch, a kawiarnia „Rokoko" naprzeciwko hotelu „Štepána" jaśniała mnóstwem lamp i mrowiła się masą tańczących, których przez olbrzymie szyby okien widać było doskonale. Nareszcie mogliśmy się umyć i zjeść gorącą kolację. Praga podobała mi się od pierwszego spojrzenia, a pobyt w niej zapowiadał się jak najlepiej.

Pracę moją w poselstwie rozpocząłem już w pierwszy wtorek lutego. Było jej dużo, ale po latach rutyny życia żyrardowskiego, rozmaitość stawała się rozkoszą. Dzień w dzień po śniadaniu spożywanem w hotelu, szedłem z placu Wacława przez Mustek, Targ owocowy obok starego teatru niemieckiego, w którym ongi dawano premjerę „Don Juana" Mozarta, długą ulicą Żelazną na historyczny Rynek Staromiejski do pałacu hrabiów Kinskych, w którym mieściło się nasze poselstwo. Na placu Wacława ruch był zawsze duży, a na skrzyżowaniu ulicy Narodni i Mustku tworzył się poprostu jakiś wir, i trzeba było uczyć się przebywać te kilkadziesiąt kroków, aby nie dostać się pod tramwaj, czy pod samochód. Ale po przebyciu tego skrzyżowania odrazu nastawała cicha sielanka Starego Miasta, śród którego ciasnych uliczek miło bywało błąkać się przez chwilę. Niskie domki z przybudówkami i nadbudówkami, pooddzielane od siebie uliczkami na szero-

kość rozwartych ramion, mówiły o jakichś dawno zapomnianych czasach ghetta, inkwizycji i tego wszystkiego, co straszy wiekami średniemi.

Gdy zaś z ciasnej uliczki wychodziło się na ów historyczny rynek, nie wiadomo było na co patrzeć przedewszystkiem. Z jednej strony wznoszą się wysokie smukłe wieże prastarego kościoła Marji Panny Tyńskiej, z drugiej widać malowniczy ratusz staromiejski, pomnik budownictwa gotyckiego równie czcigodny, jak ów prastary kościół, „Tynsky chrâm". Czem musiał być niegdyś ten wspaniały ratusz, o tem świadczy dzisiaj, po niezliczonych jego przeróbkach, cudowna wykuszowa wieżyczka z południowo-wschodniej strony ze sławnym zegarem, „Orlojem", z roku 1490, nad którym w okienkach ukazują się co godzina apostołowie z Jezusem. Gdy od wylotu ulicy Żelaznej spojrzeć prosto przed siebie, to oczy zatrzymują się na arcydziele baroku praskiego, kościele św. Mikołaja, zbudowanym przez sławnego architekta Dienzenhofera, autora planu pałacu Kinskych, pochodzącego z drugiej połowy wieku XVIII-go. Wspaniałe kościoły, czcigodny ratusz, majestatyczny pałac Kinskych to budowle główne, powiązane z sobą mnóstwem domów wysokich i wąskich, z głębokiemi bramami prowadzącemi na malownicze podwórza. Tu i owdzie zachowały się jeszcze stare naiwne arkady podcieni. Zaś pośrodku tego placu, którego mogłyby pozazdrościć Pradze najświetniejsze stolice Europy, wznosi się olbrzymi, wspaniale skomponowany pomnik Jana Husa z czołowemi postaciami i grupami symbolicznemi walk husyckich i z prościutkim napisem „Pravda vitezi" (Prawda zwycięża).

Gdy siedząc w wielkim salonie poselstwa podnosi-

łem głowę z nad referowanych gazet, to widziałem znaczną część tego wspaniałego pomnika, a z za strzech ratusza i z ponad kopuł kościoła św. Mikołaja strzelała ku niebu wieża obserwacyjna na wzgórzu Petrzyńskiem. Pracowaliśmy od 9-ej rano do 2-ej, do 3-ej, a jeśli zachodziła potrzeba, to i do czwartej. Czasem gdy do Warszawy odchodziła poczta dyplomatyczna, a były rzeczy pilne, przychodziliśmy do poselstwa nawet w godzinach wieczorowych. Tylko że jakoś nigdy praca ta nie wydawała się nam niemiłą, nigdy żaden z nas nie dopuszczał myśli, że może jest jej za wiele. Pan poseł Wysocki dawał wszystkim przykład wytrwałości i uporu. Zadania były duże, personel mieliśmy nieliczny, a Warszawa chciała wiedzieć o wszystkiem. Rewolucyjne Zgromadzenie Narodowe kończyło swoje prace nad konstytucją i partje przygotowywały się do nowej kampanji wyborczej. Kto weźmie górę? Narodowi demokraci? Socjaliści międzynarodowi, czy narodowi? Komuniści? Agrarjusze? Rewolucyjne Zgromadzenie Narodowe składało się z samych Czechów i Słowaków, zaś do nowego Zgromadzenia Narodowego, do sejmu i senatu, wejść mieli, także przedstawiciele mniejszości narodowych, przedewszystkiem Niemców. Jak też tam będzie?

Z kolorowym ołówkiem w ręku siedziałem dzień w dzień nad gazetami i zakreślałem ciekawsze artykuły, uwagi, notatki, dane liczbowe, według schematu, który zrobiłem sobie zaraz na początku swej pracy: polityka wewnętrzna, sprawy społeczne i gospodarcze, partje polityczne, polityka zagraniczna, sprawy różne. Trzydzieści kilka pism czeskich, słowackich, niemieckich, przygodnie także ruskich z Rusi karpackej, trze-

ba było uważnie przejrzeć i powyławiać z nich rzeczy najważniejsze. Potem się te wycinki tłumaczyło dosłownie, albo strzeszczało, a maszynista, p. Pachulski pięknie i ładnie przepisywał wszystko na maszynie. Przy sposobności udawało się zdobyć nieco ciekawego materjału dotyczącego cukru czeskiego, za który do kraju wpływało sporo obcych walut, i zadowolenie było niemałe, że Warszawa będzie o tych sprawach dokładnie poinformowana. Ta praca była może dlatego taka miła, że przy nielicznym personelu każdy z pracowników poselstwa sam musiał ruszać konceptem, aby zrobić jak najwięcej. Około dwunastej zjadaliśmy kanapkę przyniesioną z sobą i piliśmy herbatę, a jeśli zanosiło się na posiedzenie dłuższe, to zacny woźny przynosił z pobliskiego sklepu wędliniarskiego parówki z chrzanem i bułki.

Gdy czasem praca była wyjątkowo pilna i trzeba było zajść do poselstwa w niedzielę, to na sławnym Staromiejskim rynku zalatywało gorącym tłustym schabem, a koło pomnika Husa stał oryginalny Dr. Aleksander Batek, i wygłaszał jeden ze swoich plenerowych odczytów, aby następnie sprzedawać broszurki z podobnemi, już dawniej wygłoszonemi odczytami. Pan Batek był estetą, krytykiem i moralizatorem w najszlachetniejszem znaczeniu słowa i mówił o higjenie ducha i ciała, o walucie, o konstytucji, a przedewszystkiem o zacności i uczciwości, bez której nie ostoi się żaden naród. Zaczynał mówić przed dwoma-trzema słuchaczami, jakby z nimi gawędził, potem przystawał ten i ów z przechodniów, a wkońcu audytorjum liczyło stu albo dwustu słuchaczy. Jedni wysłuchiwali uważnie całego przemówienia tego praskiego Sokratesa, innym wystar-

czała cząstka odczytu. Gdy zgromadzenie bywało wyjątkowo duże, śród słuchaczy Dra Batka zaczynały kręcić się siostry Armji Zbawienia (po czesku Armàda Spásy, co wesołkowie czescy niebawem przerobili na „armadę szpasu“) i różne kolporterki z traktacikami religijnemi i wezwaniami do nawrócenia się do Jezusa.

Przedziwny był ten Staromiejski plac praski! Kościół Marji Panny Tyńskiej dźwigał na swoich wieżycach sześć wieków historji. Ratusz wspominał o olbrzymim szafocie, który 21 czerwca 1621 r. wznosił się przed gotyckiemi łukami jego pięknego balkonu, i z którego padały głowy panów czeskich pokonanych przez Ferdynanda II w bitwie na Białej Górze w zaraniu wojny trzydziestoletniej, a pod pomnikiem Husa, który wziął w posiadanie duszę Pragi i duszę narodu czeskiego, stał Dr Batek i przemawiał na temat słów Gogola: „Nie bać się i nie kraść!“ Gdy wychodziłem z pałacu Kinskych i śpieszyłem na obiad, jakże można było nie zatrzymać się śród słuchaczy tego moralisty, który możliwy był tylko pod praskiem niebem i w praskiej tradycji! Piwoszom czeskim mówił, że alkohol jest trucizną, młodzieży odradzał to wszystko, co młodzież zawsze i wszędzie lubiła, politykom kazał być uczciwymi i bezinteresownymi, a wszystkim wogóle doradzał natarczywie abstynencję, jarstwo i Bóg wie jakie jeszcze prywacje. Był to zaiste głos wołającego na Staromiejskim rynku. Czy przebrzmiał zupełnie bez echa, czy przeniknął do serc i sumień? Bóg to raczy wiedzieć. Batek podobny był do siewcy ewangelicznego, który pełnemi dłońmi rozrzuca ziarno siewne, wiedząc, że na

tem kończy się jego rola, bo kiełkowanie, wzrost, rozkwit i plonowanie to już sprawa innych mocy.

W Pradze było bardzo dobrze, ale nie mogliśmy znaleźć tam mieszkania. Władze przydzieliły nam pokój hotelowy i więcej wobec ogromnego głodu mieszkaniowego zrobić dla nas nie mogły. Hotelarz brał duże pieniądze za niewielki pokój, a restaurator za jedzenie trzy i cztery razy tyle, ile byłoby kosztowało prowadzenie własnego gospodarstwa. Szukaliśmy tedy mieszkania. Oczywiście bezskutecznie. Pewnego razu w sali restauracyjnej hotelu podszedł do nas pan Finger, rodowity żyrardowiak, i nuż się witać! Mieszkania szukacie? Trzeba ogłosić w gazetach, ale tak, żeby słowo Żyrardów rzucało się w oczy. Od żyrardowiaków aż się roi w Pradze — wywodził nasz zacny przyjaciel z lekką przesadą — i licho musiałoby w tem być, żeby wam który z nich nie znalazł mieszkania! Istotnie, w Pradze mieszkali i dawni żyrardowiacy, radzili jak mogli, pomagali urządzać się tanio, ale w gruncie rzeczy wszystko to nie zdało się na nic, bo mieszkania nie znaleźliśmy.

Nie mogliśmy jednak martwić się tem nadmiernie, gdy przedwiośnie było poprostu cudowne i plac Wacława roił się od tłumów, witających nowe słońce, pogodę i ciepło. Posłowie Zgromadzenia Narodowego uchwalili konstytucję, z uciechy zaśpiewali „Kde domov muj“ i — gwoli parytetowi — słowacką „Nad Tatru se blyska“, i porozchodzili się do domów, a ja siedziałem i tłumaczyłem z wielkim pośpiechem tekst czeskiej konstytucji dla naszego MSZ. Jakże miło było pochodzić po pracy po ulicach i uliczkach praskich! Od kościoła św. Mikołaja wiodła Mikulasskâ ulice nad

Wełtawę, której nabrzeża były jakby stworzone do spacerów i miłych dumań o niczem, a za Wełtawą jaśniały w słońcu białe zwiewne Hradczany, widok wyjątkowo piękny. Dość było wsiąść do pierwszego lepszego tramwaju, aby przez jeden z mostów dostać się za Wełtawę i na rozległe wzgórze Hradczańskie. Co za pałace, wille, domy i domki, ulice i uliczki widziało się na tych Hradczanach! Wspaniały tum św. Wita znaczył się koronkami swoich wysokich wież na jasnem tle nieba, a tuż koło niego gnieździły się malutkie jednopiętrowe i parterowe domki. Wszystko tu było bardzo malownicze i piękne: dziedzińce zamków budowanych różnemi czasy przez różnych władców, aleje, stuletnie drzewa, stare schody zamkowe obok wysokiego muru i niezrównany widok na Pragę najeżoną temi typowemi wieżami i wieżyczkami, dla których Czesi nazwali ją „stověžata Praha" (stuwieżowa Praga). Miasto owiewał zawsze jakiś błękitnawy dymek, niby zwiewna woalka i warto było wchodzić na Hradczany, aby popatrzeć na Pragę tonącą w swej nieodłącznej błękitnej mgiełce. Równie piękny, chociaż zgoła inny, był widok z Królewskich Winohradów na dolinę Nuselską i na rozległy krajobraz pagórkowaty.

Tego roku już pod koniec lutego było ciepło, w marcu dziewczęta sprzedawały na ulicach fijołki, a nieco później solidne babki ustawiały przy trotuarach kosze z rzodkiewkami i gorliwie zalecały je przechodniom. Co chwila pod pomnik św. Wacława, gdzie wygodnie było wiecować, szedł jakiś pochód. Ludzie mieli wtedy dużo czasu i mało kłopotów, a pochody były w modzie. Narodowcy, socjaliści, komuniści, pod sztandarami czerwonemi i biało-czerwonemi chodzili pod pomnik

św. Wacława, wygłaszali mowy, wznosili okrzyki na czyjąś cześć i na czyjąś hańbę, poczem rozchodzili się po sąsiednich gospodach, gdzie zawsze czekało dobre świeże piwo. Nikt już na takie pochody nie zwracał uwagi, a gdy się czasem pod pomnikiem spotykały dwie partje przeciwne i powstawała dyskusja, przeciwnicy z sąsiedzką dobrodusznością rzucali sobie inwektywy pełne despektu, używając słów, których tylko drobną część odważył się wprowadzić do druku Jaroslav Hasek, autor popularnego „Szwejka".

Pochody i wiece partyjne powszedniały coraz bardziej, ale gdy środkiem długiego placu szedł oddział wojska z orkiestrą na czele, przechodnie przystawali i z zachwytem patrzyli na swoich „vojaćków". Mosiężne trąby mieniły się w wiosennem słońcu jak złote, a muzykant z czynelami przesuwał brzękliwe miski jednę po drugiej i z wdziękiem baletnicy rozsyłał niemi dźwięczne pocałunki światu i miastu. Jeszcze uroczyściej było, gdy pewnego dnia przechodził przez Pragę oddział legjonistów czeskich, którzy właśnie wracali do ojczyzny po swojej anabazie naokoło świata. Znowu grały orkiestry, wiewały sztandary, rozbrzmiewały entuzjastyczne okrzyki, ale urzędowy entuzjazm przemienił się niebawem w sąsiedzką życzliwość, wytwarzając ścisłą łączność między szeregami maszerujących żołnierzy, a witającemi ich tłumami. Co chwila ktoś kogoś poznawał i z tłumu do szeregu albo z szeregu do tłumu leciało demokratyczne pozdrowienie: „Servus, Franto! Nazdar, Vaśku!"

Praga była bardzo sąsiedzka, miła, demokratyczna, nawet podczas kampanji przedwyborczej. Ulotki różnych partyj zwalczających się wzajemnie były wesołe-

mi trawestacjami najpopularniejszych piosenek ludowych, a plakaty mieniły się kolorami i bogactwem nieoczekiwanych dowcipów. Przypominano sobie i wypominano niedawny patrjotyzm austrjacki w sposób wesoły, kpiarski i jurny. Pewnego wieczoru w oknie wystawowem „Melantricha", towarzystwa wydawniczego, należącego do partji narodowo-socjalistycznej, zainstalowano kino polityczne i przechodnie mogli oglądać w obrazach kinematograficznych perypetje akcji politycznej prezydenta Masaryka. Kino zaciekawiało, przed oknem „Melantricha", na placu Wacława gromadziły się tłumy. Ale niebawem i inne partje wzięły Masaryka w swoje posiadanie, i kin dla ulicy było coraz więcej. Któregoś wieczoru w tłum uliczny zapatrzony w kinematograficzne sceny politycznego odrodzenia czechosłowackiego, werżnął się pochód przedwyborczy partji socjalno-demokratycznej z wielkim portretem cesarza Franciszka Józefa. Zmarły cesarz stał na obrazie, w nadnaturalnej wielkości, jak żywy, a z ust jego płynęły słowa: „Gdybym miał prawo wyborcze, to głos swój oddałbym tylko na Karola Kramarza!" To był kawał socjalnych demokratów, którzy w taki sposób dyskredytowali swoich przeciwników politycznych. Ale nazajutrz, w piękny słoneczny poranek kwietniowy ukazały się na słupach do ogłoszeń plakaty czarno-żółte z klasycznemi orłami austrjackiemi, a na plakatach tych publiczność mogła czytać jakieś dawne i zapomniane słowa socjalnych demokratów, wyrażające wierność i lojalność dla cesarsko-królewskiego domu rakuskiego. Śmiechu było co niemiara. Wybory przyniosły wielkie zwycięstwo socjalnym demokratom, bo ludzie wierzyli wtedy jeszcze w sprawiedliwość społeczną.

Ale mieszkania jak nie było, tak nie było i pobyt w pięknej Pradze stawał się chwilami gorzkawym. Hotel może być dobry na dwa-trzy dni, nawet na dwa tygodnie, lecz gdy mieszkanie w nim przeciąga się trzy miesiące, zaczyna męczyć. Byłem ogromnie rad, gdy mnie wezwano do Warszawy dla złożenia ustnego raportu i byłbym chętnie wyjechał z Pragi już w końcu kwietnia, ale znajomi doradzali pozostać do pierwszego maja, abym mógł zobaczyć państwowe święto pracy. Poczekałem tedy do pierwszego maja, patrzyłem i napatrzyć się nie mogłem. Święto było naprawdę uroczyste: tramwaje nie wyjechały na miasto, a z domów zwisały wspaniałe długie sztandary czerwone i narodowe, że zaś święto było państwowe, więc i na balkonach poselstw pojawiły się różnokolorowe chorągwie. Pogoda dopisała wspaniale, a ulice, osobliwie plac Wacława, już od samego rana roiły się od tłumów ubranych odświętnie i kolorowo. Robotnice wyległy na miasto w malowniczych strojach ludowych i w bajecznie kolorowych chustkach na ramionach. Około dziesiątej w różnych punktach wielkiego placu Wacława poprzystawały samochody ciężarowe pięknie udekorowane jako trybuny dla mówców i ze wszystkich stron nadciągały pochody z niezliczonemi sztandarami i z dowcipnemi hasłami na transparentach. W święcie pracy brała udział nawet policja. Dziesiątki tysięcy ludzi zaległy plac Wacława i śród skupionej ciszy zaczęli przemawiać mówcy. Błękitne niebo majowe, słońce, radość, kolorowe stroje kobiet, czerwień goździków u klap męskich surdutów, gromadki dzieci z czerwonemi i narodowemi chorągiewkami, wszystko składało się na obraz naprawdę imponujący. Narodowe i pań-

stwowe święto pracy pod mnóstwem czerwonych sztandarów! Miałem ciągle jakieś przykre wrażenie, zasugestjonowane mi przez dzienniki warszawskie i wspomnienia, że lada chwila stanie się coś złego, że czerwone sztandary trysną płomieniami, że ulica się zakotłuje i niewiadomo skąd wyjedzie nagle wielki oddział policji z błyszczącymi szablami, aby runąć na beztroski tłum.

Ale ulica trzymała się kupy, tłum śpiewał „Kde domov muj?“ — orkiestry grały najweselsze melodje ze „Sprzedanej narzeczonej“, a gromady kobiet młodych i starszych, tworzyły grupy i krokiem tanecznym szły środkiem placu, składając i rozkładając ramiona okryte kolorowemi chustkami, co wywierało niezrównane wrażenie roju wielkich motyli. Uroczystość z placu Wacława przenosiła się na plac Staromiejski. Wyprzedziłem olbrzymi pochód i poszedłem do poselstwa, aby z jego okien cieszyć oczy niezwykłym widokiem. Staromiejski rynek jarzył się i mienił wszystkiemi kolorami radości i pogody. Nadciągały coraz nowe grupy pochodu z transparentami oznaczającemi fabryki i obwody miasta, szli młodzi, starzy, mężczyźni, kobiety, urzędnicy, tramwajarze, policja i t. d. i t. d. Ze wszystkich stron orkiestry podawały sobie przeradosne dźwięki „Proć bychom se netešili...“ (Czemu-ż bo się nie radować?) ze „Sprzedanej narzeczonej“. Sztandarów czerwonych i narodowych przybywało, na wielkich transparentach powtarzało się w coraz innych napisach końcowe hasło manifestu komunistycznego: „Proletari vsech zemi spojte se!“ (Proletarjusze wszystkich krajów łączcie się!). Czeski tekst tego hasła nadawał się do żartobliwej odmiany, i policja niosła transpa-

rent z wezwaniem do proletarjuszy wszystkich krajów, aby się bali praskiej policji. Zamiast: *spojte se*, widniało wielkiemi literami: *bojte se!* Z pałacu Kinskych spływała wstęga polskiego sztandaru państwowego, naprzeciwko, na jasnem niebie majowem pogodnie zielenił się Petrzyn, orkiestry grały coraz weselej i nagle zacichły. Na historycznym balkonie Ratusza, z którego w roku 1621 przedstawiciel Ferdynanda II patrzył na masowe tracenie znakomitych czeskich buntowników, ukazał się rząd czechosłowacki witany entuzjastycznie okrzykami kolorowego placu. Popłynęły mowy ministrów, zatrzepotały się niezliczone dłonie w oklaskach, kamienny Hus spoglądał z wysokości granitowego cokołu na potomków swego ducha, a kolorowe stroje ludowe młodych robotnic jaśniały jak bogate kwiecie wiosenne.

Dla nas radość wikłała się mile dobremi wieściami o zwycięskim pochodzie wojsk polskich i o możliwości rychłego pokoju. Wieczorem miałem wyjechać do Warszawy z pocztą dyplomatyczną, trzeba było zrobić jeszcze to i owo, opuściłem tedy ładne widowisko i zasiadłem do zwykłej pracy. Gazety czeskie nie podzielały entuzjazmu pism polskich donoszących o zwycięstwach naszej armji, ale mówiły gniewnie o polskim imperjalizmie i przepowiadały fatalne skutki. Trzeba było te głosy referować, a było ich dużo, bardzo dużo... Lecz ponad nastrojami artykułów wstępnych górowała majowa radość święta pracy i uciecha, że za tyle a tyle godzin będę w Warszawie. Kilku miłych przyjaciół odprowadziło nas wieczorem na dworzec i niebawem Praga została daleko za nami. Noc była ciemna, pociągu nie oświetlono. Mieliśmy z sobą świece, ale nie chcia-

ło się ich zapalać. Drzemaliśmy, czekając świtu. W Morawskiej Ostrawie było szaro i powszednio, gdy wysiadaliśmy z pociągu i nikt nie wiedział, kiedy pojedziemy dalej. Komunikacja kolejowa z Polską była przerwana. Dlaczego? Bo wymieniano korony na marki. Nie bardzo to przekonywało, ale musieliśmy cierpliwie czekać. Bez osobliwego trudu dostaliśmy się do Cieszyna. Można było umyć się i zjeść, co Pan Bóg dał a po herbacie z sacharyną czekać na ból głowy, który po sacharynie przychodzi jak amen w pacierzu. Po dworcu cieszyńskim snuły się kobiety wracające z kościoła w białych oryginalnych czepcach i z ogromnemi kancjonałami ewangelickiemi. Zwracały na siebie uwagę temi czepcami, układanemi w misterne harmonijki. Tu i owdzie widać było oddziałek żołnierzy włoskich z chochołami czarnych piór na głowie. Chodzili, dźwigając karabiny i niebardzo wiedzieli, co mają z sobą zrobić. W niewielkiej salce restauracyjnej podróżni i niepodróżni pożywiali się rosołem z makaronem i sztuką mięsa. Był to luksus jak na dworce roku 1920. Po południu rozeszła się śród podróżnych radosna wieść, że będzie pociąg do Bielska. Istotnie, dostaliśmy się jakimś poczciwym bumelcugiem do Bielska. Potem do Oświęcima, a potem, dobrze już pod północ, do Trzebini. Ale w Trzebini szlus, i „ani wefte, ani wefte“, jak mówią w Zakopanem.

Podczas tej peregrynacji wszędzie dawano herbatę z sacharyną i głowa bolała już porządnie. Kiedy będzie pociąg? Nikt nie wiedział, nawet pan komendant stacji. Oddałem pod jego opiekę kuferek z pocztą i poszedłem do poczekalni. Bufet był puściuteńki. Na stołach pokładli się podróżni, używając tobołów zamiast

poduszek, i próbowali spać. Była ciepła noc majowa, wschodził księżyc. Zrezygnowany otworzyłem kuferek, w którym znajdowała się pękata butelka z wybornym likierem, przerwałem wieloletnią abstynencję i zacząłem leczyć migrenę alkoholem. Zrobiło się jeszcze cieplej, ból głowy przycichł, usiadłem na ławce i drzemałem. Obudziłem się wypoczęty i pełen dobrej woli. Tłum wychodźców, udających się do Niemiec „na saksy", stał nad swemi tobołami i patrzył na księżyc, który przechodził właśnie jedno ze swoich zaćmień. Stary nałóg popularyzatora wiedzy wszelakiej odezwał się potężnie, podszedłem do zacnych bliźnich i zacząłem im tłumaczyć niewyszukaną mechanikę zaćmienia. Przez chwilę słuchali, spoglądając po sobie nieufnie i niebawem porozchodzili się, porzucając mnie i księżyc. Przestrzegano ich przed agitatorami bolszewickimi, ale im nie powiedziano, jak się odróżnia astronomję popularną od bolszewizmu i dlatego porozchodzili się ostrożnie, nie wiedząc, czy zaćmienie księżyca nie jest agitacją zakazaną. Posiedziałem znowu na ławce, przeczekałem poranny chłód, a gdy się rozwidniło, poszedłem z ręcznikiem i kawałkiem mydła pod wodociąg stacyjny, aby się umyć. Tymczasem nadchodziły i odchodziły liczne pociągi z jeńcami ukraińskimi, którzy wreszcie wracali do ojczyzny. Wyszedłem na miasto szukać jakiej wędliniarni, czy choćby piekarni, ale w okolicach dworca było pusto i próżno. Od dworca bałem się oddalić, bo nuż nadejdzie pociąg!

Po kilkunastu godzinach czekania pociąg przyszedł wreszcie. Jeszcze nigdy kolej żelazna nie wydała mi się instytucją tak błogosławioną, jak wtedy. Wyposażony w list kurjerski, otrzymałem przedziałek osobny

i oddałem się szalonemu szczęściu wojażowania. Tak samo jak w przejeździe przez Cieszyńskie i Krakowskie, w granicach byłego Królestwa widać było na kominach fabrycznych czerwone sztandary, ale nieaktualne jakieś i melancholijne wobec sztandarów narodowych, które tymczasem powykwitały na strzechach, w oknach i na murach. Wyjechaliśmy z Pragi 1-go maja, przeczekaliśmy niedzielę 2-go maja na różnych dworczykach cieszyńskich, osobliwie zaś na stacji w Trzebini, i oto wjeżdżaliśmy uroczyście w słoneczny dzień 3-go maja.

Ponieważ dzień był świąteczny, wysiadłem w Żyrardowie, pragnąc wypocząć należycie we własnych pieleszach i dopiero nazajutrz pojechałem do Warszawy, aby oddać pocztę i złożyć raport ustny. Na Miodowej był ruch, jak zazwyczaj, przed gmachem MSZ stały auta z różnemi chorągiewkami cudzoziemskiemi a przed gabinetem wice-ministra Dąbskiego trzeba było długo czekać, bo właśnie konferował z p. Askenazym, który wybierał się za granicę. Opowiedziałem wice-ministrowi o konstytucji czeskiej, o układzie sił w nowem Zgromadzeniu Narodowem, o sytuacji społecznej i gospodarczej i wracałem zadowolony do Żyrardowa, ciesząc się, że do Pragi mogę wrócić dopiero za parę tygodni. Prasę czeską miałem referować na miejscu. Ale tymczasem upłynął maj, nadszedł czerwiec ze swojemi niespodziankami i lipiec z rosnącym niepokojem; o wyjeździe do Pragi nie mogło być mowy. Niektóre pisma czeskie z jakiemś przykrem zadowoleniem rozpisywały się, że wiedziały, jaki obrót weźmie wyprawa polska. Przestarzałe, nierewidowane rusofilstwo czeskie odezwało się przy tej sposobności bardzo głośno. Nacjona-

lizm czeski widział ongi w monarchji rosyjskiej zbawicielkę wszystkich słowiańskich narodów, teraz zaś socjalistyczne masy ludu czeskiego, mające rząd socjalno-demokratyczny, cieszyły się, że zwyciężają ideały socjalistyczne. Dawniej wyczekiwano nadejścia „brata“ Rusa, teraz wyglądano „towarzysza“ Rusa. Nad Polską z lekkiem sercem stawiano krzyż. Było ponuro i smutno w Żyrardowie.

Od Kalisza po Samarkand i Władywostok, od Petersburga po Odesę, Tyflis i Baku, — wszędzie były składy wyrobów żyrardowskich i w nich wszystkich na stanowiskach odpowiedzialnych siedzieli żyrardowiacy. Nie było poprostu większego miasta w całem imperjum rosyjskiem, aby nie miało składu żyrardowskiego. Zaś zarząd Zakładów w dobrze zrozumianym interesie na stanowiska kierownicze w tych składach wysyłał Polaków. Był, oczywiście taki skład żyrardowski i w Kijowie, a wielkie miasta rosyjskie miały ich nawet po kilka. Jakoś w pierwszych dniach czerwca 1920 roku przyjechał do Żyrardowa dyrygent składu kijowskiego z żoną i z dziećmi; oczywiście, żyrardowiacy. Co się stało? Zdumienie i zaniepokojenie było powszechne, bo państwo B. przyjechali tylko z tem, co mieli na sobie i co mogli byli unieść w rękach. Innemi słowy: uciekli z Kijowa. Na pytania odpowiadali, że tam teraz niema co robić, bo przecie składu kijowskiego fabryka żyrardowska już zaopatrywać nie będzie, a pozatem... I szeptem dodawali, że jest niedobrze. Nikt im nie wierzył, wierzyć nie chciał. Ale powoli rozchodziły się wieści, że jest naprawdę niedobrze. W lipcu Żyrardów był obozem wojskowym, jak w roku 1914 albo 1915. Szkoły przemienione na koszary, przygarniały coraz więcej ochotników, na dziedzińcach szkolnych stały kuchnie polowe. Doświadczeni podoficerowie, weterani wojny światowej, uczyli ochotników maszerowania, a w szeregach tych ochotników panowała ogromna rozmaitość:

obok siedemnastoletnich bosych chłopaków stali solidni panowie w melonikach, czeladnik rzeźnicki w skórzanej kurtce, uczył się obrotów obok jakiegoś chudeusza, przybyłego prosto z sali fabrycznej.

Ruch wzmagał się z dnia na dzień, wieści nadchodziły coraz posępniejsze. Było gorąco i duszno. Na murach domów pojawiły się obwieszczenia o dezerterach rozstrzeliwanych z wyroków sądów polowych, rodziły się jakieś piekielne legendy o Budionnym i jego kozakach. W spiekocie lipcowej zgorączkowana wyobraźnia widziała chmary dzikiego kozactwa z kokieteryjnemi grzywkami, ciągnące szeroką ławą od Kijowa aż pod Lwów i pod Lublin. Socjalistyczne i narodowo-socjalistyczne pisma czeskie nie taiły swoich sympatyj dla Rosjan i nie przestawały powtarzać, iż ten obrót rzeczy przewidywały już dawno i że przestrzegały przed skutkami imperjalizmu. Ciężko było referować prasę cudzoziemską w drugiej połowie lipca i w pierwszych dniach sierpnia 1920 roku.

Co się działo na szerokim świecie, na froncie, lub choćby tylko w Warszawie, o tem w Żyrardowie nikt nie wiedział. Zresztą i w Warszawie przy rozbieżnych dążeniach i zasadniczo różnych przekonaniach politycznych i społecznych mało kto zdawał sobie sprawę z istotnego stanu rzeczy. Krążyła plotka jako jedyne narzędzie informacji. Według poczty pantoflowej bolszewicy byli już tam, już tu, zajmowali miasta, robili to, robili owo. Ale nastrój w duszach zmęczonych wojną światową był osobliwy. Panika odzywała się głośno z jawnym zamiarem, aby mogła zostać rozproszona, zniweczona, przemieniona w upragniony spokój. Znajomy komunikował znajomemu wieści niepokojące

w nadziei, że usłyszy coś zgoła przeciwnego, co mu przywróci choć trochę nadziei. Tymczasem zaś ludzie patrzyli na to co się działo dokoła nich i starali się zrozumieć rzeczy niezrozumiałe. Więc przedewszystkiem, jakże tam było, skoro od Warszawy na Skierniewice szły duże pociągi z wojskiem i z bronią, podczas gdy wojsko powinno było iść na północo-wschód? Coś w tem jest. Ale co? Nadzieja podpowiadała, że dowództwo polskie szykuje bolszewikom jakieś niespodzianki.

Tymczasem wszakże bolszewicy zbliżali się coraz bardziej i wreszcie zaczęto mówić o Łomży, Ostrołęce, Małkini... Potem zapanowała trwożliwa milkliwość i już tylko szeptem najbardziej zaufani mówili sobie co się szykuje przeciwko „socjalpatrjotom" i „biało-gwardzistom". Co robić? Na dziedzińcu szkolnym dymiły kuchnie polowe, a rezerwiści ze wszystkich stron powiatu stawali w szeregu i podchodzili pokolei z menażkami do kucharza, bose chłopaki gołemi piętami wybijały takt, ucząc się maszerować pod komendą sierżantów, przed nową szkołą orkiestra wojskowa grała bardzo ładnie pod batutą jakiegoś wyjątkowo zdolnego kapelmistrza. Co większe domy przemieniano szybko na szpitale, zwożono rannych i chorych, a ulicami coraz częściej kroczyły przesmutne pochody pogrzebowe z orkiestrą wojskową na czele, z kompanją honorową za trumnami poległych.

Komunikacja kolejowa była w najwyższym stopniu kapryśna, mało kto odważał się pojechać do Warszawy, nie wiedząc, czy zpowrotem zdoła przyjechać pociągiem. Po opustoszałych ulicach maszerowali ochotnicy i oddziały umundurowane i uzbrojone, a słowa komendy rozlegały się ostro, jakby je potęgowały nie-

widzialne rezonatory. W nocy było na mieście cicho i ciemno, a gdy do drzwi sieni zamkniętych na trzy spusty, zakołatała niecierpliwa pięść, wszyscy zrywali się spłoszeni, wyczekując wieści o nieszczęściu. To kurjer przybywał do mnie z paką gazet do referowania i z meldunkiem, że rzecz jest bardzo pilna. Więc po odejściu kurjera siadałem natychmiast do roboty, czy to była godzina pierwsza, czy trzecia w nocy, czy piąta rano. I zaraz też sąsiedzi wychylali głowy z okien, ten i ów zachodził nawet do sieni i uchyliwszy drzwi, pytał: „Co się stało?“ Machałem ręką i mówiłem, że nic osobliwego. Przywieźli robotę i tyle. Sąsiedzi chcieli wiedzieć, co tam w gazetach. Zbywałem ich, czem się dało. Co może być w gazetach? Alboż to nie wiemy, co się wypisuje w gazetach?

A tymczasem w gazetach czeskich, niemieckich, słowackich, przygodnie zaś i francuskich, było dużo telegramów i artykułów o Polsce i Sowietach. Że lewe skrzydło polskie jest zupełnie rozbite, że niema żadnych rezerw, które mogłyby powstrzymać nieprzyjaciela i że już żadna siła ludzka nie zdoła uratować Warszawy i Polski. Pisma czeskie na poparcie słów swoich cytowały gazety francuskie, angielskie, niemieckie. „Humanité“ z 7-go sierpnia 1920 roku pisała: „Ani jednego żołnierza, ani pół centyma, nic dla kapitalistycznej Polski!“ Jak na komendę robotnicy kolejowi zmawiali się, aby do Polski nie przepuszczać materjału wojennego. Wszystkie gazety wyrażały się o Polsce lekceważąco i z największem niedowierzaniem, a w tej ocenie wartości narodu było coś zdumiewającego. Opinja chrześcijańskiej Europy mówiła wyraźnie i niedwuznacznie, że tylko ten naród ma wartość dla świata,

który bije inne narody, jeśli zaś ulega przemocy liczniejszego nieprzyjaciela, to wartość jego maleje w stosunku odwrotnym do wielkości jego klęski. Nikt nie zdobył się na trochę bodaj sprawiedliwości wobec faktu, że Polska przez lat zgórą sto pozbawiona była możności decydowania o własnych losach, że podczas wojny światowej została zniszczona jak żaden inny kraj europejski i że nie otrzymała nawet drobnej cząstki tej pomocy, z jaką pośpieszono Belgji. Nikt nie chciał zrozumieć, że istnienie Polski jest jak najściślej związane z tem, co zachodnie narody nazywały zawsze szańcem Europy przeciwko azjatyzmowi. Z jakąś opętańczą pasją powtarzano nawet słowa Trockiego, który w Moskwie zapowiadał zniweczenie Polski i przesunięcie ofensywy dalej na zachód. Co więcej, ludzie najświatlejsi, uznawani za wielkie autorytety w sprawach politycznych i wojskowych, wypowiadali się, że Polsce nie pomoże już nic i że Warszawa lada dzień stanie się łupem bolszewików.

W uniwersytecie robotniczym zbieraliśmy się już nie na wykłady, ale dla dowiedzenia się co jest nowego. I nietyle byliśmy ciekawi, co nowego stało się na froncie, ile z zaciekawieniem i niepokojem patrzyliśmy sobie w oczy, czy w nas samych nie pozachodziły jakie niespodziewane przesunięcia. Gdy coraz częściej powtarzały się wieści, że „socjalpatrjoci“ i „białogwardziści“ będą rozstrzeliwani bez sądu i że istnieją jakoby spisy ludzi niemiłych bolszewikom, dochodziło do przegrupowań frontu wewnętrznego. Widzieliśmy to wszyscy. Ten i ów zrobił pół obrotu, inni wykonali cały obrót. W Klubie robotniczym wszyscy zadawali sobie jedno pytanie: Co robić? Oczywiście, zaciągać się do

wojska i to możliwie zaraz! Ludzie spoglądali po sobie i byli niezdecydowani, bo jakiś urlopowany żołnierz opowiadał rzeczy okropne o odwrocie. Jakże się tu zaciągać do wojska, jeśli tak jest, jak mówią?

Coraz częściej powtarzano słowo: Radzymin. Że w Warszawie doskonale słychać armaty, że lada chwila bolszewicy wkroczą na Pragę, że wojsko moskiewskie przeprawia się przez Wisłę pod Płockiem, aby zajść Warszawę od tyłu. W sobotę 14-go sierpnia około siódmej wieczorem spotkałem znajomego, który właśnie wrócił z Warszawy. Na pytanie o nowiny odpowiadał półsłówkami i wzruszaniem ramion. Wreszcie rzucił słowo, że Radzymin przecie niedaleko od Pragi, że lada chwila... Było gorąco, duszno i w jakiś osobliwy sposób brudno. Ulice żyrardowskie moszczono żużlami wywożonemi z kotłowni fabrycznej, a gdy te żużle pod kołami wozów, kopyt końskich i stóp ludzkich sproszkowały się należycie, to na ulicy pojawiał się drobniutki pył, czarny jak antracyt. Wystarczał słaby powiew wiatru, aby ten mielony antracyt rozpylał się nad miastem i przenikał najdrobniejszemi szczelinami do mieszkań, pod odzież, do oczu, do gardła, nosa i płuc. Tylko ulewny deszcz mógł na chwilę oczyścić powietrze żyrardowskie od tego straszliwego brudnego pyłu. Owej soboty było go jakoś dużo w rozpalonem powietrzu i formalnie dusił. Uciekłem do mieszkania i próbowałem czytać. Już od trzech dni nie nadsyłano gazet do referowania, byłem niespokojny. Po dziewiątej przyjechał młody kadecik z paką gazet. Mundurek jakby prosto z igły, na czapce srebrny wachlarzyk, na ustach grzeczny, pogodny uśmiech. Przedstawił się, podał gazety. Powiało od niego spokojem, beztroską, młodością,

czy nawet niewinnością. Młodość nie wierzy w klęski i w nieszczęścia, jest nieśmiertelna i niezraniona, brak jej poprostu organu odczuwania i pojmowania wszystkiego co jest złe i tragiczne. Z oczu młodzieńca wyczytałem, iż niczego się od niego nie dowiem, że poprostu nic nie wie. Gdy przyjdzie na niego kolej, stanie w szeregu i pójdzie się bić, ale znaczenie bitwy i wszelkich spraw, w których uczestniczył, zrozumie dopiero po latach dziesięciu czy dwudziestu.

„Co słychać?“ — zapytałem ulegając nałogowi. Odpowiedział, że już jest lepiej, bo Radzymin odebrany. Mówił z takim boskim spokojem, potrząsając płową czupryną, że nie wierzyć mu na słowo, byłoby poprostu obrazą dla jego młodości. Uśmiechał się zdrowemi różowemi policzkami i niebieskiemi oczami i czekał na dalsze pytania. Zapytałem, czy będzie miał pociąg do Warszawy. O, poradzi sobie łatwo! Przysiądzie się byle gdzie i dojedzie! Życzyłem mu dobrej nocy i uścisnąłem dłoń: był godzien zawiści. Zajrzałem do gazet: te same depesze o odwrocie, o ataku na Warszawę, o marszu na Toruń, na „korytarz“... W artykułach wstępnych, notatkach, uwagach, Polska schodziła na plan ogromnie daleki, jakby jej już wcale nie było. W gazetach czeskich i niemieckich panował nastrój, jak gdyby panowanie Sowietów przesunęło się było na zachód o całą szerokość Polski. Nie było więc nic nowego, nic co mogłoby pocieszyć, dodać otuchy. Czeskie pisma socjalistyczne wzywały robotników, osobliwie zaś kolejarzy, aby nie puszczały do Polski materjału wojennego...

Wstałem z nad biurka i około jedenastej wyszedłem na dwór. Powietrze było ciężkie, parne, duszne. Za-

szedłem do Klubu robotniczego, gdzie w soboty po wypłacie było zawsze rojno i gwarno do północy i poza północ. W małej salce oświetlonej marną przepaloną żarówką, siedzieli przy stołach robotnicy, paląc papierosy, albo podrzemując. Na podłodze leżeli jacyś obcy ludzie z głowami na tobołkach: mężczyźni, kobiety, dzieci. Uciekinierzy? Tak. Skąd? Z pod Łomży, z pod Białegostoku, z za Warszawy... Dlaczego przyszli aż tu? Mówią, że trzeba będzie uciekać jeszcze dalej. Przeszedłem do większej sali. Tu leżeli liczni znajomi żyrardowiacy; niektórzy mieli karabiny. Na scenie teatralnej spali żołnierze, nie wypuszczając karabinów z zaciśniętych rąk. Na szerokiej ławie pod oknem siedzieli robotnicy i gwarzyli szeptem. Przysiadłem się do nich. I tu było mroczno, bo jedyna żarówka pod sufitem paliła się mgławo. Głowy oparte na tobołkach poruszyły się, w znajomych twarzach otwierały się oczy. Ci ludzie nie spali, ale leżeli bez ruchu w głębokiem zamyśleniu. Byli to ojcowie rodzin, więc ważyli w myślach wszystkie możliwości.

„Wezmą?" — zaszeptały czyjeś usta. Pytanie zwracało się do mnie. Spojrzałem w stronę pytającego: szeroko otwarte oczy patrzyły na mnie surowo i czekały słowa prawdy. Nie umiałem odpowiedzieć odrazu. Poczułem na sobie dużo spojrzeń. Chwila była ciężka, nie mogłem zdobyć się na lekkomyślny i łatwy optymizm. Zacząłem robić w myślach szybkie zestawienia, jak uczeń źle przygotowany do lekcji, czy raczej ważyć własne sumienie i jego stosunek do Radzymina i do tego wszystkiego, co leży za linją tego miasteczka. Nie myślałem, ale zapamiętałem się, jak to bywa w takich chwilach i czekałem sam nie wiedząc na co. Moje mil-

czenie trwało przydługo, widać, bo głowy podnosiły się z nad posadzki i w półmroku otwierało się ku mnie coraz więcej oczu.

„Wezmą?“ To znaczyło, czy bolszewicy wezmą Warszawę. Pytanie to w swoim trwożliwym i niemal zabobonnym skrócie zadawaliśmy sobie tyle razy w ciągu ostatnich dni i tak łatwo na nie odpowiadaliśmy w jasny dzień, czy przy blasku lampy, że dopiero tu, w mrocznej sali, pod spojrzeniem ludzi leżących na tobołkach, odczułem całą jego wagę. Tym ludziom nie można skłamać dla pokrzepienia serc. To byli przyjaciele, którzy wierzyli mi, gdy im mówiłem o zdarzeniach historycznych, o przeszłości i przyszłości. Mieli naiwnie przesadne wyobrażenie o wiedzy ludzkiej, przychodzili do mnie z pytaniami, czy istnieje Bóg i czy dusza ludzka jest naprawdę nieśmiertelna, a teraz czekali, co powie człowiek czytający obce gazety i uczone książki.

„Wykluczone!“ — odpowiedziałem pod przymusem ich spojrzeń. Aż się przestraszyłem własnego głosu i jego wielkiej pewności siebie. Bóg raczy wiedzieć skąd w takich chwilach bierze się pewność zuchwała, ale ja miałem niezachwianą pewność, że przyjaciołom swoim mówię najgłębszą prawdę. Zimą roku 1905 jechałem z Heidelbergu do Żyrardowa. Znudzony długą podróżą, włóczyłem się po korytarzyku wagonu, a w przejeździe przez Poznańskie ogromnie chciało mi się zagadać do jakiego rodaka. Ale było tam jakoś dziwnie: w przedziale siedzieli panowie i panie i rozmawiali z sobą po polsku, lecz gdy przystawałem, aby się przysłuchać rozmowie polskiej, milkli nagle i za chwilę rozpoczynali gawędzić po niemiecku. Zawróciłem do swego przedziału: siedział tam elegancki Niemczyk i starsza pani.

Wyglądałem oknem, aby wymiarkować mniej więcej jaki to kawał świata polskiego zagarnęli Niemcy. Młody człowiek był referendarzem sądowym i opowiadał starszej pani, że dookoła, jak okiem sięgnąć są dobra hrabiego Mielżyńskiego, ale że przejdą niedługo w ręce niemieckie. Wdałem się w rozmowę zapytując o stosunki. Referendarz z oburzeniem opowiadał, że w sądzie zdarzają się takie rzeczy np.: chłopak dopiero co opuścił szkołę niemiecką, ale gdy zostaje wezwany na świadka, powiada, że po niemiecku nie umie i każe sobie sprowadzać tłumacza. Odpowiedziałem całkiem spokojnie, że tu jest przecie polska ziemia i polska ludność, że więc urzędować należałoby wogóle w języku polskim. Poderwało go to i zaczął głośno wywodzić, że co jest w granicach państwa niemieckiego to jest „deutsches Land“ i nazawsze niemieckiem pozostanie. Zbliżaliśmy się do Poznania i zdaleka widać było wieżyce budującego się tam wtedy Kaiserburgu. „Niech pan się przyjrzy — mówił referendarz z wielką dufnością — to jest Kaiserburg, symbol niemieckiego panowania“. W takich chwilach nastaje krótkie spięcie w jakichś przewodnikach zadraśniętych uczuć i z gorącego pragnienia tryska równie gorące słowo. „Przyda się ten Kaiserburg — odpowiedziałem z miejsca —, będzie tu sobie mieszkał jaki polski książę“.

Dopiero później zrozumiałem, że mogłem był zostać aresztowany, wyrzucony z niemieckiego uniwersytetu, poddany różnym szykanom, ale rozmowa z dufnym referendarzem była walką na nierówną broń, ustąpić nie mogłem. Pociąg postał w Poznaniu tyle a tyle minut, referendarz i starsza pani wysiedli, a ja pojechałem dalej. Gdy mnie zacni przyjaciele pytali owej nocy

sierpniowej, czy bolszewicy wezmą Warszawę, odpowiedziałem tak samo, jak wtedy w pociągu, gdy mi pokazywano chełpliwy Kaiserburg. „Wykluczone!“ A przecie wiedziałem, że już przed dwoma dniami poselstwa niektóre opuściły Warszawę, przenosząc się do Poznania, słyszałem tyle razy, że prawdopodobnie linja oporu przeniesiona zostanie na zachód od Warszawy! A teraz odpowiedziałem z całem najgłębszem przekonaniem: „Wykluczone!“ Przyjęli to słowo z uczuciem ulgi i powiedzieli mi, że jutro rano ruszają na front. Czy już mają przydział? Nie troszczyli się o to. Kilku wyszło na dwór, aby wypalić papierosa. Rozmawiali z sobą ciemnym szeptem, a nadciągającym nowym ochotnikom powtarzali głębokim tonem piersiowym: „Wykluczone!“

Wracając do domu, spotkałem na ulicy doktora Szulca. Przypomniał mi, że jutro, czyli w niedzielę, mamy dzień werbunkowy i że nasz stolik jest na rynku przed kościołem. Oczywiście, pamiętałem i już o ósmej stałem przy swoim stoliku. Propaganda szła opieszale, bo ludzie tworzyli grupki i opowiadali sobie o Radzyminie. Że jest oddalony od Warszawy wszystkiego o 20 kilometrów. Może w tej chwili... Machali ręką i rozchodzili się, aby tworzyć nowe grupki. Po południu na rynku zrobiło się pusto i cicho: propaganda udała się niebardzo. Przyszła znowu ciemna i duszna noc sierpniowa, minął gorący zamilkły poniedziałek, nastał struchlały wtorek i nagle w poobiednią ciszę żyrardowskich uliczek padł radosny wrzask chłopaków, sprzedających gazety: „Ucieczka bolszewików z pod Warszawy! Trzy tysiące jeńców! Dwadzieścia armat!“ Z okien wychylały się głowy, tu i owdzie wychodził

ktoś z zamilkłego wyczekującego domu i kupował gazetę. Ludzie patrzyli po sobie: prawda, czy nieprawda? Po paru dniach było wiadomo, że prawda. Wracał spokój, odbudowa fabryki czyniła postępy, gazety zagraniczne zmieniły ton i z triumfem donosiły, że bolszewicy bici są na wszystkich frontach. Zasada konjunktury, czy konjunktura zasady...

Kilkadziesiąt tysięcy jeńców, bogaty łup wojennny, pokój. Żyrardów czytał o tem z zadowoleniem, ale bez entuzjazmu. Teraz dopiero, gdy minął niepokój jeden, ukazało się oblicze mnóstwa innych niepokojów. Bieda była powszechna i wielka, i oczy wszystkich mieszkańców Żyrardowa spoglądały ku fabryce. Nadeszła wyjątkowo zła zima i wszyscy czekali zmiany na lepsze. Sejm obradował nad konstytucją, w Rydze toczyły się rokowania pokojowe, Śląsk przygotowywał się do plebiscytu. Miały nastać lepsze czasy, gdy zostanie uchwalona konstytucja i gdy będzie po plebiscycie na Śląsku. Przyszła wiosna roku 1921 i przyniosła z sobą konstytucję, pokój ryski, plebiscyt. We wtorek 22 marca ulicami Żyrardowa kroczył wielki pochód na cześć Ślązaków. Obchodziliśmy nim zwycięstwo plebiscytowe, ale niebawem pokazało się, że Niemcy święcili także zwycięstwo plebiscytu na Górnym Śląsku. Kto zwyciężył naprawdę?

Szły znowu dni powszednie ze swojemi troskami i kłopotami, a nadzieje wybiegały w przyszłość. Gdy w lipcu po gościnie u swego przyjaciela D-ra Onufrowicza, z którym przed jedenastu laty podróżowałem po Włoszech, wyjeżdżałem z Krakowa do Zakopanego, miejsce w wagonie trzeba było zdobywać szturmem. Ludzie tłoczyli się w przedziałach i na koryta-

rzach jak śledzie, ale o niewygodach podróży zapominało się natychmiast po opuszczeniu pociągu. Wysokie świerki stały w porannym czerstwym chłodzie górskim, a nad Giewontem snuły się bielutkie obłoki. Po latach wojny, kłopotów, zgryzot, szarpaniny wszelkiej można było nareszcie odetchnąć krzepkiem górskiem powietrzem.

Już na jesieni tego roku znajdowałem dużo pracy tłumaczeniowej, a w roku następnym było jej jeszcze więcej. Tłumaczyłem z niemieckiego, francuskiego, czeskiego co kto chciał, byle zarobić trochę pieniędzy i powetować do pewnego stopnia wielkie szkody, jakie przyniosła z sobą wojna. Przekładałem Fenimora Coopera, Hauffa, sentymentalnego Bonselsa, książki pedagogiczne, eugeniczne, okultyczne i Bóg wie, co tam jeszcze. Spolszczyłem całe dziesiątki tomów i czekałem cierpliwie na skutki. Wszystko wlot wydawano, ale łatwiej było bardzo grubo zarobić, niż otrzymać skromniutką zaliczkę. Czekało się tedy lepszych czasów. Rok dwudziesty i drugi był trochę lepszy. Mogłem był wyjechać na parę tygodni do Krynicy, a podróż koleją była już daleko wygodniejsza, niż w roku poprzednim. Ale w Krynicy bawił pewien ksiądz z Ameryki i mówił, że pobyt w pensjonacie kosztuje go kilkadziesiąt centów dziennie. Za dolara płaciliśmy coraz więcej marek, a zarobki liczyło się na dziesiątki tysięcy marek, których trzeba było pozbywać się corychlej, zanim stracą na wartości.

W roku 1923 Żyrardów miał już 27,000 mieszkańców, a w fabryce pracowało 6.020 robotników. Było dobrze, miało być jeszcze lepiej, ale dnia 2 listopada 1923 Zakłady Żyrardowskie przy udziale ministra

skarbu Kucharskiego przeszły pod zarząd konsorcjum francuskiego, będącego właścicielem firmy francuskiej „Comptoir de l'Industrie Cotonnière", opartej na nikłym kapitale 10 miljonów franków. Zaczęły się dziać rzeczy dziwne i zgoła niezrozumiałe. Obce konsorcjum spłacało należności za odbudowę fabryki w zdewaluowanych markach, co odrazu stało się tematem rozważań sejmowych i prasowych. Okazało się, że na ogólną liczbę 36,000 akcyj żyrardowskich konsorcjum posiadało ich zaledwie 40%. Nikły kapitał akcyjny, zdewaluowany wdodatku, powiększyło konsorcjum przez wypuszczenie drugiej emisji akcyj w stosunku 20 nowych na jedną dawną, dzięki czemu ogólna ilość akcyj wzrosła do liczby 756,000 sztuk. W tej liczbie 240,000 akcyj stanowiło depozyt nienaruszalny, bo 12,000 akcyj wywiezionych w swoim czasie do Rosji, było własnością nieznanych akcjonarjuszy. Depozyt ten znajdował się w ręku konsorcjum i w myśl zobowiązania podpisanego przy przejmowaniu Zakładów Żyrardowskich mogło ono sprzedać owe 240,000 akcyj dopiero w roku 1928 i to wyłącznie na giełdach krajowych. Akcje te sprzedano niebawem i to nie w kraju, ale w Brukseli.

Rozbudowa fabryki została wstrzymana odrazu i tak radykalnie, że nowy dom mieszkalny, który zaczęto budować pod zarządem państwowym, pozostał niedobudowany. Najaktualniejszym tematem nowego zarządu stała się reorganizacja pracy i racjonalizacja produkcji. Ale nikt nie rozumiał tego, co się działo pod hasłem reorganizacji. Ignorowano życzenia klientów fabryki, produkowano tkaniny, na które nie było popytu, podnoszono ceny za wyroby. Oczywiście, że zbyt towarów musiał się zmniejszać wobec tego i że pracy

było coraz mniej. Ograniczano tedy produkcję na wszelki sposób, a starych robotników usuwano przy każdej nadarzającej się sposobności. Jednocześnie sprowadzano z Francji towary gotowe, etykietowano je w magazynach fabrycznych i rzucano na rynek jako wyroby żyrardowskie. Dawny zarząd dbał o wszechstronne zaspakajanie potrzeb swoich robotników i wogóle ustosunkowywał się do nich jak najżyczliwiej. Kosztem fabryki prowadzone były liczne szkoły i wielka wzorowa ochrona. Tysiące dzieci robotniczych i urzędniczych otrzymywało w tych instytucjach podstawy wychowania i wykształcenia. Właściciel Zakładów Żyrardowskich, Karol Dittrich, miał na widoku stworzenie w Żyrardowie nawet szkolnictwa zawodowego, które dostarczałoby fabryce wykwalifikowanych fachowców. Szpital wzorowy, przytułek dla starych robotników, czytelnia i bibljoteka, w której nie brakło nawet wielkich encyklopedyj, Dom ludowy dla stowarzyszeń robotniczych, — wszystko to były instytucje utrzymywane kosztem fabryki na wysokim poziomie, ale robotnicy widzieli w nich swoją własność, której im nikt nie kwestjonował.

Te stosunki wzajemnej życzliwości i zaufania skończyły się nagle. Na czoło trosk nowego zarządu wysuwała się maszyna, racjonalizacja pracy przy zasadzie jak największej wydajności i jak najmniejszych kosztów. W nowych warunkach pracy człowiek stawał się nieuniknionym dodatkiem do maszyny, czemś w rodzaju tolerowanego zła. Robotnikowi, który skutkiem choroby, czy z innych jakich powodów przerywał pracę a później do niej wracał, robiono kuszące propozycje, obiecując duże zarobki przy pracy na trzech, czterech

krosnach. Dotychczas tkacze żyrardowscy, szczególniej tkacze pracujący na krosnach Jacquarda, z których szła w świat znana ze swej wartości stołowizna deseniowa, pracowali na jednych krosnach, a tkacze i tkaczki wyrobów gładkich obsługiwali po dwa małe krosna. Robotnicy rozumiejąc, że praca na trzech czy czterech krosnach musi pozbawić chleba wielu tkaczy, opierali się tym propozycjom, uważając, że lepiej, gdy przy mniejszych zarobkach wszyscy będą mogli pracować. Nowy zarząd był innego zdania.

O tych rzeczach dowiadywałem się tylko mimochodem i przygodnie, w rozmowach z robotnikami. Jako były pracownik fabryczny znałem fabrykę doskonale, ale od czasu gdy ją opuściłem, nie interesowałem się nią specjalnie. Więcej interesowali mnie robotnicy. Stopniowo jednak i współpracę w instytucjach robotniczych musiałem ograniczyć, bo życie było coraz trudniejsze i wymagało coraz większych wysiłków. Przyjmowałem każdą nadarzającą się pracę i przesiadywałem przy maszynie do pisania po kilkanaście godzin dziennie. Zresztą pracować lubiłem i robota stawała się dla mnie nałogiem, niestety, rujnującym. Kaligraficzny wzorzec szkolny, opiewający, że „cierpliwością i pracą ludzie się bogacą", był nieścisły, bo nie mówił czyją pracą i kto się bogaci. Ja od własnej pracy ubożałem. Miałem jej coraz więcej, ale zarobki były coraz mniejsze.

W roku 1923 wyjechałem do Warszawy i przez kilka miesięcy starałem się znaleźć pracę, która pozwalałaby mi wyzyskać moje duże wiadomości religjologiczne, ale wzmagał się już wtedy klerykalizm i tematy religjologiczne należały do drażliwych. W lecie ro-

ku 1924 przeniosłem się do Łodzi, gdzie pracy było dużo, ale zarobki kazały czekać na siebie. Praca była tam ciekawa i bardzo urozmaicona: prosto z maszyny do pisania kartka wędrowała do składacza, niedługo wracała w postaci odbitki korektorskiej i tworzyła taką a taką część arkusza, który szedł na maszynę drukarską. Lubiłem tę pracę.

Po dwuletniej tułaczce poza Żyrardowem, wróciłem do domu z dużym dorobkiem moralnym i z nadzieją, że gdy prace moje znajdą się na rynku księgarskim, dochody będą znaczne. Kryzys przekreślił te bardzo logiczne, ale nierealne kalkulacje. Na rynku księgarskim zapanowała stagnacja. Znowuż trzeba było szukać zarobków daleko od literatury i religjologji. Tłumaczenie papierów handlowych i stylizowanie sprawozdań przemysłowych dawało daleko więcej, niż tłumaczenie książki o świętym Franciszku, albo feljetonów Machara z jego podróży do Rzymu. Za tłumaczenie książki Sabatiera „Vie de St. François d'Assise" nie dostałem ani grosza. „Rzym" Machara nie znalazł nakładcy. Nie przejmowałem się tem, bo już przed laty przywykłem był, iż wydawca zaprzepaszczał duży rękopis tłumaczenia dwutomowej powieści. Tak było np. z tłumaczeniem książki Ignáta Herrmanna „Pod wyjedzonym handelkiem" (U snedeného krámu.). Rękopis dwutomowej powieści przepadł i trzeba było pogodzić się z losem. O przepadłych rękopisach artykułów mniejszych niewarto wobec tego nawet wspominać.

Kiedy pod koniec lata 1925 powróciłem do Żyrardowa, na każdym kroku spotykałem ludzi narzekających na coraz większą biedę. Z biur fabrycznych wydalano urzędników Polaków, a na ich miejsce przyj-

mowano cudzoziemców. Pracy w fabryce było coraz mniej, najbliższa przyszłość miasta zapowiadała się ponuro. Magistrat żyrardowski szukał pieniędzy gdzie się dało, aby przyjść z pomocą biedującej ludności. Regulował ulice miasta, budował szosę, mającą połączyć Żyrardów z Warszawą, planował inne roboty publiczne, ale o kredyty było coraz trudniej i walka z biedą szła ciężko. Zadomowiała się w Żyrardowie nędza, przygnębienie w parze z rezygnacją zawisło nad miastem, bezrobotni nie mieli najmniejszej nadziei, że znajdą zajęcie w fabryce, a ci, co pracowali, drżeli na myśl, że mogą pracę stracić. Było źle, ale nikt nie przeczuwał, że niebawem będzie nieskończenie gorzej. Narazie ratowały sytuację roboty publiczne, Fundusz bezrobotnych i dawne oszczędności, ale kryzys wzmagał się coraz bardziej i nadchodziły czasy, jakich nikt nie byłby uważał za możliwe.

Rok 1926 stał się dla Żyrardowa przełomowym. Życie upływało na biedowaniu, na niezliczonych zgryzotach, na przygnębiającem poczuciu bezsilności wobec mocy wyższych i tajemniczych. Magiczne słowa: wolność, ojczyzna, niepodległość, których dźwięk jeszcze tak niedawno pobudzał serca do żywszego bicia, obciążyła rzeczywistość, niepodobna do tego wszystkiego, co się w nie zawsze wkładało. Przestaliśmy spoglądać ku Warszawie, gdzie sejmowali posłowie i gdzie dokonywały się zmiany rządów. Były to rzeczy dalekie i obce. Nikt się tam nami nie interesował, nikt nie troszczył się o losy pracującego i zmęczonego człowieka, a jeśli byli może tacy, co się troszczyli, to nie posiadali władzy i wpływów. Z ciężkim stanem rzeczy zaczynaliśmy spoufalać się wbrew woli: we krwi mieliśmy jeszcze tradycję pańszczyźnianą, wychowanie uczyło nas rezygnacji i godzenia się z losem. Jak najmniej chcieć dla siebie, jak najwięcej dawać innym! — to była zasada wpajana w nas od dzieciństwa.

Ze szkoły, z kościoła, z książek, jakie docierały do naszych rąk, przemawiały do nas obrazy światopoglądu zbudowanego na wyrzeczeniu. Gdzieś wysoko nad obłokami siedział na tronie Bóg i kochał ubogich, obdartych, głodnych, spracowanych. Ślepy dziad, stary zmęczony życiem robotnik, skulony pod kościołem, wydawał się nam aniołem w łachmanach, siedzącym u przysionka rajskiego. Gdy śmierć zamknie mu oczy, otworzą się podwoje niebieskie, zagrają aniołowie na złotych harfach, zaśpiewają chóry świętych Pańskich,

i dusza brudnego starego dziada, ślepego, chromego, pokręconego reumatyzmami i kalectwami, odmłodzona cudownie, jasna, pogodna i nieśmiertelna, wpłynie do przybytków niebieskich, aby już nigdy nie zaznać głodu, chłodu, męki chorób i zgryzot ziemskich. Znaliśmy przecie tak dobrze starego Łazarza, brata naszego w niedoli. Ileż kazań wysłuchaliśmy o jego życiu i jego wiekuistych radościach! Siedział na śmieciach owrzodzony i wzgardzony, a psy lizały jego wrzody i rany. Na rynku żyrardowskim co sobota sprzedawał obrażnik obrazy z Łazarzem, a na nich było tak samo, jak w kazaniu: u dołu owrzodzony Łazarz na kupie śmieci, i psy, u góry bogacz biesiadujący z przyjaciółmi przy obficie zastawionym stole. Ale Łazarz po śmierci znalazł się na łonie Abrahama, a bogacz poszedł do piekła. Któż byłby chciał zdobywać bogactwo, skoro za jego posiadanie szło się do piekła? I kto nie byłby chciał pójść do niebo, którego bramy otwierały się wzamian za nędzę, kalectwo, upośledzenie, głód i chłód?

Chłop, który z przeludnionej wsi przybywał do Żyrardowa, aby szukać chleba w fabryce, przynosił z sobą specyficzną mądrość wiejską, zbudowaną na pokorze. Wsi okoliczne nazywały się bardzo często Budami, np. Zosińskie Budy, Sade Budy i t. p. Były to budy w całem znaczeniu słowa: ciasne, niskie, mroczne. Taka już była wola boża. Umierający ojciec zaklinał syna, aby nie budował chaty wysokiej i aby pamiętał, że drzwi wiodące do niej muszą być tak niskie, iżby się przy wchodzeniu każdy musiał pochylać. Ta architektura pokory, nauczająca, że nawet przy wchodzeniu do własnej chaty trzeba się pochylać w pokornym pokłonie wobec nieznanych mocy, była tylko jednym z wie-

lu wyrazów zrezygnowanej uległości. Duże okno, przestronne drzwi, podłoga, jakie takie wygodne sprzęty, to dla ludzi wiejskich był grzeszny przepych, którego Pan Bóg nie lubił i za który karał. Zarobić sobie na kawałek chleba, żyć w pokorze i poddaniu się woli bożej, umrzeć pobożnie i mieć ładny, bogaty pogrzeb, to mniej więcej wszystko, czego wymagano od istnienia. Tak samo było z umiejętnością czytania i pisania. Oczywiście dobrze jest, gdy się umie napisać list do krewnych, czy do syna w wojsku, ale z drugiej strony w książkach doczytywali się ludzie dużo rzeczy grzesznych i obrażających Pana Boga. Ciekawość pierwszy krok do piekła, a książki rozbudzają właśnie ciekawość grzeszną. Przeczytasz parę niedobrych książek i będziesz za to siedział na wieki wieków w piekle.

Pokolenie młodsze, które rwało się do nauki, było tak straszliwie obciążone tradycją pokory i rezygnacji, że nawet w najlepszych głowach nie mogła zrodzić się myśl o samodzielności gospodarczej, umysłowej, moralnej. Czuliśmy się na tym świecie czyimiś gośćmi i robotnikami. Panowie mieli fabryki, dobra, pałace, pieniądze i u tych panów można było dostać pracę i chleb. Ile jest warta praca, jak długo trzeba pracować, aby zarobić na buty, na czapkę, na kapotę, na chleb powszedni, o tem decydowali wyłącznie panowie. Poziom życia normowało się według poziomu wypłat. Wedle stawu grobla. Istniała, oczywiście, pewna hierarchja robotnicza: lepiej było pracować w fabryce, niż tłuc kamienie przy gościńcu, a w fabryce lepiej było tkaczom, niż robotnikom przędzalni lnu, gdzie się pracowało w suchym morderczym kurzu, albo w mokrem błocie. Lepiej od tkaczy mieli się pończosz-

nicy, których robota była czysta a zarobki dawała duże. Lepiej też było majstrom i nadzorcom, niż robotnikom, a majstrowie zazdrościli urzędnikom, którzy siedzieli w czystych biurach i mieli miesięczne pensje, mieszkanie, światło, opał i szacunek. Młody chłopak, jeśli miał wielkie ambicje, bezbożne i grzeszne, to uczył się pilnie, aby dostać się do kantorku, czy nawet do kantoru głównego i kierować się na pana, pobierającego aż pięćdziesiąt rubli miesięcznie. To był ideał.

Ten i ów wiedział już, w jaki sposób można stać się nauczycielem, księdzem, buchalterem, ale jak stać się dyrektorem, o tem nietylko że nikt nie pomyślał, ale nawet pomyśleć nie mógł. To były jakieś odwieczne i powieczne sekrety panów, jakaś klasa panująca i przez Boga do panowania powołana. Mówiło się np.: „Co pan, to pan, to nie grzeszny człowiek...“ Starsi robotnicy gawędząc z sobą o dyrektorach, łatwo wymiarkowywali, który z nich jest pan z pana. Jeśli był uprzejmy i mówił łagodnie, to już napewno był taki sobie panek, co to mógł mieć tytuły, ale puste dźwigał szkatuły. Lecz jeśli taki pan podnosił głos, tupał, albo i kułakiem walił w stół, to już pan z pana. Dla takiego miano szacunek pomieszany ze strachem i nienawiścią. Gdyby ktoś był powiedział, że zamierza kierować się na dyrektora, to byłby wzbudził niezgorszą wesołość śród równych sobie, a sama myśl o staniu się fabrykantem, byłaby żywym dowodem ciężkiej warjacji. Pan Bóg kochał ubogich, głodnych, ciemnych robotników, a najmilszy był mu Łazarz leżący na kupie gnoju, owrzodzony, pokumany z miłosiernemi psami.

Trudna rada, ale takie sugestje działają potężniej, niżby kto przypuszczał. Chcieć bogactwa, to jeden

z grzechów głównych, pycha; chcieć komfortu, dosytu, wygody, to także grzechy główne łakomstwa, obżarstwa; pragnąć szczęścia w miłości, to plugawy grzech nieczystości. Co innego zapomnieć się przez chwilę, a co innego dążyć wytrwale do czegoś, co Bogu miłe być nie może. Inicjatywa była grzechem zawiści, cnota kazała nie zazdrościć dyrektorowi i fabrykantowi i pracować w pokorze ducha nawet za najmarniejsze wynagrodzenie. Bóg patrzył na wszystko i miał wyrównać wszelkie nierówności po śmierci, na sądzie duszy. Pozatem czekał wszystkich sąd ostateczny, powszechny i nieunikniony. Wieczne potępienie było czemś realnem i niemal namacalnem. W wielu żyrardowskich domach straszyło dawnemi czasy. Ludzie chcieli spać, a strachy nie dawały. Słychać było straszliwe łomotania, przesuwanie ciężkich szaf, tłuczenie naczyń. Co to było? Dusze w czyścu cierpiące, czy też dusze potępione? Mogło być i tak i tak. Dusza potępiona przychodziła na ten świat i niepokoiła żywych, stawała się łącznikiem między tym światem a piekłem. Przy obiedzie, ojciec albo matka, między jedną łyżką a drugą rzucali jakby od niechcenia: „Za niebieskim krzyżem u Cieplaków straszy". Nikt się nie uśmiechał, nikt nie odważył się powątpiewać. Dochodzono tylko co i jak, a potem okazywało się, że syn Cieplaków umarł w drodze do Ameryki i że ciało jego pochowano w niepoświęcanem morzu, a w dodatku pojechał do Ameryki za pożyczane pieniądze, zaś rodzice nie mają z czego oddać pożyczki. Straszyło tedy długo i dokuczliwie. Innym razem straszyło dla innych powodów w jakimś domu pod lasem i trzeba było sprowadzać księdza, żeby zrobił porządek. Piekło było bliskie, realne i czarne

jak noc. Wiedziano i o takich, co się djabłu zapisali i dobrze im się działo. Istnienie djabła było aksjomatem nie wymagającym żadnych dowodów. Możność spotkania się z nim i zapisania mu duszy wzamian za bogactwa i dostatki, była czemś pewnem. Nikomu nawet przez myśl nie przeszło, aby zastanowić się nad dziwnym faktem, że djabeł, taki możny pan, mogący rozdawać bogactwa i królestwa całego świata, raptem skupuje ciemne dusze Tupałów i Sobczaków i to po cenach tak strasznie wysokich.

Mitologja żyrardowska wykluczała wynajdywanie aeroplanów, radjofonów, odkrywanie nowych części świata i budowanie fabryk. Do robotnika pierwszego i drugiego pokolenia nie docierała nawet gazeta, bo czytać nie umiał, a gdy później w sobotę po wypłacie zaczęto przed bramą fabryki sprzedawać po cztery grosze „Kurjer Polski", wyczytywano z niego tylko o bitwach Burów z Anglikami, o kradzieżach i zabójstwach w Warszawie czy indziej, albo o Dreyfusie, który zdradził Francję i siedział na wyspie Djabelskiej. Gdzie jest wyspa Djabelska i w jaki sposób zdradza się Francję, któż to mógł wiedzieć? Jakoś tam było, skoro pisali o tem w gazecie, a co do Burów i wyspy Djabelskiej, to były takie strony gdzieś bardzo daleko za Wiskitkami, czy za Mszczonowem, w ciepłych krajach, gdzie się rodzi pieprz, gdzie rosną figi i pomarańcze i gdzie się chowają małpy. Tak samo za morzem, jak Brazylja, tylko że w innej stronie.

Ten i ów próbował szczęścia, wyjeżdżał do tej tam Brazylji, gdzie dawano grunta darmo, ale tam była żółta febra, kto wie, czy nie gorsza od cholery. Ile narodu żyrardowskiego tam poumierało na tę żółtą febrę!

W dodatku były tam rewolucje, wyganiali stamtąd cesarza, który się nazywał tak śmiesznie Dom Pedro, i wybierali na jego miejsce prezydenta. Pieniądze też tam były dziwaczne: posyłał brat siostrze jakieś tysiące milrejsów, cały majątek i uciecha wielka, a gdy się z tem poszło do kasy w kantorze, to pan Sandmann, kasjer, naliczył za te tysiące wszystkiego parę rubli. Bóg raczy wiedzieć, jak tam jest na dalekim świecie w ciepłych krajach, ale zawsze najlepiej siedzieć w domu, w Żyrardowie, przy robocie w fabryce, gdzie co tydzień dają grosz na rękę, choć może i nieduży.

Gusła i zabobony rozwiewały się powoli, szkoła krzewiła oświatę, ale nastrój pokory, uległości i rezygnacji trwał dalej. Ambicje szły niezbyt wysoko: dostać się do pończoszarni, albo jeszcze lepiej do kantorku, mieć czystą robotę i dobry zarobek, możliwie „festlon". Gdy ktoś za jakie wykroczenie dostał „fajerant", czyli został zwolniony z pracy, to o tak wielkiem nieszczęściu opowiadano sobie po całym Żyrardowie. Zwolniony chodził po ulicach jak dusza pokutująca, truł się i gryzł, aż wreszcie ktoś tam przejednywał dyrektora, bezrobotny biedak wracał do fabryki i odzyskiwał równowagę osobistą i społeczną. Fabryka rozwijała się stale, rozbudowywała, potrzebowała coraz więcej robotników i dawała coraz lepsze zarobki robotnikom wykwalifikowanym. Przesilenia i różne „głody" były naogół niedługie, a po nich przychodziły czasy tem lepsze.

Wojna wywołała istny przewrót w umysłach robotników żyrardowskich. Jedni poszli do wojska jako rezerwiści, inni pozostali w domu i przymusowo próżnowali. Potem wyjeżdżali do Niemiec do kopalń i fa-

bryk, gdzie człek mógł zarobić trochę grosza, ale cóż z tego, kiedy za zarobione marki nie zdołał nic kupić do zjedzenia, a kartkowe pożywienie było okropne. Więc biedni ludziska pisywali do domu listy pełne rozpaczy i prosili, żeby się na wszelki sposób starać o ich zwolnienie z roboty w Niemczech. Starania te nie zdawały się na nic i z kopalń niemieckich wracali tylko ludzie ze złamanemi nogami i z ropnem zapaleniem opłucnej, po operacji, gdy przez czas dłuższy nie mogli pracować ciężko.

Po wojnie ten i ów co obrotniejszy i śmielszy spróbował coś zakładać: sklep, warsztat, handel, ale szło nieosobliwie, bo Żyrardów był ciągle zbiedzony i czekał na poprawę, która miała przyjść pewnego dnia niewiadomo skąd. Marki mnożyły się w sposób zastraszający, dochodząc do setek tysięcy i miljonów, po markach i fenigach przyszły złote z groszami, a bieda była ciągle ta sama. Żyło się źle, a tu prezes ministrów, pan Wincenty Witos, powiedział wyraźnie, że będzie jeszcze gorzej. Czy mogło być jeszcze gorzej? Widać mogło, skoro mówiła to osoba taka przecie wysoka. Ale czy nie ona właśnie, ta wysoka osoba, odpowiadała za to, że było źle i że według niej miało być jeszcze gorzej? W sejmie ludzie targowali się o władzę, dostawali się do rządu, byli ministrami, a robotnik, jak biedował, tak biedował.

W czwartek 13 maja 1926 roku siedziałem przy maszynie od piątej rano i kończyłem jakąś pilną pracę. Było już około ósmej gdy podniosłem głowę z nad maszyny, wypatrując, rychło-li podadzą mi szklankę gorącej herbaty. Ale przy święcie Wniebowstąpienia Pańskiego nikt nie kwapił się wstawać i dlatego trzeba

było na śniadanie czekać. Tymczasem przed oknem stanął jakiś człeczyna z rozwartą gazetą i sylabizował coś z trudem, jak to bywa u nas w niedziele i święta, gdy robotnicy kupują świąteczny numer pisma. Po chwili ujrzałem innego znajomka z gazetą, potem kilku przy jednej gazecie. Oczywiście, coś się stało. Ale co? Zaciekawiony, wyszedłem na ulicę. Sąsiad wracał z miasta i powiedział mi, że pan Witos chciał aresztować Marszałka Piłsudskiego i że na ulicach Warszawy toczy się bitwa na karabiny, armaty... Kupiłem pisma, jakie jeszcze można było dostać i zabrałem się do czytania. Bóg raczy wiedzieć, skąd bierze się optymizm nałogowy przy każdem niezwykłem wydarzeniu, że „teraz będzie lepiej"? Odrazu utworzyło się jakieś wielkie konsorcjum optymistów i jeden przez drugiego powtarzali, że „teraz będzie lepiej".

Nie brakło, oczywiście, i optymistów warunkowych. Ci wierzyli, że owszem, mogłoby być lepiej, ale jeszcze nie wiadomo, kto weźmie górę. W ciągu czwartku i piątku wiadomości nadchodziły najróżniejsze i najbardziej sprzeczne; ludzie byli ostrożni, osobliwie ci, którzy nic nie wiedzieli o demokratycznej wolności słowa. Tylko pepesowcy, wychowani na ideologji „Robotnika", wydawanego ongi przez Józefa Piłsudskiego, rozumieli o co toczy się walka w Warszawie i wiedzieli, po której stronie jest ich miejsce.

Ale w Żyrardowie miały się sprawdzić słowa Witosa, że będzie gorzej. Dnia 19 lipca 1926 roku w salach fabrycznych i na bramach ukazały się ogłoszenia zarządu fabryki, wymawiające pracę wszystkim robotnikom, o ile nie zgodzą się na reorganizację. Jaka miała być ta reorganizacja, o tem

ogłoszenia nie mówiły. Robotnicy zdawali sobie sprawę z istoty zapowiedzianej reorganizacji i wiedzieli, że przedewszystkiem chodzi o zwolnienie bardzo wielu z nich i rozłożenie całej pracy na pozostałych. Rzecz prosta, że perspektywa utraty pracy była dla wszystkich jednakowo przerażającą i nikt nie kwapił się wyrazić zgody na reorganizację, nie wiedząc, czy właśnie za tę zgodę nie zostanie pozbawiony pracy. Powstała atmosfera wielkiej niepewności i wzajemnej nieufności, a o to właśnie chodziło zarządowi fabryki. Doszło do strajku i paromiesięcznego lokautu.

Rozpoczynano wielokrotnie układy, ale nie prowadziły one do niczego. Nie mogły zresztą doprowadzić do porozumienia, bo postawa zarządu fabryki była nieszczera, postawa przedstawicieli robotników — niepewna. Robotnicy należeli do związków różnych, które się wzajemnie zwalczały. Mówiono zrazu, że przy reorganizacji zostanie zwolnionych conajmniej 600 robotników, czyli jakieś 10% ogółu pracujących. Był to oczywisty bluff, bo później pokazało się, że nie 600 robotników będzie zwolnionych, ale 4,500, czyli nie 10%, ale 75%. Związki zawodowe skrępowane były własnemi doktrynami, postawą polityczno-społeczną, obietnicami wobec robotników. Walka toczyła się nietylko na widowni, lecz przedewszystkiem za kulisami. Wzburzenie śród robotników było zrozumiałe wobec prostego faktu, iż żaden z nich nie wiedział, czy do pracy wróci, czy też zostanie „zreorganizowany". Gdy bieda zaczęła dawać się we znaki, zarząd fabryki zwrócił się bezpośrednio do robotników, aby się zgłaszali do pracy. Dnia 5 września 1926 Chrześcijański Związek Zawodowy urządził uroczyste nabożeństwo na intencję uruchomienia fa-

bryki, co było nietyle wyrazem ufności w Bogu, iż sprawę zatargu między kapitałem a pracą rozstrzygnie pomyślnie dla robotników, ile sprytnym, zakulisowym manewrem. Nietrudno było przewidzieć, że ostatecznie robotnicy przegrają.

W ciągu całego zatargu nikt nie nazwał rzeczy po imieniu i nie przedstawił go zgodnie z rzeczywistością. Związki broniły swej doktryny i polityki, prasa zajmowała stanowisko zasadnicze, zależne od programu partyjnego, fabryka stała na stanowisku swojej realnej przewagi i ani myślała czynić jakiekolwiek ustępstwa na rzecz robotników, czy też liczyć się z interesami społeczeństwa. Reorganizacja i racjonalizacja pracy były zjawiskiem uniwersalnem i rzecz prosta, że Żyrardów nie mógł stanowić wyjątku pod tym względem. Ale nie wyznaczono zakresu reorganizacji i nie ustalono metod postępowania. Reorganizacja doszła więc w czasie niedługim do jakiejś manji wyszukiwania sposobów przeciwko robotnikom. Cała mądrość administracji streszczała się w pytaniu: w jaki sposób możnaby wyrzucić stu, dwustu, albo trzystu robotników? Wyprzedawano zapasy drzewa, jakie fabryka trzymała zawsze na remont domów mieszkalnych i dla warsztatów stolarskich i tokarskich. Likwidowano, oczywiście, takie oddziały, jak stolarski, tokarski, mechaniczny. Z biur usuwano pracowników Polaków, a na ich miejsce przyjmowano kosztowne siły zagraniczne. Kapitał stanął na stanowisku swojej realnej przewagi: fabryka była jego i uważał, że może z nią zrobić, co mu się żywnie podoba. Tymczasem moralny prymat pracy utrwalony w ideologji społeczno-politycznej wszystkich narodów współczesnych, był w Żyrardowie deptany no-

gami, chociaż w artykule 102 Konstytucji marcowej złożono pracy hołd należny. „Praca jako główna podstawa bogactwa Rzeczypospolitej, pozostawać ma pod szczególną ochroną Państwa. Każdy obywatel ma prawo do opieki Państwa nad jego pracą, a w razie braku pracy, choroby, nieszczęśliwego wypadku i niedołęstwa — do ubezpieczenia społecznego, które ustali osobna ustawa".

Redakcja tego artykułu jest wyjątkowo chwiejna. Praca jest w nim tylko główną podstawą bogactwa, chociaż na całym świecie jest podstawą jedyną. Dalej mowa jest o tem, że w razie braku pracy i t. d. obywatel ma prawo do ubezpieczenia. A więc naprzód brak pracy, nieszczęśliwy wypadek, niedołęstwo, a potem pogadamy o ubezpieczeniu. Zdanie to powinno było brzmieć jasno: Obywatel, pracujący na swoje utrzymanie, korzysta z ubezpieczenia na wypadek bezrobotności i t. d. Chwiejność stylizacji tego artykułu Konstytucji była i pozostała wyrazem naszych stosunków społeczno-politycznych. Nikt nie ma odwagi powiedzieć wyraźnie, że kapitał jest wielką, decydującą, bodaj-że wyłączną potęgą. Wszyscy sławią pracę i wynoszą ją pod niebiosy, ale gdy dochodzi do zatargu między kapitałem a pracą, kapitał zwycięża siłą swoich prostych przywilejów. Już przed kilkudziesięciu laty nawet mieszczańska nauka niemiecka ustalała proste fakty, że z jednej strony frontu stoi kapitalista- przedsiębiorca, z drugiej ubogi robotnik, nic nie posiadający. Kapitał, choćby największy, jest bez siły roboczej niczem, martwą masą, ale siła robocza, która jedynie wytwarzać może kapitał, stoi bezradna wobec potęgi, jaką sama przeciwko sobie wytworzyła. Klasyczny kapitał nie zna

uczuć ludzkich, miłosierdzia, litości, współczucia. Że robotnik wyrzucony na bruk zginie z głodu, że jego dzieci pomrą na suchoty, to kapitalistę nie obchodzi. Jego jedynym doradcą jest buchalter: wszystko co daje wysokie zyski, jest dobre, wszystko, co zyski pomniejsza i ogranicza, jest złe. Kapitalista zdobywa dla siebie wszystko, co zdobyć może: buduje pałac, stroi kochankę, otacza się przepychem. Zasada miłości chrześcijańskiej, braterstwa w Chrystusie, miłosierdzia i dobroci, dezorjentuje wszystkie społeczeństwa współczesne. Życiorysy takich potentatów kapitału jak Rockefeller, Morgan, Zacharoff, mówią wyraźnie, że kapitalista może istnieć tylko wówczas, gdy udaje się mu zniweczyć innych, pomniejszych kapitalistów, podporządkować ich sobie, zrobić z nich narzędzie własnej polityki. Cóż dopiero mówić o robotniku, z którym tacy władcy, jak Kreuger, nie miewają wcale do czynienia! Dyrektorowie wielkich przedsiębiorstw przemysłowych przypominają generałów współczesnych, którzy o kilkadziesiąt kilometrów od frontu są poprostu szefami biur. Front pracy jest frontem walki, a dyrektorzy decydują niby wodzowie: tę a tę brygadę robotników rzucić tam a tam, inną usunąć wogóle, zamknąć oddział, obniżyć płacę, podnieść ceny, zlokautować strejkujących. Obdarty, głodny robotnik wystaje na skwarze letnim i na mrozie zimowym i czeka na pracę tygodniami, miesiącami, latami. Opieka państwowa jest z natury rzeczy ograniczona i trwa najwyżej przez kilka miesięcy, im zaś więcej jest bezrobotnych, tem opieka społeczna jest skromniejsza. Ten prosty fakt zapisał się głęboko w świadomości całego Żyrardowa.

Z 6,020 robotników, którzy pracowali pod zarządem

państwowym, przyjęto po lokaucie tylko część, a do 7 marca 1927 roku włącznie 3,020. Przy dalszej reorganizacji liczba ta spadła do 1,200—1,500 robotników. Bez pracy pozostało 4,500 robotników, a w stosunku do liczby przedwojennej 7,500 robotników. Zaczęły się zabiegi u władz warszawskich, starania, wykorzystywanie stosunków, aby dopomóc biednej ludności żyrardowskiej; wzmogło się zainteresowanie dla Żyrardowa w prasie, ale w ostatecznym wyniku wszystkie te zabiegi dały kilka obietnic, które się dotychczas nie ziściły. Powszechny kryzys uniemożliwił bezrobotnym odpływ z Żyrardowa, jedynym ratunkiem przed śmiercią głodową był Fundusz bezrobotnych, ale i ten musiał się wyczerpać ostatecznie wobec wieloletniej bezrobotności tysięcy robotników. W Żyrardowie było coraz smutniej, nikt jednak nie wątpił, że prędzej czy później sejm, władze państwowe, czy jakaś akcja społeczno-gospodarcza rozwiążą te zagadnienia, które stawały się coraz tragiczniejszemi. Z temi nadziejami tłumy robotników wystawały przed Magistratem, przed biurem Funduszu bezrobotnych, przed lokalami akcji społecznej ogromnie zresztą nikłej w stosunku do rozmiarów klęski.

Pod koniec roku 1926 napisał do mnie Romuald Minkiewicz, że zamierza wydawać miesięcznik wolnomyślny „Życie Wolne" i zaprosił mnie do współpracy. Ucieszyłem się, że będzie trochę pracy i zarobku, ale nauczony smutnem doświadczeniem zgóry przypuszczałem, że pismo planowane przez Minkiewicza nie ma w społeczeństwie żadnego gruntu dla utrzymania się i utrwalenia. Tem niemniej zabrałem się do pracy ze zwykłym niepoprawnym entuzjazmem. W kwietniu ro-

ku 1926 córka moja wyjechała do Grenobli na studja uniwersyteckie i ten jej wyjazd do Francji miał dla mnie znaczenie przełomowe. Jako wychowanek uniwersytetu heidelberskiego utrzymywałem stosunki ze swoimi profesorami, z dawnymi kolegami, a przedewszystkiem z księgarzem heidelberskim, który przysyłał mi stale nowości z dziedziny religjonistyki i filozofji. Literatura niemiecka i pisma specjalne informowały mnie dokładnie o wszystkiem, co się działo na szerokim świecie przynajmniej na odcinku naukowym, który mnie specjalnie interesował. Ale przyszła wojna i stosunki z Heidelbergiem uległy rozluźnieniu. Zrazu nie było komunikacji z Niemcami, później komunikacja była bardzo utrudniona, a gdy wreszcie mogłem już sprowadzać książki niemieckie, okazało się, że literat zubożał podczas wojny wprost nieprawdopodobnie, a książka niemiecka podniosła się w cenie. Wypadło więc zrezygnować ze stosunków z nauką niemiecką, które były o tyle wygodne, że Niemcy skwapliwie tłumaczyli, a przynajmniej referowali wszystko, co zasługiwało na uwagę.

Po zadomowieniu się w Grenobli, córka zaczęła posyłać mi wydawnictwa francuskie, trzy i cztery razy tańsze od niemieckich. Frank francuski kosztował 35 groszy, czyli że książka francuska była wyjątkowo tania. Za 50 złotych można było dostać 10—12 tomów najświetniejszych autorów francuskich. Wybornie redagowane miesięczniki literackie kosztowały 22 złote rocznie, tygodniki albo dwutygodniki niewiele więcej. Dotychczas czytywałem przeważnie książki i pisma niemieckie, francuskie zaś tylko przygodnie. Miałem całego Anatola France'a, Verlaine'a, Baudelaire'a, tro-

chę wydawnictw religjologicznych, pisma Loisy'ego, Sabatiera, podręczniki literatury francuskiej. Teraz zacząłem czytywać rzeczy francuskie systematycznie i nagle oczarowała mnie jasność stylu francuskiego. Przypomniałem sobie straszliwe zdania Kanta, które wlokły się przez pół stronicy w niewinnym trybie oznajmującym, aby wkońcu niby szydło z worka wylazło przeczące „nicht". Wypadło więc jeszcze raz czytać takie zdanie z nowem nastawieniem świadomości, że chodzi nie o twierdzenie, ale o przeczenie. Takim samym stylem odznaczają się wszyscy znakomici erudyci niemieccy, czy to będzie Eucken, czy sławny teolog współczesny Barth. A tu nagle zgoła nowy świat: jasny, wyrazisty, pogodny i łatwo zrozumiały. Oczywiście, trzeba było lojalnie przyjąć do wiadomości, że Francuz rezygnuje z głębi, gdy w niej zaczyna być mroczno. Niemiec, który wykrył różnicę między zjawiskiem a istotą rzeczy pozazmysłową, jest zawsze zawahany, gdy chodzi o zagadnienie metafizyczne, natomiast Francuz rezygnujący z pozaświadomego, ma wielką swobodę ruchu i dlatego l'esprit gaulois jest taki czarujący dla każdego, kto z cieniów gotyckiej mistyki wychodzi na słoneczne przestwory ducha francuskiego.

Z pasją rzuciłem się na literaturę francuską i w czasie stosunkowo niedługim przeczytałem i przewertowałem setki książek francuskich i tomów pism. Prenumerowałem różne pisma francuskie od katolicko-monarchicznej „Action Française" aż po komunistyczny „Monde", dużo zrozumiałem, jeszcze więcej wyczułem. Lubiłem „Nouvelles Litteraires", ale rzecz dziwna, czytanie tego doskonale redagowanego pisma utrudniał mi papier gazeciarski, na jakim je drukowano i czcion-

ki niedość wyraziste. Pod tym względem wolałem już „Literarische Welt“, a jeszcze bardziej „Wiadomości Literackie“. Zaczęło się, oczywiście od „Skamandra“, czy raczej od „Pro arte et studio“ i tej cudownej wyzwalającej inwektywy Tuwima, którą nazwał „Wiosną“ a utytułował dytyrambem. Przed wyjazdem do Pragi włóczyłem się po Warszawie i gdzieś koło Placu Saskiego w głębi podwórza natknąłem się na księgarenkę, w której znalazłem dwa pierwsze numery „Skamandra“. Cóż to było za radosne przedwiośnie! Kończyło się dawne augurskie kapłaństwo sztuki, znikały satanizmy i nagie dusze, zaduch zbutwiałego historyzmu odwiewał zdrowy wiosenny wiatr polskiego humanizmu. Człowiek z nad Wisły, który dotychczas w jakiejś niepojętej prostracji chylił kark pod jarzmem historji, będącej tylko częściowo jego własną historją, wyprostował się nagle, zrzucił z siebie konwencjonalną liberję poetycką i stał się sobą. Poczuł się powołanym do panowania nad światem i zrozumiał, że Bóg objawia się i przemienia w nim, a nie poza nim.

„Wiadomości Literackie“ były oczywiście czemś więcej, niż „pismem prawdziwie europejskiem“. Stary szablon bezmyślności twierdził, że literatura jest zwierciadłem duszy narodu. A więc naprzód dusza narodu, a potem zwierciadło, aby ta elegantka miała w co patrzeć, gdy maluje brwi i usta. O intymnej tualecie duszy narodu nie mogło wtedy być mowy, bo nad czystością tej duszy czuwał pan cenzor, który wiedział co jest moralne, a co niemoralne. Dusza narodu była obarczona ciężkiemi kompleksami konwencjonalnego moralizmu i historyzmu. Podobna była pod niejednym względem do starzejących się panien, które zalecają się tem,

iż mówią o sobie: ja tam jestem jeszcze staroświecka kobieta, domatorka. Trudno było wmówić w nią „bubikopf" i krótką sukienkę, ale wreszcie udało się to. „Wiadomości Literackie" szybko, sprawnie i interesująco informowały o tem, co się dzieje na szerokim świecie, i prostem zestawieniem faktów wykazywały, że chrystusowość narodów już dawno wyszła z mody i że zwyczajne człowieczeństwo jest legitymacją najzupełniej wystarczającą. Dlatego lubiłem to pismo i każdego numeru wyczekiwałem z takiem samem miłem uczuciem, jak w swoim czasie dziesiętnic „Myśli Niepodległej".

Oczywiście, mówiono nieraz, że „Wiadomości Literackie" to klika. Odpowiadałem, że ta klika bardzo dobrze spełnia swoje zadanie i godna jest szczerego uznania. Wierzyłem, oczywiście, że „Wiadomości" odgradzają się od przygodnych współpracowników, że istotnie reprezentują klikę, ale pretensyj o to, jako szczerze wdzięczny czytelnik nie miałem. Później przekonałem się, że kliki nie było.

W roku 1927 zacząłem tedy pisywać do miesięcznika „Życie Wolne“. Na pierwszej stronicy pierwszego numeru Romuald Minkiewicz wypisał piękne wyznanie wiary: „Życie wolne — to tężyzna i bogactwo, to niestrzymany potok Czynu, to bujny kultury rozkwit, to cudna różnorodność ludzi. Życie wolne — to życie mężne i bezstraszne, bo tchórzostwo, lęk i bojaźń zaprzeczeniem są wolności...“ Wychowawczy program „Życia Wolnego“ był prosty i jasny, jak w Ewangelji: Poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi. I jak u apostoła Pawła: Wszystkiego doświadczajcie, a co jest dobrego, tego się trzymajcie! — Ludzkość wszystkiego doświadczała i ostatecznie postanowiła trzymać się prawdy, choćby twardej i bolesnej. Wyraził to najdobitniej Nietzsche w jednym z listów do siostry: „Nie o to wszak chodzi, aby dojść do takiego rozumienia Boga i świata, które dla nas jest najwygodniejsze. Prawdziwy badacz wynik badań swoich uważa za coś zgoła obojętnego, nie szuka bowiem spokoju, zadowolenia, szczęścia, lecz tylko prawdy, choćby ona miała być odrażająca i bolesna. Niech wierzy, kto pragnie spokoju duszy i szczęścia, kto zaś chce być posiadaczem prawdy musi badać!“ Ale Brzozowski, który znał nasze życie i nasz do niego stosunek, pisał w „Legendzie Młodej Polski“ zgoła inaczej: „Przyjmuje się nie prawdę, lecz jej przyjemne i pożyteczne konsekwencje — nie wielką sztukę, wynik życia, lecz jej umilające życie pozory, zewnętrzne zdobycze, nie pracę ekonomiczną, lecz do-

chody, nie kulturę, lecz komfort". Nad temi słowami zastanawiałem się niejednokrotnie. Nie pracę ekonomiczną bierze się za program, lecz dochody, nie kulturę, lecz komfort.

„Życie Wolne" miało być nauczycielem prawdy, ale wszyscy nasi działacze wolnomyślni zapominają zawsze o tem słowie Brzozowskiego, że u nas „przyjmuje się nie prawdę, lecz jej przyjemne i pożyteczne konsekwencje". Brzozowski nie powiedział jednakże, dla kogo te konsekwencje mają być przyjemne i dla kogo pożyteczne. „Kwiat narodu", arystokracja galicyjska jeszcze tak niedawno z pasją i zacietrzewieniem zwalczała oświatę, motywując swój obskurantyzm troskami o wiekuiste zbawienie chłopów. Bezpośrednio przed rozbiorami Polski pani Katarzyna z Kossakowskich Potocka pisała do ambasadora austrjackiego: „Jeśli mi zostawicie majątek i religję, czego mam jeszcze żałować?!" Rzeczywiście, przy takim systemie dwuniebowym, gdy w majątku ma się niebo na ziemi, a w religji niebo po śmierci, czego jeszcze żałować? Bóg raczy wiedzieć, skąd wziął się w Polsce ten dziwny stosunek do prawdy, który znalazł wyraz nawet w wierszach Mickiewicza: „Są prawdy, które mędrzec wszystkim ludziom mówi; są takie, które szepce swemu narodowi; są takie, które zwierza przyjaciołom domu; są takie, których odkryć nie może nikomu". Rzecz prosta, że niektóre prawdy są miłe i pożyteczne, więc można je mówić całemu narodowi, ale są także prawdy przykre, albo pikantne, dla kółka zaufanych przyjaciół i są wreszcie prawdy groźne i niebezpieczne, które się przemilcza. Tylko że prawdy przyjemne i słodkie nie są prawdami, a „niebezpieczne"

prawdy Campanelli czy Galileusza są jedyną siłą, która prowadzi ludzkość ku wysokim celom szczęścia.

„Życie Wolne“ nie mogło znaleźć w Polsce zbyt wielu czytelników. Tu się żyje miłemi ułudami i fikcjami. Nie to ładne, co ładne, ale co się komu podoba— mówi mądrość potoczna. Nie to prawda, co prawda, ale co się komu jako prawda podoba. Żyrardów dostarczał dowodów na poparcie tej prawdy wszystkich prawd. Materjalistyczne pojmowanie dziejów znajdowało tu potwierdzenie wprost okrutne. Bezrobotnych było coraz więcej, groźba utraty pracy wisiała nad każdym; wszystkie wysiłki myśli szły w jednym kierunku: jak zabezpieczyć się przed wydaleniem z fabryki, albo: jak odzyskać utraconą pracę w fabryce? Przekonania religijne, polityczne, społeczne, narodowe, partyjne, znikały, malały, rozpraszały się jak mgła wobec naczelnego wymagania życia, które chce istnieć i doznawać miłych wzruszeń.

Coraz częściej przychodzili do mnie znajomi robotnicy i urzędnicy ze steretypową prośbą o napisanie po francusku albo po niemiecku listu do dyrekcji zakładów żyrardowskich, a przeważnie do dyrektora generalnego, pana Koehlera. Robotnicy pamiętali jeszcze czasy, gdy dawny właściciel Żyrardowa, Karol Dittrich, uprzejmie odpowiadał na listy skierowane do niego, kazał badać wynikłe spory, udzielał pomocy, radził potrzebującym rady. Teraz więc, gdy starzy urzędnicy i robotnicy tracili pracę a nie otrzymywali odpowiedniej emerytury, każdy z nich był przekonany, że byle donieść o tem dyrektorowi generalnemu, to wszystko zmieni się odrazu. Ale należało napisać do niego po niemiecku albo po francusku. Korespondencja

ta stała się bardzo jednostronną, bo na listy i podania wysłane do pana Koehlera nikt nigdy nie otrzymywał odpowiedzi, bez względu na to, czy pisał urzędnik mający za sobą trzydzieści lat pracy na wysokiem stanowisku fabrycznem i społecznem, czy też robotnik, który po półwiekowej pracy został „zredukowany". Pan dyrektor poprostu nie odpowiadał, dostępu do niego nie było i sprawy likwidowały się jakoś same przez się, ulegały przedawnieniu, zapomnieniu, radykalnemu zlekceważeniu.

Biura fabryczne zostały przeniesione do Warszawy i dyrektor Koehler nakazał urzędnikom, aby się przeprowadzili do stolicy. Ni mniej, ni więcej. Że istniał bezprzykładny głód mieszkaniowy i że nawet za liche mieszkanko trzeba było płacić wysokie odstępne, tego nie przyjmował poprostu do wiadomości. Niektórym urzędnikom udzielano pożyczki na nabycie mieszkania w Warszawie, a pożyczkę odbierano potrąceniami z pensji. W Żyrardowie opustoszał wielki, kosztowny gmach kantoru głównego, a mnóstwo ładnych i wygodnych mieszkań w domach i willach fabrycznych stało pustkami. Oczywiście, nie brakło amatorów na te mieszkania, ale urzędnicy przenosili się do Warszawy, a osobom prywatnym fabryka mieszkań wynajmować nie chciała. Była to polityka w wielkopańskim stylu: przepadał dla fabryki czynsz mieszkanionwy za tyle pustych mieszkań po wysiedlonych urzędnikach, a w dodatku za pomieszczenia na biura w Warszawie musiały zakłady żyrardowskie płacić 80 tysięcy rocznie. Dla fabryki były to drobiazgi pozbawione większego znaczenia, ale jednocześnie zaprowadzono oszczędności, bardzo podobne do dokuczliwego i złośliwego sknerstwa

stwa, którego skutkami obarczano wyłącznie ubogiego robotnika, drobnego urzędnika, rzemieślnika i kupca. Gdzie się dało zaoszczędzić złotówkę kosztem najuboższej ludności żyrardowskiej, zaoszczędzano ją jak najskwapliwiej, ale nie żałowano setek tysięcy gdy chodziło o dogodzenie kaprysom dyrekcji.

Od roku 1927 coraz częściej powtarzano imiona dwóch nowych władców Żyrardowa: Koehlera i Waśkiewicza. Dwa te imiona zrosły się z sobą tak ściśle, że gdy się powiedziało Koehler, to echo niby myśl natrętna dopowiadało: Waśkiewicz. To kazał zrobić Koehler, tamto zarządził Waśkiewicz. Coś podobnego jak w „Hamlecie": Gildenstern i Rosenkranz. Aby żadnego z tych dworaków nie urazić, król mówił: „Dzięki ci, panie Gildenstern i tobie, Rosenkranz", a królowa: „Dzięki ci, panie Rosenkranz i tobie, Gildenstern". Sprowadzano z zagranicy nowych urzędników, tak zwanych asów przemysłowej i handlowej reorganizacji i racjonalizacji. Przyjeżdżał taki pan Pfau. Sześć tysięcy miesięcznie, wspaniała willa, świadczenia wszelkiego rodzaju. Kontrakt na trzy lata. Pani Pfau umiała obywać się bez służby, sama kupowała w sklepikach, co jej było do gospodarstwa potrzebne, a przy sposobności naurągała polskiej sklepikarce, że ta chce ją oszukać, ale że jej się to nie uda. Posiedzieli zacni ludzie trzy lata, wzięli z tytułu umowy 240 tysięcy, wydali z tej sumy na swoje utrzymanie jakie 10 tysięcy najwyżej i wyjechali śmiejąc się zapewne w kułak, że tak łatwo można w Polsce zarobić gruby grosz. Łatwo, oczywiście, bo pan Pfau nie miał najmniejszego pojęcia o fabrykacji, a cała jego racjonalizacja pracy i handlu

polegała na sztuce wypatrywania komuby tak jeszcze można urwać coś niecoś z zarobku.

Siedział sobie w biurze tkalni pan Ulrich, specjalista od jedwabiu, chociaż z jedwabiem Żyrardów nie miał nic wspólnego. Likwidowano nawet len, aby tem wydatniej przerabiać bawełnę, jako że główny akcjonarjusz pan Boussac był królem bawełny i na bawełnie zbijał majątek. Pobierał ten pan Ulrich 4,500 złotych miesięcznie i nie robił literalnie nic, bo jedwabiu w Żyrardowie nie przerabiano. Robotnicy śmieli się z niego, że za całe zajęcie miał ten dyrektor wywabianie plam z tkanin. Kontrakt także na parę lat i na to rady nie było. Posiedział, powywabiał trochę plam i wyjechał wywożąc grube pieniądze. Ilu było w Żyrardowie takich racjonalizatorów i reorganizatorów pracy i jakie pieniądze powywozili, o tem społeczeństwo polskie nigdy nie dowie się całej prawdy, bo to są sekrety „handlowe". Te właśnie sekrety podlegały bezpośrednio władzy dyrektora generalnego, Koehlera. Angażował inżynierów i dyrektorów specjalistów, ale żadnemu z nich nie pozwolił nic robić samodzielnie. Duża pensja, wysokie stanowisko i wywabianie plam. Dyrektor Koehler sam za wszystko odpowiadał i sam znał się na wszystkiem najlepiej. Kazał np. poprzesuwać ciężkie maszyny w przędzalni lnu i to w taki sposób, że cienka posadzka żelazo-betonowa groziła załamaniem się i nieobliczalną w skutkach katastrofą, ale nikt nie byłby się odważył zwrócić mu na to uwagę, bo każdy mógł wylecieć z fabryki na poczekaniu. Dopiero po jego śmierci z największym pośpiechem zdemontowano maszyny i poustawiano je na dawnych miejscach. Gdy pończoszarnia szła nieosobliwie i gdy fachowcy mówili, że

trzeba koniecznie podnieść gatunek wyrobów pończoszniczych i obniżyć ceny, pan dyrektor generalny kazał przenieść maszyny do innego gmachu. Oczywiście, że te kosztowne przenosiny nic nie pomogły.

Taki był pan Koehler. A pan Waśkiewicz? Pewnego dnia pojawił się w Żyrardowie pan w rogowych okularach i „zajął stanowisko". Miał poprzedników, ale poprzednicy ci jeden po drugim opuszczali Żyrardów, nie chcąc być narzędziem polityki fabrycznej, jawnie przeciwspołecznej. Pan Waśkiewicz zaprezentował się odrazu wszystkim i każdemu. Obchód narodowy? Oczywiście, on na pierwszem miejscu. Zebranie towarzyskie w resursie? Naturalnie za jego specjalnem zezwoleniem. Zabawa sylwestrowa? Pod protektoratem jaśnie wielmożnego pana dyrektora Jana Waśkiewicza. Urzędnicy mówili między sobą o nowych porządkach, ale tylko szeptem, bo nowy dyrektor bywał nietylko protektorem zabaw sylwestrowych, lecz i groźnym władcą. Stał się jakąś królewską wysokością czy Serenissimusem z niemieckiej powieści charakterystycznej. Był wprawdzie tylko pomocnikiem dyrektora Koehlera, ale obowiązki swoje traktował z wielką sumiennością i interesy fabryki ucieleśnił w sobie. Gdy trzeba było wyszorować podłogę, dawny zarząd dawał szczotki na kijach, ścierki, szare mydło, sodę i kazał szorować. Pan Waśkiewicz przystępował do takich rzeczy obrzędowo: ile szarego mydła trzeba na metr kwadratowy podłogi? Na jak długo wystarczy ścierka? Ile zużywa się szczotki? Racjonalizacja gruntowna. W biurze stawał nad pracownikiem: Co pan teraz robi? Czy nie możnaby trochę prędzej? Czy umie pan robić to a to? Pracę trzech zgarniało się na kupkę, dzieliło się ją między

dwóch, a trzeci mógł sobie iść. Reorganizacja na całego.

Za kantorem głównym jest ładny zieleniec, założony przez dawny zarząd dla robotników. Od dziesięcioleci wysiadywali na jego ławeczkach emeryci, wygrzewając się na słońcu albo używając błogiego cienia, bawiły się tam dzieci robotnicze, wypoczywały matki. Pan Waśkiewicz zracjonalizował wypoczynek emerytów, robotników, robotnic i ich dzieci w sposób niesłychanie prosty: kazał piękny zieleniec razem z kantorem głównym odgrodzić od ulicy, a przy furtce ustawił tablicę z gościnnym po staropolsku napisem: Wstęp wzbroniony! Niechże sobie robotnik spracowany, czy emeryt siada, gdzie mu się żywnie podoba. Ale to były głupstwa i drobiazgi. Pan Waśkiewicz rozejrzał się w sytuacji i z całą swą gorliwą wiernością zabrał się do służenia swojemu Koehlerowi. Przedewszystkiem odmłodzenie zakładów żyrardowskich! Steinach i Woronow to zwykli partacze, bo organizm ludzki odmładzali przy pomocy gruczołów zwierzęcych, podczas gdy pan Waśkiewicz odmładzał fabrykę przy pomocy życia ludzkiego w jego najtęższej, bo młodzieńczej postaci. Zaczęto sobie opowiadać, że na miejsce starych i niestarych robotników przyjmuje się dzieci, ale te dzieci muszą terminować. Dosłownie! Co to jest terminowanie, wszyscy wiedzą. Rodzice oddają dziecko do majstra na trzy lata, płacą tyle a tyle i majster wyucza terminatora na czeladnika krawieckiego, szewskiego, garncarskiego...

Taki był dawny zwyczaj w Polsce z tem terminowaniem. Majstrowie dorabiali się na terminatorach, którzy przechodzili nie naukę rzemiosła, ale jakąś wyra-

finowaną katorgę. Terminator musiał pierwszy wstawać i ostatni udawał się na spoczynek, był popychadłem u pana majstra i służącą do wszystkiego u pani majstrowej. Zamiatał izbę, pomywał statki, niańczył dzieci, biegał do sklepu, dostawał mało jeść i bywał bity przy każdej nadarzonej sposobności. Taka była tradycja i wszyscy czeladnicy umieli opowiadać niewiarogodne okropności o czasach swego terminowania. Gdy rodzice chcieli postraszyć nieudanego syna, to mu grozili, że go oddadzą do terminu. Oczywiście, ten sposób terminowania, czyli uczenia się rzemiosła, znany był tylko nam, tacy cudzoziemcy, jak Koehler, Ulrich, Pfau, nic o polskiem terminowaniu nie wiedzieli i nawet przez myśl przejść im nie mogło, że jest taki środek „odmłodzenia" fabryki i radykalnego wyzyskania pracy dzieci. Pomysł był kuszący: rodziców na bruk, a ich dzieci pracować będą darmo, wzamian za perspektywę otrzymania później pracy stałej.

Pan Waśkiewicz zabrał się do zrealizowania tej pięknej myśli z gorliwością wprost niezrównaną. Bywają tacy służbiści, którzy dla przypodobania się swemu panu gotowi wyleźć ze skóry. Pojawiły się „Kontrakty oddania chłopca na naukę rzemiosła". W kontraktach tych pan Waśkiewicz dyskontował dla fabryki i dla własnej karjery braki ustawodawstwa społecznego, bierność społeczeństwa, a przedewszystkiem nędzę wyzyskiwanych. Wszyscy wiedzą przecie, że fabryka rozbiła rzemiosła na szereg rękoczynów przy maszynach i że w żadnej fabryce robotnik, choćby pracował trzydzieści czy czterdzieści lat, nie wyuczy się rzemiosła. A więc fikcja i podstęp, czyli chytry wyzysk.

Nauka rzemiosła u pana Waśkiewicza miała być zrazu bezpłatna, czyli że ani on nie płacił terminatorowi, ani rodzice terminatora nie płacili jemu. Ale w warunkach straszliwej nędzy, jakie razem z Koehlerem wytworzył, sama nadzieja otrzymania pracy była już sowitą zapłatą, więc dzieci rodziców wygnanych z fabryki garnęły się tłumnie do terminu, aby pracować darmo tam, gdzie rodzice ich pracowali za jakie takie wynagrodzenie. Terminowanie miało trwać aż trzy lata, podczas gdy naprawdę wystarczają cztery tygodnie aby się wyuczyć sekretów pilnowania maszyny. Dawniej terminator fabryczny otrzymywał odrazu wynagrodzenie jako dniówka, a po czterech czy sześciu tygodniach nauki własne krosna, czy własny przydział przy maszynie. A tu trzy lata! Majster dawnego typu zobowiązywał się, że terminatora czegoś naprawdę nauczy, ale pan Waśkiewicz nie myślał brać na siebie takiego obowiązku i pozostawiał sobie wolną rękę. Jego kontrakt głosił:

„§ 9. Fabryka w razie niedotrzymania warunków umowy przez ucznia lub redukcji, czy ułożenia w danym dziale tak, że uczeń nie będzie mógł być nadal trzymany na nauce, wymówi mu naukę na dwa tygodnie naprzód“. — „§ 10. W razie nieposłuszeństwa lub zaniedbania się ucznia w uczęszczaniu do szkoły dokształcającej, fabryka może ucznia zwolnić przed ukończeniem czasu nauki w każdym czasie“. — „§ 11. W razie sprzeniewierzenia lub innej szkody rozmyślnie lub nierozmyślnie wyrządzonej fabryce przez ucznia, rodzice ucznia zobowiązują się fabryce wynagrodzić wszelkie poniesione straty“. Inne paragrafy przepisywały pun-

ktualność, pracowitość, sumienność i Bóg wie co tam jeszcze, a § 4 mówił, że „w razie uznania przez fabrykę, że uczeń nie nadaje się do obranego zawodu, może być w ciągu pierwszych 4-ch tygodni w każdej chwili zwolniony“.

Taki kontrakt wiązał ucznia i jego rodziców, ale do niczego nie zobowiązywał pana Waśkiewicza. Terminator pracował, oczywiście, jak stary robotnik, niekiedy jeszcze wydatniej, bo wiadomo, że siły młodociane uskrzydla wrażenie nowości i pociąga zaciekawienie, wzbudzając gorliwość, jakiej w starych robotnikach być nie może. I takich właśnie „terminatorów“ można było wyzyskiwać jako robotników darmowych, aby ich następnie wyrzucić i zastąpić nowymi darmowymi terminatorami. Gdy opinja zaczęła sarkać na to bezpłatne terminowanie, pan Waśkiewicz raczył płacić po 80 groszy dziennie, ale rzecz osobliwa, że terminator odrazu otrzymywał książeczkę robotniczą, a kierownik oddziału nie troszcząc się o to, że ma do czynienia z terminatorem pana Waśkiewicza, który ma pobierać po 80 groszy dziennie, wyznaczał mu wynagrodzenie od sztuki. W rezultacie takich dziwnych manewrów młodociany po parotygodniowej darmowej robocie otrzymywał wreszcie pierwsze wypłaty, wynoszące jakie trzy złote z groszami za tydzień pracy. Ale co najważniejsze, to fakt, że na kontrakty oddania chłopca na naukę rzemiosła przyjmowano nie chłopców, ale dziewczyny. Chłopców do fabryki nie przyjmowano. Popracowały takie młode robotnice, pozarabiały po trzy—cztery złote na tydzień i zgodnie z umową zostawały zwolnione w chwili, gdy trzeba było przyznać im większy zarobek, a na ich miejsce przyjmowano termi-

natorki nowe. Obrót młodocianemi siłami robotniczemi był żywy, praktyczny, cyniczny.

Oczywiście, że takie zdolności administracyjne pana Waśkiewicza wzbudziły zaciekawienie i zainteresowanie się jego osobą. Co zacz ten pan Waśkiewicz? Jaki ma dyplom? Jakie kwalifikacje naukowe, społeczne, ludzkie? Jedni mówili, że to były student prawa, inni, że urzędnik, któremu się nie wiodło, jeszcze inni twierdzili, że to właściciel młyna z pod Częstochowy.. Ta właśnie teza utrzymała się ostatecznie, bo sztuka operowania terminatorami fabrycznymi świadczyła wymownie, że ma się do czynienia z majstrem. Mniejsza o majstersztyki takich panów, ale obojętność społeczeństwa, bierność wyzyskiwanych i brak jakiegoś głębszego zainteresowania dla spraw tak ważnych ze strony prasy, — to zagadka poprostu tragiczna. Zainteresowanie się Żyrardowem miało przyjść dopiero później, gdy już było tylko prostem stwierdzaniem smutnych faktów, nie dających się odrobić. Narazie pojawiały się w prasie tylko luźne uwagi, notatki, artykuliki, z których ani jeden nie próbował sięgnąć głębiej.

Jedyną konsekwentną akcję prowadził Magistrat. Prezydent miasta, p. Edmund Orlik, krzątał się, jeździł do Warszawy, informował władze, organizował pomoc dla bezrobotnych, szukał rozwiązania sprawy żyrardowskiej gdzie tylko mógł, zalecając Żyrardów jako pierwszorzędny ośrodek przemysłowy. Inicjował akcję prasową w obronie Żyrardowa, zdobywał ciekawy materjał dowodowy, dotyczący gospodarki nowego zarządu, polecał układać memorjały dla władz rządowych, sejmu, prasy. Lecz trudności żyrardowskie nie

były odosobnione i wyłącznie nasze. Robotnik żyrardowski, pozbawiony pracy w fabryce, nie miał dokąd odpłynąć i dlatego dzień w dzień przed Magistratem i przed biurem Funduszu bezrobotnych tworzyły się zatory unieruchomionej energji robotniczej. Trzeba było radzić. Ale jak? Roboty publiczne wymagały dużych pieniędzy, a o kredyty nie było łatwo. Magistrat i Rada miejska wyzyskały wszystkie możliwości dopomożenia bezrobotnym, ale te możliwości były ogromnie ograniczone w stosunku do bezmiaru nędzy, jaka się w Żyrardowie zagnieżdżała.

Gdy z nad biurka podnosiłem głowę i spoglądałem przez okno na ulicę, prawie zawsze widywałem gromadkę starych robotników w lichem, znoszonem ubraniu, w zdeptanem obuwiu. Dzień w dzień chodzili dokądś, przedsiębrali jakieś kroki, starania, zabiegi. Powstał związek emerytów bez emerytury, organizowali się bezrobotni, mobilizowali swoje połączone nadzieje i wierzyli, że byle trafić do odpowiednich władz, byle wykonać odpowiedni zabieg, to wszystko mogłoby się poprawić. I dlatego dzień w dzień chodzili to tu, to tam, mężczyźni, kobiety, starzy i niestarzy. Czasem przychodziła delegacja z fantastycznym pomysłem uratowania bezrobotnych. Śniły się moim kochanym sąsiadom i dawnym towarzyszom pracy fabrycznej jakieś rozległe podżyrardowskie plantacje tytoniowe, które dostarczałyby masy tytoniu dla monopolu państwowego. Plan tych plantacyj był doskonale obmyślany, role były porozdzielane, tylko zakasać rękawów i dalej-że do roboty, bezrobotni! Przez półtorej godziny mówili obszernie co i jak się robi przy upra-

wie tytoniu, bo byli śród nich tacy, którzy podczas pobytu w niewoli niemieckiej pracowali u plantatorów tytoniowych, entuzjazmowali się, zacierali ręce, ale potem, gdy wreszcie dochodził do głosu trzeźwy rozsądek, gdy powstawała kwestja gruntów, szop, narzędzi pracy, środków lokomocji, budynków administracyjnych, okazywało się, że do walki z kapitałem potrzebny jest kapitał. Innym razem przychodzili inni ludzie z pomysłami wielkiej hodowli kur i królików. Jajczarstwo na wielką skalę, konserwy z mięsa króliczego i futerka królicze. Sztuczne wylęgarnie, zarzucanie Warszawy i innych miast tanim drobiem, no i masa futerek rasowych królików. Pomysły były zawsze proste, jasne, ogromnie skuteczne i do urzeczywistnienia ich potrzeba było każdorazowo tylko tej drobnostki, jaką jest kapitał.

Odbywały się czasem zebrania i narady bezrobotnych, a na nich uchwalano różne wnioski. Najczęściej kończyło się na zbieraniu składek dla ratowania najuboższych. Wypisywano listy składek i delegacje robotnicze chodziły po domach tych szczęśliwców, którzy jeszcze mieli jaką taką pracę i mogli się zdobyć na ofiarę kilkudziesięciu groszy dla głodujących towarzyszy. Przyszli tacy delegaci, przestępowali w zakłopotaniu z nogi na nogę, podawali papier, opatrzony właściwemi pieczątkami. Co to były za kłopotliwe chwile! Chciało się wziąć taką listę, rozłożyć ją na stole i wypisać wielkiemi literami pięćset tysięcy złotych, żeby każdy z głodujących robotników otrzymał na zimę ze 60 złotych, ale to był taki romantyczny sen ściętej głowy i trwał bardzo krótko. Cóż ja wam dam,

kochani bracia? I obok groszowych składek wypisywałem prędko pięć złotych. Gorące słowa podzięki, uścisk dłoni, wymiana bezradnych uśmiechów... Zaś wieczorem po kolacji przychodził młodzieniec mający lat 25, czysty kołnierzyk i mocno podniszczone ubranie. Że daremnie szuka pracy, że do domu nie może pójść, bo ojciec ożenił się niedawno, a macocha go nie lubi. No tak, o robotę teraz trudno. Gdzie mieszka? Nigdzie. Do pierwszej w nocy można siedzieć na dworcu kolejowym, a potem trzeba chodzić aż do czwartej rano, gdy dworzec znowu otwierają. A gdzie jada? Czasem u znajomych. Gdzie jadł dzisiaj? Okazuje się, że nigdzie. Patrzę na ten czysty kołnierzyk i nie wiem co zrobić. Przecie to jest taka wizyta jakby wielkie nieszczęście przychodziło w uroczystym smokingu na audjencję do bezradnego miłosierdzia. Weźmie pieniądze, czy nie weźmie? Obrazi się może? Więc się jeszcze gada o tem, o owem. Możeby tak, możeby owak. Cóż robić, kochany panie? Najchętniej poszedłbym z panem na ten pański dworzec i zjedlibyśmy gorącą kolację, bo my już po herbacie. A może pan pozwoli poratować się czem chata bogata? W zimną chudą dłoń wkładam dyskretnie pięć złotych przy mocnym uścisku ręki. Ryzyko jest wielkie, bo nuż wybuchnie oburzeniem i rzuci pieniądz na podłogę? Ale chuda dłoń zaciska się kurczowo, przyjmuje pieniądz, jakby mimochodem. Dobranoc panu i dziękuję... Dobranoc.

Taki jest ten mój Żyrardów. Nie pójdą delegacje robotnicze tam, gdzie naprawdę mogłyby znaleźć pomoc i ratunek, bo furtka jest zamknięta, a nad nią sterczy napis pana Waśkiewicza: Wstęp wzbroniony!

Więc komitety zbierają dla dziatwy bezrobotnych odzież na zimę, więc komisarz policji p. Ruszczyński rozsyła okólniki z prośbą o składki na rzecz bezrobotnych, więc kina zbierają przy biletach grosze dla głodnych. Tam a tam dają bezrobotnym kartofle, gdzieindziej mają dla nich trochę węgla, czasem jest chleb i nawet cukier czy słonina. Istny przepych, nad którym chce się gorzko płakać. Na ulicy w cieniu jakiejś sionki stoi czasem kobiecina z chustką zgarniętą na czoło. Stoi okropnie niewprawnie, na niepewnych zawstydzonych nogach. Na miły Bóg, niechże nikt nie pomyśli, że to jest żebranie! Stoi sobie ot, jakby czekała na kogoś. Jeśli jej ktoś wetknie jakie groszaki w rękę, niech tam będzie, ale nie podziękuje i chustki z głowy nie odgarnie, bo spaliłaby się ze wstydu, że poszła na „dziadajkę". W pobliżu jest budka piekarska i świeża chałka pachnie aż miło. Prędko, prędko — kupić jednę z tych większych, ciepłą jeszcze i rumianą, a potem przechodząc wetknąć zręcznie pod chustkę i wiać, bo się stara cewiarka obrazi, rozpłacze i zrobi awanturę na ulicy. Znam ją, ma za sobą czterdzieści osiem lat pracy i jest sama na świecie. Pobiera osiem złotych emerytury miesięcznej.

Tymczasem pan Koehler sprowadza nowe kosztowne maszyny-automaty, przy których obsługa ludzka jest niemal zbędna, a pan Waśkiewicz przesiewa przez sito swoich kombinacyj imiona tych, którzy mają być niebawem „zredukowani". Z ust do ust idzie smutna wieść, że lista nowych redukcyj już jest gotowa, że czterystu osiemdziesięciu robotników pójdzie na bruk. Ale na to niema rady. To jest racjonalizacja i reorganizacja pracy. Reorganizacja w imię czego? Dla

kogo? Czy to naprawdę nikogo nie obchodzi, że tysiące ludzi musi głodować, ulegać straszliwej degradacji społecznej w rozpaczy i nędzy? Czy jedyną odpowiedzią na te pytania jest i będzie zawsze to jedno nic nie mówiące słowo: kryzys? Co to jest kryzys? Kto jest sprawcą kryzysu? Kiedy się skończy ten wielopostaciowy kryzys?

Ze wszystkich pism polskich „Wiadomości Literackie“ sprawiały mi zawsze najwięcej przyjemności. Życie moje układało się tak, że bezwiednie stawałem się przeciwnikiem wszelkiej rutyny. Nie było to przeciwieństwo wyrozumowane, ale instynktowne. Miałem wyraziste uczucie, że życie jest niesłychanie bogate, że tkwią w niem niezliczone możliwości rozwoju i radości przemian. Ale na żyznym urodzajnym gruncie życia leżała twarda skorupa rutyny i nie dopuszczała do żadynch przemian twórczych. Religja, szkoła, fabryka, małżeństwo, miłość, literatura, jednem słowem wszystko było rutyną i nudą. Oczywiście, rutyna była wygodna dla rządów i sfer bogatych, bo nie one rządziły, ale schemat i szablon. Ludzie rządzący sławili prawo i posłuch, ale zawsze układali takie prawa, jakie były najwygodniejsze dla nich samych. Bogacz wychwalał pod niebo pokorę i ubóstwo innych, lecz sam był pyszny i bogaty. Kapłan uważał za dobry tylko taki świat, w którym było dużo wiary i wierzycieli. Wszystko stało na straży skostniałej rutyny, lecz jej strażnicy stali poza nią i ponad nią. Cały tak zwany awans społeczny polegał na ucieczce z pod jej jarzma. Pierwszym przejawem budzącej się samodzielności było zawsze i wszędzie wyzwalanie się z pęt rutyny.

Wiedzę kochałem dlatego tak namiętnie, że w niej nie było martwoty. Miałem uwielbienie dla swoich nauczycieli, którzy uczyli mnie o wszystkiem subtelnie

i systematycznie powątpiewać i nie wierzyć w nic, czego nie można udowodnić wszechstronnie. Każda nowa zdobycz naukowa, każda myśl krytyczna biła w chińszczyznę rutyny i stwarzała nowe światy. Tą właśnie niedoświadomioną jeszcze nienawiścią rutyny kochałem wszystko nowe, śmiałe, twórcze, rewolucyjne, burzycielskie. Literatura daje najwięcej złudzeń nowości. Niespodzianki nowego stylu, umiejętne użycie komunału, żonglowanie paradoksem, naiwność pomieszana zręcznie z patosem, dowcipne tautologizmy, ironja, żart, podstęp, całe to dżiu-dżitsu rasowego pisarza, stwarza takie potężne złudzenie nowości, iż czytelnik za nowem słowem widzi już nowy świat. Shaw mówiący o tem, że proceder pani Warren jest najodpowiedniejszy dla kobiety, ale że taka kobieta musi prowadzić życie porządne, wyzwala z nudy dotychczasowej rutyny. Tak samo raduje serce, gdy mówi o antyklerykalizmie kościoła średniowiecznego. Szczęście literackie jest jak najdalej od rutyny.

W „Wiadomościach Literackich" nie wszystko było nowe. I w nich znajdowało się dość rutyny, ale jednocześnie spotykało się na ich szpaltach takie nowe myśli, tyle przemiłych inwektyw, przy postawie zasadniczo antyrutynicznej, że każdy nowy numer tego pisma dawał coś, co cieszyło serce i oczy. Redaktor czuł dobrze, że powodzenie pisma polega na tem, by nie dać się mu zrutynizować i za to byłem mu zawsze wdzięczny, chociaż niekiedy trafiał się numer pustawy. Najniestrawniejsze były dla mnie tak zwane numery specjalne, poświęcone jakiemu kultowi. W takich razach trudno było utrzymać daleko fale tradycyjnej rutyny i łamy tego świetnego pisma stawały się nagle ka-

tedrą profesorską, czy nawet kazalnicą, z której rozbrzmiewały słowa pochwały dla jakiejś świętej i nieżywej pamięci. Na szczęście było tych specjalnych i specjalistowskich numerów względnie niewiele, a w dodatku w niektórych dochodził do słowa świetny stylista, amoralista i antyrutynista Nowaczyński. Pozatem recenzje „Wiadomości" informowały naogół bardzo trafnie i można było zaufać im przy kupowaniu książek. No i kroniki Słonimskiego!

Siedząc tuż pod Warszawą, ale zdala od życia warszawskiego, a specjalnie daleko od życia literackiego, wiedziałem dzięki „Wiadomościom", co się tam dzieje „na rynku i za stołem" kawiarnianym, czy redaktorskim. Kupowałem sumiennie wszystkie książki, które redakcja polecała życzliwemi recenzjami i rzadko kiedy spotykał mnie zawód. Szczerze uradowałem się, gdy na rynku księgarskim zaczęły ukazywać się pisma profesora Zielińskiego o kulturze antycznej. Dotychczas trzeba było takie rzeczy sprowadzać z Niemiec, czy z Francji, a tu raptem ukazują się prace wielkiego erudyty polskiego. Rozumie się, że z wielką skwapliwością sięgnąłem po dzieło Zielińskiego: „Hellenizm a judaizm", ale już przy rozcinaniu kartek pierwszej części natknąłem się na coś niezrozumiałego, a mianowicie na „pewniki", poprzedzające tekst. Pewników było sześć i żaden z nich nie miał z nauką nic wspólnego. Były wyznaniem wiary, czemś zgoła osobliwem i poprostu nienaukowem. Czytałem i oczom swoim nie wierzyłem.

„Badania naukowe nad pochodzeniem religji tak samo, jak i badania naukowe nad pochodzeniem życia, są zgóry skazane na jałowość: ignoramus et ignorabimus". To był pewnik pierwszy. Pewnik drugi doma-

gał się uczucia religijnego dla zrozumienia religji antycznej. Pewnik trzeci głosił: „Zapal w sercu swojem jasną pochodnię uczucia religijnego, ale zostaw w domu mdły kaganek wyznaniowości, jeśli chcesz, żeby świątynia religji antycznej tobie pokazała swoje cuda". Mdły kaganek wyznaniowości? Na co? Człowiek wierzący bezwzględnie w to, co mu podaje do wierzenia jego wyznanie, czyli posiadający najwyższą możliwą prawdę, nie ma naogół zainteresowań naukowych, bo przecie nauka to szukanie prawdy, a szuka jej tylko ten, kto jej nie posiada. „Bóg się objawia w pięknie, w prawdzie i w dobrem; doskonała jest tylko ta religja, która uwzględnia wszystkie te trzy objawienia w ich całości". Pojęcie piękna i dobra, a nawet prawdy, są tak względne, że właśnie w imię prawdy najwyższej potępiono Kopernika i Galileusza; w imię dobra i miłości spalano na stosach najzacniejszych i najmądrzejszych ludzi, a piękno greckie traktowano jako wymysł szatański, niszcząc zaciekle wszystkie arcydzieła sztuki greckiej. „Szczytem dążeń religijnych ludzkości jest chrześcijaństwo w jego najbardziej rozwiniętej postaci" — twierdzi pewnik piąty. Któraż postać chrześcijaństwa jest najbardziej rozwinięta? I co to znaczy: najbardziej rozwinięta? Prawosławie z przenajświętszym synodem? Protestantyzm z jego liberalistyczną teologją naukową, surową w swoim krytycyzmie i nieubłaganą poszukiwaczką prawdy historycznej? Katolicyzm, z autorytatywnym indeksem książek zakazanych i z nieomylnością zaaprobowaną przez bezkrytyczne masy? Chrześcijaństwo teoretyczne, które wyczerpuje się w scholastyce teologicznej i pozostaje bez najmniejszego wpływu na życie, czy też chrześcijań-

stwo praktyczne, które paliło Husów, Brunów i Servetów, urządzało noce świętego Bartłomieja i paliło setkami tysięcy czarownice, a prócz tego przelewało morza krwi w obronie jedynie prawdziwej religji? Pewnik szósty twierdził, że „Religja antyczna jest właściwym Starym Testamentem tego chrześcijaństwa".

Byłem zaskoczony i zdumiony. August Comte szukał pewników dla wiedzy humanistycznej w matematyce, ale ich nie znalazł; pewników tych dotychczas niema. Religjologja współczesna dzięki rozległym zdobyczom etnologji dość już dobrze orjentuje się w psychologji religji i zdaje sobie sprawę z prostego faktu, że religja jest właściwie wiedzą prelogiczną, że jej doktryny komentowane są coraz inaczej i że w gruncie rzeczy fenomenologja porównawcza religij daje doskonałe zrozumienie zjawiska wiary. Religja antyczna Starym Testamentem chrześcijaństwa? Która religja antyczna? Boć i religja grecka jest wielomianem zjawisk, czyli takiem complexio oppositorum, jakie Harnack dostrzegł w katolicyzmie rzymskim. Każdy podręcznik historji religji odróżnia religję homerycką od misterjów i od religji czasów hellenistycznych. Oczywiście, że chrześcijaństwo zapożyczyło się u religji antycznej w formy i teologematy, ale to było nienaturalną i ostrą hellenizacją chrześcijaństwa, jak później ostrą romanizacją stała się kodyfikacja chrześcijaństwa, które było przecie ruchem entuzjastycznym i wyczekiwaniem bezpośrednio bliskiego końca świata.

Pewniki Zielińskiego były dla mnie czemś zgoła niezrozumiałem i nienaukowem. Nie wyrażały wyników badań naukowych, ale sentyment autora, który wyidealizował Greków na obraz i podobieństwo jakichś pół-

bogów, a Żydów ośmieszył jako wyznawców religji o kazuistyce komicznej. Uważał nawet, że to „Jehowa — czy Mojżesz — ośmieszył Izraela na wszystkie czasy dlatego, że chciał go ośmieszyć“. Mianowicie przez obrzezanie. Jak gdyby ten zabieg był właściwością wyłącznie żydowską, a nie ogólno - semicką i pozasemicką. Wiemy przecie, że obrzezywali się także Egipcjanie starożytni i że dzisiaj obrzezują się niektóre ludy pierwotne. Co zaś do śmiesznej dla nas kazuistyki żydowskiej, to w religji greckiej i rzymskiej znajdziemy śmiesznych momentów aż nadto. Nie wszyscy Grecy byli Platonami i Arystotelesami. Ciemnota grecka upierała się przy tem, aby posąg Praksytelesa uważać za boginię Minerwę, a gdy Stilpo był odmiennego zdania, wygnano go z kraju. Z pierwszego lepszego podręcznika historji religji można się dowiedzieć o gusłach greckich, o religijnym fanatyzmie tłumu greckiego, o dziwacznych praktykach. Co zaś do religji rzymskiej, to z jednego dzieła takiego Boissiera można poznać tysiąc dziwactw kazuistycznych i zabobonów bez liku. Bóstwo rzymskie można było łatwo okpić, a nikt nie potrzebował się z niem liczyć, jeśli nie chciał. W starożytności rzymskiej spotykamy się z takiemi samemi cudami, jakie lubi ciemny współczesny tłum któregokolwiek kraju. Z dzieła Valeriusa Maximusa można czerpać przykłady pełnemi garściami.

Żydostwo miało śmieszne praktyki religijne, ale mieli je i Grecy i Rzymianie. W żydostwie toczyła się walka między kapłanem-kazuistą, a prorokiem-moralistą. Żydostwo to nietylko Talmud z jego rozszczepianiem włoska na czworo, ale i Ozeasz, który gromi wszelkie praktyki kapłańskie i drapieżnym kapłanom, tuczącym

się grzechami ludu, rzuca rewolucyjne słowo: „Miłosierdzia chcę, a nie ofiary, a znajomości bożej więcej, niż całopalenia!“ Żydostwo to przecie także Izajasz, wołający: „Przestańcie źle czynić, uczcie się dobrze czynić; szukajcie sprawiedliwości, podźwignijcie uciśnionego, sąd uczyńcie sierocie, ujmijcie się o krzywdę wdowy“. Nawet taki fanatyczny wróg żydostwa, jak Houston Stewart Chamberlain zdobywa się na słowa szczerego podziwu dla tego żydowskiego ducha proroczego, który nie przestawał domagać się wysokiej moralności społecznej opartej na rzetelnym stosunku człowieka do Boga. Książka Zielińskiego wydała mi się bardzo jednostronną i niedość objektywną.

Na jesieni roku 1927 „Wiadomości Literackie“ wydrukowały recenzję pracy Zielińskiego pod nagłówkiem „Sąd nad judaizmem“. Autor recenzji, p. Wieniewski napisał dytyramb na cześć profesora Zielińskiego i zakończył go dziwnym wywodem, że chrześcijaństwo nie ma z żydostwem nic wspólnego i że antysemici mogą już spokojnie wyznawać religję Nowego Testamentu, gdyż została ona uniezależniona od Starego Testamentu, poprostu „odstarotestamentowana“. Recenzja była niepoważna: zgoda, consensus, aplauz. Taka krytyka impresjonistyczna byłaby ostatecznie na miejscu, gdyby chodziło o dzieło beletrystyczne, ale wobec pracy naukowej była zbyt sumaryczna. Książka Zielińskiego domagała się obszernej krytyki naukowej, takiej, która wyrównałaby nieco egzaltację hellenizmu i degradację żydostwa, ale na obszerne omówienie jej potrzebna była przynajmniej kilkunastostronicowa broszura. Nie znałem takiego pisma, które mogłoby wydrukować obszerną krytykę dzieła Zieliń-

skiego. Wypadło więc ograniczyć się do krytyki recenzji. W tym „sądzie nad judaizmem“ było dużo uchybień wobec procedury krytycznej. Zieliński ominął wszystko, co można było powiedzieć przeciwko hellenizmowi i wyjaskrawił wszystko, co jest śmieszne w kazuistyce religijnej żydów, a jednocześnie przemilczał głębokie poważne tony w głosach proroków.

Poraz pierwszy żałowałem, że „Wiadomości Literackie“ są organem kliki, jak się mawiało i że postronnym wstęp do nich jest wzbroniony. Napisałem kilkaset wierszy repliki na recenzję Wieniewskiego i postanowiłem wydrukować ją w „Życiu Wolnem“. Aby mieć możność zaznaczenia, że „Wiadomości“ uwagi moje odrzuciły, posłałem je redaktorowi Grydzewskiemu z listem, w którym przewidując, że ich zamieścić nie zechce, odrazu prosiłem, aby je przesłał do redakcji „Życia Wolnego“. Stała się rzecz zgoła niespodziewana. W niewiele dni po wysłaniu listu otrzymałem uprzejmą odpowiedź, że artykuł mój pójdzie niebawem. Co więcej redaktor prosił o artykuły dalsze. Cóż to ma znaczyć? A gdzież izolacja sławetnej kliki, która nikogo poza swoimi do głosu nie dopuszcza? Oczywiście, nie mogłem przypuszczać, aby redakcja czyniła wyjątek akurat dla mnie i dlatego w legendę kliki odrazu wierzyć przestałem.

Właśnie wyszło w Cieszynie moje tłumaczenie dzieła Sabatiera „Vie de St. François d‘Assise“ więc posłałem redakcji „Wiadomości“ egzemplarz polskiego wydania, a Wittlina, jako najlepszego śród literatów franciszkanistę poprosiłem o recenzję. I Wittlin i redaktor Grydzewski okazali mi tyle uprzejmości, że poprostu było mi wstyd, iż tak długo mogłem wierzyć

w istnienie ekskluzywistycznej kliki. Wittlin dał wspaniałą recenzję z pięknemi wizerunkami świętego Franciszka, a Grydzewski zamieścił ją z całą życzliwością. Więc taka była ta okrzyczana klika! Czytałem wtedy poraz nie wiem który „Dobrego wojaka Szwejka“ i szukałem nakładcy dla swego tłumaczenia, ale rzecz dziwna, nie znajdowałem go. Nie mogłem żadnego z wydawców przekonać, że to jest dobre i że to pójdzie. Autor „Szwejka“, Jarosław Hašek, już nie żył, a wydawca czeski, Synek, zgadzał się udzielić autoryzacji na tłumaczenie, gdy mu wskażę firmę wydawniczą, która tłumaczenie moje wyda. Jednocześnie zastrzegał się, że wszystkie nieparlamentarne słowa muszą być przetłumaczone dosłownie bez żadnej eufemizacji i wykropkowywań. Poprostu taki był warunek, nad którym nie dopuszczał dyskusji. Wpadłem na pomysł przesłania „Wiadomościom“ krótkiej notatki o „dobrym wojaku Szwejku“ i nakładca znalazł się odrazu. „Rój“ poznał się na Hašku i niebawem mogłem był przystąpić do tłumaczenia tej ciekawej książki.

Moje uwagi o recenzji p. Wieniewskiego wzbudziły w prasie polskiej wielkie zainteresowanie. Pisma klerykalistyczne napadły na mnie za moją postawę objektywną, pisma żydowskie nie godząc się z wszystkiemi wywodami mojemi, wyrażały zadowolenie, że ktoś podchodzi do zagadnienia tak ważnego z argumentami rzeczowemi i objektywnemi. Naogół zgodzono się ze mną, że profesor Zieliński dał się ponieść sentymentowi filhelleńskiemu i nie zdobył się w tem dziele swojem na należyty objektywizm. Poraz pierwszy od lat wielu miałem możność drukowania artykułów o życiu religijnem w Polsce i w Niemczech, a współpraca

w „Wiadomościach“ i w „Pologne Littéraire“ dała mi odrazu rozległy kontakt z pisarzami polskimi i zagranicznymi, z redakcjami różnych pism i z firmami wydawniczemi. Otrzymywałem dużo listów od literatów i czytelników, propozycyj współpracy, książek, pism przeróżnych. Wydawcy niemieccy z Berlina, Goty, Jeny, Heidelbergu, Zurychu i Wiednia, posyłali mi swoje wydawnictwa z prośbą o recenzje w „Wiadomościach“, podobnież wydawcy i autorowie czescy. Nie opuszczając Żyrardowa, zdobyłem łączność z szerokim światem i co najważniejsze, z licznymi pisarzami polskimi. Jednocześnie firmy wydawnicze zwracały się do mnie z propozycjami tłumaczenia różnych dzieł na język polski. „Renaissance“ prosiła o tłumaczenie „Syna Człowieczego“ Ludwiga, a mianowicie po ukazaniu się mojej recenzji tego dzieła w „Wiadomościach“. Posłano mi egzemplarz oryginału, a z tego egzemplarza łatwo poznałem, że był już w kilku rękach. Były tam próby tłumaczenia oraz nazwiska. Ostatecznie rezygnowano roztropnie z tłumaczenia dzieła tak heretyckiego dla naszych stosunków. Przetłumaczyłem je i poprzedziłem wstępem, który przedrukowały różne pisma i który, o dziwo, spotkał się miejscami z przyjęciem gorętszem od dzieła Ludwiga. Tymczasem wychodziły poszczególne tomy „Szwejka“, przyjmowane przez czytelnictwo i krytykę nadzwyczaj życzliwie. „Renaissance“ zaproponowała mi wślad za „Synem Człowieczym“ tłumaczenie „Lincolna“, a p. Stanisław Lam, redaktor firmy Trzaska, Evert i Michalski dał mi do tłumaczenia piękne dzieło Mereżkowskiego „Napoleon“, później zaś „Rokoko“ Boehna. Pracy było sporo, więcej czasem, niż sił i czasu, ale pracować lubiłem

i chętnie przyjmowałem każde zamówienie, każde wezwanie do napisania artykułu czy recenzji.

Wielkiem wydarzeniem w mojem życiu było ukazanie się „Czarnych Skrzydeł“ Kadena-Bandrowskiego, z którym zetknąłem się był w roku 1928 jako współpracownik „Głosu Prawdy“ redagowanego przez Wojciecha Stpiczyńskiego. W Żyrardowie było coraz gorzej. Związki zawodowe zostały rozbite, albo wegetowały żałośnie, w fabryce pracowało zaledwie tysiąc dwieście robotników, pan Waśkiewicz zwalniał bezustannie robotników i urzędników, niektórych namawiał usilnie do opuszczenia Żyrardowa. Jednocześnie likwidował w Żyrardowie bogate życie towarzyskie i kulturalne, otaczając się ludźmi prawie wyłącznie obcymi. Swoją gorliwość w służeniu Boussakom posuwał coraz dalej, wynajdował różne sposoby i chwyty, odebrał robotnikom Dom ludowy, zbudowany dla nich przez Karola Dittricha, zamknął też Szkołę tkacką, jedyną w województwie warszawskiem, i zabierał się do opanowania miasta. Przed letniemi urlopami wymawiał wszystkim robotnikom pracę, wobec czego owe dwa tygodnie wypoczynkowe, które prawodawca chciał uczynić źródłem radości i porą wytchnienia dla spracowanego robotnika, stawały się dla wszystkich istnem piekłem niepokoju i zgryzoty, bo nikt nie wiedział, czy po urlopie letnim znajdzie jeszcze pracę w fabryce. Zarazem obrót siłami młodocianemi, czyli terminatorami fabrycznymi, był coraz bystrzejszy, według plastycznego wyrażenia p. Haliny Krahelskiej, b. inspektorki fabrycznej.

O Koehlerze krążyły po Żyrardowie niewiarogodne wprost wieści. Wszyscy jednozgodnie twierdzili o nim, że nie mówi, ale krzyczy, a nawet wrzeszczy. Gdy wpa-

dał do Żyrardowa, to pojawieniem się swojem przerażał nietylko robotników, ale i kierowników oddziałów, a nawet dyrektorów. W napadzie złego humoru kazał dyrektorom odbierać aparaty telefoniczne, albo nawet sam przecinał kable, za byle co przyskakiwał z pięścią do nosa nawet wobec starszych od siebie dyrektorów, domagał się od wszystkich coraz większych oszczędności i zadziwiał kierowników tkalni i magazynów swojem postępowaniem: niech tylko powstawało większe zapotrzebowanie na jaką tkaninę, natychmiast kazał przerywać jej fabrykację. Opowiadano sobie o nim, że zaglądał nawet do tualet damskich, czy pracownice biurowe nie przesiadują tam dla przyjemności i czy nie palą papierosów, a gdy jednę z nich przyłapał z papierosem, kazał ją natychmiast zwolnić. Później mówiono sobie na ucho, że jakaś zrozpaczona pracownica strzeliła do niego, ale w ostatniej chwili podbito jej rękę i kula poszła bokiem. Mówiono też, że Koehler do krwi obił współpracownika swojego, Francuza Mariage'a i t. d. i t. d. Różne artykuły potrzebne fabryce sprowadzał z zagranicy, przepłacając je grubo, chociaż w kraju można było te rzeczy nabyć taniej. W znienawidzonym Żyrardowie kazał nic nie kupować i zaprowadził system rozpisywania zapytań o oferty. Ani jednej szczotki i miotły, ani kawałka skóry nie kupiono inaczej jak za pośrednictwem takich konkursów.

Były to jawne szykany i naigrawania się z miasta, zubożałego do ostatecznych granic. Chodziło o złamanie człowieka pracy, o pognębienie go i zatriumfowanie nad jego bezradnością. I na to wszystko rady nie było. Koehler miał siłę po swojej stronie i z całym cynizmem wyzyskiwał to prawo silniejszego. Zaś pan

Waśkiewicz odsłaniał mu usłużnie wszystkie braki naszego ustawodawstwa robotniczego i społecznego i doradzał, w jaki sposób można wyzyskać każdy z tych braków. Ogarniała nas rozpacz, ale cóż było robić? Podczas gdy w Paryżu i Berlinie ukazywały się książki o przesileniu demokracji i kryzysie parlamentaryzmu, w Żyrardowie widzieliśmy najistotniejsze przyczyny tych zjawisk. Ludzie pracy, ta podwalina najgłębsza gmachu cywilizacji, poczuli nagle, że dźwigają ciężar nad siły, obcy i wrogi. Wszystko, co dawniej tworzyło właściwą treść istnienia, polityka, wiedza, sprawy społeczne, lepsza przyszłość, znikło wobec zagadnienia elementarnego instynktu życia. Demokracja, faszyzm, dyktatura, socjalizm, oświata, komunizm, klerykalizm, antyklerykalizm, — wszystko to stało się nagle nieistotne, obojętne, dalekie i obce. Jeszcze w nowelkach Gorkiego ubogi zecer wolał utracić pracę, niż sprzeniewierzyć się swoim przekonaniom. Degradował się wprawdzie na robotnika niższej kategorji, musiał malować płoty, ale nie skazywał się na śmierć. Miał jeszcze rozległy wybór między dobrem a gorszem. Taki wybór znikł teraz zupełnie: najlichsza, najmarniej płacona praca albo głód, poniewierka, cierpienie i może nawet śmierć głodowa. Nie to było ważne, czy pracę da demokrata, czy komunista, klerykał i wstecznik, ale to, czy się ją wogóle dostanie. Konjunktura gospodarcza pociągnęła za sobą konjunkturę polityczno-społeczną. Tysiące bezrobotnych i głodnych, nastrojonych rewolucyjnie i wywrotowo, byłoby się chętnie wyrzekło szatana rewolucji i wszystkich spraw jego wzamian za jakąkolwiek pracę, za kawałek chleba. Roztrząsanie spraw demokracji czy dyktatury to sprawa sytych,

głodni nie mieli ani ojczyzny, ani przyszłości, ani przekonań polityczno-społecznych. Tragiczny popyt na chleb zmniejszył z natury rzeczy popyt na ideologje społeczno-polityczne.

Dopiero gdy się zbliska patrzy na wszystkie wyczyny zachłannego kapitalizmu, nabiera się wyobrażenia o współczesnej strukturze życia cywilizowanego. Wszędzie panuje bezwzględny przymus. Przymusowa oświata, przymusowe wyznanie, przymusowa służba społeczna, przymusowe małżeństwo, przymusowa ojczyzna, przymusowa praca i wreszcie przymusowe bezrobocie. Paru drapieżnych rekinów robi ojczyznę na obraz i podobieństwo własnych ambicyj władczych i narzuca ją miljonom, nie pytając wcale, czy im się taka ojczyzna podoba. Wyzyskują wpływy, zakładają organizacje, budują kościoły, tworzą monopole, instytucje, szkoły. Jeśli chcesz, człowiecze, ojczyzny, to bierz taką, jaką ci dajemy, jeśli pragniesz wierzyć w świat wyższy i lepszy, to wierz w to, co my ci do wierzenia podajemy, jeśli pragniesz wiedzy, to czerp z tej, która ma uznanie kapitału. Przymusowe szczepienie ospy, przymusowe współżycie dwojga nienawidzących się ludzi, przymusowe głodowanie. Cui bono? Kto ma prawo rozporządzać się życiem człowieka doczesnem i zagrobowem?

Kapitalizm może istnieć tyko równorzędnie z proletarjatem. Przepych i nędza, swawola i upośledzenie, sybarytyzm i głód, to bieguny równowagi społecznej. Przymusowa oświata bywa zręcznem ograniczaniem oświaty niewygodnej dla władców kapitalistycznych. Każdy Kopernik i każdy Galileusz, czy to w kosmologji, czy w polityce, czy w sprawach życia społecznego,

jest zawsze heretykiem, i zawsze trzeba szczepić przymusowo ospę i rutynę, aby zabezpieczyć posiadanie jednych i utrwalić nędzę innych. Proletaryzm jest zjawiskiem przymusu polityczno-społecznego. Nie mogłoby być kapitalizmu, gdyby nie było proletarjuszy. Zanim się zacznie zagarniać wielkie zyski, trzeba zdegradować człowieka, z robotnika wolnego zrobić narzędzie, jednostki zbić w masę, uczynić z niej jednę owczarnię bezprawnych i dać jej jednego pasterza-kapitał. Mistyka społeczno-religijna staje się potworną w swoim cynizmie mistyfikacją. Przymusowa szkoła z przymusową religją wychowują człowieka dla przymusowego bezrobocia.

Kiedy Szwejk wzniósł okrzyk na cześć „najjaśniejszego pana" Franciszka Józefa, policja aresztowała go i stawiła przed sędzią. Jego okrzyk był niespodziewany i nieoczekiwany, a więc niejako nieprzyzwoity, chociaż chwalebny. Na której ulicy przeciętnego wielkiego miasta europejskiego, czy amerykańskiego, możnaby dzisiaj wznieść okrzyk na cześć ojczyzny, bez narażenia się policji i współobywatelom? Najukochańsza matka nasza, ojczyzna, niech żyje! Gdzież jest to bóstwo kobiece, ta ojczyzna ze swojem łonem poetycznem, to źródło i ujście miłości krążącej między matką a dziećmi i dziećmi a matką?! Co się stało nagle z tym rzeczownikiem rodzaju żeńskiego? Wyparł je rzeczownik rodzaju nijakiego: państwo. Systemat przymusów i sankcyj, wykonywanych przez biurokratów i urzędników. Racjonalizacja przemysłu rychło doprowadziła do zracjonalizowania sentymentów, a nawet skasowania ich. Tak zwane dzieci ojczyzny musiały ustąpić gościom i panom ojczyzny. Kapitalista nabywał fabrykę

razem z tysiącami robotników i wedle woli swojej dysponował ich życiem, pracą, całą przyszłością. Kogo chciał, tego zatrzymywał przy warsztatach swej pracy i swego wyzysku, a kogo nie chciał, tego wyrzucał na ulicę, na głód, chłód, poniewierkę. Taka była jego święta wola i wszystkie moce tego świata śpieszyły poprzeć ją i podtrzymać.

Na cmentarzu żyrardowskim leżą kości naszych ojców, dziadów i pradziadów. W proch rozsypały się ręce, które budowały Żyrardów, prochem stały się mózgi, które myślały, i serca, które czuły swoją własną niedolę i bezsilność. Pradziad był jeszcze własnością dziedzica, a dziad bardzo dobrze pamiętał baty jaśniepańskie, ale gdy przyszli do fabryki, trafił za nimi i dziedzic, owa smutna postać, która w nekrologu kurjerkowym nazywała się byłym obywatelem ziemskim, zanim stała się obywatelem królestwa niebieskiego. Symbioza dziedzica z chłopem trwała dalej w fabryce, tylko w innej postaci. Ów pan, który bił chłopa i poił go wódką ze swojej gorzelni, kłaniał się grzecznie nowemu panu, wyliczał przygodnie swoich znakomitych przodków i dbał o to, aby w nekrologu zaliczono go w poczet byłych obywateli ziemskich. Były feodał nie miał żadnych ambicyj, aby w nowym świecie zająć kierownicze stanowisko; polski chłop wychowany w niewoli dla niewoli potrzebował dużo czasu, zanim zaczął rozumieć, co się dokoła niego dzieje. Ale nieświadomość nie mogła trwać wiecznie.

W październiku 1928 roku ukazał się pierwszy tom „Czarnych Skrzydeł“, a w styczniu roku następnego wyszedł tom drugi. „Lenora“ i „Tadeusz“ z galerją postaci jakby żywcem wyłowionych z naszych stosun-

ków żyrardowskich. Kostryń i Coeur, Szymczyk, Supernak, pani Knote, ksiądz Kania, sygnalista Duś... Czytaliśmy tę książkę Kadena-Bandrowskiego z głębokiem wzruszeniem, podając ją sobie z ręki do ręki i odrazu było wiadomo kto tu Coeur, kto Kostryń. Nazwiska te przylgnęły do fatalnych postaci żyrardowskich. Nie brakło tu przecie Supernaków szpiclujących i ślepnących Szymczyków wiecznie zastrachanych i drżących na myśl o redukcji, o niełasce pańskiej, o złym losie.

Bezimienna nędza żyrardowska nagle otrzymała nazwę i szczegółowy, niemal kliniczny opis. Więc wszędzie to samo. I tam, w kopalni węgla, te same zgryzoty, ten sam brud, ci sami panowie i te same metody. Wszędzie Kostrynie, gotowi za judaszowy srebrnik sprzedać rodzonego brata i wszędzie dufni Coeurowie, romansujący z córkami Kostryniów i przyskakujący autochtonom-służakom z kułakiem do nosa. I wszędzie ci młodzi cudowni Dusiowie, gotowi życie oddać za braci i dla braci. I Tadeusz, nadstawiający twarz pod kułaki władzy przywracającej porządek. Więc ta nędza ma schemat, więc Kostrynie nie zdobywają się w gruncie rzeczy na nic nowego i powtarzają to samo wszędzie i zawsze. Zmaleli nagle ci Coeurowie z Kostryniami w naszych oczach, stali się schematem i szablonem. O książce Kadena-Bandrowskiego pisałem z entuzjazmem głębokim i szczerym w „Głosie Prawdy", redagowanym wtedy przez Stpiczyńskiego. Postać Kostrynia została ustawiona pod pręgierzem i każdy mógł się jej dobrze przypatrzyć. To było wiele.

Oczywiście, książka ta musiała mieć swoich wrogów. Nowaczyński rzucił się na nią i przedstawił ją ja-

ko zohydzanie Śląska pod rządami polskiemi. Trzeba mu było wykazać czarne na białem, że „haftuje“ z premedytacją, o czem zresztą sam doskonale wiedział. Nie podobała się też publicyście „Kurjera Warszawskiego“, Zdzisławowi Dębickiemu, który w ciągu całego życia nie sprzeniewierzył się ideom konserwatyzmu. Zaczął krytykować postać Zuzy między innemi i dziwić się, że ta pannica nie zajęła się robotą społeczną, jako to owe żłobki, a kursy dla analfabetów i podobna tandeta społeczna, dla zabicia czasu i zamydlenia oczu przez wszelakie Kostryniówny popierana. Nie chciał, czy nie mógł pojąć, że komitety z miłosiernemi grochówkami i żłobki dla dzieci robotniczych nic tu nie pomogą, bo sprawa jest głębsza i wymaga radykalniejszej kuracji. Tak rozumieliśmy tu książkę Kadena i tak została zrozumiana wszędzie, gdzie widziano Coeurów i Kostryniów przy robocie. Dla nas była wielkiem zdarzeniem i nie minęła bez śladu. Powiedziała nam, co zacz są Kostrynie.

Redukcje postępowały, obrót siłami młodocianemi był coraz szybszy. Poszczególne oddziały fabryki szły po trzy-cztery dni w tygodniu, a przytem w całej wielkiej fabryce pracowało już nie 9 tysięcy robotników jak dawniej, ale niewiele ponad tysiąc. Jednocześnie wszakże administracja była taka kosztowna, jak bodaj nigdy dotąd. Sam Koehler pobierał kilkaset tysięcy rocznie,a tacy reorganizatorzy, jak Pfau, Ulrich i wielu innych otrzymywali po kilka tysięcy miesięcznie. W biurach warszawskich siedzieli różni dygnitarze zagraniczni, mający bardzo wysokie pensje, a techniczny personel fabryki był liczny. Na tę kosztowną administrację, która była nie mniejsza od administracji dawnej, gdy w fabryce pracowało 9,000 ludzi, lecz raczej większa, musiało zapracować nieco ponad tysiąc robotników. Chodziło, oczywiście, nietylko o administrację, ale i o akcjonarjuszy, więc robotnik żyrardowski miał co dźwigać na swoich barkach. W dodatku musiał wziąć na siebie sprawę bezrobotnych towarzyszy, bo nowy zarząd fabryki z zasady nie dawał na cele społeczne ani grosza. Gdy opinja publiczna zaczęła się dopominać od fabryki pomocy dla bezrobotnych, zarząd nałożył na swoich urzędników 2-procentowy podatek od pensji, co w razie najlepszym mogło dać kilka tysięcy miesięcznie, czyli po kilkadziesiąt groszy na bezrobotnego. Była to „akcja ratunkowa“ na odczepne.

Inteligentni robotnicy zdawali sobie sprawę z tego, że nie chodzi już o jedno z dawnych bezroboci, ale

o wielkie zasadnicze przemiany, które setki tysięcy i miljony robotników wyrzucają poza nawias systematu pracy. Kierownicy tkalni nie troszczyli się teraz o to, czy tkacze zechcą pracować na trzech albo czterech krosnach, bo doszło tymczasem do tego, że jeden tkacz obsługiwał 10—12 krosien-automatów, a miejsce 200 cewiarek zajęły maszyny obsługiwane przez kilka młodych dziewczyn. Podczas gdy dawna cewiarka zarabiała 20—30 złotych tygodniowo, co przy 200 pracownicach cewiarskich dawało od 4 do 6 tysięcy złotych tygodniowo, po zracjonalizowaniu cewiarni maszyny przy obsłudze kilku dziewczyn pracowały za 60—80 złotych tygodniowo. W przędzalni pozsuwano maszyny i pracę porozdzielano w ten sposób, że gdzie dawniej pracowały trzy prządki, tam postawiono jednę. Gdy w oddziałach pomocniczych, w których robotnicy pracowali na dniówkę, powstawały zaległości, Koehler nie pozwolił przyjmować nowych robotników, ale domagał się od kierowników tych oddziałów aby całą pracę wykonywali przy pomocy personelu posiadanego. Oczywiście, że nie można było dokonać tego inaczej, niż przez wymuszanie na robotnikach pracy nad siły i nad normę. Dzień roboczy przedłużano o kilka godzin, za które jednak nikomu nie płacono. Bezkarność takich nadużyć była zapewniona, bo żaden robotnik nie byłby się odważył zaprotestować lub udać się ze skargą do inspektora. Skutek protestu lub skargi mógł być tylko jeden: utrata pracy. A tego żaden robotnik ryzykować nie chciał.

Racjonalizacja pracy i „odmładzanie" fabryki prowadziły do tego, że robotników starszych zastępowano siłami młodemi. Od dziesięcioleci istniał w Żyrardo-

wie zwyczaj, że starym robotnikom, którzy przestawali pracować, wypłacano emeryturę w wysokości od kilku do kilkunastu rubli miesięcznie. Do tej fabrycznej emerytury były właściciel Żyrardowa, Karol Dittrich, dodawał od siebie od dwóch do pięciu rubli miesięcznie. Jeśli dodamy, że każdy robotnik starszy miał znaczne zaoszczędności w Fundacji Karola Augusta Dittricha, założonej i utrzymywanej przez Karola Dittricha, to zrozumiemy, że żaden emeryt po opuszczeniu fabryki nie doznawał skutków jakiejś nędzy. Nowy zarząd spoglądał na emerytury jak na trwałe fatalne zło, którego trzeba było pozbyć się jak najprędzej razem z wszystkiemi świadczeniami społecznemi. Redukowano tedy emerytury razem z płacą, a ta stawała się coraz mniejsza. Tkacz, który pracował na dwunastu krosnach, nie zarabiał oczywiście tyle, ile zarobiłoby w normalnych warunkach pięciu lub sześciu tkaczy, ale dostawał za swoją wytężoną pracę o 50 do 100% więcej, niż dostawał dawny tkacz, pracujący na dwu krosnach.

I znowu starzy emeryci, obdarci, chorzy, bezradni ludzie, zaczęli dreptać, krzątać się, chodzić do jakichś zapisów, wysyłać petycje do Warszawy. Śród zasłużonych emerytów, którzy emeryturę otrzymali jeszcze od poprzedniego zarządu, byli wybitni majstrowie tkaccy, pobierający od 100 do 300 złotych miesięcznie. Przeprowadzone redukcje wypadły w ten sposób, że stary robotnik, który po 50 latach pracy w fabryce żyrardowskiej dostawał 20 złotych, biedował ostatecznie przy 15—16 złotych, reszta zaś emerytur wynoszących po kilkadziesiąt złotych miesięcznie pookrawana została sumarycznie o 10%. Emerytury najwyższe, dochodzące do 300 złotych, obniżono do 100 złotych. Naogół ro-

botnicy po 40—50 latach pracy pobierali po kilka do kilkunastu złotych miesięcznie, urzędnicy i majstrowie za 40—50 lat pracy mieli od 50 do 100 złotych wysługi. Ale niedość na tych redukcjach. Emerytura stała się etatem; ograniczonego budżetu emerytur nie wolno było przekraczać. Nowy emeryt otrzymywał emeryturę w postaci przekazu na swojego poprzednika i musiał czekać, aż ten poprzednik umrze, aby mógł objąć po nim żałosny spadek.

Tak rozwijały się rzeczy w początkach roku 1932. Przedtem, bo już w roku 1930, zlikwidował pan Waśkiewicz, na rozkaz dyrekcji, Szkołę tkacką, zainicjowaną przez Karola Dittricha i zrealizowaną przez zarządcę państwowego, inżyniera Srzednickiego. Szkoła ta przy skromnym budżecie 27,000 złotych rocznie, pokrywanym częściowo przez skarb państwa, dawała społeczeństwu wykwalifikowanych majstrów tkackich, z których jednakże żaden nie znalazł pracy w fabryce żyrardowskiej. Nowy zarząd posługujący się z premedytacją wyłącznie siłami zagranicznemi, krzywem okiem spoglądał na Szkołę tkacką i ostatecznie pan Waśkiewicz zdołał ją zlikwidować. Zgoła niepotrzebnie wyrzucano 80,000 złotych na utrzymywanie biur w Warszawie, ale nie umiano zdobyć się na wydatek kilkunastu tysięcy dla utrzymania szkoły, którą władze państwowe zamierzały przejąć na własny etat. Kazano mu, więc zlikwidował.

Rzecz prosta, że podobnie radykalne rozporządzenia musiały były krępować nawet takiego gorliwego sługę panów Boussaków, jakim był pan Waśkiewicz. Na wysokich stanowiskach fabrycznych stali dawniej ludzie o dużem poczuciu odpowiedzialności wobec społeczeństwa,

i tych ludzi brakło obecnie. Pan Waśkiewicz wygryzł ze szpitala fabrycznego zasłużonego lekarza Dra Zenona Tokarskiego, który miał za sobą kilkadziesiąt lat pracy na tem stanowisku. Razem z nim wydalił drugiego lekarza Dra Władysława Rykowskiego. Wogóle wyzbywał się ludzi niemiłych, niewygodnych, jednem słowem takich, którym nieprzyjemnie było spojrzeć w oczy. Gdy załatwił się w ten sposób z urzędnikami administracyjnymi, zabrał się do fachowców. Ale tu poszło mu trudniej, bo Koehler pomimo wszystko umiał cenić dobre siły fachowe, a pana Waśkiewicza cenił jedynie jako posłuszne narzędzie, potrzebne mu do wykonywania pewnych zarządzeń. Gdy narzędzie zaczynało rozumować zbyt samodzielnie albo chciało folgować własnym upodobaniom, Koehler umiał je odrzucić bez ceremonji. Z tem właśnie trzeba było liczyć się potrosze przy zwadach z fachowcami, tembardziej, że pan Waśkiewicz nie był obarczony żadną wiedzą fachową i nie posiadał żadnego dyplomu.

Utrwaliwszy swoje stanowisko w administracji fabrycznej, pan Waśkiewicz zabrał się do miasta, którego zarząd ani myślał kapitulować przed nim, czy Koehlerem. Podporządkowanie miasta fabryce było punktem programowym zarządu fabryki. Plan był prosty: przeprowadzić jak najwięcej swoich ludzi do Rady miejskiej i przy ich pomocy szachować zarządzenia Magistratu. Ale ten plan był niewykonalny: ludność żyrardowska, nawet ta część jej, która pracowała w fabryce, nie była tak naiwna, aby dała się wyzyskać jako narzędzie do zrujnowania miasta. W czasach najgorszych robotnik spoglądał ku Magistratowi jako swemu natural-

nemu obrońcy w ciężkiej walce z bezwzględnym zarządem fabryki. Nawet kosztem znacznych ofiar pieniężnych udało się panu Waśkiewiczowi niewiele, bo z biedą zdołał wprowadzić na listę ugodowej i uległej partji tylko dwóch swoich ludzi, zgóry zdyskredytowanych jako narzędzia jego polityki.

Trzeba było zabrać się do miasta w inny sposób. Dawny zarząd fabryki jeszcze przed wojną zbudował dwa wielkie gmachy szkolne, mieszczące kilkadziesiąt klas. Później przemieniono na szkołę także jeden z dużych domów mieszkalnych przy rynku. Oczywiście, że nigdy nikomu nawet przez myśl nie przeszło, aby fabryka miała pobierać od miasta czynsz za te gmachy szkolne, zbudowane na użytek dzieci robotników. Co więcej, fabryka dostarczała środków na utrzymanie tych gmachów, na bibljoteki szkolne, na zbiory i pomoce naukowe. Na koncept oczynszowania szkół powszechnych mógł wpaść tylko pan Waśkiewicz. Pewnego pięknego poranka Magistrat otrzymał wezwanie rejentalne do uiszczenia kilkudziesięciu tysięcy złotych czynszu za budynki szkolne. Znowu przypominała się rzecz osobliwa, że 80,000 złotych płaconych w Warszawie za biura fabryczne zgoła niepotrzebnie, bo w Żyrardowie stał pustkami wielki gmach administracyjny, to było głupstwo, ale 30,000 złotych czynszu za szkoły, nabrało raptem wielkiego znaczenia dla fabryki. Oczywiście, że nie ta suma odgrywała rolę, ale ubóstwo wyniszczonego miasta. Magistrat, który na wszelki sposób pomagał bezrobotnym, nie mógł się podobać panu Waśkiewiczowi, uważającemu, że ci, co nie mają pracy w fabryce, powinni corychlej miasto opuścić. Wyrachowanie było proste: jeśli Magistrat uza-

leżni się od fabryki, a miasto zubożeje jeszcze bardziej, to zarząd miasta nie będzie mógł wspierać bezrobotnych i ci chcąc nie chcąc wyemigrują, a wtedy dopiero zacznie się gospodarka fabryczna na całego. Że tak a nie inaczej należało rozumieć ten prosty manewr, tego dowodem fakt, że Koehler nigdy nie liczył się z wydatkami dziesiątków i setek tysięcy, gdy chodziło o zaspokojenie jakiego kaprysu. Angażował dyrektora, zawierał z nim umowę na parę lat, a gdy dyrektor zaczął pełnić swoje obowiązki, odsuwał go od nich i płacił mu pensję zadarmo, za wywabianie plam. Jeśli zaś dyrektor poczuł się dotknięty, to kazał mu wypłacić całą sumę przypadającą z kontraktu, wynoszącą nieraz przeszło sto tysięcy, i pozbywał się niemiłego współpracownika. Wobec tego 30 tysięcy czynszu za gmachy szkolne było dla fabryki drobiazgiem, a miastu miało grubo zaszkodzić.

W lecie roku 1930 Żyrardów już niczem nie przypominał roku 1910, czy nawet pierwszego roku wojny światowej. Przed ustawowym urlopem letnim wszystkim robotnikom wymówiono pracę i wypoczynek letni stał się dla nich źródłem niepokoju i zgryzot. Otrzymałem był od księgarni Trzaski, Everta i Michalskiego zamówienie na tłumaczenie „Napoleona" Mereżkowskiego. W Żyrardowie nastał nieznośny upał a trzeba było pracować. Skorzystałem z gościnności miłych znajomych i przeniosłem się na parę tygodni do Korytowa, wsi położonej o kilka kilometrów od Żyrardowa. Na małej werandce wiejskiego domku siedziałem nad maszyną do pisania i tłumaczyłem Mereżkowskiego, a w chwilach wypoczynku chodziłem po ogródku i patrzyłem na Żyrardów, widny zdaleka jak na dłoni. No-

wa przędzalnia lnu, kominy fabryczne, wieże kościoła, nieco bliżej biały budynek dworca kolejowego i długi gościniec śród starych topol, które pamiętały pewno konstytucję trzeciego maja i powstanie Kościuszki...

W perspektywie półtrzecia kilometra zagadka Żyrardowa rozwiązywała się sama. Kominy dymiły, wieże kościoła mierzyły ostrzami w jasny letni błękit nieba, nad szosą od rana do nocy stał tuman drobniutkiego pyłu, a gdy z Żyrardowa do Mszczonowa albo do Radziejowic jechało auto, to szary kurz wzbijał się wysoko i na chwilę przesłaniał słońce jak w „Beniowskim“, gdzie wicher „proch zakrwawionej przez Tatarów, gliny, w popiołach złote słońce zawieruszy, zamgli, zczerwieni i w niebie zatrzyma jak czarną tarczę z krwawemi oczyma“. To samo mieli prawo czynić ze słońcem właściciele samochodów na szosie mszczonowskiej. Zresztą czynili to nietylko pod Żyrardowem, ale i w samem Zakopanem, gdzie Makuszyński widywał mikroby gruźlicy wypasione jak duże chrząszcze, polatujące wesoło w dobrem górskiem powietrzu poprzebijanem zdrowemi ultrafioletowemi promieniami.

Bezrobotny żyrardowski robociarz szedł sobie boso z woreczkiem przez ramię i z nadzieją w duszy, że uda mu się zdobyć w Korytowie trochę ziemniaków, albo i kaszy, jeśli Bóg poszczęści. Inni, młodsi, szli z wędkami na Hamernię, ku dalekim stawom Rawki, gdzie jeszcze tak niedawno Moskale licho wojowali z Niemcami. Ale płocie i karaski całej Rawki i stawów Hamerni były już powyławiane i pozjadane, albo też takie mądre, że za żadne skarby nie byłyby trąciły żyrardowskiej glisty kręcącej się na haczyku bezrobotnej wędki. Trzeba będzie życia paru pokoleń zanim ryby

w tych wyjałowionych wodach rozplenią się nanowo i podrosną należycie, aby można było zabrać się do nich z nadzieją wyłowienia jakiegoś porządnego rocznika. Ci przymusowi rybacy wracali wieczorem z pustawemi rękoma, ale z nałogowym uporem w duszy, że jutro pójdą znowu nad stawy Hamerni i nad brzegi Rawki.

Rok 1930 był upalny i suchy beznadziejnie. Głodni robociarze dzień w dzień chodzili do lasów radziejowickich i szukali grzybów, czy choćby najpodlejszych bedłek, ale ich nie było. Kto żyw, stawał się meteorologiem i przepowiadał deszcz. Na niebie ukazywały się pod wieczór obiecujące chmury, często-gęsto zgoła wielkie i groźne, ale nie było w nich nawet takiego małego deszczu, jaki stale pada w przysłowiu o wielkiej chmurze. Chodziłem nad staw korytowski i chytrze wypatrywałem, czy nie podnosi się poziom wody, aby wymiarkować, czy przynajmniej w dalszych okolicach nie było deszczu. Nie było, niestety: tataraki stały w błocie gołe i żałosne, a w płytszych miejscach można było staw przebrodzić gdy się spodnie odwinęło do kolan. Tylko w poniedziałek zrana, gdy śluzy były zamknięte od soboty przez całą niedzielę, zbierało się w stawie nieco więcej wody, lecz po paru godzinach pracy w młynie woda znikała i znowuż tataraki stały w czarnem cuchnącem błocie a słońce prażyło niemiłosiernie. Bez deszczu grzybów niema: robotnicy wracali do domu z pustemi kobiałkami, rozkładali bezradnie ręce i wzdychali.

Zgrabnie i ładnie śmigała limuzyna hrabiego Krasińskiego, pędząca do Radziejowic, niezdarnie wygrzebywał się z aureoli jej kurzu stary, ślepawy i astmatyczny robotnik. Przystanął koło furtki, pokaszlał, po-

sapał, wytarł oczy i zdjął czapkę. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus... To był łatwy wstęp do ciężkiej sprawy żebrania. Dalsze słowa już nie były słowami tylko jakiemś mruczeniem: ni to skargą, ni groźbą. Sam przecie jeszcze nie tak dawno dawał żebrakom po piątce, czy nawet po dziesiątce, a tu masz! Teraz mów „pochwalanego“ i skomlij człowieku! Brał stary znajomek dwadzieścia czy czterdzieści groszy, przestąpił z nogi na nogę, nie przyznawał się ani drgnieniem powieki do jakiej znajomości, chował groszaki do kieszeni, mówił: Panie Boże zapłać, mamrotał coś po dziadowsku i uciekał na sztywnych artretycznych nogach ze swoim wstydem i głodem. Szedł wolno, bo i nogi miał słabe i czasu było dużo. Patrzył ku Radziejowicom i myślał może, że pan hrabia już dawno w pałacu, jako że auto bądź co bądź żwawsze od piechura.

Gdy znikł na skręcie, odwracam się i patrzę na Żyrardów. Nad spopieloną ziemią drgają i mienią się króciutkie przezroczyste fale spiekoty. W cieniu gruszy polnej położyła się samotna krowa i przeżuwa melancholijnie jakieś kosmiczne rezygnacje. Najedzona Nirwana o wybałuszonych oczach Ateny. W ogrodzie puszą się i aksamicą holenderskie tłuste kwiaty, polewane troskliwie zrana i wieczorem. Chłopski wózek podskakuje sztywno i niezdarnie za chudziutką polską chabetą; droga mocno wyboista, ale na każdej niemal topoli jest wizerunek święty w żałosnej kapliczce, a na przydrożu stoją w spiekocie Boże męki. Człowiek się męczy i Bóg się męczy w demokracji, w industrjalizmie, w kosmopolicji, w racjonalizmie, w teokracji... Błogosławieni ubodzy, albowiem ich jest królestwo nie-

bieskie! Wielkie zaiste błogosławieństwo, ale pan hrabia nie chce z niego skorzystać, kapitalista robi co może, aby na niego nie spadły skutki tego błogosławieństwa, nie chce go proboszcz, nie chce wikary, ani biskup, ani dyrektor, ani kupiec, ani profesor, ani żaden wogóle chrześcijanin. Błogosławieństwo to jest przymusowe, jak ta nędza, którą wynagradza.

Ile dostał Kopernik? Ile Kolumb? Ile Galileusz? Ile Amundsen? Żaden z nich nie miał takiej pensji, jak pan Ulrich, czy pan Pfau, albo jeśli wolno sięgnąć tak wysoko, jak pan dyrektor generalny Koehler. Byli tyko błogosławieni jako ci, którzy cierpią prześladowanie dla prawdy. Byli prześladowani i potępiani dla prawdy i minęli, ale myśl ich pozostała. Ludzkość stawia im pomniki i prześladuje dzisiaj innych Koperników, Kolumbów i Galileuszów. Ale trzecie pokolenie, a może już drugie, postawi swoim heretykom ładny pomnik i zwali śmieszne monumenty, wznoszone dzisiaj przez różne serwilizmy. Racjonalizm, który stwarzali myśliciele Odrodzenia, był humanistyczny i humanitarny, chciał dać ludzkości szczęście i pokój, lecz monarchowie, kapłani i arystokraci spostrzegli, że niema szczęścia dla wszystkich i że muszą być ubodzy, aby mogli istnieć bogaci. Więc tępili racjonalizm, a wreszcie zracjonalizowali się sami. I teraz Michał Kobiała chodzi boso i jest bezrobotny, a pan hrabia obsypuje go kurzem, który się wzbija z pod kół jego limuzyny.

Cudowny leniwy krajobraz mazowiecki! Staw, młyn, ciemna linia lasu na horyzoncie, skowronki, jaskółki i żniwo. Wracam na werandkę i siadam przy stoliku. Mereżkowski, Martialis, André Gide, Żeromski... co

Pan Bóg dał na wsi i dla wsi, dla radości serca, dla melancholji, dla pobudzenia myśli. I raptem nuda! „Polskość Nietzschego“...! W Czechach północnych na pograniczu saskiem jest miasto Rumburg, a za tem miastem na skraju zalesionej czystej dolinki, opanowanej przez górę Rauchberg, leży wioska Frankenstein z luksusowem sanatorjum i wywczasowiskiem. Już nie pamiętam, czy to było w roku 1903, czy nieco później, dość, że tam bawiłem. Któregoś dnia po kąpieli, kiedym się ubierał leniwie i ociężale, ujrzałem na stoliku łazienki zeszyt jakiegoś pisma niemieckiego, „Anthropologische Revue“, czy coś takiego. Zeszyt był już podarty, ale znalazłem w nim jeszcze część rozprawy: Bernhard Scharlitt, „*Das Polentum Nietzsches*“. A teraz to samo: „Polskość Nietzschego i jego filozofji“. A więc monoidea i rewindykacja na rzecz ojczyzny miłej. W „Kurjerze Warszawskim“ przeczytałem już był akces Dębickiego do polskości Nietzschego i jego filozofji, inne pismo jeszcze znakomitszem piórem akceptowało wdzięcznie ten odzyskany splendor. Zrobiło mi się w tym Korytowie troszkę wstyd.

Nietzsche, Nicki, oczywiście Sarmata, liberum veto, indywidualizm, arystokratyzm, Herrenmoral... Gdzież tu szukać rodowodu takiej filozofji, jak nie w Polsce, mocium panie? Gdzie jest prócz tego jeszcze arystokracja? Czytałem, bawiłem się nieźle i irytowałem się miejscami. „Dowiedzione jest natomiast, iż na żaden z talentów ludzkich pierwiastek narodowy tak rozstrzygającego nie wywiera wpływu i w żadnym tak silnie nie występuje na jaw, jak w muzykotwórczym talencie. Co zaś widzimy u młodziutkiego Nietzschego? Oto pierwszemi jego dziecięcemi jeszcze próbami kom-

pozytorskiemi są — mazurki, stworzone pod wpływem Chopina, do którego chłopiec czuje nadzwyczajny pociąg...".

Zagłoba i Niderlandy! W Niemczech aż się roi od Nietschów, Götzschów, Fritschów i Fritzschów, a tu raptem jeden Nietzsche musi być koniecznie Polakiem! Ale mniejsza z tem! Niechby sobie ów Gotard Nicki z roku 1632 pochodził z Polski. Coby to znaczyło? Ano znaczyłoby, że w ósmem pokoleniu miałby Nietzsche na 256 przodków męskich i żeńskich jednego Polaka, czyli 0,004 krwi polskiej. Ponieważ zaś polskość jego legitymuje się przy pomocy muzyki i specjalnie Chopina, przeto trzeba i u Chopina stwierdzić wnioski wypływające z muzykotwórczego talentu. Skoro u Nietzschego 0,004 krwi polskiej wytwarzają polską muzykę i polską filozofję, to w Chopinie połowa krwi francuskiej musiała wytworzyć muzykę conajmniej półfrancuską. Było to, oczywiście, podrwiwanie sobie z najelementarniejszych zasad logiki. Ale to głupstwo wobec faktu, że filozofja polska od stuleci legitymuje się prawowiernością katolicką, religijnością i moralnością, a nawet chrystusowaniem narodom i przedmurzowaniem chrześcijaństwu. I raptem najbardziej narodowym filozofem miał być Nietzsche, zdecydowany ateista i immoralista, który w chrześcijaństwie widział obłęd i degradację ludzkości, w kapłanach największych pasorzytów, a w mistyce religijnej tuman puszczany przez możnych tego świata na stado wyzyskiwanych. A przytem Nietzsche nigdy nie zainteresował się Polską, służył w wojsku niemieckiem jako ochotnik i jeśli zapalał się uwielbieniem dla jakiego narodu europejskiego to dla francuskiego, nigdy dla polskiego.

O tych rzeczach elementarnych napisałem artykuł i posłałem go „Wiadomościom Literackim". Ukazał się w jednym z sierpniowych numerów jako „Sygnet bogobójcy" i wywołał oburzenie niemal powszechne ludzi najpobożniejszych i najbardziej prawowiernych. Było im niesłychanie ciężko rozstawać się z „polskim" filozofem Nietzschem, bogobójcą i immoralistą. Posypały się z całej Polski artykuły, artykuliki, notatki, wzmianki, uwagi, oczywiście, przeważnie przeciwko mnie. Nikt nie zastanawiał się nad tem, czy mam rację, czy jej nie mam, ale wszyscy utyskiwali sobie, że się wogóle wyrwałem ze stwierdzaniem rzeczy i spraw, które można było pozostawić na uboczu. Powstała i korespondencja z różnymi ludźmi: literatami, rolnikami, studentami. Pewien rolnik z Wileńszczyzny proponował mi, abym zainicjował ankietę na temat w co jeszcze ludzie oświeceni wierzą, ale mu to wyperswadowałem. Z perspektywy wioski litewskiej wydawało mu się to rzeczą prostą. Interesowało go specjalnie zagadnienie wiary u ludzi oświeconych. Chciał się poprostu dowiedzieć, w jaki sposób można pogodzić wiedzę współczesną z wiarą, ale zrozumiał wreszcie, że w Polsce można rewindykować bogobójcę Nietzschego dla prawowierności filozofującej, lecz nie można urządzać ankiet na tematy „drażliwe".

Na chleb powszedni zarabiałem jako tłumacz z języków obcych, recenzent, publicysta, a w chwilach wolnych od pracy zarobkowej oddawałem się starej nieuleczalnej manji gromadzenia książek. Zbierając materjały do życiorysu apostoła Pawła, spróbowałem zdać sobie sprawę z sytuacji polityczno-społecznej i religijno-obyczajowej państwa rzymskiego pod koniec repu-

bliki. Oczywiście, w pierwszej linji interesowałem się wydawnictwami francuskiego stowarzyszenia Guillaume Budé i pilnie rozczytywałem się we wszystkiem, co mogło oświecić w zaciekawiającej mnie dziedzinie. Pozatem siedziałem po uszy w Plutarchu, Swetonjuszu, Cyceronie, Sallustjuszu i w innych pisarzach rzymskich i greckich. Jakoś przypadkowo natknąłem się na Katulla i odrazu złapałem się w sidła ludzkiego — arcyludzkiego wiersza: „Cenabis bene, mi Fabulle, apud me...". Po uroczystych i sztywnych wierszach Horacego, Katull był miły i bliski jak Heine po Klopstocku. Zacząłem szukać życiorysu Katulla, okazało się, że go niema. Dowiedziałem się tylko, że kochał się nieszczęśliwie w płochej, ładnej Klodji, żonie Metellusa Celera, konsula. Kilka dat, kilka imion przyjaciół, Werona jako miejsce urodzenia, rok śmierci i przepiękne wiersze. Zabrałem się do studjowania tych lat, jakie mieściły się między chwilą, w której otrzymał togę męską a chwilą, w której zamknął oczy do wiecznego snu. Co widział, co przeżył, z kim się przyjaźnił, gdzie bywał? Między rokiem 67 a 54 przed Chrystusem działo się tyle ciekawego w zamierającej republice rzymskiej! Przez trzy lata każdą wolną chwilę spędzałem nad pisarzami rzymskimi i pisałem rok po roku życiorys Katulla, najbardziej bliskiego mi poety łacińskiego. Przy pisaniu tej książki dużo nauczyłem się od Boissiera, Mommsena, Ferrera i od komentatorów pisarzy łacińskich, a jednocześnie przyjąłem do wiadomości rzecz nieznaną mi dotychczas, że jeśli w Żyrardowie trudno napisać fakto - montaż o poecie do którego cały materjał trzeba sobie sprowadzać, to jeszcze trudniej wydać go drukiem, gdy się nie ma pieniędzy

i stosunków. Zacząłem korespondować z wydawcami na temat tej pracy, a jednocześnie zabrałem się do robót innych, przeplatanych stałą codzienną pracą zarobkową.

Zaciekawił mnie nanowo apostoł Paweł, psychologja jego nawrócenia, dzieje początków chrześcijaństwa i to wyczekiwane nadejście królestwa Bożego, podobne do dzisiejszego wyczekiwania głodnych i upośledzonych. Przychodzili do mnie dzień w dzień ci głodni i upośledzeni, abym im pisał listy do pana Koehlera, po niemiecku, albo bo francusku, bo już giną z głodu, a ratunku znikąd. Nie umiałem odmówić ich naiwnej i ufnej wierze, która oczekiwała, że kamień przemieni się w chleb dla nich. Pisałem tedy, aby nie musieli chodzić do pokątnych doradców, którzy za takie podania darli nieludzko.

Ale pan Koehler nie odpowiadał, a pan Waśkiewicz redukował, redukował...

Zima 1930/31 była zła, jak wszystkie zimy, których nie można spędzić w jakiej Nizzy, w Arco, lub choćby w Zakopanem. Żyrardów ma zły klimat, powikłany cuchnącemi stawami, których zarząd fabryki czyścić nie chce i nie pozwala, oraz czadem węglowym, rozpylanym dzień w dzień nad Żyrardowem i okolicą przez wysokie kominy fabryczne. Śmietniki i doły kloaczne na każdem podwórku, zimowa słota i błoto, wszystko to składa się na atmosferę, dającą się wyrazić w niewielu słowach: czad, smród i brud. Zimowanie w takim Żyrardowie, gdy się ma stary bronchit, nie należy do przyjemnych. Sen o Szczawnicy, do której lekarz wysyła mnie od lat dziesiątka, staje się natrętnym, przekształca się poprostu w obsesję. Przy każdej grypie, przy każdym sezonowym katarze, widzi się wyraźnie malownicze góry okolic Szczawnicy, znane doskonale z pocztówek otrzymywanych od znajomych. W duszy, w oskrzelach, czy w sercu istnieje nawet przestarzała i wierna intencja wyzdrowienia w Szczawnicy, ale los ma swoje prawa. Korespondowałem na ten temat szczawnicowy z Janem Wiktorem, stałym rezydentem Szczawnicy, w ciągu paru lat, lecz gdy przyszło co do czego, jakoś nic nie było z tego. Kończyło się najczęściej na Korytowie, „kurorcie“ nieco dostępniejszym i bliższym Żyrardowa.

Na wiosnę roku 1931 po grypie i gorączkach zimowych byłem bardzo wyczerpany i strasznie chciało mi się dobrego powietrza. Znajomy pomorzanin, miesz-

kający od lat w Gdyni, p. R., napisał mi list pełen pokus, że w Orłowie za Sopotami można się urządzić za osiem złotych dziennie. Nowa obsesja, a właściwie tylko zaktualizowana stara namiętność. Gdy w czerwcu, lipcu i sierpniu nad Żyrardowem unosił się drobniutki pyłek mielonego żużlu, który nawet przy zamkniętych oknach wdzierał się do mieszkań, reagowałem na tę straszliwą plagę wizją morza. Brzeg ocieniony pachnącemi sosnami, piasek szerokiej plaży, wilgotne czyściutkie powietrze i stalowe morze po sam koniec świata. Oddychało się nie mielonym grafitem, nagrzanym do 40 stopni Celsjusza, ale mokrym dobroczynnym chłodem. Osiem złotych dziennie... Zacząłem liczyć.

Przed samą Wielką Nocą przyszło zapytanie od p. Stanisława Lama, czy nie podjąłbym się tłumaczenia „Rokoka“ Maxa Boehna. Oczywiście, podjąłem się tego tłumaczenia. A tu jeszcze przyjechał pastor anglikański, p. P. z Warszawy, z zapytaniem, czy nie miałbym ochoty skorygować pod względem językowym „Modlitewnika“ anglikańskiego. Podumałem, obliczyłem jak najlekkomyślniej pracę, żeby mi się nie wydała zbyt ciężką, zaciekawiłem się nawet liturgją anglikańską gwoli ułatwienia sobie decyzji i hajda! Pięćset złotych! Morze Baltyckie, którego nie znałem dotychczas, podpłynęło bardzo blisko i zdawało się chlupotać gdzieś za wysokiemi topolami starego kościoła i za garbarnią żyrardowską, a w najgorszym razie za Sochaczewem. Roboty było jednak więcej, niż narazie przypuszczałem. Zrobiło mi się smutno i na wszelki wypadek pojechałem zobaczyć, jak jest w Korytowie. Jaskrawa arszenikowa zieleń pól radowała oczy,

ale było chłodno, a ja miałem gorączkę. Ogród letniskowy stał nagi, żałosny i przewiewny, w domu wiejskim było zimno i czuć go było stęchłą zimą. Gospodyni podała kilka niedorosłych rzodkiewek, dumna, że już takie duże, ale musiałem długo czekać na sól. Poszedłem w pole. Sadzawka za ogrodem pełna była wody, spłoszone żaby wskakiwały do niej i ukrywały się w mule. Był to dzień świętego Stanisława, słoneczny i chłodny jak sierpniowa noc w Zakopanem. Wróciłem do domu zgnębiony i musiałem położyć się do łóżka z dużą gorączką. Znajoma wdowa przyszła z zapłakanemi oczami powiedzieć mi, że ją wyrzucają z fabrycznego mieszkania. Jej mąż pracował czterdzieści lat w fabryce. Cóż zrobić? Pan Waśkiewicz panuje. Znajomy urzędnik prosił o radę: zostanie zredukowany jak amen w pacierzu, co czynić? Czy nie napisać do Koehlera? O, człowiecze wielkiej niewybaczalnej wiary, zali nie wiesz, że Koehler nie odpowie, a nawet nie przeczyta twojego listu?! Może-by lepiej było pojechać do niego — próbuję radzić, aby coś powiedzieć, chociaż wiem, że wszystko psu na budę. Żachnął się niemal z oburzeniem. Przecież do niego nie puszczą! No tak... Więc co? Trzeba czekać, zobaczy się...

Obejrzałem swego Underwooda, model „portable", zbadałem zapas papieru maszynowego, wynotowałem skrupulatnie wszystkie należności i daty przyszłych przekazów, a potem spakowałem robotę, chustki do nosa, płaszcz kąpielowy i trochę książek i ruszyłem w świat zaraz po Zielonych świętach. Dzień był upalny, ale napis na wagonie „Warszawa — Hel" łagodził spiekotę. Zdawało się, że siedzimy w łodzi, a morze uderza chłodnemi falami o ten napis „Warszawa —

Hel". Miły jest ten kurjer, bo między Warszawą a Gdynią przystaje mniej więcej tyle razy, ile pociąg podmiejski między Warszawą a Żyrardowem. Z wagonu restauracyjnego kelnerzy co chwila przynosili wyborne lody, ale upał był wielki i przez otwarte okno biły ciężkie fale czarnego kurzu, który osiadał w spoconych włosach. Nadzieja patrzyła cierpliwie w przyszłość i już na wczesny wieczór obiecywała wannę, gorącą herbatę i łóżko. Oczywiście, rozczarowanie było jaskrawe. Orłowska stacyjka jest pusta; niema na niej żywego ducha, któryby przyjmował przyjezdnych. Niema tragarza, niema dorożek. Trzeba było dreptać piechty spory kawał świata, a potem pokazało się, że pensjonat przyjmujący w maju i czerwcu po 8 złotych dziennie jeszcze nie jest odnowiony. Rozpacz. Musieliśmy ulokować się w jedynym dostępnym pensjonacie tuż nad morzem, oczywiście już nie za osiem złotych, ale za czternaście złotych dziennie. W ten sposób z sześciotygodniowego planowanego pobytu nad morzem zrobiły się tygodnie trzy.

Ale zato jakie cudowne! Pierwsze pięć dni przesiedziałem na tarasie pensjonatu i patrzyłem na fale, na mewy, statki, obłoki, na co Pan Bóg dał. Nie czytałem, nie rozmawiałem z nikim, siedziałem na słońcu temperowanem północnemi wiewami i patrzyłem na niestrudzoną falę, wracającą jeszcze raz i jeszcze raz. Kursowała „Hanka" wiślana, łącząc Gdynię z Sopotami, śmigała gdańska motorówka, a morze bywało zielone, granatowe, stalowe, płowe i opalowe. Grzywy białej piany pojawiały się wdali i znikały, jakby nieznane stworzenia morskie pokazywały zęby. O, jakże tam było dobrze przez te pięć dni przepróżnowanych!

Ale potem zaczęły przychodzić listy i próżnowanie skończyło się. Musiałem przecie tłumaczyć Boehna i poprawiać „Modlitewnik“ anglikański, a pozatem pisać artykuły dla niektórych pism. Padały deszcze, morze zieleniało i stawało się dziobate. Czasem spadała nagła i niespodziewana mgła, gęsta jak ściana, a z za tej białej ściany odzywało się co chwila huczenie syren. Lecz niepogoda nie trwała długo, na niebie ukazywało się słońce, na wybrzeżu powstawał ruch, a do Orłowa zawijały traulery „Czajka“ i „Jaskółka“. Trzeba było jednak pracować i cała uciecha sprowadzała się do tego, że przy pracy mogłem sobie siedzieć na powietrzu, a wieczorem, gdy molo sopockie jaśniało dziesiątkami latarń, można było dowoli przechadzać się po pomoście orłowskim.

Dnia 8 czerwca zapisałem w swoim kieszonkowym notatniku coś bardzo przykrego. Do „Domu kuracyjnego“ w Orłowie przybyła wycieczka wychowanków seminarjum nauczycielskiego w Nieszawie. Oczywiście, synowie proletarjuszy z plecakami wypchanemi wszelakiem dobrem. Dzień był pochmurny, chwilami mżył deszcz. Chłopcy nieśmiało wchodzili po stopniach wiodących na taras, a dla schronienia się przed deszczem nie weszli na werandę, lecz stanęli pod werandą koło okien kuchni. Nauczyciel, który wycieczkę prowadził, porozmawiał z kim należało i niebawem na stoliku pod werandą ukazał się kociołek gotowanej wody na herbatę. Z tobołków powyjmowali seminarzyści co kto miał: gotowane jaja, kawałki kiełbasy, bułki. Ubrani byli licho i zachowywali się nieśmiało, jak wszyscy ludzie ubodzy. Postali pod werandą, zjedli, co mieli, zapili herbatą, pogawędzili z kucharzem i z dziew-

czętami z kuchni, a potem bardzo ładnie zaśpiewali i poszli. Żadnemu z nich jakoś nie przyszło do głowy, że byłoby można usiąść na pustej werandzie. Dnia 17 czerwca przybyła do Orłowa szkoła powszechna niemiecka, dzieci w wieku od lat 7 do 11. Te dzieci nie stanęły pod werandą, ale usadowiły się wygodnie na tarasie, jakby u siebie w domu, i wesoło spożywały śniadanie, przyniesione z sobą. Ponieważ było ciepło, więc nauczyciel kazał podać dzieciom kilka butelek wody gazowej. Nad różnicą w zachowaniu się nieszawskiego seminarjum nauczycielskiego a niemieckiej szkoły ludowej dużo myślałem. Jesteśmy poprostu źle wychowywani. Skromność przechodząca w pokorę, nie jest cnotą, ale przeciwnie, czemś, czego wyzbyć się trzeba corychlej.

W Orłowie jest dobrze być, ale nie dla ludzi pracy, bo praca to komplikacja zawsze i wszędzie. 21-go czerwca wyjechaliśmy do Gdyni, a stamtąd cudowną okolicą na Kartuzy i Kościerzynę ruszyliśmy w okolice Chojnic na krótki dodatkowy popas. Nowa linja kolejowa prowadzi śród lesistych gór i dolin z jeziorami, jest na co patrzeć i czem się cieszyć. Okolice poprostu rewelacyjne. Wiał żwawy wiatr, miejscami padał deszcz, a potem nagle z za chmur chlustało rozrzutne słońce i złociło fale jakiego niespokojnego jeziora. Las miejscami był bardzo gęsty i wywierał wrażenie puszczy, a w pobliżu Chojnic powtarzały się te piękne długie aleje brzozowe, na które nie można się napatrzeć. Jechaliśmy pociągiem osobowym, raczej bumlem, i dlatego podróż do Chojnic trwała siedem bitych godzin. Z niezliczonych stacyjek kolejowych i przystanków, zapamiętałem Kokoszki, Męcikał i Lipusz, o Kartuzach,

Kościerzynie i Chojnicach nie mówiąc. Przez dziesięć dni popasaliśmy w ładniutkiem miasteczku pomorskiem Więcborku i wróciliśmy do Żyrardowa, aby potem wybrać się na wypoczynek letni do Korytowa. Tłumaczyłem gorliwie Boehna, poprawiałem „Modlitewnik" anglikański, pisałem artykuły, podczas gdy w ogrodzie dojrzewały różne dobre jabłka, śliwki, gruszki. Padały deszcze, rodziły się grzyby, było dobrze na świecie.

Ale nie w Żyrardowie. Tu znowu wszystkim wymówiono pracę przed urlopem letnim, a po urlopie mało kto ze starszych robotników trafił zpowrotem do pracy. Bezrobotni snuli się szosą radziejowicką z wędkami i koszykami na ryby i na grzyby, ten i ów przystanął, aby powiedzieć, że od urlopu stracił pracę, pokiwał głową, rozłożył ręce, westchnął i szedł dalej. Przychodzili zredukowani starsi urzędnicy ze swojemi troskami. Jeden z nich szukał nagwałt 300 złotych, aby móc zadatkować mieszkanie w domu prywatnym, bo mu pan Waśkiewicz oświadczył, że dopóki nie odda klucza od mieszkania fabrycznego, kasa nie wypłaci mu pensji należnej i oszczędności. Zapłakana wdowa opowiadała, że wysłaniec pana Waśkiewicza depcze jej po piętach, aby się coprędzej wyprowadzała z dwuizbowego mieszkanka. Nadchodziła jesień z nowemi troskami w zimowej perspektywie, komitety wznawiały czynność i zbierały składki na bezrobotnych i na dokarmianie głodnych dzieci, ale wszystkie te zabiegi były kroplą w morzu nędzy robotniczej. Pan Waśkiewicz panował, jeździł ładną limuzyną, składał wizyty, obejmował protektoraty nad zahukanymi i serwilistycznymi urzędnikami, urządzającymi Sylwestra albo Choinkę.

Minęła zima, budziły się nadzieje, że może teraz będzie wreszcie lepiej, ale nikt w te podszepty nadziei nie wierzył. Bo dlaczego ma być koniecznie lepiej, a nie gorzej? W styczniu roku 1932 p. Ignacy Matuszewski, b. kierownik Ministerstwa Skarbu wygłosił w Związku Zawodowym Literatów Polskich ciekawy odczyt na temat „Widzenie rzeczywistości gospodarczej". Odczyt ten został przedrukowany w czterech kolejnych numerach „Gazety Polskiej" (21—24 stycznia). Oczywiście, odczyt ministra skarbu mówiącego o rzeczywistości gospodarczej musiał mnie żywo zainteresować. Patrzyłem na żyrardowską rzeczywistość gospodarczą i nie rozumiałem jej. Maszynizacja, racjonalizacja i reorganizacja, to były słowa, które wyrażały jednocześnie olbrzymie bogactwo i władzę z jednej strony, beznadziejną nędzę z drugiej. Bogactwo było w ręku nielicznych jednostek, nędza stawała się udziałem szerokich mas pracującego ludu. W społeczeństwie tworzącem moralną i losową całość, racjonalizator musi zdawać sobie sprawę ze skutków swojego poczynania i brać za nią odpowiedzialność na siebie. Odpowiedzialność nietylko wobec własnej kieszeni, ale wobec żywego człowieka, społeczeństwa, władz państwowych.

Skutki racjonalizacji są olbrzymie. Tu nie chodzi o jakieś drobne ulepszenia produkcji i zbytu, ale o rewolucję w wielkim stylu. Dotychczas rewolucje gospodarcze i społeczne były dziełem zrozpaczonych mas i zwracały się przeciwko posiadaczom zbyt wielkich bogactw i zbyt wielkiej władzy. Teraz posiadacze wielkich bogactw i absolutnej władzy dokonywali rewolucji przeciw bezbronnym i bezradnym masom. Rozmiary tej rewolucji wyraziły się w Żyrardowie liczbami

tragicznemi: z 9000 dawnych robotników pozostało przy pracy 1200—1500, a więc siódma czy szósta część. Gdyby racjonalizacja pozbawiała chleba tylko siódmą część robotników, możnaby mniemać, że się ta część bezrobotnych ostatecznie gdzieś podzieje, rozpłynie po całym organizmie społecznym i nie rzuci się w oczy postacią klęski. Zmniejszy się liczba małżeństw, obniży się liczba urodzin i na tem koniec, jeśli jeszcze dodać odpowiednie zmniejszenie się dochodu społecznego i powiększenie się zysków kapitalistów. A tu taka katastrofa! Dla nas sprawa nieobojętna, bo robotnik jest nasz i trzeba go żywić, kapitał jest obcy i zyski wywozi za granicę. Racjonalizacja więc, taka, jaka odbywa się w Żyrardowie, oznacza obniżenie dochodu społecznego, a tem samem obniżenie stopy życiowej i wszystkie jego skutki.

Rodziło się pytanie: kiedy i na czem skończy się racjonalizacja i co stanie się z bezrobotnymi? Pytanie takie nie istniało dla kapitalisty, ale narzucało się nam. Kapitaliści prześcigali się wzajemnie: w Żyrardowie jeden tkacz pracował na dwunastu krosnach, u Ettingona w Łodzi jeden tkacz pracował już na 32 krosnach. Kto może więcej i taniej produkować, ten bije słabszego przeciwnika i zwycięża. Ale pobity przeciwnik nie ginął z głodu. Jak w wojnach orężnych królowie i cesarzowie bili się swoimi poddanymi, tak w walce kapitalistycznej wielcy bogacze załatwiali swoje rozrachunki kapitalistyczne na skórze ubogich robotników, nie troszcząc się o los bezrobotnych, o ich życie i śmierć. Trudno było zgodzić się z myślą, że ostatecznym celem racjonalizacji przemysłu jest anarchja gospodarcza i społeczna. Do elementarnych wiadomości socjologicznych

należy prosty fakt, że rozwój przemysłu, czyli w gruncie rzeczy rozwój kapitalizmu, w szybkiem tempie pomnażał ludność krajów przemysłowych, a gdy ludzi hodowanych przez kapitalizm namnożyło się na świecie, okazało się nagle i niespodziewanie, że jest ich o kilkadziesiąt miljonów za wiele. Oczywiście, tylko narazie, bo maszynizacja musi czynić postępy, racjonalizacja nie jest jeszcze u szczytu swego rozwoju. Co więc będzie dalej? Jak przedstawiają się te sprawy rządom państwowym, jakie są perspektywy społeczne i kulturalne racjonalizacji i reorganizacji pracy?

Myślałem, że o tem właśnie mówić będzie b. minister skarbu. Racjonalizacja jest faktem, bezrobotność jest także faktem. Kapitalizm to jedna strona medalu, proletaryzm to strona druga tego samego medalu. Ale bezrobotni chcą żyć, a kapitalizm powiada, że go to nic nie obchodzi. Taka jest rzeczywistość gospodarcza. W Australji hodowcy zabijają i niszczą 800.000 owiec, w Brazylji niszczy się setki tysięcy worków kawy, w Argentynie, Stanach Zjednoczonych i Kanadzie palą masy zboża, w Meksyku wojsko niszczy miljony bananów, w Ameryce południowej i w Egipcie palą olbrzymie masy bawełny, nawet w Czechosłowacji topią w Dunaju mnóstwo sławnych czeskich ogórków, a w Holandji hodowcy tulipanów płacą specjalnym robotnikom za niszczenie miljonów cebulek kwiatów, które dotychczas rozchodziły się po całym świecie. To są rzeczy, których prosty ludzki rozum, nie wypaczony nałogami myśli kapitalistycznej, zrozumieć nie jest w stanie.

Niestety, odczyt ministra Matuszewskiego był bardzo teoretyczny i literacki. Nie wdawał się w szczegóły

i operował abstrakcjami, w których głodny robotnik znikał z oczu zaniepokojonych ludzi. Prelegent wywodził że nie należy przeciwstawiać pracy kapitałowi, ale raczej mówić o pracy i władzy jako o naturalnym podziale funkcyj społecznych. W Żyrardowie każdy widział, że kapitał i władza to jedno. Władza może nie mieć kapitału, ale kapitał ma władzę zawsze. Kapitał mógł ignorować nakazy religji, moralności, ustawy polityczne, wymagania społeczne, ale w dziejach świata nie było przykładu, aby jakakolwiek władza, teokratyczna, monarchiczna, feudalna, czy nawet socjalistyczna, mogła ignorować kapitał i nie liczyć się z jego wolą. Kapitał zagarnął pod swoją władzę cały glob ziemski i wszystkie jego śpichlerze. Człowiek chce żyć, kapitalizm może mu pozwolić, aby żył, albo może nie pozwolić. To są komunały. Nawet wojen nie mogą dzisiejsi królowie i dyktatorzy prowadzić bez zezwolenia i zgody kapitału.

Napisałem artykuł o rzeczywistości gospodarczej widzianej w perspektywie Żyrardowa i posłałem go do „Gazety Polskiej" jako głos dyskusyjny, zgóry licząc się z tem, że redakcja może go nie wydrukować. Zresztą nie przywiązywałem żadnej specjalnej wagi do tego artykułu, bo widziałem przecie na własne oczy, że paroletnia kampanja prasowa przeciwko zarządowi Żyrardowa nie dała w wyniku ostatecznym literalnie nic. Dawniejszy zarząd na każdy najdrobniejszy artykulik odpowiadał natychmiast, chociaż mógł się był z rynkiem polskim nie liczyć, ile że rynkiem właściwym Żyrardowa była cała Rosja aż po Samarkand i Port Artura. Obecnie zarząd fabryki kpił sobie z prasy i nawet nie raczył zwrócić uwagi na jej głosy. Byłem prze-

konany, że i tym razem będzie tak samo. Powiedziałem w swoim artykule, że w Żyrardowie jest Coeur, jakby żywcem wzięty z książki Kadena-Bandrowskiego i że ma tu swojego Kostrynia, który za pieniądze wysługuje się obcemu kapitałowi bez oglądania się na szkody wyrządzane społeczeństwu polskiemu.

Stała się rzecz nieoczekiwana. Nietylko, że prasa polska żywo zainteresowała się artykułem moim, przedrukowując wyjątki z niego i komentując je życzliwie, ale co najważniejsze, zarząd Zakładów żyrardowskich zdecydował się nareszcie odpowiedzieć na stawiane mu zarzuty, chociaż w artykule swoim nie wymieniłem nazwy miejscowości i nazwisk fatalnych działaczy. Lecz odpowiedź dana mi piórem p. senatora G., członka rady zakładów żyrardowskich, była w duchu nowego kursu. Pan senator G. jako urzędnik przedsiębiorstwa, musiał stanąć po jego stronie, jednakże cały jego artykuł był tak stylizowany, iż tylko potwierdzał moje zarzuty. Autor tego artykułu poza ogólniki wyjść nie umiał. Rozpisał się o przyjaźni polsko-francuskiej, jak gdyby miała ona w tym wypadku cokolwiek do rzeczy, rozwiódł się szeroko nad szlachetnością pana Koehlera, dodał coś niecoś o trudnościach,o kapitale, o popieraniu rządu i zrobił ze mnie szkodnika społecznego, który w dodatku mieszka w domu fabrycznym, czyli że już z tej racji powinien dąć w dudkę pana Koehlera. Artykuł pana senatora G. ukazał się w wolnej trybunie „Gazety Handlowej“ i wywarł na mnie wrażenie przygnębiające. Odpowiedziałem mu w „Gazecie Polskiej“, co myślę o tej odpowiedzi, wezwałem go, aby zaprzeczył faktom przezemnie podanym o terorze panującym w Żyrardowie, o szykanowaniu polskich

urzędników i robotników, o sprzedawaniu w kraju francuskich tkanin ze stemplem fabryki żyrardowskiej, Pan G. odpowiedział znowu komunałami w „Gazecie Handlowej", że tego-owego, że „słowami robotników bezrobotnych nie nakarmimy". Było to przykre uchylanie się od odpowiedzialności.

Ten drugi artykuł pana G. ukazał się 2 kwietnia 1932. Postanowiłem odpowiedzieć mu w jego piśmie, czyli w wolnej trybunie „Gazety Handlowej". Odpowiedzi mojej nie zamieszczono. Na ponaglanie z mojej strony odpowiedziano mi, że referent specjalny, który otrzymał mój artykuł do przeczytania, wyjechał do Szwajcarji i zabrał go z sobą. Posłałem kopję odpowiedzi. Znowu zwłoka, korespondencja, że to, że owo... Widziałem, że redakcja „Gazety Handlowej" nie ma najmniejszej ochoty do otwarcia mi łamów swej wolnej trybuny, ale nie przypuszczałem, oczywiście, że mogłaby się uchylić od takiego elementarnego obowiązku jak zamieszczenie odpowiedzi zaczepionego pisarza. Czekałem więc.

Tymczasem po ukazaniu się moich artykułów w „Gazecie Polskiej" Żyrardów stał się nagle tematem wysoce aktualnym dla całej prasy polskiej. Dzień w dzień „Informacja Prasowa" posyłała mi wycinki różnych gazet piszących o Żyrardowie a jednocześnie dostawałem listy z całego kraju z informacjami o stosunkach przemysłowych w Łodzi, na Śląsku i indziej. Wszędzie Coeurowie i Kostrynie, wszędzie ich potężne wpływy i nieograniczona władza. Odezwali się także przyjaciele mieszkający we Francji i jęli mi posyłać stare gazety francuskie: „Humanité", „Tribune de Paris", „Parlementaire", z artykułami o królu bawełny, panu Bous-

saku. Z niemałem zdziwieniem dowiadywałem się z tych pism, iż władca Żyrardowa, który właścicielem fabryki żyrardowskiej stał się w sposób dość osobliwy, jest osobistością bardzo we Francji popularną. Pisma francuskie pisały o nim, że okradał intendenturę wojskową francuską i to podczas wojny światowej, korumpując oficerów, że dopuszczał się grubych oszustw, że wreszcie oszukał rząd kanadyjski na 40 miljonów przez zakazaną operację akcjami kolei żelaznej „Canadian Pacific Railway“ i t. d.

Od czasów uniwersyteckich interesowałem się specjalnie filozofją i religjologją. Do ogarnięcia całokształtu życia społeczno-gospodarczego brakło mi zainteresowania, a może zdolności. Marx był dla mnie lekturą trudną i niezrozumiałą. Ale nagle ujrzałem hierarchję kapitalistyczną tuż przed oczami: Waśkiewicz, Koehler, Boussac... Pakiet akcyj przechodzi z rąk do rąk i nagle człowiek, który przy pomocy machinacyj giełdowych i fałszywej przysięgi zdobywa miljony, staje się panem losów ludności żyrardowskiej. Apartament za miljon, urządzenie mieszkania za pięć miljonów, trzy Rolls-Royce, wspaniałe zbiory, diva opery paryskiej jako przyjaciółka... Takie to dziwne: do roku 1914 nie miał nic, o Żyrardowie może nigdy nawet nie słyszał, na dostawach wojennych „dorobił się majątku“, kupił sobie akcyj... A tymczasem ludzie, którzy z dziada-pradziada siedzieli w tem mieście, budowali je na fundamentach swej nędzy i wyrzeczeń, na gruźlicach, rupturach, na tysiącu nieszczęśliwych wypadków i nagłych śmierci w trybach maszyn, stają się niczem, dodatkiem do maszyn, budynków, wielkich placów, domów mieszkalnych, pałaców, will, parków...

Kierowniczka jednej ze szkół opowiada nam, że dzieci zasypiają przy lekcjach, bo są chronicznie głodne. Sami widzimy, że dzieci zaczynają żyć na własną rękę: sprzedają gazety, grają o pieniądze, spekulują na czem się da, aby zarobić kilkadziesiąt groszy. Wieczorem widuje się na ulicach sporo młodych kobiet. Chodzą jakby na kogo wyczekiwały, zwalniają kroku, spoglądają na przechodnia... Wprost się wyczuwa, że mają okropne bicie serca, że nie wiedzą, jak się zachować, aby mieć sposobność upragnioną do zarobienia kilku złotych. Ale zabiegi ich nie zdają się na nic. Tyle ich jest, a tak mało w Żyrardowie ludzi zarobkujących, którzy mogliby wyrzucić zgoła niepotrzebnie kilka złotych. Przecie za trzy złote wegetuje nieraz cała rodzina przez tydzień.

Racjonalizacja, kultura chrześcijańska, wolność, równość, braterstwo, prawo do pracy, prawo do życia, do oświaty, do szczęścia... Człowiek chce żyć. Najprzód wyprzedaje się ze wszystkiego, czego bezpośrednio do utrzymania życia nie potrzebuje, potem sprzedaje ostatnie graty, ubranie, bieliznę, buty, jednem słowem wszystko, co można wymienić na chleb. Wreszcie sprzedaje swoją moralność, obyczaje, wierzenia, wstyd, godność ludzką... Za kawałek chleba. A pan Boussac? Podobny jest do tych Żydów starodawnych, którym Mojżesz obiecał dużo rzeczy cennych: „Miasta wielkie i dobre, których nie budowałeś, domy pełne dóbr wszelakich, których nie gromadziłeś, i studnie wykopane, których nie kopałeś, winnice i oliwnice, których nie sadziłeś, a będziesz jadł i najesz się..."

Zapewne, że pan Boussac ze swoimi Koehlerami i Waśkiewiczami będzie jadł i naje się, ale te tysiące

bezrobotnych, którzy muszą istnieć wespół z nim? Gdzie jest myśl tak wielka, która zrównałaby nierówności społeczne, wysokie jak Himalaje? Gdzie są serca szlachetne, gotowe do ustępstw? W szkole nie powinna być wpajana dzieciom etyka ascetyczna, czyli etyka rezygnacji i bierności owiec zarzynanych przez każdego, komu się chce zarzynać, ale etyka kapitalistów i sposoby bogacenia się systemem panów Boussaków. Jak wykręcić się od służby na froncie, jak stać się dostawcą dla wojska, jak korumpować oficerów, jak okradać intendenturę, jak oszukiwać rząd kanadyjski i składać fałszywą przysięgę... Bo to panuje nad światem i rządzi ludźmi pracowitymi, a w stosunkach z Boussakami jedyną możliwą moralnością jest ich własna moralność. Rewolucje społeczne nic nie zrobią, bo panowie Boussakowie to wieczni kontr-rewolucjoniści. Chcą mieć miljony na klejnoty dla Fanny Heldy, na antyki, na kury rasowe. Nie interesuje ich życie społeczności pracującej i cierpiącej.

Z takiemi smutnemi myślami wyszedłem po obiedzie 26 kwietnia na ulicę, aby odetchnąć po pracy. Snuli się obdarci robotnicy, ze szkoły wychodziły dzieci, po wyboistym bruku terkotał wózek chłopski. Było słoneczno i smutno w pustce ulic konającego miasta. Z bramy szkolnej wyszła blada i wzburzona znajoma, sąsiadka z trzeciego domu, pani Blachowska, hygjenistka. Podeszła i głosem ochrypłym mówiła coś, co było fantastycznie nieprawdopodobne. Że w tej chwili ktoś słyszał wiadomość podaną przez radjo, iż mąż jej zabił Koehlera. Niemożliwe! Gdzie? W Warszawie! W biurze? Nie wiadomo. Nie, to chyba nieprawda. Już raz przecie opowiadano, że jakaś urzędniczka strzelała do

niego w biurze, a potem wszystko zatuszowano. Mówiono też, że urzędnik francuski Mariage, obrażony przez Koehlera, podniósł rękę na niego i został za to obity do krwi. Taka pewno pogłoska... Nie, to wiadomość urzędowa, przez radjo podana... Blada pani Blachowska stoi chwilę bezradna, potem żegna się i idzie do domu, a niebawem widzimy ją idącą wolno ku dworcowi kolejowemu.

Ludzie przystają z sobą i rozmawiają szeptem, wskazują za siebie wyprostowanym kciukiem, że tam, w Warszawie... Nikt nie wierzy. Czy to możliwe, żeby odrazu nastała taka wielka zmiana? Dobrzy znajomi, starzy tkacze zredukowani, rąbali drzewo dla szkoły na dziedzińcu szkolnym; przestają pracować, patrzą po sobie i odkładają siekiery. Na dzisiaj dosyć. Czy pan już słyszał? Chyba nieprawda... W biurze policji mówili, że prawda. Idę ulicą i myślę o tem, co właśnie słyszałem. Wspominam, jak pewnego czerwcowego wieczoru bardzo dawnego, ponurego i dżżystego przyszedł dziadek do ojca i powiedział mu ze zgrozą, że we Francji anarchista zabił prezydenta Sadi-Carnota. Nie wiedziałem o co tam chodzi, ale przebiegł po mnie dreszcz od słów dziadka. Potem jako student czytałem wieść o rewolucji pałacowej w Belgradzie. Aleksander i Draga Maszin... Potem bomby na ulicach Warszawy... Zawsze ten dreszcz zgrozy i czarna myśl o zagadce śmierci. A teraz? Nic z tego wszystkiego. W lutym pisałem w „Gazecie Polskiej“, że jeśli polityka dyrekcji trwać będzie dalej, to krwawa tragedja nie każe czekać na siebie. Przychodziło zdziwienie, że ten zabity człowiek nie rozumiał tak prostej rzeczy, iż ludzi kopać nie można, że nawet racjonalizacja winna odbywać się ja-

koś po ludzku. Poraz pierwszy w życiu spostrzegłem, że są tragiczne zawęźlenia, które rozwikłać może tylko śmierć. Wieść o zabójstwie Koehlera nie wzbudziła w nikim zgrozy i żalu. Ludzie spoglądali po sobie z zaciętemi ustami, a w oczach ich było niedowierzanie niemal radosne.

Z przeciwległego chodnika naprzełaj przez ulicę podeszła do mnie jakaś kobieta nieznajoma, ściskała mi rękę i mówiła, że to prawda, że już w kantorze dawno wiedzą. Wywodziła coś o mężu wydalonym z fabryki, płakała i śmiała się z wiarą naiwną, że teraz będzie lepiej. W szkole gwar i rejwach nieopisany. Dzieci wzburzone, uczyć się nie mogą i wszystkie wierzą, że teraz ich ojcowie dostaną pracę, że skończy się głodowanie i poniewierka, trwające już od lat. Nazwisko Koehler było synonimem wszelkiego zła i wszelkiej krzywdy.

Po jego śmierci „Gazeta Handlowa" odesłała mi mój artykuł. Odmówiła druku, „nie chcąc jątrzyć". To, co pisała strona przeciwna, nie jątrzyło nikogo, bo tylko prostych ludzi pracy...

Pamiętnik mój miał zostać ukończony w lipcu albo sierpniu roku 1932 i ukazać się na jesieni tegoż roku. Ale zaczęły płynąć zwykłe dni powszednie ze swojemi drobnemi robótkami zarobkowemi i pracę nad pamiętnikiem trzeba było odkładać. Zdawało się, że za tydzień, czy dwa, prace drobniejsze będą pokończone, a teraz siedzę nad biurkiem, spoglądam na kalendarz i przerażam się. Połowa lutego, przedwiośnie. Onegdaj był jasny ciepły dzień, wczoraj niebo zachmurzyło się i nisko zawisło nad ziemią, a dzisiaj leży na ulicy dość duży śnieg. Wiatr wieje od zachodnich wybrzeży afrykańskich, przepływa niezawodnie nad Hiszpanją i nad jasnym brzegiem, ale gdy dociera do nas nie ma już nic z ciepła, pogody i błękitu. Jest zły i gniewnie rozszarpuje dymy kominów fabrycznych. Na dziedzińcu szkolnym przed memi oknami podrywa puchy śnieżne i usiłuje wywołać zadymkową awanturę.

Patrzę na ten śnieg i wspominam. Ostatnie kartki pamiętnika pisałem na Helu, a na Hel dostałem się drogami bardzo okrężnemi. Pojechałem do miłego Orłowa, ale że to było już w lipcu, więc nad morzem mieszkania nie znalazłem, a zdala od morza mieszkać nie chciałem. Usiadłem więc na tarasie Domu kuracyjnego i patrzyłem zmęczonemi oczami gdzieś w stronę Szwecji. Morze było ciche i spokojne, dwa-trzy białe żagle na horyzoncie wytwarzały wrażenie bezmiernej pustki. Przy jednym ze stolików siedzieli dwaj zażywni panowie, popijali z kieliszków jakiś napój zielony, pokazywali sobie weksle, poklepywali się po ramieniu i mówili obaj jednocześnie, zapewniając się o czemś ważnem, bardzo uroczyście i z wielką profuzją gestów. Kelner dolewał zielonego napoju, podawał czarną kawę, pisał rachu-

nek i obaj zażywni panowie zeszli z tarasu pod rączkę nieco chwiejnym krokiem, ale w najlepszej komitywie. Zrobiło się smutno. Zatelefonowałem do Gdyni po auto i opuściłem melancholijne Orłowo. W Gdyni na molo pasażerskiem panował radosny i żywy ruch, statki przybywały i odpływały, na plaży opiekały się nagusy, po jasno-zielonych falach snuły się kajaki i łódki. Wiał chłodny wietrzyk i z nieznanych dalekich stron przywiewał radość i szczęście. „Gdańsk" i „Jadwiga" odpływały na Hel i do Jastarni, a mały „Delfin" kołysał się niespokojnie u grubego omszonego pala i zapraszał szczurów lądowych na morskie spacery.

Mieszkanie znalazłem łatwo w pobliżu plaży, ale słońce wdzierało się do pokoju już o czwartej rano, a czadu węglowego było za wiele. Próbowałem zaaklimatyzować się, niestety, daremnie. Dobrze było tylko na molo pasażerskiem, zaś między rozgrzanemi murami wysokich kamienic panował upał jak na Marszałkowskiej. Po trzech dniach ruchliwego życia gdyńskiego zachciało mi się ciszy i spokoju. Któregoś popołudnia jakby od niechcenia przysiadłem się na Gdańsk i popłynąłem na Hel. Morze roznamiętnia. Człowiek lądowy bardzo rychło zaczyna rozumieć, czem ten żywioł jest dla marynarzy z powołania. W świadomość lądową, skostniałą, zamarłą w starych, odwiecznych formach, wlewa się żywioł nowy, zmienny, chybotliwy, pełen czarujących kolorów. Ciasna ulica miejska rozszerza się na wszystkie strony, ciemny granat morza przemienia się w malachit, w blady błękit, w jasno-zieloną pianę. Fala opada we własną bruzdę, dźwiga się nowym niespodzianym kształtem, migocze w słońcu, mieni się bezustannie, kołysze, drży... Statek oddala się

coraz bardziej od brzegu, horyzont traci raptem granice, jak okiem sięgnąć fale i fale, a wiatr płynie szeroką ławą, wolny, czysty i jasny. To jest postać szczęścia nie mająca równego sobie. Regeneracja, reinkarnacja. Nowy świat, w którym człowiek staje się innem stworzeniem, rozpoczynającem życie odnowa.

A potem jasne białe domki kolonji rybackiej z czerwonemi strzechami jaśnieją w słońcu zdaleka i radują oczy na nowy sposób. Statek zbliża się do długiego molo, przystaje. Na molo tłum kolorowych kobiet: piżamy czerwone, zielone, niebieskie, pomarańczowe, kombinowane wprost fantastycznie. Nawoływania, śmiechy, powiewanie chusteczkami. Na statku przez dwie godziny będzie dancing, ogromna morska uciecha od czwartej do szóstej. I właśnie na tę uciechę pozbiegali się miłośnicy tańca z całego Helu. Razem z pasażerami schodzę ze statku na pomost, mijam kolorowe kobiece stroje, uśmiechy i nawoływania, i idę długiem półkolistem molo ku lądowi. Naprawo rybacki port, nalewo małe morze, zatoka Pucka. Za portem rybackim bezkres granatowego żywiołu, na brzegu domki, kościół w oryginalnym stylu, sieci rybackie i łódki osadzone na piasku. Długie molo, dzieło doskonałej techniki, kończy się raptem u zwyczajnej dróżki wiejskiej, która prowadzi w bardzo pierwotne i liche opłotki, między jakieś przystodółki, czy coś takiego. A potem długa wiejska ulica o niskich domkach szczytami pozwracanych ku ulicy. Sklepiki, fryzjerzy warszawscy, dyplomowani specjalnie dla uciechy pań, katarynka grająca przed jednym ze skepików, a wzdłuż ulicy różnokolorowe kostjumy suną ku wielkiemu morzu i ku małemu morzu. Jedyny policjant stoi u wylotu opłotków, któ-

remi wychodzi się z morza na ulicę, i nudzi się haniebnie.

Siadam na ławeczce naprzeciwko „Lwiej jamy“ i patrzę w perspektywę tej długiej morskiej radości. Wiatr płynie wzdłuż ulicy krzepki, zdrowy, czerstwy. Ogromnie mi się podobał, chciałbym, żeby wiał zawsze tak samo. „Proszę pani, czy ten wiatr wieje zawsze tak, jak teraz?“ Nawet nie wiem, jak to się stało, że wstałem nagle z zielonej ławki przed sklepem dyplomowanego fryzjera i ukłoniłem się smuklutkiej czerwono-niebieskiej piżamie z przemiłym dołeczkiem w podbródku. Zapytana patrzy na mnie niebieskiemi oczami i zaciekawionym uśmiechem, życzliwie, niemal po sąsiedzku, jakby mnie chciała zapytać o imię chrzestne. Rozgląda się za tym wiatrem, o który pytam, a potem patrzy na mnie bardzo uważnie, aby wymiarkować czy chcę, żeby wiatr był, czy żeby go nie było. Odpowie mi tak, jak będzie dla obojga przyjemnie. O, bliźnia kolorowa piżamo, która w oczach moich szukasz dla mnie odpowiedzi, jakże jesteś dobra! „Tu jest zawsze bardzo miło“ — mówi z sugestywnym uśmiechem. Przypomina mi się Mickiewicz: „...piersi małe jak gruszki...“ Bon. Piżama z przylegającego jedwabiu zdradza wdzięki zazwyczaj utajone. Całkiem wyraźnie widać dołeczek pępka, a pod nim sklepienie brzucha, podnoszącego się łagodnie. Wzruszam się, że piękna pani nie chce mnie zrazić do Helu i że mi odpowiada z ujmującą dwuznacznością. „Bardzo lubię wiatr“ — ułatwiam jej orjentację. Mówi mi na to, że tu wieją wiatry nie takie jeszcze, ale jej odpowiedź brzmi bardzo oportunistycznie. Wiem z całą pewnością, że gdybym był powiedział, iż wiatrów nie znoszę, to byłaby mnie zapewniła, że

dzisiejszy wiaterek jest jakimś dziwnym wyjątkiem z reguły zacisza i nie wiadomo skąd się przybłąkał. Dziękuję pięknie za informację i kłaniam się grzecznie na znak, że już ją, niestety, odpuszczam w pokoju. Pani waha się przez chwilę, a potem nagle zatrzymuje inną panią w pantofelkach na bosą nogę i w bardzo przezroczystej sukience, i mówi jej, że pewno potrzebuję pokoju. Pierwsza znajoma żegna mnie uśmiechem i odpływa, druga mówi, że ma ładne pokoje. Czy nad samem morzem? Nie, ale niedaleko od morza. Żałuję bardzo, bo muszę mieszkać nad samem morzem. I pani żałuje, że morze nie podchodzi pod próg jej pensjonatu. Wymieniamy uśmiechy, rozchodzimy się w różne strony Helu.

Podchodzę do policjanta, aby rozstrzygnąć kwestję tego miłego wiatru. „Czy tu zawsze tak wieje?" Policjant patrzy i uważa. Tak samo, jak piękna pani, i on nie chce mnie spłoszyć. „Tu jest ładna pogoda. Zdrowo". Dziękuję mu i myślę o Pirandellim. Co to jest prawda? Pytasz o wiatr, ludzie patrzą ci w oczy i szukają w nich odpowiedzi jakiej pragniesz. Jeśli nie lubisz wiatru, to się dowiesz, że go tu nigdy nie bywa, jeśli lubisz, powiedzą ci, że tu wieją tylko orkany, a dzisiaj panuje niepojęty sztyl. Odwracam się tedy od istot relatywizujących rzeczywistość i patrzę na rzeczy, które niezmienne same w sobie, zmieniają się w widzeniu, słyszeniu i czuciu ludzkiem. Kościołek ewangelicki z cmentarzem, na którym w milutkich ładnych grobach śpi niewielu nieboszczyków przy szumie zatoki Puckiej. Cisza, kwiaty, zieleń, słońce i wieczne odpocznienie. A nieco dalej plaża, na której leżą w słońcu nadzy, żywi, opalający się ludzie.

Białe domki rybackie, a wdłuż drogi smukłe młode drzewka jarzębiny szwedzkiej, która jedyna śród przeróżnych drzew umie zapuścić korzenie w glebę morskich piasków. Gdzieś na końcu morza widać wynurzający się z wody Gdańsk, a naprzeciwko majaczy wybrzeże polskie, Gdynia, polska Amster-Dama. Po morzu snują się kiście dymów, bieleją żagle, fale zamierają leniwie, powierzchnia wody staje się opalowa, miejscami nakrapiana cynobrem. Przemienienie Pańskie pełne łaski i szczęścia. Panie, tu jest dobrze być. Serce pełne wdzięczności modli się słowami Hamsuna: „Dzięki, o dzięki, że to ja jestem, który tu siedzę!“ Fala pluszcze, u mola huczy syrena. Trzeba wracać do Gdyni, aby tu jutro przyjechać z tobołkami i z rozpoczętą robotą.

Na morzu chłodno. W Gdyni było tak gorąco, więc któż byłby zabierał śmieszne palto! Ale teraz zimno, a „Gdańsk“ nie płynie prosto do Gdyni, lecz zbacza z drogi i bierze kurs na Sopoty. Dwaj księża siedzą na górnym pokładzie i odmawiają wieczorne pacierze, dziewczyny w lekkich sukienkach tulą się do siebie, bo wiatr tarmosi i szarpie żakieciki i apaszki. Znowu morze, dal, wiatr wieczorny i zaciekawiona radość. Zdaleka ukazują się Sopoty. Długie molo z dziesiątkami lamp, które zapalą się niebawem, wielkie ociężałe Kasyno, hotele i wille nad morzem. Chodzę po statku i czuję się dziwnie eksterytorjalny wobec trosk, kłopotów i zgryzot lądowych. I nic nie znaczy, że jest zimno, że wiatr przenika korty i alpaki. Tu jest się innym człowiekiem, a wiatr jest od morza. Sopockie molo ma dwa pomosty, dla statków wyższych i niższych. Na wyższym spacerują solidne mieszczki niemieckie z mężami

lub bez mężów. Nuda wieczorna. „Gdańsk“ zbliża się do słupów, z mola rzucają linę, cumują. Kilka osób wysiada, kilka wsiada. Urzędnik w ciemno-zielonym mundurze wyciąga rękę po dowody osobiste, patrzy, zwraca, salutuje. Jeden z pasażerów „Gdańska“ chce się dostać do Sopot, ale zielony mundur zagradza mu drogę: papiery nie w porządku. Perswazje. Urzędnik słucha uważnie i grzecznie. Przyświadcza uprzejmie: *Ja!* Ale potem mówi sam, że tak a tak. Więc ostatecznie: *Nein!* Nowe perswazje. Nowe odpowiedzi. Ogromna cierpliwość gdańskiego urzędnika i zdumiewająca wytrwałość pasażera. Między nimi nieprzebyty mur przepisu. Jeden przekroczyć go nie pozwala, drugi przekroczyć nie może. Pasażerowie „Gdańska“ i spacerowicze mola patrzą na tę scenę z łagodnem wieczorowem zaciekawieniem. Kto kogo przegada? „Gdańsk“ huczy syreną: huuu, hu-huuu! Pasażer rezygnuje i rozkłada ręce, urzędnik salutuje: „*Tut mir leid*“. Cofamy się tyłem, nabieramy rozpędu i ustawiamy się dziobem ku Gdyni, gdzie jest ciepło i gdzie czeka gorąca kolacja. Po drodze Oliwa, Orłowo z zielonemi pociemniałemi pagórkami, potem puste wybrzeże, zmierzch, dość długo nic i wreszcie światła mrugające różnemi kolorami i różnym rytmem. I dużo świateł stałych. Gdynia! Spaceruję po pokładzie, aby się rozgrzać i szybko schodzę ze statku, gdy stajemy u mola. Do miasta! Do restauracji! Gorący rumsztyk z groszkiem i kartoflami, szklankę krzepkiej herbaty, a żwawo!

Potem krótka letnia noc i o jedenastej rano odpływamy na Hel, tym razem „Jadwigą“. Ostry, mocny wiatr, niespokojna fala, mewy za statkiem, na pokładzie wesołe zbytkujące dzieci, pan z lornetką, jakaś

pulchna blondyna z miną osoby jadącej tylko w odwiedziny. Wiatr coraz mocniejszy: tarmosi spodnie, rękawy, chociaż Bóg widzi, że niema się czego czepiać u spodni, a tem mniej u rękawów. I znowu radosna czerwień nad białą pogodą domków rybackich. Piasek wybrzeża, molo. Wysiadamy i idziemy do „swego domu“. Z mieszkania do morza dwadzieścia kroków, do lasu pachnącego żywicą, kilkaset. Gospodyni karmi nas smażonemi flondrami i duszonemi linami. Na kompot jagody z tutejszych lasów, a potem herbata z ciastkiem, które nazywa się „szneka z glancem“ czyli poprawnie po polsku ślimak lukrowany.

Siedzę na plaży, patrzę w lewo i patrzę w prawo: bliźni i bliźnie różnego wieku, wielkości i urody. Z Gdyni płyną węglarki szwedzkie, wraca do domu „Polonia“. Jazgocą dzieci, budujące Bóg wie co z piasku, polatują mewy, będzie chyba burza. Z za mola wynurza się nagle „Ryś“, ładna i smukła łódź podwodna, i staje na redzie. Oczy patrzą w błękit, żeby odszukać Boga i podziękować mu za te rozkosze wypoczywania. Ale trwa to niedługo. Poczta przynosi listy, gazety, książki. Trzeba czytać, pisać, pracować. Na to już niema rady. Gramofon sąsiadki gra „Katiuszę“, uczy nas jej tekstu napamięć. „Pocałuj raz!“ Dobrze, dobrze! Pocałuję i nawet nie raz, ale teraz muszę myśleć o czemś tak dalece innem, tak niemile innem!

Kończę pisanie i podnoszę oczy. Na drodze przed oknami stoi kilkoro ludzi płci obojej: piżamy, płaszcze kąpielowe, białe spodnie, granatowe marynarki i oburzone spojrzenia zwrócone w moją stronę. Ki czort stuka tu na maszynie i psuje nastrój wykupiony

przecie kurtaksą! Doznaję uczucia wstydu słusznego i sprawiedliwego. Ładnieby ten Hel wyglądał, gdyby tu każdy przywoził swój warsztat pracy: a więc biura, tkalnie, garbarnie, czy nawet przędzalnie! Rozumiem, że tego czynić niewolno i czuję się winny, że nie mam urlopu, jak Pan Bóg przykazał. Aby naprawić swój grzech, wyjeżdżam wieczorem łódką za helską wydmę w stronę Pucka. Jest tam cudownie cicho. Patrzę, zapamiętuję się i próbuję pojąć coś niepojętego. Ale co? Nie wiem. Pewno chodzi o samo istnienie, o życie, o jego radość. Niestety, jest to niepojęte. Muszę się cieszyć, nie rozumiejąc, poprostu na wiarę, in blanco. To nierozumienie sprowadza melancholję. Ale i ta melancholja jest słodka. Jesienin patrzy na mnie z wydm szarych i zielonych. „I grust' wieczernieja mienia wałnujet niepriеadalimo". A właśnie. Tak było gdzieś na równinie rosyjskiej i tak jest tutaj: na Helu.

W piątek pierwszego helskiego tygodnia po dniu bardzo upalnym spadła na nas gwałtowna burza w grzmotach i w kolorowych błyskawicach. Zatoka zaczęła syczeć, potem huczeć, wkońcu ryczała. Fale wznosiły się wysoko, tłukły o brzeg i rozpryskiwały się w zielonkawych i czerwonych oślepiających błyskawicach. Cóż za cudowny widok! Ulewa mieszała wody firmamentu z wodami morza, które Bóg oddzielił na początku świata, i przenikała przez strzechę do naszego pokoju. Powiedzieliśmy o tem rybaczce, a ta powtórzyła mężowi, mówiąc, że w izbie „kapsi". Wyszliśmy na brzeg, aby popatrzeć na morze rozszalałe w błyskawicach, a głównie, aby poddawać się nieznanym dotychczas uczuciom. *„Die Welt ist meine Vor-*

stellung" — powiada Schopenhauer. Ma rację. Burza morska jest mojem wzruszeniem. Boże wielki! Cóż za aparat cudowny mamy w czaszce! Aparat, w którym szaleje zatoka Pucka, czerwienią się błyskawice, huczą pioruny. W tym malutkim aparacie rozgrywają się wojny światowe, rewolucje, trzęsienia ziemi, pożary, w nim też rodzą się wielkie zdobycze wiedzy, dzieła sztuki i nauki, zachwycające wynalazki. I w nim mieszczą się bieguny miłości i nienawiści, bohaterstwa i zbrodni... Burza morska to moje wzruszenie, moje wzruszenie to burza morska. Albo wielki pokój i spokój.

Któregoś dnia przypłynął „Gdańsk", wylądowali między innymi żyrardowiacy znajomi. Chodzili po Helu, natknęli się na nas. Co słychać w Żyrardowie? Jak to w Żyrardowie! A tu? Jak to tu: wszędzie dobrze gdzie są wakacje. Na to dowidzenia. Dowidzenia! I kłaniajcie się komu należy. Burze, wiatry, pogody, cudowne zachody słońca, cisze i wieczorne kąpiele w morzu spokojnem i w morzu burzliwem, praca, poczta, gazety, książki i radość przypadkowa. Młoda czekoladowa sąsiadka dostała list i czyta go sobie leżąc na brzuchu w ciepłym piasku. Zgarnęła dużo piasku, wsadziła w ten kopczyk kartę papieru i czyta, a na twarzy odbija się treść listu uśmiechami, grymasami, wydymaniem ust, zatajaną uciechą. Widok jest cudowny. Czytelniczka listu nie wie, że jest obserwowana i tem właśnie przewyższa grę Marleny Dietrich, Grety Garbo i Lupe Velez. Bądź pochwalon, Panie, któryś stworzył morze, piasek, słońce i uśmiech młodej dziewczyny, leżącej nad wodą!

Pewnego przedpołudnia lipcowego na wieś, na zatokę i na Gdynię spada biała mgła i zamyka świat w cia-

snym horyzoncie rozkrzyżowanych ramion; po paru godzinach rozpływa się w słońcu, ale nazajutrz morze jest burzliwe i rybacy ciężko pracują wiosłami na wysokiej fali. Na wodzie niedaleko brzega pływa jakiś biały przedmiot w ciemnem obramieniu. Kapelusz damski? Ślad jakiegoś nieznanego dramatu? Nie, mewa. Zadławiła się linem. Lin utknął w gardzieli żarłocznego ptaka i ponosząc śmierć, uśmiercił mewę. Przypomniał mi się przysmak restauracji orłowskiej: „Lin z wody". Krucha ryba ugotowana na doskonałym smaku i polana świeżem topionem masłem. I tu była sprawa lina z wody. Tragedja mewy i ryby, odwieczna i powieczna. Bogacze i bywalcy z nad wielkiego morza przychodzą podczas burzy nad małe morze i używają zdrowego masażu wodnego. Piękna pani kładzie się na brzegu i poddaje się chłoście fal, które tłuką ją po bokach, biodrach, plecach. Najdoskonalszy masaż! Panowie co grubsi, czynią to samo. Burza trwa dwa dni z okładem i zacicha nagle. Nadchodzi pogodne popołudnie, niebo jest jasne i czyste a pod wieczór morze układa się w jakieś kolorowe bruzdy, w szerokie łąki i nasypy. Nad Swarzewem słońce stykając się z morzem płaszczy się w kształt stylizowanej alfy greckiej i przypomina jakiś dziwaczny globus na niskiej podstawce. Po zachodzie niebo jest fantastycznie wymalowane w przeróżne kolory i w kilka warstw poprzedzielanych niebieską perspektywą, a morze podobne bywa do lśniącej rtęci, ponakrapianej cynobrem. Bajeczna gra przemian. Ale wreszcie świat gaśnie i zapada się w gęstym nocnym mroku, a na tle morza rozpala się Gdynia tysiącem świateł, sygnałów i latarń. Jarzą się Sopoty niby Plejady

zawisłe nad powierzchnią morza i mruga latarnia gdańska. Trzy sekundy jaśnieje i na sekundę gaśnie. Żeby marynarze wiedzieli. Inne latarnie mrugają inaczej. Naostatek ukazuje się na morzu parę lamp zawieszonych w trójkąt. Zbliżają się powoli, choć niedostrzegalnie i wreszcie wiadomo, że to „Gdańsk" dobija do Helu. Wysyła naprzód długą smugę jaskrawego światła z reflektora i zatrzymuje się u mola. Koniec. Wszystkie nasze dzienne sprawy... Tylko „Wicher" z dwoma traulerami rzuca pod tajemniczym adresem zmyślne sygnały, a z Oksywji odbłyskuje mu ogniście jakaś inna latarnia. Idziemy spać.

Codzień to samo: słońce, radość, flondry i liny, „szneka z glancem" i herbata, plaża, jagody, przejażdżka „Dzitą" i raz jeden — wielkie święto morza. Już jest zapowiedziane i już cały świat szykuje się obchodzić je uroczyście, a tu deszcz, wicher, dopust boży i sztorm. Cóż to będzie za święto morza! Siedzimy w chacie i patrzymy przez zamglone szyby jak świat staje się coraz bardziej ponury. Tak jest w piątek. W sobotę morze podobne jest do zoranego, ale nie zbronowanego pola. Na odwalone skiby spadł śnieg, a potem zaświeciło słońce i śnieg stopniał u góry, a utrzymał się w cieniu. Smutno patrzeć na takie morze i na takie skiby zamarzłego pola. Nie uda się święto morza. Kąpiemy się bez przekonania i znowuż widzimy na plaży żyrardowiaków. Ustawili podręczny kufereczek, dobyli butelkę i szklankę, przepijają do siebie, zagryzają kotletem przywiezionym przezornie. Praktyczni ludzie. Patrzą na rozchybotane morze i spoglądają po sobie. Są zafrasowani, że im się ten wyjazd nad morze udał nie tak bardzo. Ale mają tru-

nek na frasunek i mają zakąskę. Fala bije wysoko, a koło mola strzyka aż ku niebu. Rozchodzi się pogłoska, że przyleci Zeppelin. Obiad jemy w bezradosnym nastroju. Mamy wrażenie, że niebo coś sobie do nas upatrzyło i zamiast słońca posyła nam deszcze ogromnie nie w porę.

Pod wieczór idziemy do restauracji na befsztyk, bo poprostu zachciało się uczciwego lądowego jedzenia. I właśnie gdy wracamy nad małe morze, widzimy, jak wszyscy cywilni, wojskowi i duchowni, ubrani i goli, zadzierają głowy do góry. Pogoda jest złocisto-czerwona, niebo jasne, jak wyprane, a na niem — Zeppelin niby jaka forteca. Pełźnie wolno ku Gdańskowi, a w promieniach zachodzącego słońca jest ogromny. Więc jednak. Patrzymy długo i myślimy różnie. Ogromne cielsko balonu zdaje się mieć kilkaset metrów długości, gondolek pod tym olbrzymim kadłubem prawie nie widać. Zeppelin oddala się bardzo powoli, ale nie znika; maleje niedostrzegalnie. Już jest nad pagórkami Wrzeszcza, a jeszcze widać go doskonale niby olbrzymią gąsienicę, ześlizgującą się ze wzgórz. Duży balonik, niema co, może zepsuć humor. Ale jednocześnie uciecha, że cisza się ustala i że zapowiada się ładna pogoda na niedzielę.

Niedziela jest istotnie wyjątkowo piękna. I cicha. Ani „Gdańska", ani „Jadwigi"! Natomiast wszystkie holowniki, kutry, motorówki, czy nawet balje i niecki, oblepione mrowiem ludzkiem płyną ku Gdyni. Na Helu cisza morska, i jeśli rzec prawdę, pustawo. Ale w poniedziałek całe święto morskie przewala się na Hel i na mieszkańców niestałych pada strach, że wszystko zostanie wyjedzone i że zapanuje głód. Na szczęście

Bóg ustrzegł od klęski, bo piekarze czuwali. I rybacy. I sklepikarze. Nikt nie ucierpiał, a wszyscy odjechali do domów swoich nasyceni i napojeni. Żyrardowiacy wypiwszy i przekąsiwszy, postanowili spróbować wody morskiej i przekonali się, że woda zatoki Puckiej nie jest taka smaczna, jak żyrardowska wodociągowa.

W poniedziałek, gdy publiczność świętomorska zaczęła rozjeżdżać się we wszystkie strony Rzeczypospolitej, dowiedzieliśmy się, że na Hel przyjedzie pan Prezydent. Przyjechał, ale nie na sam Hel. W godzinach południowych ukazał się nam piękny okręt „Gdynia“, eskortowany statkami wojennmi. Kto miał dobre szkła, patrzył i widział pana Prezydenta na pokładzie „Gdyni“, karmiącego mewy, których całe stada polatywały dokoła statku. „Gdynia“ zbliżyła się na jaki kilometr ku Helowi, zrobiła zwrot i odpłynęła. Świętomorzanie porozjeżdżali się do domów i nad Helem popłynęły znowuż powszednie, słoneczne, jasne dni z kolorowemi wieczorami i gwiaździstemi nocami.

A potem nadszedł pewien wieczór sierpniowy. Zaczął zapadać jakoś wcześniej, niż mu się należało, i koło koszar straży morskiej zapanowała melancholja na całem podwórzu pozawieszanem suszącą się bielizną. Morze milczało, na podwórzu gromadziły się cienie szare i posępne, plaża opustoszała i stała się niemożliwie smutna. Nadeszła czarna noc, morze przepadło w niej zupełnie. Od północy powiało chłodem. Popatrzyliśmy po sobie i każdy z osobna pomyślał to samo, że teraz, gdy wieczór się przedłuża, dobrze byłoby siedzieć u siebie w domu i układać pasjanse przy filiżance gorącej herbaty. Słońce zachodziło teraz już nie za jodłami piaszczystej wydmy, ale przesunęło się

znacznie ku Puckowi, wieczory nad morzem były posępne. Pojedziemy chyba? Nie wiadomo, kiedy padło to słowo poraz pierwszy, ale odrazu stało się programem. Nikt nie oponował. Chłodnym rankiem wsiedliśmy do wagonu kurjera, który podszedł aż na sam koniec świata i ruszyliśmy ku Gdyni.

Z lewej strony zatoka Pucka ukazuje się co chwila z za drzew, z prawej od czasu do czasu ukaże się kawał „wielkiego morza". Wszędzie duży ruch, pełno ludzi lądowych na wypoczynku, a my już jedziemy do domu. Tu i owdzie morze nie ma u brzegu plaży, ale graniczy bezpośrednio z łąką, niby jaka wiejska sadzawka, co ogromnie psuje nastrój. Na samym końcu zatoki Puckiej łąka staje się moczarem i morze pospolicieje w jakiś przykry sposób, ale koło Wielkiej Wsi widać z prawej strony ogromną przestrzeń morską i długi wał wodny sunący ku lądowi z grzebieniem piany na karku. Wielki obłok podbity złociście zboku, zawisł ciężko nad przepaścią za horyzontem i zdaje się, że lada chwila runie w otchłań międzyplanetarną. Ten widok jest ładny i potężny, a potem widzi się Puck i zatokę z tej strony, na którą tak długo patrzyliśmy z Helu. Pasażerów przybywa, robi się ciasno. Siedzimy stłoczeni, jemy lody, które wagon restauracyjny wysyła w obu kierunkach pociągu i dostajemy się do Bydgoszczy, Torunia, Łowicza... Czy zdążymy na pociąg, odchodzący z Warszawy do Żyrardowa o szóstej z minutami? Nie zdążyliśmy i trzeba długo siedzieć w pociągu krakowskim, który nas podwiezie do domu.

Pierwsza połowa sierpnia. Co słychać? Nic dobrego. Redukcje, racjonalizacja, bieda. Trzeba doganiać wie-

le zaległości, pisać recenzje, artykuły, sprawozdania. Nadchodzi wrzesień z ładnemi dniami, niesie z sobą miłe uczucia jesienne, nitki babiego lata, kłopoty najróżniejsze i perspektywę procesu Blachowskiego, którego Żyrardów wypatruje z wielkiem zaciekawieniem. I nietylko Żyrardów. Znowu, jak w kwietniu i maju, zjeżdżają dziennikarze, reporterzy, działacze społeczni; ten chce materjału, ów pragnąłby zwiedzić fabrykę, do której, oczywiście, nikogo nie puszczają. Przyjeżdżają adwokaci, redaktorzy. Proces Blachowskiego wyznaczony na 24 października. Zgłaszam się jako dobrowolny świadek w sprawie żyrardowskiej. Obrona donosi mi, że nie potrzebuję przybywać do sądu w dniu rozpoczęcia procesu. Mam czekać na depeszę i przyjechać na wezwanie. Ale w poniedziałek wieczorem dowiaduję się, że sąd dopuścił tylko tych świadków obrony, którzy się zgłosili pierwszego dnia rozpraw. Nazajutrz, to jest we wtorek 25 października, jadę do Warszawy i zgłaszam się w sądzie jako świadek. Czekam parę godzin, widzę całą galerję świadków obrony i oskarżenia, ale koło godziny drugiej dowiaduję się, że sąd postanowił nie przesłuchiwać mnie.

Trudna rada. Przed opuszczeniem gmachu Sądu Okręgowego ujrzałem w kuluarach młodą wytworną panią w czarnem. Córka powiedziała mi, że to pani Krzywicka. Skorzystałem skwapliwie ze sposobności, aby się poznajomić z pisarką tak ciekawą. Śledziła rozprawę sądową i szkicowała swój reportaż o Blachowskim. Zamieniliśmy kilka słów, pani Krzywicka zapowiedziała swój przyjazd do Żyrardowa i poszła na herbatę, ja posiedziałem jeszcze chwilę śród świadków żyrardowskich i wyjechałem do domu.

Minął październik, przyszedł łagodny i słoneczny listopad, a potem równie łagodny grudzień. Bieda wzmagała się, komitety pomocy bezrobotnym wznowiły działalność i zaczęły zbierać składki. Ale cóż znaczyło kilkaset złotych miesięcznie na tyle bezrobotnych? Tymczasem w dalszym ciągu zwalniano starszych robotników i urzędników, zaś od pracowników biurowych żądano pracy za trzech. Każdy podporządkowywał się wymagającym zwierzchnikom, bo sama myśl o utracie pracy pełna była ponurej grozy. Gdzież były te czasy, gdy organizacje zawodowe miały głos w sprawach płacy, przyjmowania, zwalniania i zaopatrywania starych robotników? Wprawdzie emeryci wszczynali procesy przeciwko fabryce, ale nikt się nie łudził, aby wyroki sądowe rozstrzygnąć miały sprawę emerytur pomyślnie dla robotników. Fabryka może się procesować przez wszystkie instancje, robotnik pozbawiony środków do życia, nie może się prawować bez końca. Tymczasem upływają dni, miesiące i lata, starzy emeryci wymierają, nowi mają za sobą mniej lat pracy, a sprawiedliwość działa powoli i z wielką rozwagą. Tylko głodnym i nagim pilno. Świat ma czas.

Życie jest proste i zrozumiałe. Kto umie skupić uwagę na pewnym jego odcinku, łatwo zrozumie całość. Studjowanie poszczególnych zagadnień bywa tylko dlatego takie trudne, że najpowszedniejsze sprawy docierają do naszej świadomości nie przez zmysły w postaci namacalnej, ale przez umysł w postaci abstrakcyj. Książka o reorganizacji przemysłu i racjonalizacji pracy może być bardzo ciekawa, ale nigdy nie zastąpi obrazów optycznych i wrażeń słuchowych. Racjonalizację rozumie się dopiero wtedy, gdy w hali fabrycznej pokażą śród maszyn pięciu-sześciu pracujących robotników i gdy powiedzą, że dawniej na tem samem miejscu i przy tej samej robocie zajętych było ludzi czterdziestu. Czy pięciu pracujących za czterdziestu zarabia osiem razy więcej? Nie! Zarobki są wyższe o 20—40% najwyżej, podczas gdy powinny być wyższe o 800%.

Niedość na tem, że racjonalizacja zwalnia miljony ludzi i powiększa rezerwową armję bezrobotnych. Pozostali robotnicy wytwarzają daleko więcej, niż wytwarzano przed racjonalizacją, t. j. wtedy, gdy pracowali wszyscy. Gdy zkolei przejdziemy do magazynu fabrycznego, spostrzeżemy, że jest on zawalony masami towarów. Skąd takie wielkie zapasy? Wielka produkcja, mały zbyt. Bezrobotny stracił nietylko pracę, ale i możność nabywania towarów, czyli że w 30—35 miljonach bezrobotnych przemysł stracił 100—120 miljonów spożywców, licząc na bezrobotnego po 2—4 osoby

należące do rodziny. Co więcej, ten bezrobotny nietylko że nie ma za co kupować wyrobów przemysłu, ale nie ma i na chleb dla siebie i swoich. Gdy opuszczamy zracjonalizowaną fabrykę, odrazu widzimy na ulicach i na placach żywy komponent racjonalizacji w postaci bezrobotnych. Stoją przed biurami rejestracyjnemi, przed magistratem, przeciągają w pochodach demonstracyjnych ulicami miasta. Życie tworzy nierozdzielną całość; racjonalizacja przemysłu nie może być zamknięta w murach fabryk.

Nie można też powiedzieć, że kapitalizm jest częścią życia społecznego, mniej lub więcej ważną, czy też obojętną. Kapitalizm, o ile gdzieś istnieje, sięga nieuniknienie po władzę nad całokształtem życia i urabia je według własnych swoich widoków. Polityka, religja, kościół, szkoła, nawet wiedza i sztuka, to w społeczeństwie kapitalistycznem wytwory kapitału. Jednakże głębokie wywody Marxa, zmuszonego operować abstrakcjami, nie zdołają powiedzieć tego, co mówi życie powszednie. Dość zastanowić się nad sprawami najpowszedniejszemi, aby zrozumieć, że nasz stosunek do nich nie jest naturalny, ale sztuczny, mianowicie taki, jaki odpowiada celom władców i nauczycieli uległości.

Przypominam sobie wieczory niedzielne w domu rodziców, osobliwie zimowe. Ojcowie wychodzili w świąteczne popołudnia do krewnych albo do sąsiadów i niekiedy wracali od nich dość późno. Siedziałem w domu ze starą babcią, matką ojca. Była oszczędna i nędzną lampkę naftową o wiecznie zakopconem szkle zapalała dopiero, gdy już było zupełnie ciemno, w piecu paliła akurat tyle, ile było trzeba do ugotowania

strawy. Gdy w niedzielę wieczorem zostawała w domu sama, przysiadała się ze starym kancjonałem do zakopconej lampki, zakładała lichutkie okulary i śpiewała pieśni pokutne, och jakże smutne i ponure! W kominie skuczał zimowy wiatr, a jego głosik zaplątany w czarnych czeluściach pieca, trząsł się i drżał, przypominając skomlenie obitego psiaka. Przez niezasłonięte okna patrzyła do izby czarna noc ze wszystkiemi swojemi strachami, strzygami, wisielcami i duszami pokutującemi, w które wierzyliśmy tak niezachwianie, jak w sprzęty swej izby, jak w istnienie sąsiadów.

Roztrzęsionym głosem kajała się babka za wszystkie nędze, za pracę całego życia, za głody i choroby swoje i swoich dzieci. Nie skarżyła się, nie narzekała, ale kajała się, jakby to ona właśnie była winna wszystkiemu. Patrzyła na stare karty kancjonału i wywodziła drżącym głosem: „Dawid, co cudzołożył, Uryjasza zabił, a że się do Cię nawrócił, grzechyś mu odpuścił". W piecu tak samo kajał się wiatr, głośniej, ciszej, ostro, czasem niecierpliwie, jak człowiek spętany i męczony okrutnie. W izbie było ciemno i lada chwila mogły wyskoczyć z pieca szatany, zmory, dusze gorejące. Jakąż straszliwą męką było takie życie! Ale nikomu nie byłoby przyszło na myśl, że może być inaczej. Było to życie niewolników wychowanych w strachu przed wszystkiem: przed Bogiem, światem, ludźmi, upiorami. Gdy po całotygodniowej ciężkiej pracy kilku robociarzy złożyło się na pół kwarty marnej okowity i kaszankę, aby spędzić z sobą kilka godzin w atmosferze swobody wypoczynkowej, do stołu razem z nimi zasiadało nieczyste sumienie ludzi wystraszonych, widzących

w każdym przejawie radości życia grzech ciężki i nieodpuszczalny.

Nie było takiej pokutnej postawy w panach i dlatego byli panami. Patrzyliśmy na stroje dyrektorowych i pań urzędniczek, na wesołe zabawy różnych urzędników. Był naprzykład w Żyrardowie taki brandmajster, który miał pięknego karego wierzchowca i przy nadarzonej sposobności poił go piwem. Koń bywał pijany nie gorzej od swego jeźdźca i wyprawiał z nim na ulicy bardzo wesołe hopki. W naszem rozumieniu było to bezbożne, ale mieliśmy przysłowie, które „panów“ rozgrzeszało ze wszystkiego: „Co pan, to pan, to nie grzeszny człowiek“. Wesołe zabawy, bale maskowe i kostjumowe, uroczystości wszelakie, to w naszych oczach robotniczych były grzeszne zachcianki, ale nikt z nas nie byłby zakwestjonował prawa panów do takiej właśnie grzesznej swawoli. Dla nas to było grzechem, dla nich — cnotą.

Wspólnikiem starego pracowitego Dittricha był Hielle, który miał bardzo wesołego syna. Gdy stara Dittrichowa zapadła na zdrowiu i doktór Jawurek nie mógł jej poradzić na uporczywą melancholję, mąż jej w porozumieniu z doktorem Jawurkiem postanowił zasięgnąć rady specjalisty i pojechał po niego do Warszawy. Tymczasem młody swawolny Hielle, ożeniony z Dittrichówną, zabrał się do kurowania teściowej na swój sposób. Wsadził melancholiczce kapelusz na głowę, wciągnął ją do breku zaprzężonego w dwa ogniste konie i ruszył z nią z leśnego pałacu do miasta. Na bitej drodze leśnej brek Hiellego spotkał się z powozem Dittricha, który wiózł do chorej żony warszawskiego lekarza. Przeraził się na widok eskapady, w jakiej

uczestniczyła jego melancholiczna żona z inicjatywy swawolnego zięcia, dawał rozpaczliwe znaki, wołał, ale Hielle ani myślał zatrzymywać się na to wołanie. Zawiózł teściową do Mszczonowa, oddalonego od Żyrardowa o dobre dziewięć kilometrów, napoił ją w jakiejś karczmie mszczonowskiej wódką, a po powrocie do domu, oświadczył jej i wszystkim domownikom, że matka jest zdrowa. Wesoły był pan Hielle i dużo takich opowieści było o nim w obiegu.

Jeszcze weselsze rzeczy opowiadali sobie mieszkańcy Schönlinde w Czechach północnych, miasta rodzinnego Dittrichów i Hiellów. Pewnego razu Hielle dosiadł konia i wjechał na nim w sam środek naczyń pięknej garncarki, siedzącej przy swoich misach i dzbanach na rynku. Koń tłukł kopytami kruche naczynia gliniane, garncarka krzyczała, targowisko ryczało z uciechy. Zaś pan Hielle obiecał garncarce całe sto guldenów odszkodowania, czyli na dawne czasy istny majątek. Ale po owe sto guldenów miała przyjść tylko w koszuli. Zacna kobiecina uszyła sobie długą, do kostek, koszulę i poszła po sto guldenów. Pan Hielle dotrzymał słowa. Razem z kilku wesołymi towarzyszami zabawy podszedł do kasy, otworzył ją i zaczął kobiecinie rzucać po guldenie. Jeden, dwa, trzy... Cóż było robić? Garncarka chwyta pieniądze w podołek koszuli, ale guldenów przybywa, trzeba koszulę podnosić coraz wyżej. Jednem słowem było wesoło. Ci panowie nie śpiewali pieśni o Dawidzie i Urjaszu.

Takie same rzeczy opowiadali sobie starzy robotnicy, którzy pamiętali jeszcze wesołe czasy pańszczyzny. Polscy panowie miewali także humor. Jakiś stary dzia-

dek opowiadał za swoim ojcem, że ich pan był człowiek wesoły i lubił się pośmiać, osobliwie, gdy we dworze bawili goście. Pewnego razu podczas dużego zjazdu, polecił pospędzać ze wsi co młodsze baby, pozawiązywać im kiecki nad głowami, a przywołanym chłopom kazał poznawać żony. Który poznał, miał dostać pięć złotych, a który nie poznał-baty. Bo jak, powiada, własnej żony pilnujesz, kiedy jej dokumentnie nie znasz? Niektóry poznał, inni nie poznawali. Ci, co poznali, musieli potem opowiadać panom po czem i w jaki sposób odróżniają żony swoje, zamaskowane kieckami, od innych niewiast, a przy tych opowiadaniach śmiechu było niemało. Weseli bywali panowie onego czasu.

Przeludniona wieś polska była głodna zawsze, a po uwłaszczeniu chłopów stała się jeszcze głodniejsza. Chłop żywił się przeważnie kartoflami i kaszą, chleba nigdy nie było dość, a mięso widywali wieśniacy trzy-cztery razy do roku i to w dawkach homeopatycznych. Toteż ci, co przyszli do Żyrardowa, nie mogli dość wychwalić rozkoszy nowego życia. Wprawdzie pracowało się w fabryce od 5-ej rano do 7-ej wieczorem, ale zato w sobotę po wypłacie „pieniędzy było jak lodu" według ówczesnego wyrażenia. A na rynku żyrardowskim w soboty i w niedziele można było dostać wszystkiego, czego dusza zapragnęła. Chleb, bułki i chała tworzyły kopce i można było kupować pieczywo po cztery grosze lub po siedem groszy funt. Kiszka kosztowała 15 groszy funt, kiełbasa złoty i groszy sześć, czyli trzydzieści sześć groszy według rachunku dzisiejszego. Podczas wielkiego postu i adwentu sprzedawano na rynku, czyli „na placu", jak się wtedy mówiło, minogi po

trzy grosze sztuka, albo „para pięć“. Okowita kosztowała niedrogo, bo kwartę można było dostać w Żyrardowie za dwa złote i groszy dwadzieścia, czyli za osiemdziesiąt groszy, a w Wiskitkach, gdzie była destylarnia parowa, jeszcze taniej.

Chwalili ludzie Boga i chwalili to życie, jakie znajdowali w Żyrardowie, chociaż było ono straszliwie ubogie i żałosne. Wychowywani w świętej pokorze przez kościół i przez rodzinę, spokój i szczęście widzieli w pracy i w zarobku, a szczytu niedoli dopatrywali się w „fajerancie“, czyli w wydaleniu z fabryki. Gdy spoglądam wstecz w lata swej pracy w fabryce, przeraża mnie ta tępota w jakiej żyłem z tysiącami braci swoich długo, długo... Jak mocno, energicznie opieraliśmy się „wywrotowej“ agitacji „bezbożników“ i „niedowiarków“, którzy oświecali nas przygodnie! Czytam akurat „Dziennik podróży“ Stefana Żeromskiego, tej duszy odradzającej się Polski. Każde zdanie sylabizuję sercem i rozważam głęboko. „Głupota ludzka, głupota bydląt w jarzmie“—zanotował sobie ten wielki człowiek w notatniku „Podróży do Włoch“, — pisząc o „ohydnej brzydocie prac niepotrzebnych nikomu“. I dalej: „Walcz z sienkiewiczyzmem, to znaczy ze schlebianiem masie, która w danej chwili ma siłę władną... Musisz walczyć o całego człowieka. Nie wierz, żeby zwalenie najazdu, zwalenie strupieszałych form skończyło pracę. Należy walczyć o całość ducha, o tego, który leży pod męką ciał, należy stwarzać wieczną rewolucję, która jest wieczną przemianą ducha i nieskończonem jego odrodzeniem“.

Ba, ale jak wiele trzeba przeżyć, aby zrozumieć takie proste słowa! Kamienowanie proroków i krzyżowa-

nie zwiastunów królestwa Bożego jest takie powszechne i takie pospolite! Mówili nam w domu, w kościele, w szkole i na każdem miejscu: „chlebodawca“, „pracodawca“, a każdy z nas wiedział odrazu, kto komu daje chleb i pracę. Nie do wiary, a jednak prawdziwe: z tych tysięcy ludzi, którzy chodzili w jarzmie fizycznem i w jarzmie duchowem, tylko kilku było o tyle wolnych, iż odważyli się myśleć śmiało, myśleć przeciw utartemu kłamstwu. Nałóg myślenia wpojonego w dzieciństwie jest śmiertelną trucizną ducha, jadem, który zabija wszelki rozwój i niweczy życie.

I znowu świetlany Żeromski: „A wśród tej nędzy przeklętej wśród tej gawiedzi, wrzeszczącej po nocach—pomniki pychy łotrów przeszłości, wszelkiego rodzaju Medyceuszów. Biada światu!“ Biada zaiste, ale dlatego głównie, że ten świat nie chciał myśleć, nie próbował nigdy pojąć rzeczy prostych i tak łatwo poddawał się „uświęconym“ prawom wszelkich łobuzów, tak nędznie ulegał władzy wszelkiego rodzaju Medyceuszów i innych „medyków“, żerujących na tej bezmyślności ludzkiej, którą można zdobyć za funt kaszanki, za pół kwarty okowity. Nie dziw, że Medyceusze i ich zwyrodniały pomiot czasów naszych, robią wszystko, co mogą, aby ogłupiać człowieka, ale gdzież jest sól ziemi, umysłowy kwiat narodu, elita serca i ducha?

Pracodawca? Chlebodawca? Miły Boże, byliśmy przecie w ciągu wieków chlebodawcami wszelkiego drańeach i wszelkich nędznych a tępych pasorzytów i byliśmy ich pracodawcami, dając im pot, i krew, i zdrowie, i wszelki sens swojego ludzkiego życia na tej ziemi. Oni brali pracę naszą i nasz chleb, oni byli pra-

cobiorcami i chlebobiorcami naszymi, a my byliśmy dawcami, żal się Boże, dobrowolnymi i ciemnymi. Harfa Chopina była niema dla mego ojca, pieśń Mickiewicza nie dotarła do jego uszu, nie uradowały jego oczu wielkie malowidła, nie widział nigdy cudów przyrody alpejskiej i bezkresu morza. I nie miał pojęcia o świecie. Od piątego roku życia pracował w fabryce, a po przeszło półwiekowej pracy zawlókł się chory do domu, aby umrzeć w mroku swej nieświadomości i nie dowiedzieć się nigdy, że był chlebodawcą i pracodawcą swoich panów. I mniemał, że sam Pan Bóg nakazał mu dochować im wierności i nie zdradzić ich dla socjalizmu, dla sprawiedliwości społecznej, dla piękniejszego i lepszego świata.

Prowadzę czasem nieme jednostronne rozmowy z duchem ojca i z duchami dziadów moich. Mówię im o tem, o czem nie wiedzieli do końca życia i o czem ja sam nie wiedziałem jeszcze niedawno. Pracodawca Morgan, bankier świata, czemże jest bez tłumu nędzarzy? Niczem. Nędzarzem większym od swoich robotników. Jego złoto jest ciężkie i muszą je dźwigać najmici. „Pracodawcy“ Rockefeller, czy Rotschild, to także ludzie bezradni i bezsilni; dość pozostawić ich samych sobie, aby się to pokazało w całej pełni. Miljarderzy, oczywiście, ale tylko dlatego, że pozagarniali śpichlerze świata i wydzielają potrosze chleba tym, którzy dla nich i za nich pracują. Glob ziemski jest ich „własnością“ ze wszystkiem, co znajduje się na jego powierzchni i w jego łonie, ze wszystkiemi polami, lasami i morzami. A ludzkość? Ta uboga, pracująca, tworząca i myśląca ludzkość? To żywy inwentarz kapitalistów. Demokracja wywodzi wprawdzie, że proletarjusz różni

się od miljardera tylko stopniem zamożności, ale to zwyczajna blaga. Tu nie o stopień zamożności chodzi, lecz o coś zgoła innego: jedni mają wszystko, drudzy nie mają nic i na życie otrzymują tyle, ile im właściciele globu ziemskiego wydzielić raczą.

Przy dzisiejszym podziale pracy i przy daleko posuniętej specjalizacji rozumienie tych prostych rzeczy przychodzi zgoła przypadkowo. Nie może być inaczej, gdy najświatlejsze umysły ziemi badają szybkość światła, faunę głębinową, rolę gruczołów dokrewnych i życie bakteryj chorobotwórczych. Każdy ma swoją specjalność. Jeden czyta stare teksty, drugi patrzy w okular teleskopu czy mikroskopu, trzeci, czwarty i dziesiąty badają misterja greckie, gramatykę sanskrytu, napisy Assurbanipala, albo polemizują na temat darwinizmu. Kapitał, praca, sprawiedliwość społeczna, bezrobocie, nędza miljonów, postęp, religja, szkoła, to są sprawy o różnym wyglądzie i różnem znaczeniu z punktu widzenia karjery politycznej. Dobra jest taka polityka, która daje fotele ministerjalne mojej partji, zła jest taka polityka, która je daje przeciwnikom partyjnym.

Głębokie wszechstronne i trwałe zainteresowanie budzą w człowieku tylko te sprawy, które wiążą się bezpośrednio z podstawami istnienia jego lub jego najbliższych. Kapitalizm był dla miljonów nieszczęściem, ale dla umysłów najświatlejszych był tylko abstrakcją mniej lub więcej daleką i niejasną. Niekażdy miał czas i ochotę do studjowania Marxa i ekonomistów wogóle. Teraz kapitalizm daje światu wykład poglądowy o tem, czem był, czem jest i czem będzie. Z hali fabrycznej wyparł człowieka-robotnika, magazyny przepełnił to-

warami, dla których niema zbytu. Po ulicach miast przemysłowych snują się tysiące bezrobotnych. Jego naczelnem hasłem było: władza i zyski! Dzisiaj, gdy cały świat cierpi z jego winy, cyniczna zasada kapitalizmu nie uległa zmianie. Wciąż jeszcze chce władzy i zysków. Na rynku światowym tonna pszenicy kosztuje 60—70 marek niemieckich, ale w Niemczech trzeba płacić za tonnę 220—250 marek. Aby dla głodnych bezrobotnych nie można było sprowadzać tej taniej pszenicy, junkierskie obszarnictwo odgrodziło się od rynków światowych wysokiemi cłami. Żyto kosztuje po świecie 40—50 marek tonna, ale w Berlinie płaci się za nie pięć razy więcej — 210 marek. I tak jest ze wszystkiem. Żelazo wywozi się z Niemiec po cenach dumpingowych, lecz spożywcy krajowi muszą płacić tyle, aby kapitalista otrzymał nietylko to, co traci na cenach dumpingowego wywozu, ale także, by należycie zarobił. Zagadnienie prywatnego zysku jest przyczyną światowej klęski. Wszystkie ideały moralne, religijne, polityczne i społeczne służą najwyższemu ideałowi zysku. Eksploatacja kopalń, źródeł nafty, lasów, pól ornych, fabryk, jest zawsze i jedynie eksploatacją człowieka. Zacharowowie, Rockefellerowie, Morganowie, nie orzą i nie sieją, bo mają swoich głodnych chlebodawców, którzy na nich pracują. Według obliczeń najznakomitszych niemieckich ekonomistów Rzeszą niemiecką rządzi grono kilkudziesięciu ludzi, rozporządzających paru miljardami marek. Ich nieugięta wola zysku decyduje o losach miljonów. I tak jest wszędzie.

To doprowadziło do racjonalizacji także w Żyrardowie, ale tu przyłączyło się do całej sprawy jeszcze coś, co ją wikłało w sposób fatalny: brutalna chciwość no-

wych władców była wydatnie potęgowana brudnem karjerowiczostwem i najnędzniejszem sztreberstwem ich domorosłych lokai. Pana i lokaja odtworzył Kaden-Bandrowski z kliniczną dokładnością w „Czarnych Skrzydłach" w osobach Coeura i Kostrynia. Te dwa skróty literackie są klasycznie wierne. W ostatniem przedwojennem sprawozdaniu Zarządu Towarzystwa Zakładów Żyrardowskich z 30 czerwca 1914 roku figurują sumy należące do urzędników i robotników fabrycznych, a także sumy zabezpieczające istnienie i działalność takich instytucyj użyteczności publicznej, jak szpital, ochrona, przytułek dla starych robotników. Fundusz emerytalny jest w tem sprawozdaniu reprezentowany sumą 350 tysięcy rubli złotych, ochrona — 500 tysięcy rubli, przytułek — 60 tysięcy. Pozatem kapitał członków Fundacji Karola Augusta Dittricha wynosił 390,683 ruble, lokacje urzędników i robotników — 1,593,808 rubli. Razem tedy około 3 miljonów rubli złotych. Wielka ta suma nie była ulokowana w jakichś papierach, które mogły były ulegać wahaniom konjunktury giełdowej, ale tworzyła integralną część fabryki i księgowano ją w rubryce pasywów, czyli że ułożona była w budynkach, maszynach i towarach fabrycznych.

Ogólna suma pasywów sprawozdania z roku 1914 wynosi 27,278,357 rubli, a fundacje i należności robotnicze i urzędnicze wyrażają się okrągłą sumą 2,900,000 rubli, czyli że stanowią więcej, niż dziesiątą część ogólnej sumy bilansowej. W sprawozdaniu z roku 1932 suma pasywów wynosi 61,462,473 złotych, czyli że tamte wierzytelności fundacyjne i lokacyjne powinny wyrażać się sumą przekraczającą sześć miljonów złotych,

gdy tymczasem zaksiążkowane są nikłą sumą 1,859,523 złotych, a mianowicie: Fundacja K. A. Dittricha 119,763 złotych, wkłady robotników i urzędników 123,802 zł. i „różne należności rublowe“ 1,615,958 zł. Oto wszystko. Zracjonalizowano nietylko pracę, ale i wierzytelności o znaczeniu wysoce pedagogicznem i uspołeczniającem. Oczywiście, jak po całym świecie, tak i tutaj, naczelnem dążeniem kapitału było wyzbycie się wszelkich świadczeń społecznych utrwalonych tradycją.

Eksploatowanie siły ludzkiej stworzyło w Żyrardowie klasyczne formy cynicznego wyzysku. „Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej“ (Nr. 53 z 15 czerwca 1927) zawiera „Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z d. 7 czerwca 1927 roku o Prawie Przemysłowem“, a w dziale IX tego rozporządzenia jest dokładny spis rzemiosł z zaznaczeniem na wstępie, że „za rzemiosło w rozumieniu niniejszego działu uważa się następujące rodzaje przemysłu, o ile nie są prowadzone sposobem fabrycznym“. To znaczy, że według wyraźnego brzmienia ustawy niema w fabryce rzemiosł i nikt się ich też w fabryce uczyć nie może. Nie przeszkodziło to panu Waśkiewiczowi, pomocnikowi Koehlera, przyjmować dziewczyny na naukę rzemiosła. Według kontraktu, jaki p. Waśkiewicz zawierał z rodzicami wyzyskiwanych dzieci, terminowanie miało trwać trzy lata, a przyszła czeladniczka rzemieślnicza miała zostać prządką. Kontrakt był tak ułożony, że według trafnego wyrażenia p. Haliny Krahelskiej, b. inspektorki fabrycznej, pozwalał panu Waśkiewiczowi na bardzo szybki obrót terminującemi dziećmi. Popracowały za pół darmo albo i całkiem darmo, i wyrzucało się te nieszczęsne ter-

minatorki zanim zdołały uzyskać ustawowe prawo do bezpłatnego urlopu. Kontrakty pana Waśkiewicza są dobrze znane i Bóg raczy wiedzieć, dlaczego ten pan nie został dotychczas zapytany, jakie to jest rzemiosło prządki i dlaczego tego nieistniejącego rzemiosła kazał uczyć się u siebie aż trzy lata! Gdy zwolniono go z posady, terminowanie skończyło się odrazu a nauka roboty trwała sześć miesięcy. Dzisiaj zaś i tego niema: rodzice w kilku słowach udzielają zezwolenia na pracę ich dzieci w fabryce i młodociani odrazu zaczynają pracować jako robotnicy. Kto i kiedy upomni się o krzywdy dzieci, które wyzyskiwano tak haniebnie? Kto ukarze cynizm służbistych Kostryniów, powołując się na proste i jasne brzmienie ustawy?

Czytuję dużo pisarzy polskich i zagranicznych i ku wielkiej radości swojej przekonywam się, że najlepsi i najszlachetniejsi z pośród nich przestali być rezydentami kapitalizmu. Galsworthy pokazał na przykładzie z życia czem jest forsytyzm, który jedyny cel życia widzi w gromadzeniu pieniędzy. Kaden-Bandrowski robi u nas to samo, obnażając tendencje różnych partyjników zmierzających do spieniężania haseł polityczno-społecznych. Stary André Gide z uniesieniem mówi o człowieku budującym nowy świat i całą duszą pragnie doczekać się zwycięstwa tego człowieka. Młodzież francuska tworzy front antykapitalistyczny od prawicy katolickiej aż po lewicę marxowską.

Współczesny pamiętnikarz, Axel Munthe, b. lekarz nadworny królowej szwedzkiej, ogarnia wielkiem sercem całe stworzenie: leczył markizy i prostytutki, opiekował się serdecznie chorymi psami, małpami, sowami, trwał u łoża nieszczęśliwców, dotkniętych wście-

klizną, śpieszył na pomoc chorym na cholerę, podczas epidemji w Neapolu... Francuski lekarz Nicolle na własnem ciele badał istotę duru powrotnego, aby ratować ludzkość przed skutkami tej strasznej choroby. Ileż na całym świecie jest tego bohaterstwa, które życiem własnem osłania istnienie innych!

Na jednym biegunie życia widzimy drapieżny i nigdy nienasycony kapitalizm, który do celów swoich idzie po trupach, a na drugim biegunie staje do służby szlachetne i piękne człowieczeństwo. Proza angielska zwalcza energicznie obłudę urzędowej moralności, proza polska służy wysokim ideałom społecznym i wszechludzkim. I zdaje się, że już wiemy, co będzie dalej: pozostawimy Morganom ich złoto, Rockefellerom ich źródła nafty, a Vickersom ich armaty. Niech sobie to wszystko mają. Ludzkość świadoma wartości życia i pracy pójdzie własnemi drogami. Kapitalizm to ciemnota mas; gdy się ta ciemnota rozwieje, kapitalizm zniknąć musi.

W perspektywie ulicy żyrardowskiej ukazuje się nowy piękniejszy świat, w którym ideałem najwyższym nie będzie już zysk i wyzysk. W muzeach i panoptikach obok woskowych figur Torquemady, Medyceuszów i Kürtenów, znajdą się figury przeróżnych królów nafty, stali, bawełny, czyli pasorzytów, żerujących na niedoli ludzkiej. Wnuki nasze z niedowierzaniem pytać będą, czy to prawda, iż różni ograniczeni carowie skazywali na więzienie i na śmierć ludzi, którzy nie taili swej wiary, że istnieje doskonalszy i sprawiedliwszy sposób wytwarzania i podziału towarów, niż ten, jaki zaprowadził i utrwalił kapitalizm. Patrzę na dziedziniec szkolny przed memi oknami i wierzę niezłomnie, że

tłum dzieci bawiących się tam w tej chwili, to przyszli obywatele lepszego i sprawiedliwszego świata.

W tym świecie, nad którym nie będzie już panował anarchiczny i drapieżny kapitalista, znajdzie miejsce także mój Żyrardów. Budowały go razem z innymi ręce moich dziadów i rodziców, pracowałem przy jego budowie przez dziesiątek lat i ja, pracuję przy innym warsztacie i dzisiaj. Lecz oto przyszedł człowiek obcy, który jeszcze wczoraj nic nie wiedział o nas i naszej pracy, i na mocy jakichś nędznych papierków położył na nas łapę i zaczął nam wyznaczać skromniutkie racje chleba, ograniczać nasze prawo do życia. Spadła na nas fala straszliwej nędzy, zgryzot, niepokoju. Ale już wielu z nas rozumie, że to jest komiczne. Gdy komizm tej sytuacji zrozumiemy wszyscy i parskniemy wesołym śmiechem, gmach kapitalizmu, więzienie ludzkości i zmora świata, runie.

W pamiętniku Axela Munthe, „Księga z San Michele", jest piękny obrazek. Z zamku normandzkiego, w którym leczył Munthe piękną markizę, ucieka ten znakomity człowiek przed miłością swej pacjentki aż do Laponji, w olbrzymie puszcze i pastwiska leśne. Żył śród reniferów i ich właścicieli, Lapończyków. Posiedział tam sobie parę tygodni, wypoczął po nerwowem życiu Paryża i ruszył zpowrotem przez pustkowia, lasy, strumienie, moczary. Dotarł do sadyby znajomego Lapończyka i popasał u niego. Dziwił się, że ten zacny człowiek ma skład skór reniferowych, całe swoje bogactwo, w szopie oddalonej o kilkaset metrów, nie zabezpieczonej, nie pilnowanej. Okradną go przecie. Lapończyk patrzy na mówiącego i nie rozumie. Co to znaczy: okradną? Wreszcie przypomina sobie coś

o tem, i mówi: „Ach, masz zapewne na myśli tych łotrów, których nazywają złodziejami!“ Są więc na naszym globie, należącym do kapitalistów, i takie strony, w których ludzie szczęśliwi nie wiedzą nic o łotrach nazywanych złodziejami.

To szczęśliwe terytorjum, na którem panuje taka moralność lapońska, będzie się rozszerzało coraz bardziej, aż glob ziemski przestanie należeć do kilkuset ludzi, decydujących dzisiaj o naszych losach, o głodach, wojnach i wszelkiej niedoli. I wtedy, w tym wolnym świecie, w którym według słów Juljana Ejsmonda nie będzie granic i nie będzie już za co pójść do więzienia, odnajdzie radość życia i prawo do pracy także mój Żyrardów. Razem z André Gidem i Żeromskim niczego tak gorąco nie pragnę, jak łaski ujrzenia świtu tego dnia sprawiedliwości, który zajaśnieje nad nowym światem i nad moim, tak ciężko dziś doświadczanym, Żyrardowem.

W chwili, gdy korekta tej książki dobiegała końca, bardzo energicznie i z dużym skutkiem wystąpili polscy akcjonarjusze żyrardowscy przeciwko wywłaszczaniu ich przez chwyty i sposoby panów Boussaków, które doczekały się dosadnego określenia jako niezgodne z dobremi obyczajami i kłusownicze. Pan Boussac jako właściciel Żyrardowa zawierał sprytne umowy z firmami francuskiemi, których jest właścicielem. Te sprytne umowy dały mu w ciągu lat kilku czterdzieści miljonów zysków, powodując społeczeństwu polskiemu znacznie wyższe straty materjalne i moralne. Dzięki wystąpieniom akcjonarjuszy polskich i interwencji powołanych władz, kłusownictwo Bussaków dobiega końca.

Jednocześnie otrzymałem kwestjonarjusz ankiety na temat wzmożonej przestępczości na gruncie Żyrardowa. Znam swoje miasto rodzinne i wiem, że było ono zawsze bardzo spokojne, odrazu tedy przyszło mi na myśl, że ta wzmożona przestępczość ma pewien przyczynowy związek z „gospodarczą" działalnością Boussaków i ich, żal się Boże, polskich, naganiaczy. Stałe redukcje ery Koehlera i Waśkiewicza musiały doprowadzić do wzmożonej nędzy i co za tem idzie do wzmożonej przestępczości. Jeśli Boussac w krótkim czasie wyciąga z Żyrardowa kilkadziesiąt miljonów „czystych" zysków, to nam pozostawia odpowiednie straty, i gospodarcze, i moralne.

Udaję się z temi myślami do prezydenta miasta, p.

Edmunda Orlika. Czy to prawda, że tak zatrważająco wzmogła się przestępczość? Niestety, tak. W ostatnich latach kroniki policyjne zanotowały kilkadziesiąt morderstw i zabójstw, kilkaset krwawych bójek, kilka tysięcy kradzieży większych i mniejszych. Nędza jest straszliwa. Zdaniem lekarzy 60% młodziczy żyrardowskiej to kandydaci gruźlicy płuc. Panoszą się straszliwie choroby weneryczne.

Od kiedy wzmogła się tak bardzo przestępczość? Od roku 1926 — brzmi odpowiedź. A więc od czasu wielkiego lokautu i tych stałych redukcyj, które cechowały rządy Koehlera i Waśkiewicza. Ile jest w Żyrardowie młodzieży w wieku od lat 14 do 25? Odpowiedź brzmi wyraziście, jak statystyka: 4.300. Ilu z pośród tej młodzieży pracuje? Kilkuset najwyżej i to wyłącznie niemal dziewczęta, bo chłopców fabryka nie przyjmuje prawie wcale. I prezydent Orlik maluje mi piekło nędzy tych młodzieńców, którzy daremnie szukają pracy.

Co robią Zakłady Żyrardowskie dla złagodzenia tej ponurej nędzy wywołanej własną polityką? Pytam o to, bo jeśli p. Boussac wywozi z Żyrardowa dziesiątki miljonów, to mógłby przynajmniej parę miljonów pozostawić na walkę z nędzą. Byłoby to dla niego łatwiejsze, niż ofiara z kilku złotych miesięcznie dla niezamożnych urzędników i innych obywateli Żyrardowa. Więc ile daje ten „król bawełny"? Nic — brzmi odpowiedź.

Przypomina mi się pewien szczegół z memorjału wydanego w roku 1927 staraniem prezydenta Orlika dla informowania władz i opinji publicznej o przyczynach i skutkach upadku Żyrardowa. Jest w tym memorjale mowa o tem, że zarząd Boussaków sprzedawał na łom

dobre maszyny żyrardowskie. Teraz czytamy w „Gazecie Polskiej“ z 5.II.1934, że te maszyny powędrowały do francuskich fabryk p. Boussaka i tam ten „łom“ sprzedany mu za bezcen, pracuje normalnie dalej. Artykuł, z którego czerpię ten szczegół, nosi wymowny nagłówek: „Stawiskjada żyrardowska“.

Istna otchłań brudów moralnych i chamskie, cyniczne, deptanie ludzkich praw robotnika żyrardowskiego. Ale to cuchnące bagno oszustw i złodziejstw już jest odsłonięte i musi zostać zlikwidowane. Złodziejski, kłusowniczy, kapitał będzie wymieciony z naszego życia, znikną i przepadną typy Coeurów i ich służalczych lokai, Kostryniów. Inaczej być nie może.

Przedwiośnie 1934.